Maria Morawska Górska

ZNAK

MIESIĘCZNIK

BEZIMIENNI MÓWIĄ O MODLITWIE

TEKSTY ANKIET I OMÓWIENIE

Sł. Grygiel: STRUKTURA RZECZYWISTOŚCI A MODLITWA

Jan Prokop: LATO 1963

„Wiara szuka zrozumienia" • Sąd po dwudziestu latach

KRAKÓW

LUTY-MARZEC (2-3)
Rok XVI 1964

116-117

REDAGUJE ZESPÓŁ

Hanna Malewska, Maria Morstin-Górska, Stefan Swieżawski, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski, Jerzy Zawieyski.

Redaktor Naczelny: **Hanna Malewska**
Sekretarz Redakcji: **Halina Bortnowska**

Adres redakcji: Kraków, Sienna 5, I p., tel. 256-84
Sekretariat czynny w godz. 10—15
Redakcja przyjmuje w godz. 13—15

Adres Administracji: Kraków, Wiślna 12, I p., tel. 213-72
Administracja przyjmuje w godz. 9—13

Prenumerata krajowa: kwartalnie zł 36.—; półrocznie zł 72.—; rocznie zł 144.—
Prenumerata przez wpłaty na konto „Ruchu" Kraków, ul. Worcella 6, PKO No 4-6-777 albo przez urzędy pocztowe i listonoszy.

Prenumerata zagraniczna: kwartalnie zł 50.40; półrocznie zł 100.80; rocznie zł 201.60
Prenumerata przez wpłaty na konto PKWZ „Ruch" Warszawa, ul. Wilcza 46, PKO 1-6-100024.

Zamówienia i przedpłaty przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty

---

Cena zeszytu zł 12.—

Egzemplarze archiwalne „Znaku" nabywać można w **Administracji miesięcznika „Znak", Kraków, ul. Wiślna 12** oraz w następujących księgarniach:

Katowice: Księgarnia św. Jacka, ul. 3 Maja 18; **Kraków:** Księgarnia Krakowska, ul. św. Krzyża 13; **Łódź:** Księgarnia „Czytaj", ul. Narutowicza 2; **Poznań:** Księgarnia św. Wojciecha, Pl. Wolności 1; **Warszawa:** Księgarnia św. Wojciecha, ul. Freta 48; **Wrocław:** Księgarnia Archidiecezjalna, ul. Katedralna 6.

Maszynopis otrzymano 8. I. 1964 Druk ukończono w marcu 1964
Format A-5 Papier druk. sat. kl. VII 61X86 60 g Ark. druk. 15
Zam. nr 13 8. I. 1964 Nakład 7.000+350+100 egz. G-38

Krakowskie Zakłady Graficzne, Zakład Nr 7, Kraków, Kazimierza Wielkiego 95

ZNAK
MIESIĘCZNIK

Rok XVI Nr 116-117 (2-3)

Luty—Marzec 1964
KRAKÓW

NAD ANKIETĄ O MODLITWIE

UWAGI METODOLOGICZNE

1. KAŻDA ankieta jest poszukiwaniem: organizatorzy stawiają pytania kierując się odczuwalną potrzebą informacji. Czasem chodzi o wiedzę o faktach obiektywnych (np. ankieta personalna dostarcza informacji biograficznych). Tę wiedzę, oczywiście, można byłoby posiąść innymi drogami. Ankieta staję się natomiast wręcz niezastąpiona, gdy przedmiotem zainteresowania są fakty subiektywne: przeżycia, opinie, postawy, oceny... Stąd rola ankiet w socjologii i psychologii.

Odpowiednio skonstruowana i opracowana ankieta jest jednym z narzędzi poznania naukowego. Ale nauka nie ma monopolu na stosowanie tego narzędzia: wspomniana już ankieta personalna czy ankiety Instytutu Gallupa nie służą nauce lecz praktycznemu działaniu. Drugą dziedziną, w której ankiety coraz więcej znaczą, jest publicystyka, najszerzej rozumiana. [1] I tu ankieta dostarcza informacji o faktach i postawach, ale proces wydobywania tych informacji — opracowanie materiału ankietowego — ma inny charakter, inny przebieg. Z różnych względów publicysta zatrzymuje się na etapie, który dla uczonego jest zaledwie etapem wstępnym, zadowala się nawiązaniem myślowego kontaktu z ankietowanymi, wystarcza mu intuicyjna orientacja w zebranym materiale: zrozumienie intencji ludzi, którzy na ankietę odpowiedzieli, dostrzeżenie nurtów intelektualnych, uchwycenie postaw, wnikanie w analogie znaczy dla niego więcej niż obliczenia. Od interpretacji dokonanej w wielkiej mierze „na wyczucie" publicysta przechodzi bezpośrednio do wniosków, pomijając żmudne

[1] O „szerokim" pojęciu publicystyki — por. „Znak" nr 103, wypowiedzi w dyskusji o *Perspektywach* Anny Morawskiej, zwł. s. 24 i nast.

i nie zawsze możliwe do przeprowadzenia ustalanie ścisłych korelacji. Oczywiście, interpretacja typu publicystycznego nie dorównuje interpretacji naukowej — jest o wiele bardziej dowolna, subiektywna. Ale z drugiej strony, może być trafna także w tych wypadkach, w których nawet po wstępnej obróbce materiał nie nadaje się do analizy przy pomocy metod matematycznych, bo jest zbyt różnorodny, nieporównywalny. Co wcale nie znaczy, że jest bez wartości, że nie zawiera cennych informacji.[2]

2. Ankieta jest narzędziem zbierania informacji — pełni więc bardzo ważną rolę społeczną: między innymi dzięki ankietom (i ich wykorzystaniu w publicystyce) obieg informacji w społeczeństwie dokonuje się szybciej i w pewnym przynajmniej stopniu przezwyciężona zostaje jednostronność kontaktu charakterystyczna dla oddziaływania kultury masowej.[3] Przez cały dzień radio i prasa przemawiają do nas — informują, ustawiają, pouczają milczących słuchaczy i czytelników. Ankiety mają tę sytuację zmienić — tu głos oddajemy bezimiennym i nieznanym odbiorcom, a sami stajemy się czytelnikami i słuchaczami, kierunek ruchu informacji jest wtedy odwrotny. Lecz rola społeczna ankiety, zwłaszcza publicystycznej, nie kończy się na opisanej tu funkcji przekazywania informacji „z dołu do góry". Wiele ankiet spełnia ważne funkcje wychowawcze — ważne, choć często nie zamierzone. Konieczność czy chęć udziału w ankiecie często zmusza ludzi do refleksji nad problemami, które są dla nich nowe, albo dotychczas wymykały się racjonalnej analizie, stanowiły jakieś intelektualne tabu.

3. Wartość danych jakie przynosi ankieta, zależy od szczerości wypowiedzi — i jednocześnie od tego, by te wypowiedzi nie były zdawkowe. Pełna anonimowość ankiety sprzyja szczerości, ale sama w sobie nie wystarczy. Potrzebne jest jeszcze zaufanie do jej organizatorów, a nawet coś więcej: chęć lojalnej współpracy z nimi.

Organizatorzy wcale nie muszą, a w niektórych wypadkach nie powinni być bezimienni. Nie jest obojętne, kim oni są w oczach uczestników — dość jednolity i przekonywujący ich obraz ma wielkie znaczenie dla powodzenia ankiety. Przede wszystkim istotna jest wiara, że organizatorom zależy na prawdzie. Ona to pobudza do starania o prawdziwość przekazywanych informacji.

Osobowość organizatorów zyskuje szczególne znaczenie, gdy udział w ankiecie jest dobrowolny, a zwłaszcza gdy udział ten (jak to na ogół bywa w ankietach publicystycznych) jest wyrazem

---

[2] W tej sprawie por. S. Ossowski, *O osobliwościach nauk społecznych* Warszawa 1962, PWN rozdział V: „Wzory nauk przyrodniczych w empirycznej socjologii", zwł. s. 230 i nast.

[3] Por. S. Wilkanowicz, „Personalizm mounierowski wobec kultury masowej", „Więź" nr 10/1963, s. 14 i nast.

reakcji na pewien apel, na wezwanie do nadsyłania wypowiedzi na jakiś ogólnie określony temat. W takich wypadkach osobowość organizatorów decyduje o tym, kto weźmie udział w ankiecie, a więc w wielkiej mierze decyduje o jej wynikach. Nasuwa się więc podejrzenie, że ankieta nie ma wówczas wartości poznawczej, bo przynosi dane „nietypowe". Jest w tym zarzucie coś z prawdy: na pewno nie można wyników takiej ankiety uogólniać na całe społeczeństwo — bo, mówiąc językiem socjologii, próba ta nie jest dla niego reprezentatywna, brak więc podstaw dla daleko idących wniosków. Niemniej udział w ochotniczej ankiecie jest pewnym faktem społecznym i o czymś świadczy. Okazuje się, że istnieje określona liczba ludzi, którzy odpowiedzieli na apel. To znaczy, że dane pismo (radiostacja, organizacja czy inne ciało społeczne) ma z nimi kontakt. To bardzo ważne wiedzieć, kim są i jakie stanowiska, jakie postawy reprezentują ci najbardziej aktywni odbiorcy. A są podstawy do przypuszczenia, że i inni odbiorcy, choć się nie wypowiedzieli, przynajmniej po części myślą i reagują podobnie. Z kolei odbiorcy pisma i jego programu nie stanowią jakiejś izolowanej grupy — ich zainteresowania i postawy są rezultatem wielu różnorodnych czynników, są realizacją możliwości tkwiących w strukturze całego społeczeństwa.

*

Jak w świetle tych spostrzeżeń przedstawia się omawiana tu ankieta o modlitwie?

Przypomnijmy najpierw dane „historyczne": Ankieta ogłoszona została w maju ubiegłego roku („Znak", nr 107, „Tygodnik Powszechny" nr 20, 19. V. 1963). Pytaniom Redakcji „Znaku" (Jak rozumiem modlitwę? Jak się modlę? Czym dla mnie jest modlitwa? Mój udział we Mszy św?) towarzyszył apel ojca Malachiasza, stawiający wiele bardziej konkretnych pytań i określający dokładniej cele ankiety, a także jej adresatów: Człowiek *modli się albo i nie bardzo — ale „jak", ale „dlaczego", ale „co to znaczy", ale „czym to jest" — nad tym się normalnie nie myśli. Szkoda. Raz na jakiś czas warto sobie sprawić „rekolekcje" i podumać. A potem ewentualnie — warto zobaczyć, „jak" i „dlaczego" robią to inni. Ci „inni", których widzi się (albo i nie) obok siebie w kościele, na ulicy, na plaży, w autobusie. Niczyjej tajemnicy to nie złamie. A może ktoś nierozumiejący — zrozumie? A może ktoś inny zobaczy, że „nie on jeden — właśnie tak"? To pożyteczne. Pożyteczne zresztą nie tylko dla Was. Pożyteczne np. dla tych, którzy projektują i budują kościoły; dla tych, którzy odprawiają mszę św.; albo dla tych, co układają owe „książeczki do nabo-*

żeństwa". Wszystkich tych rzeczy nie robi się „sobie a muzom". Robi się je dla Was. Jeśli „trafia" — warto wiedzieć „dlaczego"; jeśli nie — warto wiedzieć to samo. Nikt się nie obrazi. Ankieta jest pożyteczna w ogóle dla duszpasterstwa, może nawet nie tylko w Polsce. Bo — widzicie — księża, choć spowiadają, stosunkowo niewiele o Was wiedzą. Nie każdy np. zapyta: „jak ty się człowiecze, modlisz i czym jest modlitwa dla ciebie?" A jeśli zapytają — delikwentowi trudno jest tak od razu odpowiedzieć, w pośpiechu, bez zastanowienia, przy kratkach konfesjonału — bo to są sprawy trudne. Ale i sprawy ważne. Bo bardzo wiele z tego wynika. Znowu: dla Was samych... I jeszcze jedno: ankieta w zasadzie przeznaczona jest dla tych „praktykujących" (bo modlitwa jest przecież „praktyką religijną"), ja zaś osobiście mam nader różną „klientelę". Także i „niepraktykujących"... Do nich także się zwracam: napiszcie. Powiedzcie, co o tym sądzicie.

Odpowiedź na ten apel przeszła wszelkie oczekiwania.

Do dnia zamknięcia ankiety (1. IX. 1963) nadeszło 383 wypowiedzi, w tym 130 od mężczyzn, 253 — kobiet. Po terminie otrzymaliśmy jeszcze 27 wypowiedzi, które włączono do opracowania. Najmłodsza uczestniczka ankiety ma lat 16, najstarsza — 89. Przeciętny wiek uczestników — około 48 lat.

A oto tabelka według wieku:[4]

7	osób	do lat 20
37	„	od lat 21—30
84	„	od lat 31—40
67	„	od lat 41—50
63	„	od lat 51—60
70	„	od lat 61—70
35	„	od lat 71—80
3	„	od lat 81—90

Wśród uczestników przeważają ludzie z wykształceniem wyższym (177 osób) i średnim (126 osób). Tylko 20 osób podaje wykształcenie podstawowe (niekiedy niepełne). Wśród osób z wyższym wykształceniem nie ma — jak można by się spodziewać — przewagi mężczyzn. Niemal całkowicie brak wypowiedzi mieszkańców wsi (15 osób czyli około 3%), 232 osoby podają jako miejsce zamieszkania „duże miasto".

[4] Niestety nie wszyscy uczestnicy ujawnili odpowiednie dane. W ogóle liczbowe opracowanie wyników ankiety okazało się prawie niemożliwe ze względu na wielką różnorodność poruszanych zagadnień i trudność sprowadzenia odpowiedzi do jakiegoś wspólnego mianownika. Ograniczyliśmy je więc do minimum, nie chcąc stwarzać złudzenia naukowej ścisłości tam, gdzie jej w rzeczywistości brak.

Cyfry te wskazują, że ankieta jest raczej trudna i że apel podjęty został przez mniej więcej tę samą kategorię czytelników „Tygodnika Powszechnego" i „Znaku", którzy swego czasu wzięli udział w ankiecie „Dlaczego wierzę". Niestety, jest ich prawie o połowę mniej, lecz i tak materiał zebrany jest bardzo obfity. Mimo zachęty ojca Malachiasza raczej nie dopisali „niepraktykujący". Wydaje się, że do wypowiedzi na temat modlitwy czuli się powołani tylko ci, którzy jednak modlą się — choć czasem odchodzą od Kościoła katolickiego, nie czując się jego członkami czy nie biorąc udziału w życiu sakramentalnym. Ale nawet takich osób jest wśród uczestników ankiety niewiele. W takich sprawach nie ma ostrych granic — ale problem „odejścia" jako sprawę chwili obecnej porusza nie więcej jak 10 osób.

Po zamknięciu ankiety rozpoczęto jej opracowanie, na razie opracowanie o charakterze publicystycznym i raczej wstępnym.

W ankiecie przeważają wypowiedzi obszerniejsze — 5—8 stron maszynopisu. Ale są i krótsze (jedna na kartce pocztowej) i dość liczne traktaty od 15 do 35 stron maszynopisu. Różna też jest ich forma, charakter i treść. Niektórzy uczestnicy ograniczają się do jednego szczegółowego problemu (np. Msza św. niedzielna), inni starają się jak najdokładniej scharakteryzować całe swoje życie religijne, spisując swego rodzaju duchową autobiografię, inni wreszcie (to raczej mniejszość) trzymają się dość ściśle pytań redakcji lub ojca Malachiasza, względnie wyliczają tylko zachowywane przez siebie praktyki religijne, podają teksty modlitw itp. Obok opisów „jak jest", mamy też wnioski programowe — co robić, aby było lepiej (formułowane na użytek własny i duszpasterzy). Opisy stanu faktycznego przeplatają się i łączą z próbami określenia ideału, „jak powinno być".

Wypowiedzi ankietowe są — jak się wydaje — na ogół bardzo szczere. Niezwykle rzadko odnosi się wrażenie, że autor stara się „być interesujący". Z reguły natomiast widoczny jest uczciwy trud przekazywania wyników refleksji nad sprawami bardzo trudnymi i niezupełnie uchwytnymi w słowach, nad sprawami, o których słusznie jest „raczej milczeć". Ten trud podejmowany jest przeważnie z myślą o ludziach, którym te wyznania mogą dopomóc — jak to sugerował ojciec Malachiasz.

Zaniepokoił mnie ojciec Malachiasz tą swoją propozycją, a zarazem propozycją redakcji „Znaku", by napisać odpowiedź o modlitwie i do tego o własnej modlitwie. To ostatnie jest chyba najtrudniejsze bo trzeba by po prostu ujawnić drogę prowadzącą do najgłębszych przeżyć, zawiłą i trudną drogę odnajdywania Boga w Jego Prawdzie i Miłości. Wolałbym powtórzyć zastrzeżenie Czcigodnego Ojca: „A do czego to wam potrzebne, żeście tacy ciekawi?", lecz skoro ma z tego wypłynąć jakiś pożytek, więc poddaję się.

Z poprzedniej ankiety okazał się bez wątpienia wielki pożytek. Tak sądzę według siebie. Z największym wzruszeniem i dogłębnym przeżyciem czytałem publikowane odpowiedzi ankiety w „Tygodniku" a następnie w „Znaku". Szczególnie numer 104—105 „Znaku" uważam za cudowny dokument naszej szalonej epoki zmagań i walk, dokument niezwykłej wiary i zaiste namacalny dowód obecności Ducha Bożego oraz Jego darów.

(Ank. 18, prawnik, lat 49, małe miasto)

Lubię wasze ankiety. Ze względu na szczerość anonimowych wypowiedzi są one najprawdziwszym obrazem wielu dziedzin życia wewnętrznego na ogół okrytych tajemnicą poszczególnych osobowości. Wyświetlenie ich jakoś wzbogaca nas i pozwala nam lepiej zrozumieć siebie.

(Ank. 271, studentka, lat 23, duże miasto)

Życie modlitwy nie jest luksusem, na który ma się czas po klasztorach, ale to jest rzecz dostępna każdemu człowiekowi na świecie. Moje życie było wypełnione pracą od rana do wieczora, a mimo to życie modlitwy się rozwijało.

Bardzo bym była szczęśliwa gdyby moja ta wypowiedź stała się bodaj kilku ludziom bodźcem do rozwijania życia modlitwy, a tym samym zbliżyła ich do Boga, co jest celem modlitwy.

(Ank. 395, kobieta, lat 39, wykszt. średnie)

Niełatwo jest mówić o tych sprawach. Najgłębsze przeżycia wyciągnięte na wierzch, ubrane w słowa stają się jakieś obce i głupawe. Jednak od kilku dni ta sprawa nie daje mi spokoju. Coś mnie pcha do tego pisania i mam uczucie jakiegoś jakby niespełnionego obowiązku... Może się przyda komuś a może mnie — jeśli tak na siebie popatrzę...

(Ank. 356, kobieta, lat 50, duże miasto)

...długo zmagałam się ze sobą, napisać czy nie napisać. Ogarnęły mnie jednak skrupuły, iż nie zabranie głosu w tak pożytecznej ankiecie, to jakby obojętne przejście koło spraw Kościoła, a więc niech i ja swoją cegiełkę...

(Ank. 353, urzędniczka, lat 33, duże miasto)

Drugim motywem udziału w ankiecie jest uświadomiona dzięki apelowi a czasem od dawna odczuwana potrzeba refleksji. Zaspokojenie jej staje się możliwe dzięki zaistnieniu zewnętrznego mobilizującego bodźca.

Trudno mi wypowiedzieć, jak bardzo poruszyło mnie wezwanie Ojca w „Tygodniku Powszechnym" z dnia 19 maja br., aby napisać o swoim stosunku do modlitwy. Cóż to było — zaskoczenie? Zdumienie? Radość? — Tak, raczej radość, że mogę o tym, co jest najgłębszą treścią mojej duszy, a o czym milczę całe życie, ten jeden jedyny raz pomówić otwarcie i szczerze. Tym szczerzej, że zupełnie anonimomo. I że to właśnie Ojcu wszystko mogę napisać.

Gdy przeczytałem ową „pocztę", tyle myśli, wspomnień, pomysłów, sformułowań runęło na mnie, że musiałam przez to przebrnąć, zastanowić się — co z tego wybrać, co odrzucić jako nieistotne, czy też „nie na temat" lecz dla mnie w tej chwili konieczne, aby przegryźć się

właśnie przez tak wielki, wysoki, szeroki i głęboki temat. — Doprawdy, to były (są jeszcze, dopokąd piszę) wspaniałe rekolekcje.
(Ank. 210, kobieta, lat 65, wykszt. średnie, małe miasto)

Stosunek do ojca Malachiasza (a także do Redacji „Znaku") jest bardzo osobisty: wielu czytelników odpowiada na ankietę w formie listu, zapewnia o swej życzliwości i obiecuje modlitwy w intencji organizatorów ankiety i jej współuczestników. Wszystko to dobitnie świadczy o istnieniu wspólnoty, której przedstawicielami są uczestnicy ankiety — jak się okaże później, wniosek ten potwierdza także treść większości wypowiedzi.

Jak opracować tego rodzaju ankietę? Jak wydobyć i przedstawić jej wyniki?

Wypowiedzi ankietowe, właśnie jako szczere wyznania, z pewnością mogą stanowić cenny materiał badawczy dla psychologa i socjologa religii — a w pewnej mierze także dla historyka duchowości. Jako taki materiał zostaną one z czasem udostępnione odpowiednim specjalistom, którzy z pewnością zechcą je wykorzystać w swoich pracach. Ale ankieta jako ankieta od początku miała cel publicystyczny i praktyczny i taki charakter musi mieć jej opracowanie.

Próbowaliśmy to i owo obliczyć (np. jaki procent uczestników czyta Pismo święte, popiera Mszę recytowaną, używa mszalika itp.). Na te cyfry będziemy się powoływać we wnioskach. Ale o wiele bardziej od nich wymowne i przekonywujące są same wypowiedzi, z których je zaczerpnęliśmy. Dlatego — podobnie jak to było z ankietą „Dlaczego wierzę" — chcemy oddać głos przede wszystkim samym bezimiennym.

Pierwszy, orientacyjny niejako wybór opublikowaliśmy już w numerze grudniowym. Już wtedy można było się przekonać, jak wysoka jest moralna i intelektualna ranga tych wyznań. W niniejszym numerze zamieszczamy wybór o wiele obszerniejszy — żałując, że nie może on przekroczyć ram określonych objętością naszego pisma. Z konieczności musimy pominąć wiele wypowiedzi skądinąd bardzo cennych. Decydujemy się też na skróty: opuszczamy spostrzeżenia na różne tematy powtarzające się w bardzo wielu ankietach. Prawie wszyscy np. piszą o psalmach. Dla ilustracji pozostawimy kilka takich głosów — w innych ankietach to, co dotyczy psalmów, opuszczamy. Tak samo postąpiliśmy z uwagami w sprawie śpiewu w kościele, wyjaśnień Mszy św. prowadzonych z ambony itp. Pozostawiliśmy wypowiedzi najbardziej typowe. W tych sprawach jednomyślność uczestników ankiety jest niemal całkowita.

Zasadnicza, główna prezentacja wyników ankiety dokonuje się więc poprzez zestawienie wyboru oryginalnych tekstów. Są jednak sprawy, które trzeba i warto w ankiecie szczególnie podkreślić. Temu celowi ma służyć druga część wstępu, której dajemy tytuł: „Człowiek dzisiejszy wobec modlitwy". Wreszcie ankieta zawiera i nasuwa ważne wnioski praktyczne — duszpasterskie i wychowawcze. Wnioski te staramy się streścić w zakończeniu — dotyczą one głównie organizacji kultu liturgicznego, tematyki kazań i roli rodziców w wychowaniu religijnym, którego głównym zadaniem jest wdrożenie do kontaktu z Bogiem czyli do modlitwy.

CZŁOWIEK DZISIEJSZY WOBEC MODLITWY

W ankiecie wzięło udział dwóch księży — zakonników. Pozostali uczestnicy to ludzie świeccy, samotni i żyjący w małżeństwie. Obraz życia religijnego, jaki ta ankieta daje, jest więc obrazem codziennym — w tym sensie, że rozwija się ono i trwa w zwykłych, a nie „cieplarnianych", idealnych warunkach.

W trakcie czytania wypowiedzi coraz wyraźniej zarysowuje się przed oczami to właśnie *par excellence* świeckie tło życia modlitwy, tak bardzo różne od zakonnego, tło aktualne, d z i s i e j s z e, a więc różne od tego, na jakim św. Franciszek Salezy widział swą Filoteę. To tło nie jest jakimś obojętnym czynnikiem, właściwie nie jest „tłem" w ścisłym sensie, raczej chciałoby się je nazwać „naczyniem" czy „formą", bo wydaje się że nadaje ono jakiś specyficzny dzisiejszy kształt łasce... Łaska nie usuwa natury: ona ją wzbogaca, wypełnia — a natura urzeczywistnia swoje możliwości w środowisku społecznym i dzięki niemu.

Św. Franciszek znał życie dworskie, w którym obracała się jego penitentka. Czy nasi duszpasterze zawsze znają, czy mogą znać tak dobrze życie przeciętnej rodziny wielkomiejskiej, atmosferę bloków Nowej Huty czy warszawskich spółdzielni mieszkaniowych, czy znają kolejki w sklepach, dojazdy do pracy, możliwości zarobku i możliwości rozrywki? Czy naprawdę wiedzą, ile się za co (symbolicznie i dosłownie) płaci, na co ludzi stać (materialnie i moralnie)? My sami, świeccy, nie zawsze to wiemy, gdy chodzi o ludzi z obcych nam środowisk. Ankietę o modlitwie trzeba by właściwie czytać na tle materiałów z konkursów Spodka — wtedy dopiero obraz byłby pełny. Bo przecież miejsce modlitwy jest właśnie w siedmiu dniach zwykłego życia, ona dotyka tego, co stanowi sam rdzeń „Nas dwojga" i towarzyszy myślom o przyszłości. Zestawienie tego rodzaju byłoby niezwykle ciekawe. Ale można je do pewnego stopnia zastąpić innym: każdy ma przecież do dyspozycji swoje własne

osobiste doświadczenie codzienności. Bezimienni, których wypowiedzi drukujemy, żyją w tym samym świecie, co my. Aby ten proces syntezy własnych i cudzych doświadczeń ułatwić, zwrócimy uwagę na kilka punktów.

1. PROBLEM CZASU I MIEJSCA

Uczestnicy ankiety to niemal bez wyjątku ludzie pracy, najczęściej tzw. pracownicy umysłowi — urzędnicy, przedstawiciele wolnych zawodów (zwraca uwagę stosunkowo spora grupa lekarzy), technicy, bibliotekarze, nauczyciele. Większość kobiet także pracuje zawodowo. Nawet wśród ludzi bardzo wiekowych niewielu jest klasycznych emerytów. Większość nadal pracuje, babcie mają liczne i wyczerpujące obowiązki rodzinne... Wszyscy walczą z brakiem czasu, z pośpiesznym rytmem dnia, z jakimś zapędzeniem i zagonieniem. W tych warunkach trudno o spokojny czas na modlitwę, o prawdziwe „oderwanie od świata". Nawet gdy za takim oderwaniem tęsknią, ludzie świeccy modlą się nie odchodząc od świata — zanurzeni weń a bliscy Boga.

Pragnę, by modlitwa tętniła życiem otaczającym nas, a nie była tylko odświętna, kościelna, odcięta progiem kościoła od świata. Ktoś mówił wchodząc do kościoła: „Zostańcie tu, moje myśli", ja bym powiedziała: „Chodźcie ze mną przed ołtarz do Boga, wszystkie smutki, kłopoty i złości, i tam się przedstawcie". Rano jadąc autobusem modlę się czasem: „Boże, oświeć mój rozum, wzmocnij moją wolę, ogrzej serce, daj równowagę ducha, sił fizycznych, daj to Ojcu św., Ojczyźnie, zakładowi pracy, Gołubiewowi, Zawieyskiemu, De Gaullowi, Kennedyemu, Chruszczowowi, księżom z o. Malachiaszem i wszystkim nieprzyjaciołom i przyjaciołom i kierowcy". Modlitwy polecam przez ręce Matki Boskiej. Proszę też o błogosławieństwo w pracy zawodowej i duchowej, proszę dla świata o miłość i pokój. Modlę się też czasem do Jana XXIII o błogosławieństwo w soborze.

(Ank. 107, kobieta, lat 53, wykszt. średnie, małe miasto)

Jadąc do miasta lub wracając, mieszkam bowiem na przedmieściu, modlę się dość często. Czasami myśli skierowane do Boga przychodzą same i wtedy czuję się szczęśliwa, uspokojona, oderwana od rzeczywistości... nie potrafię opisać dostatecznie dobrze tego uczucia. Czasami jednak moje myśli są bardzo niesforne, wymykają się kontroli i są bardzo dalekie od Boga. Wtedy próbuję zmusić się do modlitwy. Zaczynam np. dyskutować sama z sobą na tematy wiary. Albo rozmyślam, np. o celu życia, o woli Bożej. Zapalam się w tej „rozmowie" ze samą sobą i niekiedy rozmowa taka przeradza się w modlitwę. Oczywiście, nie udaje mi się to zawsze, nie zawsze mam w ogóle ochotę na podejmowanie wysiłku skierowania mych myśli ku Bogu, ale czasami właśnie w ten sposób zaczyna się moja modlitwa, która potem może trwać nawet dość długo, z przerwami na wykład, na rozmowy z kolegami itp.

Wydaje mi się, że bardzo ważną rzeczą w tym sposobie obcowania z Bogiem jest podjęcie próby przemówienia do Boga poza kościołem

i poza wieczornym pacierzem, właśnie na ulicy, w tramwaju, kiedy ma się dużo czasu, z którym nie ma co zrobić. Nie pamiętam już, kiedy zaczęłam tak się modlić. W każdym razie nie było to dawniej niż 2 lata temu, kiedy to zaczęłam się poważnie zastanawiać nad wiarą, kiedy sięgnęłam po książki z zakresu etyki, biblistyki, filozofii, powieści katolickiej.
(Ank. 103, studentka, lat 19, duże miasto)

Poranna „pogonka" nie pozwala na poświęcenie ani chwili na ranną modlitwę, dopiero zatrzaśnięcie drzwi od mieszkania przerywa ten pośpiech. Piesza półgodzinna droga do pracy (częściowo przez park) daje możliwość spokojnego popatrzenia na świat i pomodlenia się. Modlę się wtedy zwykle tradycyjnymi słowami za zmarłych, ten rodzaj modlitwy wraca zresztą nieraz w ciągu dnia. Powszedni dzień składa się z szeregu chwil czekania: na tramwaj, autobus, w kolejce po zakupy lub na sygnał, gdy podnoszę słuchawkę telefonu. Z natury jestem niecierpliwa i irytuje mnie takie czekanie i niepotrzebna strata czasu. W czasie takich chwil czekania modlę się za zmarłych lub umierających. Zapewne śmieszne jest takie praktyczne podejście do wykorzystania czasu. Modlitwa za zmarłych łączy się z moim przekonaniem, że na skutek nieumiejętności współżycia z ludźmi nie umiem nic dla ludzi zrobić. Jeżeli nie umiem więc nic zrobić dla tych, wśród których żyję, niechże chociaż mają moją modlitwę umarli.
(Ank. 373, inż. rolnik, lat 39, duże miasto)

Na codzień miejsca modlitwy nie wybieram. Idąc z siatką po zakupy, jadąc tramwajem na miasto, w myśli powtarzam miłe strofy. Wtedy nie denerwuje mnie gwałt i pośpiech wokół. Znajomi podziwiają częstokroć mój spokój i dobre samopoczucie. To nie jest moja zasługa. Ufność, że wszystko jest w Jego ręku, daje mi ten spokój wewnętrzny, a mając spokój wewnętrzny łatwiej znieść wszelki trud, od którego nikt nie jest wolny.
(Ank. 127, rencistka, lat 62, wykszt. średnie, duże miasto)

Nieraz idąc na Mszę św. na godz. 6 rano spotykam grupy górników spieszących do kopalni. Ofiaruję za nich wczesny ranek i proszę w czasie Mszy św., aby Bóg był zawsze z nimi, aby ich chronił przed niebezpieczeństwem i żeby oni zjeżdżając pod ziemię nie zapominali o Bożej miłości.
(Ank. 267, „Teresa", lat 25, wykszt. średnie, duże miasto)

Mam szczere postanowienie zaraz po przebudzeniu się przynajmniej przeżegnać się. Ileż razy zapominam! Od rana pośpiech i dopiero w autobusie mogę się skupić, podziękować za łaski, ofiarować siebie i dzień cały jako zadośćuczynienie za grzechy i swoje i dzieci, i wnuków, i całego świata. Potem „Zdrowaś" za tych, co ze mną są w autobusie.
(Ank. 180, kobieta, lat 69, wielkie miasto, Anglia)

Wielkie znaczenie ma odkrycie „modlitwy życia", ukształtowanie postawy, dzięki której wykonywanie obowiązków staje się także aktem modlitwy.

O. Malachiasz pyta, czy sądzimy, że modlitwa to tylko słowa, myśli, uczucia? Nie, oczywiście, że nie — moim zdaniem wszystko jest modlitwą, co dobrze się przeżyje: a więc praca, cierpienie, radość, pobyt w kościele i dobry pobyt w kawiarni, i wizyta, i śpiew, i ofiara, i wszystko, jeśli

zachowane są proporcje, umiar i pamięć, że Bóg jest i patrzy na nas wszędzie i że z wszystkiego musimy zdać rachunek. Czy się mylę?
(Ank. 324, kobieta, lat 41, wykszt. średnie, duże miasto)

Wydaje mi się, że całe życie człowieka jest modlitwą. Jak modlitwa może być bluźniercza, tak i życie może być zaprzeczeniem jego sensu. Ale jeżeli życie jest modlitwą, to czym jest modlitwa *stricto sensu*? Tę bym uważał za chwile skupienia, doładowania się, a w pewnych przypadkach przypominania sobie „kodeksu drogowego" w czasie podróży po tym świecie.
(Ank. 403, mężczyzna, lat 45, kandydat nauk techn. — docent, duże miasto)

Od czasu nałożenia odpustów przez Ojca św. Jana XXIII za ofiarowanie wszystkich spraw każdego dnia Bogu codziennie to czynię, zaraz po przebudzeniu się i rzadko się zdarza, bym o tym zapomniała. Że praca ma walor modlitewny, dowiedziałam się z *Ducha pracy ludzkiej* ks. Prymasa. Bardzo mi to odpowiada, ale nie zawsze umiem i pamiętam o tym w pracy.
(Ank. 62, kobieta, lat 53, wykszt. wyższe, duże miasto)

Mamy oddawać cześć Bogu nie przez ucieczkę od powszedniości ale przez wprowadzenie Go w nią na drodze poświęcania Mu najpospolitszych ludzkich spraw i uczuć oraz trudów, smutków i radości szarego codziennego życia. Taki jest zapewne sens Pawłowego „czy jecie, czy pijecie..." Na tym też chyba ma polegać nasz wkład w realizację Królestwa Bożego, które jest „w nas", a nie ponad nami i którego przyjście jest mistycznym odnawianiem tajemnicy Wcielenia.

Na tej drodze można znaleźć sposób wypełnienia zalecenia „nieustającej" modlitwy, przekazanego nam w Ewangelii. Bowiem intencja, na mocy której życie nabiera charakteru modlitwy, zachowuje moc obowiązującą przez cały okres czasu, jaki nią obejmuję (dzień, tydzień, miesiąc etc.), toteż nie musi i nie może — towarzyszyć jej stale świadomość ani tym bardziej nastrój. Uczucie traktuję — zarówno na modlitwie, która jest dla mnie przede wszystkim aktem woli, jak i w życiu duchowym w ogóle — jako gościa, na którego się nie liczy. Jest on mile widziany, gdy zjawia się w charakterze sojusznika, w przeciwnym razie ignoruję go lub z dużym nieraz nakładem wysiłku wypraszam za drzwi. Zarówno w jednym jak i w drugim wypadku uczucie nie dodaje ani nie ujmuje wartości mojej modlitwie.

Proces przemiany życia w modlitwę jest świetnym narzędziem wewnętrznej odnowy, ponieważ idzie w parze z akcją stopniowego usuwania zeń tego, co się do takiej „przeróbki" nie nadaje. Nie nadają się zaś tylko i wyłącznie energia i czas poświęcane wykroczeniom przeciw woli Bożej, chociaż i te ostatnie przy dobrej woli stać się mogą odskocznią dla modlitwy, np. w postaci aktów skruchy czy pokory.
(Ank. 20 studentka, lat 34).

Przepiękną modlitwą pochwalną jest „Chwała Ojcu", hymn *Te Deum, Magnificat*. Wspaniałym dziękczynieniem jest prefacja Mszy św. Rzewną modlitwą przebłagalną: „Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy". Ale może Bogu milsze jest to bezradne, nie mogące się na nic zdobyć, nędzne ludzkie trwanie? A może to rozpaczliwe zmaganie z tym wszystkim, co od Boga oddala, z własnym egoistycznym ja?
„Panie naucz nas modlić się".
„Ojcze nasz..."
(Ank. 233, wychowawczyni, lat 32, wykszt. wyższe, duże miasto)

Kiedy zrozumiałam, że modlitwa to życie, to całe 24 godziny w służbie Boga, wszystko powoli zaczęło się jakoś wygładzać. Sprawy trudne stały się łatwymi — a problemy znikają jedne po drugich.
(Ank. 356, kobieta, lat 50, duże miasto)

Ale odkrycie modlitwy życia nie jest bynajmniej łatwe. Wielu uczestników ankiety przyznaje, że choć uznają jej wartość, sami jednak nie dorośli do niej a nie chcą nazywać modlitwą tego, co w istocie nie jest jeszcze skierowane ku Bogu.

Czytałam, że praca może być modlitwą i życie całe też, ale jeszcze tego dogłębnie nie przeżyłam. I nie wiem, co praktycznie robić trzeba aby tak było. Na razie więc staram się nie obrażać Boga grzechem ciężkim i zgadzać się z Jego Wolą. Ale cała istota moja tęskni za nadaniem większego sensu całemu życiu. Temu biednemu, zabieganemu, skomplikowanemu życiu współczesnego człowieka. Żeby jakoś wewnętrznie zgodzić się na cały ten balast życiowy i jakoś go Bogu ofiarować.
(Ank. 214, „Anna", lat 36, wykszt. wyższe, małe miasto)

Uważam, że wykonywana praca też może być modlitwą, ale jest to dla mnie szczyt ideału, którego chyba nigdy nie osiągnę, a przecież gdyby wszyscy katolicy modlili się pracując, dużo łatwiej byłoby dobrze wykonywać nasze nieraz przykre i bardzo męczące zawody.
(Ank. 289, kobieta, lat 46, wykszt. wyższe, duże miasto)

Modlitwa zanurzona w świecie szczególnie odpowiada powołaniu ludzi świeckich. Lecz i oni potrzebują godzin skupienia, tęsknią za nimi, tęsknią za warunkami „odświętnymi", sprzyjającymi modlitwie, ułatwiającymi ją. Szukają ich przede wszystkim w kościele — lecz nie zawsze znajdują.

...Musimy mieć możność należytego skupienia się. Tymczasem w kościele dzieje się tak, że to skupienie się albo jest utrudnione, albo wręcz uniemożliwione. Przyczyną tego stają się śpiewy zespołowe pieśni kościelnych zupełnie nie związanych z nabożeństwem albo nawet często litanie.
(Ank. 47, kobieta, lat 57, wykszt. wyższe, duże miasto)

Do tych problemów jeszcze powrócimy we wnioskach. W każdym razie warto zaznaczyć, że motyw poszukiwania ciszy w kościele występuje niemal we wszystkich wypowiedziach.

2. MODLITWA „KOSMICZNA"

Modlący się szukają ciszy nie tylko w kościołach. Drugie jej źródło to obcowanie z przyrodą. Zwłaszcza wyprawy w góry. W świetle ankiety Tatry zdają się być zaplanowanym przez Opatrzność domem rekolekcyjnym, do którego tęsknią mieszkańcy miast.

Pokora, to moim zdaniem postawa otwarta wobec Boga i wobec ludzi, na obraz Boży stworzonych. Jeśli chodzi o mnie, to bardzo mi pomaga do zajęcia tej postawy kontakt z przyrodą. Zwłaszcza morze i góry swoim ogromem i majestatem czynią na mnie potężne wrażenie i zmuszają wprost do uniżenia się przed Bogiem. Wydaje mi się wtedy, że jestem w obliczu Boga i z serca samorzutnie wyrywa się uwielbienie dla Jego Potęgi i Dobroci. A to chyba już jest modlitwą.

...Jeden warunek, abym mógł włączyć się w hymn pochwalny przyrody na cześć Stwórcy — cisza. Wydaje mi się, że gdyby ludzie, mający trudności w wierze, podumali samotnie w cichą, pogodną noc, to po pewnym czasie nawiązaliby jednak „dialog" z Bogiem. Niestety, ludzie boją się na ogół samotności, ciszy i czynią wszystko, aby ciszę odpędzić. A Bóg przemawia w ciszy.

(Ank. 230, urzędnik, lat 40, duże miasto)

Lubię się modlić w ciszy, choć muzyka, czy śpiew nie przeszkadzają mi. Zaznaczam, że niekoniecznie poważna muzyka nastraja mnie do modlitwy. Najlepiej modlić się lubię spacerując po ogrodzie samotnie i gdy słyszę poszum wiatru, gdy patrzę na kwiaty, trawę czy ptaki wydaje mi się, że to wszystko jest razem ze mną sprzągnięte w jedną całość. Wydaje mi się, że Bóg jest wtedy najbliżej mnie. Modlę się na spacerze, podróżując, modlę się pracując.

(Ank. 14, emeryt, lat 68, wykszt. średnie, osiedle)

Zapewne tak było i dawniej: najstarsze klasztory (zresztą nie tylko chrześcijańskie) zbudowane są w miejscach, gdzie krajobraz wspiera modlitwę. Dobrze jednak wiedzieć, że ludzie nie stracili w r a ż l i w o ś c i (choć nie zawsze warunki życia sprzyjają jej zachowaniu) — i od kontemplacji piękna łatwo przechodzą do modlitwy. Ta zdolność nie tylko nie zanikła, ale rozwija się, i wzbogaca. Oto bardzo charakterystyczne teksty:

Lubię taką modlitwę: wzniesienie wzroku na fizyczne niebo i myśl, że jest Bóg, wszechświat, płynące miliony gwiazd, galaktyk, że czas mknie a z nim i moje życie, że nie wolno go marnować (życia), a więc jak przeżyć dzień? jak wszystko włączyć w nurt właściwy? A potem wieczorne rozliczenie, kontakt ze współczesną myślą katolicką (prasa, książki).

(Ank. 324, kobieta, lat 41, wykszt. średnie, duże miasto)

Nie tylko dzieła Boże pobudzają mnie do modlitwy, lecz także dzieła ludzkie. Piękno architektury, rzeźby, malarstwa, literatury, utwory muzyczne i wokalne, przemyślne budowle często wypełnione nie mniej przemyślaną maszynerią, mosty leżajowe i wiszące, porty planowo rozbudowane i zawijające do nich różnego rodzaju i wielkości statki i okręty, i wiele, wiele innych zbiorowych dzieł ludzkich. Ale nie tylko zbiorowe dzieła ludzkie cieszą mnie i radują. Nie mniej cieszą mnie i czyny pojedynczych ludzi, które widzę, o których słyszę lub czytam w prasie. Np. lekarz skonstruował aparat dla niewidomych, inny lekarz uratował życie ludzkie, ktoś z narażeniem życia uratował dziecko z płonącego domu, ktoś inny w świątecznym ubraniu rzucił się w nurty rzeki i uratował tonącego, ktoś inny z narażeniem się na przykrości względnie plagi stanął w obronie krzywdzonego, wytrwała walka mężów stanu ze współ-

czesnymi Krzyżakami o pokój dla ludzkości. Takie i tym podobne dzieła i czyny pojedynczych ludzi pobudzają mnie również do chwalenia Boga, bo wierzę, że wszelkie dobro ma swe źródło u Boga. I to jest moja modlitwa.
(Ank. 285, emeryt-robotnik, lat 70, wykszt. podst., duże miasto)

W ostatnich latach, gdy hipotezy naukowe mnożą się i zbijają dotychczasowe kanony wiedzy, gdy uczeni zabrnęli w wąskie uliczki specjalizacji a bajka krzyżuje się z prawdą i wczorajsze urojenia stają się faktem (loty kosmiczne), jako przyrodnik z wykształcenia coraz bardziej podziwiam mądrość i potęgę Stwórcy! Ogarnia mnie najgorętsza pobożność, gdy czytam naukowe wywody o pasach promieniowania Van Allena czy o bakteriofagach. Od czasu owych wielkich odkryć i hipotez, czyli od dziewiętnastu lat, coraz łatwiej modlić mi się z zaangażowaniem intelektu. Fakt, że moje horyzonty rozszerzyły się, ułatwia kontemplację. Czasami myślę, że nie zakonnice nauczyły mnie modlić się, a uczeni naukowcy.
(Ank. 136, kobieta, wykszt. wyższe, duże miasto)

Dlaczego się modlę? Bóg mój to nie tylko Bóg Abrahama, ale także Bóg filozofów. Wierzę głęboko, a istnienie Pana i najgłębsze o tym przekonanie, płynące nie tylko z wiary, ale i sensu i celowości wszystkiego na świecie, poparte nauką (fizyka współczesna, cybernetyka, prace Teilharda de Chardin), stwarza konieczność i potrzebę i sens najgłębszy modlitwy...
(Ank. 371, kobieta-lekarz, lat 66, małe miasto)

3. MSZA ŚWIĘTA — CENTRUM ŻYCIA

Poszukiwanie rzeczy istotnych, poszukiwanie najgłębszego sensu prowadzi do zrozumienia roli Mszy świętej. Uczestnicy ankiety chyba nie tylko dlatego tak dużo piszą o swoim udziale we Mszy św., że postawiliśmy tej sprawie osobne pytanie. Zdecydowana większość przyznaje, że całe ich życie religijne skoncentrowane jest wokół Mszy świętej, rozumianej przede wszystkim jako współ-ofiara z Chrystusem. Chwilę, w której to pojęli, uważają często za punkt zwrotny w całym życiu wewnętrznym.

Mój udział we Mszy św. sprowadza się do faktu, by stanąć przed Bogiem, przynosząc Mu tutaj swój trud, zmęczenie, ból, radość i nieraz jakże bardzo udręczone serce. I to wszystko składam Bogu na patenie wraz z wszystkimi wiernymi. Gdyż wtedy właśnie moc łaski Bożej jest nam najbardziej potrzebna, a tylko On w Ofierze Mszy św. potrafi przez ręce kapłana to wszystko w cudowny sposób przetworzyć, przemienić, by stało się to wszystko czymś, co ma swój sens i cel wobec Boga i świata. On to wszystko konsekruje, przemienia, by nam w zamian za to dać dary — łaskę Bożą, przez którą możemy codziennie na nowo przekształcać się w dzieci Boże.

Wydaje mi się dalej, że Msza św. ma być dla nas tak czymś codziennym jak chleb powszedni, którym żyje człowiek. Jest tym pokarmem, który poi nas i karmi w chwilach pokoju, radości, smutku i udręczenia ducha.
(Ank. 201, lekarz, lat 32, małe miasto)

Udział we Mszy św. rozumiem jako uczestnictwo w Ofierze. Zadanie to spełniam nie wtedy, kiedy recytuję donośnie z kapłanem formułki ofiarowania, trzymając jednocześnie swój duchowy mieszek w kurczowo zaciśniętej ręce, ale wówczas gdy zawartość jego, na którą składają się trudy i kłopoty tygodnia, jego smutki i radości, wysypuję na ołtarz, aby uświęcić je przez zjednoczenie z ofiarą Chrystusa oraz zaczerpnąć z niej sił na następny tydzień. Gest ten czasem odbywa się w milczeniu, przybierając postać aktu woli, kiedy indziej towarzyszą mu pospolite, niepoliturowane słowa: „Weź Boże".

...najpodnioślejsze słowa, mówiące o ofierze, nie zastąpią „pustych rąk". Słowa takie mają rację bytu tylko wtedy, gdy idą w parze z rzeczywistym „dawaniem". Sądzę, że po tej linii powinna pójść „aktywizacja" wiernych uczestniczących we Mszy. Wprawdzie osobiście stać mnie tylko na „głupstwa", tym niemniej drobiazgi te w połączeniu z ofiarą Chrystusa stają się skutecznym narzędziem zaspokajania wymagań Boskiej sprawiedliwości i miłości. Jeśli natomiast zdarza się, że nie mam nic do dania Bogu poza zmęczeniem, oschłością i rozdrażnieniem, wtedy, idąc za przykładem św. Teresy z Lisieux „ofiaruję Mu to nic", czyli siebie z całą aktualną słabością.

Swoje modlitwy i ofiary łączę już na początku Mszy św. z tymi, które składają wszyscy uczestniczący we Mszy, nie tylko w danym kościele, ale na całej kuli ziemskiej. Składam przez ręce kapłana tę wspólną ofiarę Ciała Mistycznego w łączności ze sprawowaną aktualnie wszędzie ofiarą Chrystusa w celu złożenia hołdu, dziękczynienia, zadośćuczynienia i błagania. Czynię to znowu bez słów, przez akt woli.

Intencja wspólnoty, stanowiąca istotę modlitwy zbiorowej, wzbudzona na początku Mszy, zachowuje swą moc przez cały czas jej trwania i analogicznie do modlitwy dnia powszedniego nie wymaga nieprzerwanej świadomości ani nastroju.

(*Ank. 20, studentka, lat 34*)

Pełne uczestniczenie we Mszy św. uważam za najistotniejszą sprawę w swoim życiu religijnym.

Przez pełne uczestnictwo rozumiem łączenie się w modlitwie liturgicznej z kapłanem celebrującym, powtarzanie przyjścia Chrystusa oraz przystąpienie do Stołu Pańskiego. Komunię św. uważam jako pomoc w utrzymaniu łaski Bożej i dążenie do Dobra Najwyższego. Staram się w miarę możności uczestniczyć we Mszy św. Bez niej dzień wydaje mi się nie wypełniony.

(*Ank. 295, lekarz, lat 37, duże miasto*)

Zaczynam coraz bardziej myśleć, że trzeba, żebyśmy się wszyscy łączyli codziennie z Ofiarą Mszy św., odprawianą w naszej parafii czy najbliższym kościele, czy w ogóle na świecie — także wtedy, gdy nie możemy w niej uczestniczyć bezpośrednio.

...Może dobrze by było, żeby księża w kościele tę sprawę podkreślali. Ja sama łapię się na tym, że wyrywam się do kościoła, żeby swoją obecnością dowieść, że kapłan nie trafił w próżnię, gdy nawoływał i zachęcał do wspólnej modlitwy. Bywają jednak okoliczności, w których może raczej modlitwą-pracą trzeba by się włączać w tę wspólnotę (pilnując w ten sposób swoich obowiązków domowych, zawodowych), choćby tego nikt nie widział.

(*Ank. 404, kobieta, lat 39, wykszt. średnie, małe miasto*)

4. SAMOTNOŚĆ I ODKRYCIE WSPÓLNOTY

Poszukiwanie samotności: bardzo wielu nie odpowiada obcowanie z Bogiem w tłumie — choć jednocześnie widzą w tym pewną swoją niedoskonałość.

W czasie modlitwy chciałabym być niewidzialną. Z zazdrością myślę o dawnych magnatkach, które patrzyły na ołtarz ukryte w loży. Gdy klękam, biję się w piersi, pochylam głowę, zdaje mi się, że ludzie mnie podpatrują i że głębokość pokłonu przed ołtarzem decyduje w oczach bliźnich o tym, czy mnie mają za pobożną czy nie.
Chodzę często do kościoła, gdy nikogo nie ma... *On patrzy na mnie, ja patrzę na Niego*. Bez skrępowania. Jestem. Przyszłam. Wtedy następują najcenniejsze momenty połączenia ducha z Bogiem. Po Komunii świętej najgłębiej i najowocniej mogę się modlić w odosobnieniu, gdy mnie nikt nie widzi.

(Ank. 136, kobieta, wykszt. wyższe, duże miasto)

Problem obecności wielu ludzi w kościele na Mszy św. niedzielnej — istnieje dla mnie. Fakt ten sprzyja rozproszeniu uwagi. Mimo woli rzuca się to lub tamto w oczy, odrywając myśl od wątka modlitwy. Poza tym świadomość, że można być przez kogoś (choć przelotnie) obserwowanym — potrafi przeszkadzać w skupieniu. Trudno jest i nie zawsze udaje się wznieść się całkowicie ponad to.

(Ank. 351, kobieta, lat 61, wykszt. średnie, duże miasto)

To jeden aspekt sprawy. Bo jednocześnie samotność jest smutna: potrzebujemy wspólnoty także wobec Boga. Ale na ogół nie odnajdujemy jej w tłumie. Odkrycie wspólnoty religijnej następuje zwykle w gronie przyjaciół, w obrębie środowiska religijnego, zwłaszcza dzięki wspólnemu udziałowi w liturgii.

Modlitwy wspólne uważam za najbardziej wartościowe. Przecież Pan Jezus powiedział, że gdzie się zgromadzi kilku ludzi w Imię Jego — tam i On będzie...
Obecnie wspólne modlitwy mam tylko w kościele...

(Ank. 183, geodeta, lat 60, duże miasto)

Lubię niektóre nabożeństwa kościelne, np. tzw. „pacierze wieczorne". Takie małe zbiorowisko szczerze modlących się ludzi przypomina mi „świętych obcowanie", spontaniczne, nie uwarunkowane nakazami.
Nie wiem, czym to się tłumaczy, ale stwierdzam, że w czasie Mszy św. i w zbiorowych kościelnych nabożeństwach, łatwiej „kontaktuję" z Panem Bogiem i mniej podlegam roztargnieniom, niż w moich pacierzach prywatnych.

(Ank. 132, nauczycielka, lat 73, wykszt. wyższe, wielkie miasto)

Od jakiegoś czasu polubiłam ogromnie modlitwę wspólną. Więc litanie, recytacje, śpiew chóralny... Kocham wtedy ludzi. Stają mi się bliscy. Należę do wielkiej ludzkiej rodziny. Odczuwam wtedy, że jesteśmy wszyscy jednym ciałem.

(Ank. 356, kobieta, lat 50, duże miasto)

Przed kilkoma laty ogromnie przemówił mi do przekonania dogmat o Świętych Obcowaniu. Cieszę się z tego faktu łączącego ludzi na ziemi, dusze w czyścu i zbawionych w niebie. Z drugiej jednak strony lękiem napawa mnie myśl o wzajemnej odpowiedzialności ludzi za siebie, zwłaszcza zaś ochrzczonych. Wiem, że dogmat ten realizuje się najpełniej przez modlitwę. Staram się więc o to, by modlitwa moja obejmowała jak najszersze kręgi. Przyznać się jednak muszę, że wyrywanie się z wąskiego kręgu spraw przychodzi mi z trudem.

Najtrudniej jest mi modlić się w intencjach ludzi nieznanych, mieszkających setki czy tysiące kilometrów ode mnie, choćby nawet wydarzyło się im wielkie nieszczęście jak powódź, trzęsienie ziemi, czy coś podobnego. Trudna jest też modlitwa za bezimiennych „grzeszników" (piszę w cudzysłowie, bo przecież sama też się do nich zaliczam).

(Ank. 134, nauczycielka, duże miasto)

Najbardziej mnie uderza we Mszy św., że jest to modlitwa nie indywidualna, ale społeczna. W modlitwach mszalnych nie mówi się w liczbie pojedynczej, ale mnogiej. Dlatego zmierzam do tego, żeby niektóre modlitwy odmawiać wspólnie. Jakie modlitwy odmawiać wspólnie, o tym muszą zadecydować władze duchowne. Np. co może dać wspólnie odmawiane „Ojcze nasz". Jak wszyscy obecni w kościele Boga nazywają Ojcem. Może by niejednemu łatwiej było zrozumieć, że ponieważ mamy jednego Ojca, to wszyscy jesteśmy braćmi. Ja sądzę, że Msza św. musi nas wychowywać w duchu braterstwa ze wszystkimi ludźmi. Może przez wspólne odmawianie modlitw mszalnych łatwiej można osiągnąć ten cel.

O pierwszych chrześcijanach mówiono, że na modlitwie trwali jednomyślnie. Brak nam tej jednomyślności, każdy w modlitwie myśli o swoich sprawach. Może takie wspólne odmawianie modlitw w czasie Mszy św. wprowadzi nas w pierwotną jednomyślność.

(Ank. 225, kobieta, lat 26, wykszt. średnie, małe miasto)

Kościół zaczyna być widziany i przeżywany jako wspólnota miłości właśnie dzięki takim — niestety, raczej rzadkim — doświadczeniom. Ich warunkiem jest zrozumienie — więcej: zrozumiałość liturgii i jednocześnie równie żywe emocjonalne zaangażowanie w stosunku do uczestników sprawowanego kultu.

Jeszcze z innego punktu widzenia można mówić o samotności dzisiejszych ludzi modlących się. Spotkania z ludźmi, którzy przeżywają lub przeżyli to samo, są rzadkie. Spotkanie z kapłanem, który umie poradzić, wie, jak rozszerzyć horyzonty życia wewnętrznego, z reguły uważane jest za wyjątkową łaskę, za niezwykłe wydarzenie. Samotność, to znaczy także brak przewodników, trudności porozumienia. I to także zjawiska bardzo częste.

Dlaczego nie ma księży-psychologów? Dlaczego są niedostępni? Dlaczego ludzie... idą do neurologa albo psychiatry i łykają „bellacorn" czy inny środek „uspokajający".

(Ank. 331, kobieta, wykszt. średnie, duże miasto)

Czy człowiek XX wieku potrafi odkryć w sobie i rozwinąć „zmysł modlitwy", czy stłumi go i będzie całe życie nieszczęśliwy, w dużej mierze zależy od kapłanów. Niestety, i od kapłana wymaga się, by żył autentycznie Bogiem (z próżnego nie naleje). Tylko wtedy będzie „promieniował" mimo woli. Zawsze przyciągnie do siebie ludzi, którzy staną się solą ziemi, obdzielając z kolei Bogiem swoje otoczenie (również często mimo woli). Ważne jest więc, by kapłani „wyłowili" takich ludzi, umiejętnie wykorzystali ich cechy naturalne, „podprowadzili" ich do Boga i w odpowiedniej chwili umieli usunąć się w cień, a tylko jako narzędzie Boga zechcieli prostować drogę człowieka do Boga. Jak to zrobić — uczą (albo niech uczą) seminaria.

Wpadając (nieudolnie) w ton ojca Malachiasza, zakończę hasłem (do kapłanów): Módlcie się sami i nas uczcie prawdziwej modlitwy, a o Kościół możecie być spokojni.

(*Ank. 215, kobieta, lat 31, wykszt. wyższe, duże miasto*)

5. POKOLENIA

Napisaliśmy w tytule tych uwag „człowiek dzisiejszy wobec modlitwy". A przecież przeszło połowa uczestników ankiety to ludzie, których łatwo posądzić o „niedzisiejszość". Ludzie starzy, nawet bardzo starzy. Jedną z niespodzianek ankiety jest ich „nadążanie" za młodymi. Oczywiście — posługują się oni nieco innym językiem, mają inny styl (choć nie zawsze), ale wspólnota zasadniczej postawy jest wręcz zadziwiająca. Różnice pokoleń jakby zanikają, odnosi się wrażenie, że życie modlitwy przyczynia się w sposób uchwytny do zachowania młodości ducha. Ludzie dobrze po sześćdziesiątce nadal się rozwijają i zmieniają — z radością wychodzą na spotkanie Nowego... Oto przykłady:

Chociaż od dzieciństwa Msza św. była dla mnie przedmiotem czci i obowiązku, dopiero w wieku lat 70-ciu zaczęła w pełni przemawiać logika następstwa części Mszy św., jej konstruująca moc, czystość i głębia przeżycia, jedność z całą rzeczywistością Chrystusa i Bosko-ludzką prawdą.

(*Ank. 44. em. inżynier, lat 78*)

Jak się modlę? — Na to nie mogę odpowiedzieć jednoznacznie, bo czasem w modlitwę wkładam całą siłę wiary i uczucia, a czasem zupełnie nie mogę się skupić, choć staram się to zrobić, by pacierza nie „odklepać", nie potraktować jako uciążliwego obowiązku.

W ogóle zaś jestem zwolenniczką jak najkrótszych modlitw, przy czym „Ojcze Nasz" jest w moim pojęciu i odczuciu najpiękniejszą modlitwą, jest ona jak najbardziej pełną i treściwą.

...nie jestem zadowolona ze swego stosunku do Mszy świętej, nie umiem się należycie Nią przejąć albo może zrozumieć wszystkich Jej części. Widzi się ludzi nieraz naprawdę rozmodlonych, ja tak nie potrafię, jestem na to zbyt oschła i za mało mam wyrobienia religijnego. A z drugiej strony trudno mi go znów nabyć, bo tak niewiele rzeczy ze znanej mi lektury religijnej trafia mi do mego przekonania. Dyskusje religijne męczą mnie szalenie (i to zupełnie fizycznie), natomiast chętnie

rozmawiam na te tematy z ludźmi, którzy odpowiadają mi poglądami, ale stoją wyżej ode mnie. Tak jak całą duszą słucham dobrego kazania, rekolekcji lub konferencji. Mam wtedy wrażenie, jakbym się cała otwierała na treść słów słyszanych.

(*Ank. 149, emerytka, lat 70, wykszt. średnie, duże miasto*)

„Jak rozumiem modlitwę?" Niezupełnie rozumiem pytanie. Mam duszę, myśl, niezaspokojoną tęsknotę — która mnie prowadzi coraz dalej, zmusza do poszukiwań. Obecnie dla mnie modlitwa jest zbliżeniem do Boga. Dopiero po zdobyciu *Mszału na niedzielę i święta* coraz bardziej mogę we Mszy św. uczestniczyć. Jesteśmy wszyscy prawie analfabetami religijnymi. Po skończonej nauce ogólnej, która jest przygotowaniem właściwie, następuje próżnia i stopniowo wszystko się zaciera jak każda przerwana nauka. Nie wie się nawet, co w praktyce oznacza — katolik. Z wielkim trudem zdobywałam i zdobywam wiedzę religijną. Na pisma i książki „nie było czasu", zresztą nie zdawałam sobie sprawy, że w ogóle coś potrzeba więcej wiedzieć. Wygląda na to, że wszystkie moje katastrofy życiowe, a było ich dużo jak na jedną osobę, stopniowo odrywając mnie od szczęścia, prowadzą stopniowo do poszukiwania — tego przez wielkie „P".

W ostatnich paru latach, dzięki niezastąpionemu spowiednikowi, który z wielką wiedzą i cierpliwością umie wszystko wyjaśnić i wytłumaczyć, znów inaczej rozumiem modlitwę i jej społeczną wartość. Pokochałam psalmy — szczególnie VIII i Ewangelię — (na której posiadanie pewnie nigdy się nie zdobędę z emerytury). Pod wpływem jego kazań — „Bądź wola Twoja" — nabrało właściwego znaczenia, a „Ojcze Nasz" jakże często jest mi drzwiami, „przez które można wejść bez pukania", choć z wielką czcią.

(*Ank. 301, kobieta, lat 65, wykszt. średnie*)

W młodości modliłam się również, ale znacznie mniej i bardziej może zewnętrznie. W miarę kiedy przybywało lat, kiedy ugniatał ciężar życia, kiedy pogłębiała się wiara i świadomość, jasna świadomość tego, czym jest Bóg w naszym życiu, modlitwa stawała się coraz bardziej potrzebną i dziś kiedy przekroczyłam już sześćdziesiątkę, mogę powiedzieć, że modlitwa towarzyszy mi ciągle, przez cały dzień.

(*Ank. 79, kobieta, lat 65, osiedle podmiejskie*)

Atmosfera w świecie nawet chrześcijańskim jest nastawiona na młodość. Nawet w kościele starzy ludzie są zaledwie tolerowani. Tutaj jest trochę lepiej niż na Zachodzie i u nas, gdzie nawet w „Tygodniku Powszechnym" można znaleźć od czasu do czasu zwrot o „babkach" klepiących pacierze, „drzemiących dewotkach" itd. Nie jest to częste, ale jest...

...Czemu dewotki są dewotkami? Po prostu bo nikt się nimi nie zajmuje, machając na nie ręką. Tak jak gdyby nie miały duszy. Niejeden ksiądz traktuje je w taki sposób, jak gdyby nie miały duszy i łaska Boża nie mogła się ich „imać". A ludzie poniewierają. Często są to dusze spaczone, ale wiem, że i wśród nich można spotkać dusze szukające Boga. Stary człowiek musi tylko zrozumieć, że wiek jego dany mu jest od Boga po to, aby modląc się, cierpiąc swoje położenie, znosząc dolegliwości, przebaczając i kochając ludzi, panując nad sobą, mógł zbliżać się do Boga i ratować świat oraz młodych, rodziny, grzeszników itd. To po prostu wielka siła nie wyzyskana w Kościele. Nie rozpisuję się na ten temat, bo wierzę, że i on w Kościele dojrzeje. Osobiście

dawno o tym myślę. Będąc jeszcze w kraju przeczytałam *De senectute* Cicerona i podziwiam tego wielkiego myśliciela starożytności, który tak głęboko zrozumiał wielkość problemu starości. Chyba ma jakiś sens to, że ludzie żyją dziś dłużej niż dawniej, mimo że często dla ich działalności nie ma miejsca.

(Ank. 251, kobieta, lat 72, wykszt. wyższe, wielkie miasto, USA)

6. PAPIEŻ JAN — SOBÓR

Ogłoszenie ankiety nastąpiło w chwili bardzo dla Kościoła ważnej — w czasie przygotowań do II sesji Soboru i na kilka dni przed śmiercią Jana XXIII. Wydarzenia te znalazły w niej swoje odbicie.

Ostatnio często spoglądam na fotografię Jana XXIII i modlę się za Jego pośrednictwem. Wiem, że nie jest kanonizowany, lecz to mi nie przeszkadza. Widzę w Nim mocne rysy Boże: poza wybitną inteligencją głęboka pokora, prostota oraz wielka miłość bliźniego. Toteż myślę że jeżeli Jan XXIII jako człowiek był tak dobry, jakże dobrym jest Bóg. Jeżeli Jan XXIII tak bardzo kochał każdego człowieka, jakże każdego z nas kocha Bóg! Takie mi się myśli snują o Bogu. Nie wiem, czy to można nazwać modlitwą.

(Ank. 70, kobieta, lat 57, wykszt. wyższe, duże miasto)

Już dawniej słyszałam, że modlitwa jest wyrazem jedności między ludźmi. Przyjmowałam tę opinię, ale sama się o tym przekonałam dopiero ostatnio, podczas smutnych dni choroby papieża Jana. Nigdy dotychczas nie modliłam się tak intensywnie jak wtedy o zdrowie papieża, a świadomość, że nie jestem w smutku sama, że na całym świecie ludzie też modlą się w tej samej intencji, była bardzo pocieszająca.

(Ank. 103, studentka, lat 19, duże miasto)

Dla wielu papież Jan był nauczycielem modlitwy — zwłaszcza gdy chodzi o modlitwę „Anioł Pański". Wielu uczestników ankiety kojarzy tę praktykę z osobą serdecznie kochanego papieża — z jego ewangeliczną postawą wobec Boga i bliźnich. Bardzo wielu przyznaje, że modlą się raczej nie „za" zmarłego papieża, lecz do niego jako do świętego, prosząc o wstawiennictwo, a szczególnie o opiekę nad Kościołem. Samo wspomnienie o papieżu Janie budzi ufność i umacnia nadzieję.

Modlitwa zakwita na widok piękna czy geniuszu dzieł ludzkich. Gdy widziałem pierwsze oderwanie się od ziemi samolotu, gdy oglądałem freski pełne ducha Ewangelii i gdy Jan XXIII dawał się poznać. O tylu sprawach świata, którymi Bóg mówi do człowieka, trzeba jak uczniowie w Emmaus mówić: „Czyż nie pałają serca nasze, gdy On przemawia".

(Ank. 44, em. inżynier, lat 78)

Wymieniając intencje swych modlitw wszyscy uczestnicy ankiety pamiętają o Soborze i to na jednym z pierwszych miejsc. O mod-

litwie za Sobór wspominają także ci, którzy wyznają, że na ogół rzadko się modlą i rzadko Boga o coś proszą.

Proszę Chrystusa o wiele, wiele spraw. Proszę o zbawienie wszystkich ludzi, o nawrócenie grzeszników, o zjednoczenie chrześcijan. Modlę się za katolików i innych chrześcijan, za pogan i niewierzących, za Sobór i za papieża. Za Kościół w Polsce, za ks. Prymasa i wszystkich księży biskupów, zwłaszcza z mojej diecezji. Za kapłanów wszystkich a specjalnie za tych, których znam. Proszę dla nich o pomnożenie ich miłości, o ducha apostolskiego, żeby byli tak oddani Chrystusowi, by On mógł przez nich działać.

(Ank. 320, kobieta, lat 27, wykszt. wyższe, duże miasto)

...Modlitwy za Kościół, za papieża są dla mnie najwznioślejsze i najczystsze bo łączą w sobie wdzięczność dla Boga za dar Kościoła, miłość i przywiązanie do przebywającego w Kościele Chrystusa i miłość dla ludzi, dla których prosimy o największe dobro, o utrzymanie Kościoła — pośrednika łask boskich.

(Ank. 183, geodeta, lat 60, duże miasto)

Spowiednik mój poradził mi odprawić nowennę do wszystkich świętych odmawiając 9 razy litanię do wszystkich świętych. W czasie tej nowenny odkryłam wartość tej litanii i odmówiłam ją 9x9 (81 dni) w intencji Soboru.

(Ank. 360, nauczycielka, lat 50, osiedle podmiejskie)

Stan Soboru, w jakim trwa Kościół, jest widoczny w ankiecie jeszcze w inny sposób: często spotykamy sformułowania świadczące o głębokiej, choć może nie całkiem wyraźnej świadomości, że na naszych oczach i z naszym udziałem dokonuje się coś bardzo wielkiego, że nadchodzą zmiany, że będzie lepiej, że prawda i łaska staną się bardziej dostępne a świadectwo życia chrześcijańskiego bardziej przekonywające.

Chociaż niejednokrotnie razi mnie to i owo w kościele i życiu ludzi, hamuję swoją niecierpliwość. Wiem, że Chrystus w Swojej łodzi czuwa i przez ludzi lub okoliczności kieruje, choć czasem wydaje się, że śpi. Więc czekam cierpliwie. Ale nie wszyscy tak muszą. Dobrze jest, kto czuje się na siłach wziąć choć małe brzemię odnowy na swoje plecy. Każdy wedle swoich możliwości.

(Ank. 127, rencistka, lat 62, duże miasto)

Czekam na dalsze reformy liturgiczne, które mam nadzieję, przybliżą nam jeszcze bardziej tajemnice wiary i sprawią, że powierzchowna, tradycyjna religijność zacznie zanikać, przestanie być tylko dekoracją życia, a w kościele nie będzie już nikogo podpierającego filary.

(Ank. 267, „Teresa", lat 25, wykszt. średnie, duże miasto)

Po 15 latach wyniszczającej pracy nauczycielskiej zaczęłam znów poważnie chorować. Operacje chirurgiczne, balansowanie na krawędzi śmierci, myśli o niej, a jednocześnie myśli o przeznaczeniu człowieka, o nieznanym Bogu, o znanym i smutnym Kościele — szamotanie wewnętrzne. Obrzydzało to życie!

Nadeszły lata pontyfikatu Jana XXIII. Rozbłysnęły nadzieje na reformy w Kościele, na Sobór Powszechny. Poczęły przesączać się poprzez prasę katolicką wiadomości o tym, co nowego spotyka się u katolików innych krajów, działalność księży-robotników, dążenia ekumeniczne wśród różnych wyznań chrześcijańskich, aktywizacja laikatu w Kościele. Nowatorska postawa staruszka papieża. Jego autorytatywny głos w sprawach polityki międzynarodowej, a zwłaszcza w sprawach pokoju, jego postawa w stosunku do Kościoła polskiego i do kultury polskiej. Niezwykle audiencje watykańskie i przyjmowanie ludzi o niewiadomej postawie wewnętrznej, dialog z komunistami... Wiadomości o współpracy religijnej dobrego papieża z ludem rzymskim.

Wreszcie wielkie wydarzenie — Sobór Powszechny! Oczekiwanie reform i ten nieoczekiwany grom z jasnego nieba — wiadomość o nieuleczalnej chorobie Jana XXIII... Heroiczna postawa tego Świątobliwego Namiestnika Kościoła w kilku miesiącach jego ciężkiej choroby, żywa działalność religijna do ostatnich niemal jego dni, niezmienna łaska dla Kościoła w Polsce i ta cudowna wiara tego człowieka mimo urągających jego planom rozstrzygnięć losu! Jak to kształciło, jak podnosiło ducha!

Wiadomości z ostatnich dni życia Jana XXIII, pragnienie cudu i znów ten grom — śmierć wielkiego papieża! Nie będę pisać o tym, jak przeżyłam tę śmierć, bo, jak się to później okazało, podobnie przeżywali ją liczni, bardzo liczni, gdyż masy ludzi (wśród których byłam też ja) udręczone współczesną obłudą życia pokochały Jana XXIII tak, jak tylko kochać można człowieka za jego wewnętrzne piękno. Ale poza bólem śmierć ta, sądzę, dała wielu ludziom (mnie na pewno) nieskończenie wiele — była przecież czynnym apostolstwem wiary... To dla chwiejnych, udręczonych względnością świata stanowi dar bezcenny.

Do tych chwiejnych, udręczonych zaliczam siebie, której życie chyli się ku wieczorowi. Nieraz, jak to o zmierzchu, lubię myśleć o minionym życiu, o jego małych radościach i wielkich klęskach i myślę też, jak, nim noc zapadnie, uczcić ten wielki dar, co ofiarować Bogu, gdy kończy się życie i wysychają żywe źródła świata, a wartości duchowych ma się tak mało! Przychodzę do konkluzji, że zapewne tak jak dotąd nic, lub prawie nic, dla poparcia dobra w walce ze złem uczynić nie zdołam. Jestem przecież tak słaba i potwornie sama! Może tylko przeświadczenie o nieważkości mojego życia, w którym tak wiele pragnęłam, a tak mało osiągnęłam, będzie jedyną moją ofiarą na ołtarzu świętości?

Wielkie dzieło papieża Jana XXIII — Sobór Powszechny i wraz z nim wielkie nadzieje trwają, może więc wkrótce przyjdą lata powszechnego ożywienia w Kościele, lata świętości, apostolstwa na codzień i dobrych uczynków — jest ich tyle, tyle do ustawicznego pełnienia, a Bóg domaga się wiary czynnej.

(*Ank. 193, „Karolina", lat 59, wykszt. wyższe, małe miasto*)

7. MATKA BOŻA

Omawiając ankietę o modlitwie trudno nie wspomnieć o Niej. Ale też nie ma chyba potrzeby mówić wiele. Wypowiedzi ankietowe nasuwają wniosek, że przystoi Jej (i byłby dziś bardzo aktualny) nowy tytuł: Królowa milczenia. Królowa bardzo prywatna, Orędowniczka spraw najbardziej osobistych, o których — podobnie jak

o Niej — jakoś nie bardzo wypada i nie bardzo chciałoby się mówić. Ta, z którą razem przeżywa się swoje własne małe sprawy i wielkie sprawy Kościoła i świata. Różaniec jest modlitwą bardzo popularną, ale dla większości wcale niełatwą, chociaż dostępną na codzień we wszelkich okolicznościach.

Nad mym posłaniem krzyż i wizerunek Matki Bożej — Matki mojej. Czasem palę w mym kąciku świece przed Jej wizerunkiem. Z różnych powodów. Prośby, dziękczynienia — lub tak sobie, bo bardzo Ją kocham. Gdy jestem na wsi — „Anioł Pański" odmawiam wprost w niebo — na polu. Gdy jestem w polu lub nad morzem, dużo modlę się, gdy tylko jestem sama. Wtedy jest najbliżej. Odmawiam różaniec na plaży. Na łące. Ukradkiem.

(*Ank. 356, kobieta, lat 50, duże miasto*)

Przychodzą chwile, kiedy człowiek gotów samemu sobie plunąć w twarz. Albo czuje się bez reszty opuszczony i zawiedziony. Kiedy nienawidzi siebie i otoczenia. Wtedy resztką świadomości w myśli recytuję: „Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą". Znowu słyszę: *Dominus vobiscum* — a więc i ze mną — Pan ze mną. „Ojcze nasz" — mówię już spokojnie i pełen ufności.

Mówią o mnie, że jestem bardzo pogodny, a gdy czasem mniej wesoło patrzę na ludzi, wymagają ode mnie radości. Gdyby wiedzieli: *qui laetificat* — dzieciństwo moich lat pięćdziesięciu.

(*Ank. 143, „Karol", duże miasto*)

Do Matki Bożej modliłam się najwięcej w trudnych okresach życia, kiedy byłam daleko od Boga i po prostu nawet nie śmiałam bezpośrednio do Niego się zwracać. Teraz Bóg jest na pierwszym miejscu, jest źródłem i celem mojej modlitwy. Co nie znaczy wcale, że rezygnuję z macierzyńskiej opieki Matki Jezusa i naszej. „Pod Twoją obronę" jest jedną z moich ulubionych modlitw.

(*Ank. 381, kobieta, lat 57, wykszt. średnie*)

Bardzo trudną formą modlitwy jest dla mnie różaniec. Nie umiem ściśle zanalizować dlaczego. Może dlatego, że łączyć tu trzeba modlitwę myślną z „odmawianiem" „Zdrowasiek" i że trudno mi skupić uwagę na jednej tajemnicy w ciągu jednej dziesiątki różańca. Mimo to bardzo kocham tę modlitwę i nawet wzięcie do ręki koronki z intencją modlitewną w pewnych sytuacjach wewnętrznego niepokoju pomaga mi do odzyskania równowagi duchowej. Nie nuży mnie powtarzanie wciąż tych samych słów „Zdrowaś Maryjo". Różaniec, zwłaszcza wspólnie, głośno odmawiany, ma dla mnie w swojej rytmice coś urzekającego, jakby miało to coś wspólnego z rytmiką bicia ludzkiego serca (myślę, że nie zdajemy sobie sprawy, jak szczególne znaczenie i wpływ na życie fizyczne i psychiczne człowieka ma rytmika zjawisk w całym otaczającym nas świecie).

(*Ank. 157, kobieta, — prac. nauk., lat 61, małe miasto*)

8. OPTYMIZM

Ankieta nie pokazuje „różowego chrześcijaństwa". Bardzo wyraźnie widać, jak wiele miejsca w życiu ludzkim zajmuje cierpienie

i jak często bywa ono siłą niszczącą (choć łaska sprawia, że i to zniszczenie może okazać się klęską nieostateczną, może nawet stać się początkiem zwycięstwa). Życie ludzkie jest twarde i ankieta takim je pokazuje. Lecz jednocześnie — i to chyba nie jest przypadek — ta właśnie ankieta zawiera największy chyba ładunek optymizmu. Prawie nie ma wypowiedzi, w których by dominował lęk, poczucie zagrożenia czy niepewności. Jest poczucie tragizmu — nawet bardzo ostre — ale nastawienie na Boga i Jego sprawy zdecydowanie zmienia perspektywy: „świat jest wtedy ten sam, ale inny". Wiara w ostateczne miłosierdzie jest bardzo żywa:

Czym jest dla mnie modlitwa? Przede wszystkim potrzebą wewnętrzną. Czuję się tak mała i biedna, a Pan Bóg jest tak bogaty i pełen miłości. Więc proszę o potrzebne mi łaski, dziękuję za nie, uwielbiam Boga. Często mówię Mu, że Go kocham i dziękuję Mu za to, że jest. Nie zawsze tak było, kiedyś traktowałam modlitwę tylko jako obowiązek. Modliłam się a raczej odmawiałam modlitwy z bojaźni przed grzechem.

(Ank. 191, „Stenia", lat 37, wykszt. podst., małe miasto)

Bezimienni, którzy się modlą, niemal z reguły zajmują wobec świata postawę otwartą, życzliwą, pozytywną. A w każdym razie zdają sobie sprawę, że tego właśnie religia od nich wymaga. I widzą w niej wielką pomoc, źródło siły, która nie pozwala załamać się nawet wtedy, gdy wszystko wydaje się ciemnością.

...najważniejsze: minuta radosnej świadomości między dziesiątkami spraw — jest Bóg. Akt modlitwy — to część człowieka najbardziej własna. Trudno o tym mówić, przekazać komuś właściwy sens, subiektywną wartość. Ale jeśli naprawdę żyje się tą wspaniałą pewnością: jest Bóg — wtedy nawet codzienność bywa modlitwą. Amen.

(*Ank. 396, kobieta, lat 32, wykszt. wyższe, miasto*)

Okresy cięższe w życiu zawsze zbliżały do Niego, a samotność uczyła szukania oparcia i wielkiej ufności. Rok spędzony z dala od bliskich, we wspomnieniach uwidacznia się coraz bardziej jako rok wielkiej Przyjaźni. Gdy nie było oparcia w nikim, o wszystkim trzeba było samemu decydować i brać na własny rachunek — wtedy On był tym Jedynym, który zawsze jest razem „z Tobą zawsze po górskich wędrować chce szlakach, z Tobą zdobywać świat"... Tych zdobyczy nie było właściwie żadnych, raczej wszystko skończyło się mało efektownie, ale przy dużym zmęczeniu nie został osad goryczy, a wielkiej wdzięczności.

Dzięki Ci za całe piękno, które pozwoliłeś zobaczyć i przeżyć — za spotkanych braci — ludzi i braci — góry, za każdą radosną chwilę i za życzliwość ludzi i za to, że każdy moment i każde zdarzenie pozwala odczuwać Twą opiekę i miłość.

(*Ank. 397, kobieta, lat 33, prac. naukowy, wielkie miasto*)

Spontanicznie, zgodnie z potrzebą serca ugina mi kolana przed Bogiem, każda radość i wszystko dobre, które otrzymują od życia, moim zdaniem niezasłużenie.
(Ank. 331, kobieta, wykszt. średnie, duże miasto)

Nie wiem, czy nie będę zbyt śmiały — bo cóż może wiedzieć w tych sprawach człowiek, mimo że dane mu jest dążyć bardzo wysoko — jeśli zaryzykuję twierdzenie: iż kochać to znaczy dawać, a dawać samemu Bogu, który ma wszystko, który jest Nieskończony w Swym bogactwie — to znaczy Bogu pomagać, być z Nim we wspólnej akcji. Ktoś kiedyś powiedział, że niebo wyobraża sobie jako możność pozostawania w wiecznej, potrzebnej Bogu akcji...
Gdy o tym myślę i tego pragnę (niestety — nie jest to zbyt często...), ogarnia mnie uczucie tak dziwnej radości.
(Ank. 184, inżynier, lat 58, duże miasto)

Trafiłam na wspólnie recytowaną Mszę św. Rośnie serce w tej jedności modlitw. Może tak śpieszno nam w dobie dzisiejszej do zrozumienia i jedności, może to potrzeba ogromna naszych czasów, a my, mv powinniśmy to zrozumieć bardziej niż kto inny i może dlatego tak nas rozbraja taka dogłębna modlitwa wspólna, że serce ustaje i rośnie ze szczęścia. I było przytakujące echo Opatrzności — Jan XXIII. Więc trzeba. Pilne czasy — módlmy się! Jakże warto żyć!!!
(Ank. 273, kobieta, lat 39, wykszt. średnie, duże miasto)

Zapewne modlitwa dla prawdziwie wierzących zawsze była źródłem rozmaitych radości i pokoju, jakiego świat nie daje. Ale wydaje się, że dziś w jakiś szczególny sposób pełni tę funkcję.

Może — na zakończenie tych uwag wstępnych — trzeba jeszcze raz zaznaczyć, że nie próbowaliśmy tu dokonać jakiegoś „podsumowania wyników". To podsumowanie pozostawiamy czytelnikom — oddając głos bezimiennym uczestnikom ankiety. Podane wyżej spostrzeżenia mają wykonanie tego zadania ułatwić: są potrzebne, bo przecież drukujemy tylko niewielki wybór spośród 410 prac. Trzeba jednak pamiętać, że także to omówienie ma charakter publicystyczny i jakoś tymczasowy — dlatego nie obejmuje wszystkich zagadnień, jakie można by w związku z ankietą poruszyć. To tylko wstęp. Do waszej osobistej samodzielnej pracy.

BEZIMIENNI MÓWIĄ O MODLITWIE

DROGI ŻYCIA

N. N., ankieta 287
Kobieta, lat 41
Wykszt. podstaw.
Duże miasto

Mam lat 41, niezamężna, ukończyłam 7 klas szkoły podstawowej na wsi i teraz dopiero pracując w charakterze pomocy przy kuchni w zakładzie, gdzie opiekujemy się dziećmi, ukończyłam kursy, które pomogły mi zdobyć tytuł czeladnika w moim zawodzie. Pochodzę z prowincji, najpierw pracowałam w małym miasteczku, a obecnie już kilka lat w dużym mieście.

Jeśli chodzi o modlitwę, to ją rozumiem jako potrzebę duszy w każdej chwili. Żyjąc tym przeświadczeniem, że przez Chrzest jesteśmy „dziećmi Bożymi", dziecko chyba lubi często rozmawiać z Ojcem i z Nim przebywać i w radości, i w smutku i radzi się Go, bo wie, że Ojciec je kocha. I jest mu z Nim dobrze, cokolwiek z nim zrobi, i cóż łatwiejszego, jak być z Nim zawsze i w doli, i w niedoli, wszak przecież św. Teresa mówi nam w *Drodze Doskonałości*, że odmawiając „Ojcze nasz, któryś jest w niebie", nie trzeba Go szukać gdzieś w niebie, ale w niebie naszej duszy i więc dlatego tak łatwo nam zbliżyć się do Boga, aby z Nim rozmawiać jak z Ojcem nas miłującym, który przez łaskę jest w naszej duszy, to jest w tym niebie, i gdy byłam mała to tego nie rozumiałam, ale korzystając z częstych rekolekcji dowiedziałam się, że na modlitwie nie trzeba szukać Boga daleko, aby z Nim rozmawiać.

Należy również uwielbiać i kochać Go za innych i wypraszać dla innych łaski. Miałam czasem trudność, że po co się modlić, to jest prosić za innych, przecież Bóg jest samą Dobrocią i wszystko wie, co komu trzeba. Wtedy pomogły mi to zrozumieć te słowa: czyż Jezus chodząc po Ziemi Palestyńskiej nie udzielał łask szczególnych wskutek czyjejś prośby? Tak, to mi dało pokój w mojej niewiedzy. Więc gdy się czujemy słabi, grzeszni to i w tym wy-

padku łatwo nam też jest zbliżyć się do Pana Boga (wszak za przykład Maria Magdalena) i wtedy tym bardziej pomoc Ojca Najlepszego potrzebna. Często w trudnych chwilach proszę o czyjąś modlitwę i w sytuacjach najtrudniejszych czuje się tę pomoc czyjejś modlitwy. Będąc małą inaczej na to patrzyłam, jakoś nigdy moja modlitwa nie była taka, jaka jest teraz, była raczej płynąca z obowiązku, że trzeba się modlić, i jeszcze uważałam, że trzeba być w kościele, aby się modlić dobrze, i praca mi nieraz przeszkadzała, ale gdy dla mnie stało się wiadome, że praca może być modlitwą, i jeszcze że przez łaskę Bóg mieszka w duszy, jestem teraz jak to dziecko z Ojcem swoim, chociaż się tego nie czuje, ale wiara mi to mówi.

Więc żyjąc wiarą jednak to jest prawdą, że jest mi trudno wiele mówić, ale za to często trwam z Nim na modlitwie i zawsze przyglądam się Jemu i Jego Dobroci, a wtedy On, gdy krzywdą się coś zdaje, zawsze nauczy, jak postąpić z bliźnimi, i zawsze wyjdzie się umocnionym. A gdy już całkowicie mi ciężko, to jeszcze „Droga krzyżowa" pomaga mi być więcej ofiarną. Na przykład w tej stacji „Drogi krzyżowej", gdzie Panu Jezusowi pomaga Szymon Cyrenejczyk nieść Krzyż, ale niechętnie to robi, więc Go zmuszają; ile wtedy powstaje nowych sił, aby nie z musu, ale ochotnie znosić przykrości życia.

Mój udział we Mszy św. to wypływał w okresie dzieciństwa raczej z poczucia obowiązku katoliczki i chociaż było 3 km do kościoła, to nigdy nie opuściłam niedzielnej Mszy św., bo Rodzice byli nam przykładem. I nie czyniło się tego z musu, ale że opuszczenie Mszy św. dobrowolnie to grzech ciężki. W tygodniu to nie chodziłam, dopiero gdy poszłam do pracy po ukończeniu szkoły, to będąc w mieście pracowałam u ludzi obrządku Mojżeszowego, więc w sobotę nie pracowałam, więc miałam możność iść i już nie z musu ani z obowiązku, ale z przyjemnością poszłam na Mszę św., bo jakoś zawsze byłam szczęśliwa, gdy mogłam iść do kościoła i już wtedy zaczęłam zazdrościć tym, co są pod jednym dachem z Panem Jezusem i moja modlitwa, to jest mój udział we Mszy św., była częściej przeżywaniem Męki i śmierci Pana Jezusa. Śpiewałam pieśni w czasie Mszy św., ale więcej mi dawało to ciche uczestniczenie we Mszy św., ale nie z mszalika, tylko z takiej książeczki specjalnej, gdzie było dosyć obszernie ujęte rozważanie o Męce i śmierci Pana Jezusa podczas Mszy św. Gdy dostał mi się do ręki mszalik i pouczono mnie, jak się modlić, odtąd już chyba jest to jakieś 12 lat, to najmilsza moja Msza św. to gdy wspólnie z kapłanem można uczestniczyć we Mszy św., a w czasie rekolekcji, czasem, gdy odpowiada się ministranturę i gdy tak wszyscy razem

uczestniczą. Odtąd nie lubię Mszy św., gdy jest śpiewana, to jest nie biorę w niej udziału, i gdy ktoś mówi, że kto śpiewa, ten dwa razy się modli, to mnie wcale nie zachęca do śpiewu, ale mi żal, dlaczego tak mało się mówi i poucza, aby i dzieci, i wszyscy nauczyli się modlić wspólnie z kapłanem. Na przykład odmawiając wspólnie głośno modlitwę „Ojcze nasz" wtedy czuje się, że wszyscy są jedną rodziną a Bóg naszym Ojcem i czyż z takiej Mszy św. nie wyjdzie się z większą miłością bliźniego, a jeszcze wspólna Komunia św. czyż nie przypomina, że w każdej duszy mieszka Pan Jezus i cokolwiek chcę złego lub dobrego uczynić, to czynię Samemu Bogu. Czyż nie dodaje to dużego szacunku dla ludzi z pobudek nadprzyrodzonych. W czasie Mszy świętej łączymy się wspólnie z umarłymi i żyjącymi. Śpiew daje czasem człowiekowi możność wyśpiewania się. Często się przyłapuję na tym, że gdy jest mi jakoś trudno w pracy, to właśnie niechcący śpiewam albo jakieś psalmy przyjdą mi na pamięć i one też są jakby pomocą, ale modlitwy liturgiczne to są siłą czasem na cały dzień. Pamięć o nich i przeżywanie okresu liturgicznego pomaga coraz więcej cieszyć się, że się jest katolikiem i dopomaga być coraz lepszym katolikiem i czuć się nawet między obcymi jak między braćmi i jako jedna Rodzina Boża, której Głową jest Chrystus. Żal mi młodzieży nie umiejącej się modlić z mszalika, ale nie jest możliwe nauczyć się samemu, bo i ja dopiero się nauczyłam dobrze modlić z mszalika, gdy w czasie Mszy św. ktoś, kto umiał się dobrze posługiwać mszalikiem, recytował wszystko po polsku. I odtąd nie miałam już trudności.

Przepiękne są psalmy i też psalmy zaintonowane przy pogrzebie po polsku, gdy wynoszą zwłoki z kościoła. Ja określiłam to żartobliwie, że zachęcają, aby umrzeć, to znaczy w tym sensie, że uspokajają tych, którzy biorą udział, zapewnieniem, że jest życie wieczne, i po co myśleć, że traci się tego umarłego... Tak dużo daje radości życie, gdy człowiek nawet stary a modli się jak ten, który jest po prostu Dzieckiem Bożym, obojętne czy czuje to, czy nie, ale korzystając z uczestnictwa we Mszy św. z mszalika nabierze odwagi, bo wie, że jest odkupiony Krwią Najdroższą Jezusa Chrystusa i umocni się, że zasługi Jezusa Chrystusa są Jego własnością, i może właśnie korzystać i czerpać tę siłę w Ofierze Mszy św. i Komunii św. i nie tylko uczestniczyć, ale po wyjściu z kościoła, tak jak nas zachęcają słowa *Ite, Missa est,* iść i odprawiać Mszę św. ze swoich prac i trudów, wszak jesteśmy po to dziećmi Bożymi, aby o innych myśleć, a nie zasklepiać się w sobie, bo taki mamy przykład, że Pan Jezus chce nas uczynić szczęśliwszymi, więc dumą dziecka jest naśladowanie Swojego Ojca Najlepszego.

N. N., ankieta 188
Kobieta, lat 40
Lekarz
Miasto

Modlitwa w moim życiu? Chcę, żeby była czymś z rzeczy zasadniczych, pierwszoplanowych, koniecznych. Chciałabym, żeby życie moje było modlitwą. Na razie wyrażam tylko życzenie. W zagadnieniu znaczenia modlitwy w moim życiu przeczuwam jeszcze mnóstwo aspektów nie odkrytych i sądzę, że wyrobienie religijne czy może większe zbliżenie się do Boga powstaje w wyniku odkrycia tego czegoś w modlitwie, co dla każdego człowieka jest jego własnym i najistotniejszym osiągnięciem.

W moich młodych latach modliłam się inaczej, niż robię to teraz. Dawniej modlitwa moja była tylko prośbą o coś dla mnie. Niekiedy była tak żarliwa, tak pełna wiary, tak gwałtowna, że okazywała się skuteczna, np. gdy prosiłam Boga, żebym uniknęła wywiezienia na roboty. A potem modlitwa była pełna wdzięczności i rodzącego się przekonania bezpośredniej ingerencji Boga w moje życie. Czyż można było się nie modlić?

Pamiętam też to cudowne uczucie szczęścia, jakie nieraz daje odczuć Bóg, kiedy modlitwa stawała się rozmową z Bogiem. Była to niezapomniana Jego łaska.

Do „odkrywania" modlitwy dochodziłam drogą pośrednią. Z nawału zajęć i spraw absorbujących bez reszty niepowrotny i jedyny czas dany mi na życie wyłoniło się niepokojące pytanie o sens mego życia. Zaczęłam się niepokoić tym, że mimo moich osiągnięć przez studia, przez pracę naukową i lekarską, życie moje czy też to, co je wypełnia, nie ma sensu. Myślę, że takiego niepokoju doznaje każdy człowiek, za tym jednak idzie nieodłącznie poczucie odpowiedzialności przed Bogiem za moje jedyne i dane mi tylko raz życie.

Kiedy po długim czasie zrozumiałam, że sens życiu memu mogę nadać tylko przez miłość, okazało się, że wcale nie umiem jej realizować w życiu codziennym. Co gorsze, długo, bardzo długo nie wiedziałam, co to jest miłość. Może nie wiem jeszcze i teraz, ale mam wrażenie, że coś z tego wielkiego Bóg mi odsłonił. Modliłam się bowiem o miłość. Pilnie szukałam, słuchałam, czekałam na słowa miłości. Wydawało mi się, że o tym za mało się mówi w kościele, w konfesjonale itd. A nawet jeśli coś przyjmowałam z tego, to ciągle nie było to.

Mogłoby się wydawać, że nikt nie może łatwiej realizować miłości, jak lekarz. A ja, lekarz, nie wiedziałam, czym ona jest. Zrozumienie przyszło samo, z błyskiem łaski podczas modlitwy, przed tabernakulum. W świetle tej łaski pojęłam coś bardzo prostego, mianowicie że kochać — to oddać siebie. Tak czynił Jezus.

A tyle lat przechodziłam obok tej Jezusowej prawdy jak ślepiec. Prawda ta jednak chyba jest jedną z najtrudniejszych prawd. Wprawdzie od tego momentu stała się moją własną, ale jak ją realizować na codzień? Jak to, co robię co dzień, ma wynikać z miłości, a nie jedynie z konieczności wykonania obowiązku, lęku przed odpowiedzialnością przed sądem, kierownikiem czy opinią itd. Nie, w życiu codziennym nie umiem spełniać miłości, nie mam dość odwagi i pewnie będę się tego uczyła do śmierci. Za to wydało mi się łatwiejsze realizowanie jej przez modlitwę. I znów modlitwa moja stawała się prośbą, ale już nie dla mnie. Z innej płaszczyzny zwracałam się ku Bogu w nadziei, że przez Niego będę robić to, czego sama nie umiem. W trakcie moich przemyślań zrozumiałam i odczułam, jak wielką łaską i skarbem jest to, że wierzę, że mam Boga, że nigdy nie jestem sama. Że zawsze mam do kogo się zwrócić. I chciałabym aby wszyscy ludzie, którzy nie wierzą, nie znają Boga lub przestali wierzyć, uwierzyli. Za nich się więc modlę przede wszystkim, realizując moją miłość.

Modlę się zresztą za konkretne osoby: za niewierzących członków mojej rodziny, za mego kierownika, który robi wiele dobrego, choć jest niewierzący, za koleżankę, którą odratowano po popełnionym samobójstwie.

Chciałabym się modlić tak żarliwie, z wiarą i tak gwałtownie, żeby Bóg modlitwę moją wysłuchał jak wtedy, w latach wojny. Wyrażam to życzenie, bo wiem, że modlę się źle. Modlitwy myślnej nie umiem. Modlę się często własnymi słowami, zwłaszcza po Komunii świętej, ale jakże często brak mi tego koniecznego skupienia, żeby modlitwa była rozmową, wielbieniem, dziękczynieniem Bogu.

Wspomniałam, że chcę życie moje czynić modlitwą. Rozumiem, że wszystko, cokolwiek robię, mam robić w obecności Boga, ofiarowywać Mu to, robić z Jego błogosławieństwem, wielbić Go. Więc wzywam Go, bo nie mam tej pewności siebie cechującej ludzi silnych. Wprawdzie łatwiej mi, jak i innym, wielbić Boga gdzieś nad jeziorem czy w górach, niż gdy patrzę na zropiałą odleżynę, ale w tym drugim przypadku świadomość kruchości ludzkiego życia tym bardziej zwraca moją myśl ku Temu, który jest niewzruszony i wieczny.

O Mszy świętej nie podejmuję się pisać. Jest ona dla mnie tak samo realizowaniem miłości, stokrotnie wzbogaconym przez inną Miłość. A poza tym szukam i czekam na odkrycie prawd we Mszy świętej, których jeszcze nie uświadamiam sobie.

N. N., ankieta 39
Mężczyzna, lat 32
Prac. naukowy
Duże miasto

Sprawą znamiennego przypadku jest, że odpowiadam na tę ankietę zamieszczoną w majowym numerze „Znaku", a dotyczącą „modlitwy". Zasiadam do swych refleksji trochę przez przekorę dla samego siebie a trochę z mglistą nadzieją, że to się może na coś zda. Zasiadam wbrew sobie, gdyż zjeżył mnie ton, redakcja apelu ojca Malachiasza.

W tym miejscu od razu muszę zaznaczyć, że absolutnie nie jestem wojującym ateistą, zakompleksowanym antyklerykałem. Nie — po prostu pewne pozy, maniery i metody mnie w najwyższym stopniu drażnią i jestem na pewno impertynencki ujawniając, że to nie tylko z mojej winy taka postawa, ale jest wynikiem również prowokacji. Kiedyś słuchałem konferencji rozsądnego bardzo księdza. Mówił do studentów i wyczyniał rzeczy niedopuszczalne. Szczebiotał, kwilił, błagał potulną bez tego, porządną młodzież katolicką o to, by pozwolili się nazwać „głuptaskami", za przykładem innego kaznodziei (też znanego).

Zastanawia mnie z perspektywy mych trzydziestu kilku lat, że „Słowo Boże" głosi się albo grzmiąc, albo kwiląc. Nigdy naturalnie, godnie. Co to ma wspólnego z modlitwą? Przypuszczam, że wiele. Uczono mnie modlitwy jako formuł zabezpieczających przed strasznym Imieniem Pana — modlitwy jako płytkiego rozczulania się.

Do dziewiątego roku żyłem wśród Ukraińców. Nie umiałem w tym okresie rozróżnić, kim właściwie jestem — greko-katolikiem czy „rimskim" wyznawcą. Umiałem się modlić w dwóch językach. Uczęszczałem do kościoła i do cerkwi. Religii uczył mnie ksiądz i pop. W domu modliłem się po polsku z matką, po rusku z niańką. Z owych czasów pozostało mi w pamięci spostrzeżenie, że w cerkwi z „Bogiem ruskim" czułem się jakoś familiarnie, w kościele zaś jak w cudzym purytańskim domu.

Przygotowywanie do pierwszej Komunii Świętej przebiegało w atmosferze jakiegoś przymusu. Ceremonią tą byłem bardziej wystraszony niż uradowany.

Matka moja, pierwsza nauczycielka modlitwy, pierwszy mój kontakt z Bogiem — była osobą raczej „letnią". Jej światopogląd nie był jakiś ułożony, szablonowy, sztywny. Obywała się tygodniami bez Kościoła i praktyk religijnych, to znów wracała do nich z autentycznym przypływem uczuć pobożnych. Słyszałem od niej więcej westchnień, adresów do Boga w tonie *Magnificat* niż *De profundis*. Gdy pod wpływem dziadków ze strony ojca, bardzo czcigodnych wieśniaków, popadłem w latach okupacji w skrajną dewocję — patrzyła na to z pewnym zdziwieniem. Oczywiście, nie przeciwdziałała im. Miała zawsze ducha olbrzymiej tolerancji, a dziś wiem,

że cechowało ją wyjątkowe zrozumienie, co jest obiektywnie etyczne a tym samym pobożne, a co jest faryzeizmem i zakłamaniem. Od dziadków, którym religia nadawała rytm poszczególnym godzinom, dniom, tygodniom i miesiącom — nauczyłem się wielu modlitw: rannych i wieczornych; adwentowych, bożenarodzeniowych, wielkopostnych, wielkanocnych, maryjnych i różnych przygodnych. Do dziś znam na pamięć litanie do N. M. P. i Serca Jezusowego; znam hymny i antyfony przeuroczych „Godzinek", większość psalmów nieszpornych, wszystkie trzy części „Gorzkich żali", wszystkie tajemnice różańcowe, „Anioł Pański" — niezliczoną ilość pieśni pobożnych. Znam wreszcie całe partie mszy świętych.

Już po okupacji, aż do ukończenia szkoły średniej mój rozkład modlitw w ciągu dnia przedstawiał się następująco: Biegnąc do szkoły (godzina okrągła drogi) odmawiałem „Godzinki", litanię do Najświętszej Maryi Panny, poranny pacierz i kilka aktów strzelistych. Wracając w południe: „Anioł Pański" i podstawowe psalmy nieszporne. Wieczorem tylko klękałem do pacierza. Przed zaśnięciem zaś odmawiałem na palcach (cząstki różańcowe zawsze mi się gubiły i rwały) jedną cząstkę różańca. Chodziłem co niedzielę na długą sumę. Miejscowy proboszcz kwitował mi ją w specjalnym notesie, który potem przedstawiałem szkolnemu katechecie (księża nie trudzili się o jakieś taktowniejsze czuwanie nad naszymi duszami). Cztery razy do roku spowiedź. Z własnej inicjatywy 9 pierwszych piątków. Uczęszczałem na wszystkie nabożeństwa majowe, różańcowe, „Drogi krzyżowe", „Gorzkie żale". Wymieniam to wszystko, by jasne było, że była to swego rodzaju rekordomania. Odmawianie tych wszystkich modlitw na pewno w większości było mechaniczne. Pamiętam, że wiele wysiłku kosztowało mnie skupić myśl np. na jednej z tajemnic przy odmawianiu „Ojcze nasz" i 10 „Zdrowaś Maria". Pamiętam — nie wiedziałem np. o czym mam myśleć przy tajemnicy Nawiedzenia. Wyobrażałem sobie cyprysy, białe kopuły i bardzo niebieskie niebo oraz kroczącą zakurzoną drogą Matkę Boga do swej krewnej, św. Elżbiety. Było to malowanie wyobraźnią obrazu, którego symbolu, treści zupełnie nie znałem. Nie lubiłem więc różańca za wyjątkiem owego, śpiewanego przed sumą, przez stare kobiety i mężczyzn.

Jeżeli w ogóle modlitwy wyzwalały we mnie jakieś emocje to tylko te, które się śpiewało. W melodii zamykało się me uwielbienie dla Stwórcy, Siły Wyższej a przede wszystkim dla Najświętszej Maryi Panny.

W tym czasie lekturę mą poza podręcznikiem dziejów biblijnych i Nowym Testamentem (na użytek szkolny), które to dzieła szybko pochłonąłem i znałem na pamięć — stanowił „Rycerz Niepokalanej" i „Salwator" (zdaje się tak się nazywał miesięcznik poświęcony

kultowi Serca Jezusowego). Z nich zdaje się wzięło się u mnie przekonanie, że modlitwa wszystko może.

Owe rekordowo odmawiane modlitwy były w większości bez jakiejś określonej intencji. Bardzo długo starałem się w sobie zatrzymać bezinteresowność wszystkich swych poczynań. Tyczyło to nawet mego stosunku do Boga. Ale już wówczas miałem jakieś podświadome przekonanie, że ciułam te modły niczym w banku, do których w krytycznych momentach będę się mógł odwołać. Z puli tej zacząłem czerpać bardzo rychło. Przed każdą nieprzygotowaną lekcją, przed każdym okresem, w czasach wstrząsów burzliwych lat okupacyjnych i po wyzwoleniu. Było bardzo wiele tych „czarnych godzin" ocenianych subiektywnie i zazwyczaj na gorąco. Z owych momentów czy okresów pozostał mi miałki, nudny smak żebrzącej modlitwy, mocowania się niemal fizycznego z Opatrznością. Szczególnie krytycznym momentem był dla mnie okres więzienia po dojściu do pełnoletności. W tym okresie miałem już poczucie notorycznego dłużnika, człowieka, który „jak trwoga, to do Boga". Byłem bezsilny wobec świadomości, że me myśli o wiele, wiele częściej kierują się do Boga w momentach, gdy jest mi ciężko, niż w chwilach, gdy wypadałoby składać dziękczynienie. Zdecydowałem wówczas, że ratować muszę swe samopoczucie tylko w ten sposób, że przestanę modlić się (wówczas określałem to: „żebrać") w chwilach ciężkich.

Realizowałem to konsekwentnie z uporem na pewno godnym rzeczy lepiej wybranych i sprecyzowanych niż mój bunt przeciwko kierowaniu przez Boga życiem ludzkim. Wyrywało mi się jeszcze często słowo „Boże", „O Jezu" — tłumiłem je w sobie. I kiedyś wreszcie, gdy się topiłem w bagnach i gdy instynktownie zwróciłem się do Boga — natychmiast odwołałem ów apel. To była jakaś próba.

Jak na ironię przez całe ostatnie trzydzieści lat nie odchodziłem od spraw wiary, Kościoła, od ludzi wierzących. Mym najbliższym otoczeniem stało się właśnie środowisko ludzi wierzących, praktykujących, ludzi o bardzo podbudowanym naukowo światopoglądzie katolickim. Czasami zdaje mi się, że to moje samotne pozornie pływanie jest ubezpieczone. Ramię tylko wyciągnąć i jest łódź czy koło ratunkowe.

Nie modlę się, nie chodzę do kościoła. Jeżeli mam jakiś kontakt ze sprawami wiary to poprzez katolicką literaturę, prasę, dyskusję z ludźmi wierzącymi. Rzadko zachodzę do kościoła. Częściej zachodzę do cerkwi. Ona mi pozwala na jakiś bardzo pośredni związek z latami dziecinnymi, dla mnie na pewno nienajweselszymi, więc nie jest to ucieczka do swego prywatnego raju, z którego się wyszło. Przeszłość, lata dziecinne nawet są o wiele ciemniejsze, niż jest nim najgorszy nawet dzień dzisiejszy.

Brak modlitwy, mgliście bardzo, odczułem po kilku latach po tragicznej stracie bliskiej osoby. Nieprzyjemnie odczułem nie tylko swą bezsilność wobec śmierci, ale przede wszystkim to, że nawet nie wiem, w jaki sposób można w czymkolwiek poza myślą i wspomnieniem zaznaczyć swój związek z kimś, kto jest już po drugiej stronie. Z podobnym „niepokojem", bezradnością (czy jak jeszcze to określić) zetknąłem się u różnych znajomych na tym samym tle. W rocznicę śmierci idę mimo wszystko do kościoła. Nie modlę się. Ilość czasu po prostu poświęcam pamięci nieżyjącej osoby właśnie w kościele. Zdaje się, że nie tylko mnie, ale wszystkich ludzi dzisiaj cechuje poczucie konsekwencji w swej postawie światopoglądowej. Stwierdzam, że jednak bardzo o to trudno. Nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego ów czas przeznaczony dla zmarłych musi być spędzany w kościele. Nikłym usprawiedliwieniem jest przecież, że ten ktoś nieżyjący, podobnie jak ja zagubiony, jednak w gruncie był wierzący.

W tym momencie wreszcie dochodzę do sprawy zasadniczej — do najistotniejszego chyba bodźca, który zwrócił mą uwagę na modlitwę.

W sobotę w nocy (1. VI. br.) usłyszałem komunikat radiowy o agonii Jana XXIII. Trudno mi w tej chwili na gorąco sprecyzować, dlaczego ten Wielki Człowiek był mi bardzo bliski. Bliski — to może za poufale powiedziane. Nigdy nie pasjonowałem się osobami nieznanymi bezpośrednio. Pasjonowały mnie najwyżej ich osiągnięcia, ideały i wierność dla nich. W tym wypadku sprawa przedstawiała się zgoła inaczej. Po usłyszeniu komunikatu odczułem, jakby ktoś w sąsiednim pokoju zmagał się ze śmiercią. Nie mogłem sobie pozwolić na sen, aczkolwiek zdawałem sobie sprawę, iż rozsądnie biorąc jest to dość wydumana obsesja. Byłem sam, więc nie musiałem się z nią kryć.

Chciałem wówczas cokolwiek zrobić dla konającego Dobrego Papieża. Wszystko uniemożliwiało ów zamysł, oddzielały mnie od Ojca świętego wszystkie wymiary. Wówczas chciałem się modlić i nie mogłem. Modlitwa przecież człowieka z Bogiem łączy.

Siedząc myślałem o tej śmierci Namiestnika Chrystusa. Zastanawiałem się, jak ona wygląda u człowieka, którego ludzie uważają za najwyższego depozytariusza dóbr boskich. Nie spodziewałem się odpowiedzi na to.

Rozmyślałem w ciągu tych trzech dni nad dziwną dla mnie postawą ludzi wierzących. Modlono się przecież nie o wyzdrowienie, w tym konkretnym wypadku równoznaczne z cudem — ale o „spełnienie się woli Bożej nad Papieżem". Myślałem zupełnie kategoriami ludzi wierzących. Martwiła mnie mała wiara. Wiedziałem,

że gdybym wrócił do modlitwy, modliłbym się o cud. Widocznie nie mogę jeszcze modlić się. Nie mam zaufania do Opatrzności Bożej.

Mgliście, i nie umiałbym ich tu poprawnie sprecyzować, zrozumiałem słowa Jana XXIII o swej śmierci. Inaczej patrzył on na cel ostateczny życia, na śmierć. Wiem, że to było zwycięstwo woli ducha, wiary nad tym, co stanowi stronę biologiczną człowieka. Dziś rozumiem też „spełnienie się woli Bożej nad Papieżem". Uważam — na swój prywatny użytek — że właśnie owa agonia, długa, heroiczna uświęciła dzieło życia a przede wszystkim dzieła pontyfikatu tego Największego i Najbliższego mi Papieża. Gdybym się już mógł modlić, modliłbym się nie tylko o światło nad jego duszą — ale o to, by Opatrzność dała nam szybko drugiego, tak dobrego Ojca.

Wciąż odbiegam od właściwego tematu. Niestety, nie czuję się na siłach „czysto" rozważać tak abstrakcyjne dla mnie pojęcie jak „modlitwa".

Przypuszczam, że źle mnie nauczono się modlić. Nie wtajemniczył mnie nikt w istotę modlitwy. Robiłem kiedyś próby zwierzenia się swemu spowiednikowi z kryzysu modlitwy. Nie umiałem tego ani sam sprecyzować, ani też nigdy nie trafiłem na spowiednika czy katechetę, który by widział potrzebę analizowania podobnych trudności, wychodzić naprzeciw, odgadywać niemal kryzysy człowieka młodego. Dziś w chwilach bardzo trudnych, bardziej wierzę, że człowiek może się z wieloma mocami zmierzyć, wiele przetrwać, niż w to, że w modlitwie znajdzie on ratunek, pomoc w uładzaniu się z tym, co dookoła nas się dzieje, co nas czeka, a przede wszystkim z samym sobą. Modlitwą, moim zdaniem, jest przede wszystkim świadomość istnienia wyższego ładu, spokoju, dobra. Modlitwą nie są powtarzane formuły, utarte, wcześniej wyuczone niż zrozumiałe. Modlitwa przede wszystkim jest sprawą indywidualną. Modlili się naprawdę autorzy psalmów, pieśni, litanii, aktów. Modlą się ci, którzy je przeżywają i rozumieją zawarte w nich treści. Przede wszystkim zaś modlitwa jest jak twórczość — jest pełniejsza i święcie przeżyta, gdy się jest jej autorem.

Modlić się najlepiej jest w myśli. Żadne słowa nie obejmą, nie określą naszych uczuć. Słowa dzisiaj są bardzo wątpliwe. Modlitwa nie jest długim stanem. Jest uniesieniem szczerym i wyłącznym, w którym człowiek doznaje czegoś dobrego. Wiązać się zaś może ze wszystkim: z pracą, gestem, refleksją. To są wszystkie moje gorące uwagi na temat „modlitwy" w pierwszej redakcji. Nie poprawiam i nie stylizuję. Napisałem je, gdyż owej pierwszej nocy agonii Jana XXIII sięgnąłem po „Znak" i w nim natknąłem się na apel ojca Malachiasza.

„Zbuntowana", ank. 313
Kobieta, lat 33
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Jak rozumiem modlitwę? Właśnie nie rozumiem jej wcale i jestem wdzięczna tym wszystkim, którzy wymyślili tę ankietę. Może się czegoś z niej dowiem? Katechizm powiada o modlitwie, że jest ona rozmową z Bogiem, czyli w dalszym toku rozumowania, można by rzec, „modlić się to być z Bogiem"? Ale czyż z Bogiem winniśmy być tylko podczas modlitwy? Chyba całe nasze życie winno być obcowaniem z Bogiem a więc nieustanną modlitwą? I tu rozpoczyna się dramat przepaści między „winno" a „jest". Obcować z Bogiem — być z Nim zawsze — być wobec Niego otwartym w miłości, ufności, pragnieniach, i w prawdzie naszej osoby, tzn. być świętym i całkowicie poddanym woli bożej. Niestety — ja mojego życia nie mogę absolutnie zestawić z takim stanem „otwarcia" i dlatego chyba tak rzadko mogę się modlić.

Sednem sprawy w modlitwie wydaje mi się połączenie naszej woli z Bogiem. Nasza gotowość (płynąca, oczywiście, z głębi serca) na tę „rozmowę" już nas niejako w nią wciąga, Bóg przenika do głębi naszej duszy i mówi wszystko, co nam potrzebne, i wszystko, co możemy w sobie pomieścić. Ale sztuka rozmowy polega w znacznie większej mierze na słuchaniu niż na mówieniu — a ja tego znowu nie potrafię. Nie potrafię słuchać pokornie z otwartym sercem gotowym do przyjęcia wszystkich poleceń, próśb, zakazów, i rozkazów. Żadne modlitewne „gadanie" nie zastąpi milczącej gotowości całkowitego „oddania się" — gotowości na słuchanie prawdy o sobie. Szare nieciekawe moje życie, pełne potknięć, małostkowości, cierni, pokus, zabłąkania i odrazy do zła tkwiącego we mnie tudzież w bliźnich — wcale nie nastraja mnie do modlitwy. Jakże obcować z Bogiem, gdy serce pełne buntu albo milczy? Czyż modlitwa w takich chwilach nie byłaby „gadaniem modlitewnym" płynącym z pobożnych tradycji czy chęci? Ktoś mi kiedyś ładnie powiedział, że to pycha moja nie pozwala mi na zgięcie kolan i prośbę o „otwarcie się". Długo broniłam się przed przyjęciem tej smutnej prawdy, ale samo przyznanie racji nie rozwiązuje sprawy, to tylko przyznanie się do niemocy.

M o d l i ć s i ę — t o c h y b a t y l e, c o k a ż d ą c h w i l ę ż y c i a d a w a ć B o g u — s t o j ą c p r z e d N i m w p r a w d z i e. Ten dobrowolny akt oddania się nie jest łatwy i szczęśliwi są ci, którzy potrafią codziennie korzyć się w czci przed majestatem Boga, spokojni, z prostotą. Ja, niestety, nie potrafię, ale nie zakładam niemożliwości obcowania z Bogiem w „każdej chwili" (kiedyś nawet w wirze ludzkiego mrowia, na dancingu, w przedziale jadącego

pociągu, a nawet podczas spaceru z ukochanym — czułam obecność Boga).

Jak się modlę? Wiele się nie modlę, ale pozostał nawyk znaku krzyża świętego. Miewam jednak „zrywy pobożności" i wtedy czuję potrzebę „wymodlenia się", ale to jest dalekie od modlitwy.

Mój udział we Mszy św.? Od czterech lat opuszczam świadomie i dobrowolnie każdą Mszę św., na którą nie mam ochoty. Jeśli miałabym pójść na Mszę św. tylko dlatego, żeby nie popełnić grzechu — nie poszłabym wcale. Ostatnio chodzę dość często (jak na mnie) 1—2 razy w miesiącu.

Decydując się na uczestnictwo we Mszy św., szczerze proszę Boga jak łotr na krzyżu o łaskę udziału w Ofierze. Podczas Mszy św. nie szukam „wymodlenia się" — szukam w niej źródła i mocy dla swego nędznego życia — takiego, jakim jest. Chociaż nie lubię „zbiorowych modłów" — Msza św. jest właśnie tą jedyną formą „modłów", których w pojedynkę nie wyobrażam sobie. Tutaj wokół ołtarza jakoś bledną skłócone ze sobą wszystkie ludzkie słabości i namiętności. Ten ktoś stojący przed nami (choć nam czasem ołtarz zasłania) to nie nasz wróg, to nie ktoś w kolejce po mięso, masło, czy cytryny. Tutaj wiadomo, że wszyscy czegoś chcą, ale dla wszystkich wystarczy. Najbardziej odpowiadają mi Msze recytowane albo ciche (nie lubię śpiewanych tekstów mszalnych — przypomina mi to operę lub teatr). Najczęściej podczas Mszy posługuję się mszałem rzymskim, ale są takie dni, że nie potrafię skupić się i na tekstach mszalnych. Co wtedy robię? Wstrzymuję „pracę warg", przestaję silić się na bezmyślne czytanie tekstu albo ściganie księdza i po prostu gapię się na ołtarz. Gapię się na tabernakulum czy na postać rozpiętego na krzyżu Chrystusa. I staram się pojąć, gdzie jestem, po co tu przyszłam? Nie zasypuję Boga mnogością próśb i wyznań, gdy obudzi się moja świadomość, gdzie jestem; nie potrafię. Mówię Mu po prostu: „Widzisz, Boże, przyszłam, jestem, chciałam Cię godnie wyznać i uwielbić, ale widzisz, co z tego wyszło? Nie potrafię, przebacz i pozwól mi Tobą pooddychać." A potem już cała reszta „trwania" i „słuchania" — to kołatanie serca, to wzrok podparty krzyżem.

Nie wiem, czy choć jedna Msza św. okaże się kiedyś godnie od--prawiona, może to tylko będzie smutna dokładka do reszty „ciężkiego bagażu" życia, ale miewam „zrywy pobożności" i wtedy z nich korzystam.

Mój stosunek do książeczkowych modlitw? Żaden tekst modlitewny nie ogarnia w pełni Boga, wszystko, co mówimy o Nim, jest tylko analogiczne, więc nasze słowa modlitewne są nam potrzebne do „wygadania się" a nie Bogu. Stąd też nie przywiązuję

wagi do „książeczkowych” modlitewek (każdy musi się sam wygadać). Oczywiście, inaczej ma się sprawa z tekstem Mszy św. Żadnych ulubionych ani znienawidzonych nie mam, ale muszę się przyznać, że psalmów nie rozumiem. Co więcej (proszę się dobrze trzymać, żeby nie upaść na wieść o tym, że ktoś uczęszczający czasami na Mszę nie rozumie wielu tekstów Ewangelii), nie rozumiem wielu rozdziałów Ewangelii i zawsze czytałam takową w życiu jako wyczyn pokutny. Całe Pismo św. trąci mi legendami o „Popielu i myszach”, „Królewnie Wandzie i Kraku” itp. Nie znaczy to wcale, że sądzę, iż Chrystus jest postacią mityczną. Nie, po prostu wielu spraw pojąć nie mogę i nie rozumiem. Jest to normalny skutek odkładania spraw życia duchowego na ostatni plan. Chciałabym wierzyć, ale Bóg wydaje mi się daleki swą doskonałością, przeraża mnie Jego pełnia, chwilami wydaje mi się bardzo daleki, wydaje mi się, że to On ciągle w życiu krzyżuje moje plany i przeszkadza mi (i przeszkadza na pewno... w śmiałym robieniu głupstw, przekreślił niejedną moją „karierę” życiową).

Straszny to stan, gdy człowiek „odchodzi” i nie może „odejść”, a równocześnie bluźni swoim życiem i to w dodatku na „konto katolika”, którym dawno nie jest. Ale cóż, nawet walczący z chrześcijaństwem na swój sposób Rozanow czuł się w „objęciach Boga” i nie wyobrażał sobie świata bez modlitwy.

Kilka dni temu zaprzyjaźniłam się na wczasach z ateistą. Człowiek bardzo wartościowy, inteligentny, chlubiący się swoją „wolną myślą”, ale jakże podświadomie tęskniący do wynurzeń, do „wygadania się”, do jakiejś cząstki modlitwy. A ileż razy w ciągu naszych rozmów przewijało się przez jego usta słowo „Boże”, „jak Boga kocham”? Potrzebna jest modlitwa człowiekowi, tylko ciężka to praca umysłowa i człowiek zbyt rzadko ją podejmuje.

Dla mnie „Ojcze nasz” wcale nie jest takie proste, bo „Bądź wola Twoja jak w niebie tak i na ziemi”. Wcale nie mam zawsze ochoty na bożą wolę w moich sprawach na ziemi. „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy.” Czy naprawdę tak łatwo odpuszczamy? Ja, naprawdę nie. A całe „Wierzę w Boga”. Puścić wargi w ruch to jeszcze nie wszystko, to zaledwie „trochę”, pewnie że lepiej niż moje „nic”, ale to jeszcze nie modlitwa. Mało jest chyba ludzi, którzy umieją się modlić i rozumieją modlitwę. A ponoć „gdyby nawet niebo było puste — święty człowiek, który się modli” — Rozanow.

N. N., ankieta 254
Kobieta, lat 28
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Byliśmy najbliżej siebie.

Nie potrafię dać odpowiedzi na pytanie ankiety o modlitwie ani nie potrafię sama napisać tego, co o modlitwie myślę, ale ponieważ zajmuje ona jakieś bardzo wyjątkowe i ważne miejsce w moim życiu, więc spróbuję coś o tym powiedzieć. Modlitwa dotknęła ten odcinek mego życia, w którym jestem najbardziej sobą, moją miłość. Na tym odcinku dała mi się poznać najbardziej modlitwa, c z y m o n a j e s t.

Nie wiem, czy ten, kto będzie czytać to, co piszę, wie, co to jest miłość, prawdziwa, wielka miłość? Jeśli wie, to zrozumie, że miłość potrafi być większa od człowieka, że go czasem przerasta zupełnie, tak szczelnie wszystko wypełnia sobą. Że boli stale jak otwarta rana, choć jest przecież wielkim szczęściem. Pragnienie bliskości jest wtedy takie wielkie. Wydawałoby się, że wspólne życie i oddanie się sobie wzajemne jest jedyną bliskością, w której miłość się wypowiada, urzeczywistnia i bogaci. Otóż może być jeszcze inaczej, bo istnieje druga bliskość osiągalna tu na ziemi. Dla mnie wspólna modlitwa dała mi doznania zbliżenia największego. Zobaczyłam, co znaczy być blisko.

Ta bliskość pierwsza jest bardziej efektowna, jest bardziej sugestywna, jest emocjonalna, ale ma kres, ma granicę w przeżyciu. Jestem na nią wrażliwa i pragnę jej, ale pragnę jej inaczej. Trochę razi swoją „skończonością" i swoją „ograniczonością". Pociąga mnie i uspokaja, bo czuję, że bardziej gruntuje moją miłość ta druga bliskość, którą może trzeba określać jako bliskość w Bogu, a która w moim przeżyciu realizuje się najbardziej we wspólnej modlitwie.

W y d a j e m i s i ę, ż e w t e d y j e s t e ś m y t a c y o d a r c i z e w s z y s t k i e g o, c o m o ż e d z i e l i ć. Wiem, że tak jest tylko dlatego, że on chciał wspólnej modlitwy, a ja nie mówiąc o tym, sama tego pragnęłam. Dlatego znaleźliśmy się koło siebie tak blisko, jak bardziej nie można.

Kiedy przeczytałam w „Tygodniku Powszechnym" słowa ojca Malachiasza na temat ankiety o modlitwie, pomyślałam, że trzeba o tym napisać, bo właśnie modlitwa praktycznie i dosłownie realizuje moją wielką miłość.

N. N., ankieta 342
Kobieta,
Duże miasto

...Mnie się wydaje, że nie tylko modlitwa, lecz i całe nasze serce, dusza, myśli, uczucia, słowem — całe nasze życie, a więc tym bardziej każda z naszych modlitw posiada charakter społeczny i że nie może tym samym być li tylko „prywatną i indywidualną", mimo, że nam samym trudno w to nieraz uwierzyć. A jednak wierzę w to, że będąc członkiem

Mistycznego Ciała Chrystusa — to znaczy Kościoła — posiadam i ja ten przywilej, by swoim najmniejszym nawet aktom woli, czynom i przejawom życia móc nadać walor społeczny. Lecz ja dopiero teraz to pojmuję i w to wierzę. Nie zawsze tak jednak było. I może zacznę raczej od tego.

Nie pamiętam już tego, kto mnie nauczył modlenia się. Chyba mama, potem szkoła — mam na myśli lekcje religii, wspólne modlitwy — no i kościół.

W rodzinie mieliśmy jednego księdza, stąd bardzo bliski kontakt z duchownymi. Uczyłam się więc w klasztorze — taka przedwojenna moda (zresztą chodziłam potem do innych szkół). A więc była i Sodalicja Mariańska i rekolekcje, konferencje, referaty itd. A potem rozwiało się wszystko. Nie pozostało z tego nic — dosłownie nic. Przestałam się „modlić", to znaczy — „klepać pacierze". Od kościoła na kilometry zaczęłam uciekać, księży znienawidziłam. Sama bardzo grzeszyłam, lecz wydawało mi się to bardziej ciekawe, nowoczesne, oryginalne. Czasem tylko gdzieś tam na dnie serca tłukły się wyrzuty, lecz jakoś umiałam je sobie skutecznie zagłuszyć. Umiałam wytłumaczyć sobie i innym, że wiara, religia i wszystko to, co wchodzi w jej zakres, to taka sobie „lipa", w którą sami księża pewnie nie wierzą. Kapłaństwo oceniałam jako bardzo popłatne stanowisko służbowe — i nic poza tym.

Dlaczego tak się stało? Trudno teraz sądzić z perspektywy lat. Wiele czynników się na to złożyło. Sądzę jednak, że byłam również i ślepą zawsze i stąd to inne patrzenie na te sprawy. Patrzyłam od zewnątrz, i nie widząc w tym żadnej treści wewnętrznej. A same formy zewnętrzne jakoś mi się sprzykrzyły, straciły cały swój sens a tym samym i urok.

Jestem daleką od tego, by siebie teraz, po latach, z grzechów popełnionych uniewinniać. Sądzę jednak, że częściowo winę za nas ponoszą i ci, którzy nas tej religii uczyli. Nic tylko klepanie, z pamięci i z książeczek, pacierzy, przykazań, litanii... historii Kościoła... dat kolejnych soborów...

Pamięć miałam świetną — szeregowaniem dat olśniewałam całą szkołę. Pochwały i piątki po prostu się sypały... Byłam więc ulubienicą księży i zakonnic. Lecz tylko tyle mi z owych czasów pozostało, że dziś niewiele z tego pamiętam... no, cóż, pamięć zawala, bo nie ma się już tych „...naście" lat.

Wydaje mi się, że mało nam jednak mówiono o miłości Boga ku nam i naszej ku Bogu. To znaczy mówiono nam o tym, lecz nikomu na tym nie zależało może, by sprawdzić, czy my, dzieci, rzeczywiście Go kochamy i czy w tę Jego ku nam miłość w głębi swoich serc tak bardzo wierzymy. Z tym więc poszłyśmy w świat: ja i moje

koleżanki. Po drodze rozsypały się nam jakoś te nabyte i na pamięć wykute formułki... więc przestałyśmy wierzyć w istnienie Tego, który przecież istniał... On jednak czekał cierpliwie poprzez wiele lat, aż Go sama tam odkryję i do Niego powrócę. Lecz to odkrycie, jak każde zresztą wielkie odkrycie, kosztowało mnie wiele łez i lat ciężkich zmagań. Te choroby, troski, nieszczęścia, które seryjnie się na mnie zwaliły — dziś to dopiero rozumiem — to ciągłe pukania Boga do mojego zatwardziałego serca. Nie na wiele się one jednak przydały, choć je czasem słyszałam. Słyszałam i owszem, lecz Go wpuścić nie chciałam. Bo „wpuścić" Boga to i życie zmienić. A grzeszyć tak było wygodnie i przyjemnie. A poza tym nie chciało mi się wysilać. Więc co miał w końcu P. Bóg ze mną zrobić, bym Go dojrzeć wreszcie raczyła? Nie wiem, nie umiem tego powiedzieć. W każdym razie dopiero po 8-miu latach ciężkiego chorowania, naraz Go dojrzałam — poprzez gorycz łez wylanych przy trumnie najbliższej mi osoby na świecie — męża.

Przy jego zwłokach (śmierć nagła, która była dla mnie tą skałą, o którą głową z całej siły rąbnęłam się, aż w oczach wszystkie gwiazdy z bólu zalśniły), w panicznym niemal lęku, ciągle o tym myśleć musiałam, jakie też będą losy jego duszy. W takim wypadku można się jedynie do Boga zwrócić o pomoc. Nie pomogą tu już żadne protekcje ziemskie, znajomości, forsa i takie zwykle używane „chody". A żeby z Bogiem można było pogadać, tak jak tu do was mówię, trzeba najpierw w Jego istnienie naprawdę uwierzyć (stało się to zresztą niezależnie od mojej woli, z miejsca uwierzyłam w Boga, w niebo, czyściec, piekło... Nie było już nawet czasu ani chęci na żadne wzniosłe filozofie), a potem postarać się o to, by zechciał mnie wysłuchać. Bo Pan Bóg na audiencję grzeszników ponoć nie przyjmuje. Można o to jednak prosić... przez Matkę Najśw., Sakrament Pokuty... taka pierwsza spowiedź po wielu latach — trochę kosztuje. Lecz nie ma innej drogi do Boga. A potem kolejno trzeba było spełniać to wszystko, czego mnie na lekcjach jednak kiedyś nauczono. Jakoś mimo „słabszej już pamięci" — naraz mi się wszystko przypomniało! I w zupełnie innym niż dotychczas naświetleniu. Tak jak nigdy przedtem. I tak bardzo bezpośrednio... Coś, co przeniknęło w głąb mojej bólem zranionej i przeoranej duszy. Nie tak od razu tę łaskę jednak pojęłam. Najpierw był bunt i rozpacz, taka wewnętrzna szarpanina... Bo i Krakowa przecież nie zbudowano od razu. Początkowo nie bardzo więc o tym wiedziałam, od czego mam rozpocząć ten nawrót do Boga. Bo jedna spowiedź, a nawet i więcej, to przecież jeszcze nie wszystko. Tym bardziej, że postanowiłam sobie poszukać drogi do Boga po to, by duszę męża zbawić. I choć szło mi z tym bardzo

ciężko i powoli, bo szłam niemal po omacku, mimo to sądzę, że w końcu na dobrą ścieżkę jednak natrafiłam, skoro dzisiaj mogę się już z wami nawet ze swoimi doświadczeniami podzielić.

Nie będę się kolejności tych ankietowych pytań trzymała — pragnę Wam to inaczej wszystko przedstawić. W sposób, w jaki się to wszystko we mnie ukształtowało — a takie coś, wiadomo, przeżywa się w zupełnie indywidualny i niepowtarzalny deseń.

Otóż opowiem wam najpierw taką jedną hinduską czy też irańską legendę, którą kiedyś przez radio przypadkowo słyszałam. W tej „Perle Miłości" — bo tak się ta legenda nazywa — odnalazłam coś z siebie i z swoich przeżyć, mimo że chyba niczego wspólnego (poza tym samym Ojcem niebieskim) nie mam z Hindusami ani tym bardziej z ich książęcymi radami. Żył więc — podobno — kiedyś pewien młody szach. Wschodnim zwyczajem — bardzo bogaty. Miał do tego piękną żonę, którą kochał nad życie. Pewnego dnia umiera jednak ta ubóstwiana żona — szacha rozpacz po jej stracie ogarnia. Marzy jedynie o śmierci, by móc wraz z nią leżeć w grobowcu. Przychodzi mu jednak na myśl, że najpierw musi ten grobowiec uczynić tak pięknym, by był godnym przechować na wieki ciało jego żony. Po wybudowaniu grobowca postanawia popełnić samobójstwo. Sprowadza więc jakiegoś biednego dzieciaka do pałacu. Czyni zeń za zgodą Rady — następcę swojego tronu. A sam ma się odtąd zajmować jedynie budowaniem najpiękniejszej świątyni świata, takiej „Perły Miłości". O budownictwie jednak nie ma na razie zielonego pojęcia. Szuka więc książek, doradców, fachowców... zaczyna się budowa. W miarę jak rosną mury, coraz to nowe pomysły przychodzą mu do głowy. Sarkofag żony — taki prowizoryczny na razie — umieszcza w samym środku świątyni. A wokoło niego gromadzi skarby sztuki, architektury... zaczyna jeździć po świecie, uczy się, by zdobywać coraz więcej wiadomości z tej dziedziny. I tak trwa to poprzez długie lata. A świątynia, z każdym rokiem staje się prawdziwym cackiem — arcydziełem świata. Wciąż od nowa coś w niej jednak burzy, ulepsza, upiększa... pracuje sam też bez wytchnienia. I tylko od czasu do czasu spośród kolumn świątyni spogląda sobie w dal, ku śnieżystym szczytom górskim. Tam szuka wytchnienia, sił i natchnienia. Aż kiedyś, gdy tak patrzy zadumany, naraz zauważa, że coś mu w tym wszystkim przeszkadza, ten wspaniały widok przesłania i szpeci zarazem. Tę przeszkodę każe z miejsca usunąć. A był to sarkofag żony, o której dawno już zapomniał, pochłonięty i rozmiłowany w swej pracy, sztuce i pięknie przyrody...

Analogia? Jest ich wiele, są jednak i różnice. Otóż najważniejszą z różnic, że poprzez grób (nie stać mnie było na żadne grobowce)

i duszę męża zapatrzyłam się... Nie, nie na góry, bo nie ma takich w Krakowie..., na Boga, którego Piękno naraz spostrzegłam. A druga różnica w tym, że grobu męża nie dałabym usunąć za żadne skarby świata. On mi w niczym Boga nie przesłania, raczej coraz bardziej odsłania.

Ot i tyle. Z tego wypływa jednak i cała reszta. Gdy stoi się (lub klęczy, leży, idzie się... to nie ma znaczenia) tak cichutko i spogląda się (wcale nie w góry, choć i to pożyteczne) na dno swojego serca, to naraz widzi się tam Boga. Bo Boga nie należy szukać daleko. Jest w nas... tak całkiem po prostu, zwyczajnie... w każdym z nas... gdy Go jednak tam dojrzeć wreszcie zechcemy. Jest on tam, oczywiście, i wtedy, gdy Go widzieć nie chcemy ani pragniemy. I wciąż do nas puka — aż Go wreszcie wpuścimy. Bo czeka latami. Cichutko, cierpliwie, z Miłością. I gdy Go wpuszczamy, to zadowala się byle czym... okruchem serca, odrobiną modlitwy, nawet naszą nędzą, byle przy tym była i dobra wola. Bo przy dobrej woli i wytrwałości w niej, wciąż potem dalej szukamy, czytamy, uczymy się, modlimy, bo miłość musi się rozwijać! Bo taka jest z natury. I potem już wszystko jasne i radosne. I nie są wtedy potrzebne ani książeczki z gotowymi, obcymi formułkami modlitewnymi, które, jeśli się nam je zdarzy czasem odmawiać, już nas nie „jeżą", bo we wszystko co czynimy, mówimy, piszemy, słuchamy, wkładamy swoją własną treść — tę łzami kiedyś oblaną i zdobytą.

I tak samo z Mszą św. Już nie stoję jak dawniej z tyłu, czasem na ulicy. Nie oglądam wystrojonych ludzi (choć i dziś jeszcze czasem i na to zerknę okiem), lecz „pcham się" jak najbliżej ołtarzy, by być bliżej Boga. By słyszeć kazania lepiej, które naraz stały się dla mnie Słowem Bożym, a nie tylko tym, czym były dawniej, takim czasem „nudnym ględzeniem", którego się nie słuchało, nawet jeśli wychodziło z ust najlepszych kaznodziei.

W tym naświetleniu i modlitwa staje się zupełnie czym innym niż dawniej. Nie myślcie jednak, że klęczę całymi dniami i godzinami. Wcale nie. Jestem taką „wiercipiętą" i trudno byłoby mi tyle czasu na jednym miejscu usiedzieć. Ale rozmawiać bardzo lubię, więc mówię do swojego Boga (i waszego!) wszędzie i o każdej porze... o was, o sobie, o wszystkich ważnych i bardzo mało ważnych sprawach... Wszystko jedno gdzie, kiedy, bo przecież zawsze mamy Go przy sobie. Spróbujcie również w ten sposób, to takie przecież łatwe. Po co macie czekać, aż przyjdą łzy, krzyże, choroby? wystarczy, że ja byłam takim osiołkiem i że tyle czasu zmarnowałam. Wam życzę więcej rozumu, łask i dobrej woli.

N. N., ankieta 332
Mężczyzna,
Duże miasto

Nie byłem właściwie wierzącym. Chodziłem na Mszę św. z przyzwyczajenia — i to nie zawsze i z dużym ociąganiem. Wiedziałem, że jak usłyszę dzwonki, należy uklęknąć i oddać cześć dalekiemu Bogu. Czekałem na *Ite, missa est,* by wyjść, uznając, że oznacza to dosłownie, iż Msza skończona.

Aż spadło na mnie nieszczęście jak jastrząb z jasnego nieba. Myślałem o samobójstwie. Raz będąc w dalekim mieście, po obiedzie (z alkoholem), idąc już na dworzec, zmieniłem nagle kierunek i natknąwszy się na księgarnię kupiłem Nowy Testament. Wielogodzinna podróż zdała mi się kwadransem. Czytałem i ... płakałem. Potem kupiłem modlitewnik *Jezus i Marya,* ks. A. L. — a z kolei mszalik ks. Machaya. Boże, Boże Miłosierny, Dobry, Wszechmocny Boże! Dziękuję Ci i do śmierci dziękować Ci będę za światłość, jaką mam teraz w sobie! Uważam — i mówię to jak najszczerzej — że Msza św., tak pokorna a tak piękna Ofiara dla Stwórcy, jest już obecnie najpiękniejszym moim przeżyciem duchowym. Nie ograniczam się do Mszy św. w niedzielę, ale staram się być i częściej z Nim. Piękno liturgii, niewysłowiona mądrość psalmów, graduałów i lekcji, są balsamem na wszystkie me smutki (a tak już czasem byłem i znudzony światem!). *Myśli* Pascala były dla mnie jednym wielkim przeżyciem i ugruntowaniem, a *Znak Jonasza* Mertona — niezapomnianym dobrym wstrząsem.

„Ześlij światłość Swoją i Prawdę Swoją. One mnie wiodły i przyprowadziły na świętą górę Twoją i do przybytków Twoich."

„Panie, umiłowałem piękno domu Twego i miejsce mieszkania chwały Twojej!"

„Będę Cię wychwalał na harfie, Boże, Boże mój!"

Boże, Boże mój. Jak przekonać innych, zimnych, do tego światła, jakie świecić się będzie we mnie aż do śmierci?

N. N., ankieta 243
Kobieta, lat 35
Wykszt. średnie
Duże miasto

Gdzieś w roku 1942—1943 zastanowiły mnie podczas odczytywania przez księdza Ewangelii, słowa: „W sprawach Ojca mego potrzeba, abym był". W tym momencie uświadomiłam sobie zupełnie wyraźnie, że Bóg jest także moim Ojcem.

Teraz modliłam się nie dlatego, że tak nauczyła mnie matka, albo że modlić się nakazują przykazania, teraz modliłam się, bo odczuwałam potrzebę modlitwy. Teraz starałam się we Mszy świętej uczestniczyć i to nie tylko w niedzielę i święta, ale codziennie,

przystępując również jak najczęściej do Komunii św. Podczas Mszy św. modliłam się z mszalika (mszalik na niedziele i święta). W tym okresie bardzo głęboko odczuwałam przynależność do Kościoła. Bóg mój był dla mnie Bogiem miłości i Ojcem najlepszym. Rozmawiałam z Nim tak jak z Ojcem, zwyczajnie, bez dobierania wzniosłych słów. Rozmawiałam z Nim o wszystkim: o radościach i smutkach, o najbliższych, tak żywych jak i umarłych i o wiele, wiele rzeczy prosiłam dla siebie i innych. Tak modlić się nauczył mnie ksiądz prefekt. Potem zrozumiałam, że nie tylko należy Boga prosić, należy Mu również dziękować, a przede wszystkim należy Go również uwielbiać. Starałam się wszystkie swoje zajęcia całodzienne uczynić modlitwą. „Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek bądź czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie."

Modlitwa była mi radością. Modlić się mogłam długo i często bez słów. Często też odmawiałam różaniec. Codziennie wieczorem robiłam rachunek sumienia. Modliłam się nie tylko w kościele, nie tylko rano i wieczorem, ale również w ciągu dnia. Modliłam się na ulicy, w kinie, na wycieczce. Co mnie skłaniało do tego? Chciałabym być jak najbliżej Boga. Czasem skłaniało mnie do tego piękno przyrody, a nieraz ktoś idący ulicą.

Potem wszystko runęło.

Pamiętam tylko moment, kiedy pragnęłam służyć Bogu w oschłości, być wierną Mu, kiedy się nie odczuwa miłości ani Jego obecności. Od tej chwili coraz trudniej było mi się modlić. Już nie odczuwałam radości na modlitwie. Nie chciałam się z tym pogodzić, co zaszło, chciałam, żeby wróciło tamto. Starałam się w dalszym ciągu modlić jak przedtem, ale nie mogłam. Zaczęłam się więc zastanawiać, dlaczego ja się modlę? Gdybym była wychowana bez Boga — czy doszłabym do Niego? A gdybym była wychowana w protestantyzmie, czy doszłabym do poznania Prawdy?

Potem przyszły grzechy ciężkie. Moją modlitwą było: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?" A potem nie mogłam się w ogóle modlić. Wydawało mi się, że Bóg mnie opuścił. Zaczęłam się zastanawiać, czy Bóg w ogóle istnieje?

Na Mszę św. w niedziele i święta chodziłam jedynie dlatego, żeby nikt w domu nie domyślił się, co się ze mną dzieje. Ale było mi źle bez Boga i zaczęłam się modlić: Boże, jeśli jesteś, spraw, abym uwierzyła.

Nastąpił powrót do Mszy św. Z początku dlatego, że ze Mszy św. spływał na mnie spokój, uciszenie wewnętrzne. Po jakimś czasie

zaczęłam się modlić: Boże, mimo niewiary — wierzę! Boże, bądź miłościw mnie grzesznej. „Zmiłuj się nade mną, Boże, według wielkiego miłosierdzia Twego!". i do Niepokalanej — „Pomnij o Najdobrotliwsza..."

Inaczej się modlić nie mogłam. Nie mogłam też odmawiać „Ojcze nasz". Często też zachodziłam do kościoła, aby w ciszy, w obecności Pana Jezusa przemyśleć wiele rzeczy.

Następną modlitwą było: Boże w dobroci... A teraz już także „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Maryjo".

Teraz wiem, że bez Niego nic nie potrafię, że bardzo wiele jeszcze nie wiem i nie rozumiem, ale ufam Mu.

S. J. M., ankieta 367
Mężczyzna, lat 34
Prawnik
Małe miasto

Mam lat 34. Wyższe studia prawnicze ukończyłem w r. 1951. Do roku 1958 byłem niewierzącym. (W zasadzie od urodzenia.) Stałem się katolikiem praktykującym jesienią 1958. Moja rodzina była i jest ateistyczna (inteligencja pracująca). Z katolicyzmem zapoznałem się za pośrednictwem prasy. Najpierw (od 1945 r.) czytałem „Tygodnik Powszechny" z ciekawości politycznej.

Czytam dość dużo książek o katolicyzmie. Raz do roku odbywam pielgrzymkę do Częstochowy. Utrzymuję kontakty towarzyskie z księżmi. Źródłem utrzymania jest wykonywanie praktyki prawniczej.

Często rozmyślam na tematy religijne. Lubię też prowadzić na ten temat rozmowy z innymi osobami.

Dlaczego się modlę? Można by to pytanie zastąpić innym: dlaczego jestem katolikiem? Jestem nim jak najbardziej „z wyboru" (jeżeli taki zwrot może mieć sens: przecież Bóg wybiera ludzi, a nie odwrotnie...).

Dlaczego się modlę? Chcę na to pytanie odpowiedzieć skromniej i bardziej bezpośrednio. Modlitwa krzepi. Utkwiło mi w pamięci opowiadanie drukowane przed laty w „Tygodniku Powszechnym". Bohater podsuwa misjonarzowi paczkę konserw. Proszę, powiada, niech Ojciec je... Misjonarz nie bierze. Dziękuję, ja się raczej pokrzepię modlitwą.

Może to zestawienie jest trochę trywialne. Ale ja owo „krzepienie się" właśnie tak pojmuję. Najdosłowniej. Gdy wargi zaczynają poruszać się słowami modlitwy, odnoszę wrażenie, jakbym unosił się — dajmy na to balonem — wysoko ponad bieżące sprawy i troski. Nie uciekam od nich. Mam je stale w zasięgu swojego widzenia. One są przecież w pewnym sensie przedmiotem modli-

twy: dziękczynnej, błagalnej, zadośćczyniącej. A czasem nawet uwielbiającej Boga. Nie, stanowczo nie jest to ucieczka. To po prostu zmiana perspektywy. Trochę tak jak w kinie. Gdy siedzimy zbyt blisko ekranu — oczy bolą i obraz jest zamazany i niepokojący. Gdy oddalimy się nieco, wszystko staje się klarowniejsze.

Właśnie na tym — w pierwszym rzędzie — polega krzepiąca siła modlitwy. Może i dlatego ustanowiłem taki system modlenia się, przy którym odrywam się (w wyżej sformułowanym sensie) pięć razy dziennie od spraw bieżących.

Czy to jednak wyczerpuje sprawę? Raczej nie. Drugą przyczyną jest coś, co nazywam „dotknięciem wieczności". Jest taki ludzki odruch: gdy spotyka nas coś miłego, szczypiemy się, aby upewnić się, że to nie sen, lecz jawa. Gdy grozi niebezpieczeństwo — ściskamy broń w kieszeni, choć przeciwnika nie widać. Mam wrażenie, że podobne uczucie kierowało ręką „niewiernego Tomasza"...

Otóż gdy się modlę, doznaję podobnego uczucia. Wypowiadam słowa, o których zapewnia się mnie — a ja mam zgoła rozsądne podstawy, żeby tym zapewnieniom ufać — że są słuchane przez samego Boga, przez Matkę Boską, przez świętych. Tak jakbym jednocześnie nadawał list i miał pewność, że Adresat już go otrzymał. Czasem otrzymuję coś w postaci „zwrotnego poświadczenia odbioru", czasem mam tylko pewność intelektualną.

Jest to dla mnie — owo dotknięcie wieczności — sprawa wielkiej wagi. Od najmłodszych lat byłem zdania, że bilans doczesnej sytuacji jest zdecydowanie minusowy. Jest więcej cierpienia niż radości. Pomyśl, ile naprawdę szczęśliwych dni miałeś w życiu, a dojdziesz do wniosku, że umieranie nie jest najgorszą rzeczą, jaka się może przytrafić w życiu.

Z tego względu permanentna świadomość istnienia „drugiej płaszczyzny", na której — jak się pięknie wyraża ojciec Malachiasz — wszystko się wyprostuje, ma dla mnie kolosalne znaczenie.

Istnieje też trzecia funkcja. Jestem najgłębiej przekonany o skuteczności modlitwy. Moje pióro zatrzymuje się w tym miejscu. Doznaję szczególnego uczucia. Chcę dużo powiedzieć. Ale czy wszystko powiedzieć można?

A więc skuteczność modlitwy. Są przeciw Bogu argumenty teoretyczne i są argumenty praktyczne. Wśród tych ostatnich dwa mają sytuację dominującą: cierpienie oraz bezskuteczność modlitwy. Przecież powiedziano, abyśmy się modlili. Abyśmy prosili! I tyle razy niebiosa pozostały głuche.

Powiedziałem: argument praktyczny. Bezskuteczność modlitwy

tak łatwo wytłumaczyć. I tak nietrudno jest to tłumaczenie przyjąć do wiadomości. Teoretycznie więc sprawa jest prosta.

Ale spróbujcie zaakceptować. Spróbujcie się z tym pogodzić. Nie teoretycznie, ale praktycznie — wśród rozgoryczenia na widok głuchych niebios.

Skuteczność modlitwy była zawsze dla mnie sprawą zasadniczą. Popularna jest wśród inteligencji myśl czy skłonność ku modlitwie „bezprośbowej". Można w tej postawie widzieć pychę. Sam sobie poradzę ... Ale można też dostrzec coś innego. Obawę przed rozgoryczeniem. Obawę przed bezskutecznością.

Długo i wiele nad tą sprawą myślałem. Lękałem się modlitwy, która o coś prosi. A jednocześnie dziś po pięciu latach od mojego nawrócenia się widzę wyraźniej niż kiedykolwiek pewną rzecz. Byłoby zuchwalstwem z mojej strony uprawiać anatomię łaski, która zwróciła mnie ku Bogu. Ale z tym zastrzeżeniem: myślę, że pewien kompleks próśb, pewien kompleks nadziei na rzeczy czysto doczesne skłoniły mnie ku Bogu. Było ze mną źle. Groziły różne niebezpieczeństwa. Pomyślałem sobie: może zwrócić się ku Niemu. Tyle razy zawiodło. Postanowiłem: będę katolikiem. Podporządkuję się wszystkim regułom... Z doktryną byłem jako tako już zapoznany. Czy wierzyłem wtedy? Można odpowiedzieć pytaniem: a czymże jest wiara? Strumyk przekonania i nadziei wpadający do oceanu wątpliwości, niewiedzy i tajemnicy.

Dość teologii. Mam pisać o moim przekonaniu co do skuteczności modlitwy. Czy wierzę w jej skuteczność? Odpowiadam dość mętnie i z dygresjami.

Historycznie rzecz biorąc, w pierwszej mojej modlitwie była prośba — więcej: właśnie nadzieja, że modlitwa może pomóc, leżała u podstaw decyzji, żeby zacząć się modlić. Bezradność wyciągająca ręce o pomoc: taka była moja pierwsza modlitwa.

Ówczesne prośby zostały wysłuchane. Bóg uczynił mnie swoim dłużnikiem. A teraz? Zanoszę do Boga wiele próśb. Konkretniejszych i bardziej ogólnych. Jedne zostają wysłuchane. Inne nie. Jaka reakcja? Różna. Wiem, że to, co zostało „odrzucone", widocznie powinno było być odrzucone. Drogi Boga nie są naszymi drogami. To wszystko jasne i proste. Ale nie łatwe.

Nie. Nie mam do Pana Boga merytorycznych pretensji o niespełnienie prośby. W ogóle nie mam żadnych pretensji. Ale czasem mi jest smutno. Nie tyle dlatego, że prośba poszła na marne. Głównym powodem smutku jest co innego. To, że istnieje taka rozbieżność między moją wolą i Jego. Że tak trudno mi realizować w pokorze, ale i w pokoju, „Bądź Wola Twoja..."

I wtedy myślę o innym aspekcie skuteczności modlitwy. Myślę

o jakimś zbliżeniu do Boga. Nie myślę o sprawach mistyki. Chodzi o rzecz znacznie prostszą. O poddanie się woli Boga. Bowiem owo poddanie się nie jest tylko i wyłącznie jakimś „nagięciem się", jakimś „stłamszeniem". Jest w swej istocie czymś zupełnie innym: utożsamieniem się, identyfikacją. A więc — zbliżaniem się. Ból i smutek, które towarzyszą rezygnacji i poddaniu się, mogą być zamienione na radość zbliżenia się mojej woli do woli Bożej.

W chwili obecnej właśnie to wysuwam na plan pierwszy w swoich modlitwach. I myślę, że chyba w tym ujęciu modlitwa jest zawsze skuteczna. Czasem to jest tylko jeden krok na wielkiej drodze. Ale każdy krok się liczy. I każdy jest ważny.

Ale powracam do tego pierwszego aspektu. „Proście, a będzie wam dane." Śmieszne jest próbować statystyki dla ustalania uczuć religijnych. Wydaje mi się jednak, że zwątpienie w skuteczność modlitwy — jakie cechuje świat współczesny i które mnie od czasu do czasu atakuje — opiera się na bardzo ciekawej przesłance. Idzie o oczywistość i bezpośredniość skutku. Jeżeli wypiję szklankę wódki — wiadomo, co będzie. Jeżeli naleję do baku w samochodzie oliwy zamiast benzyny — wiadomo, co będzie. Tego rodzaju operacje cieszą się zaufaniem. One stanowią w coraz większej mierze „model" naszego myślenia.

Jeżeli zaś upominam dziecko, wkraczające na złą drogę — skuteczność tego działania jest nieporównanie bardziej problematyczna. Albo dziecko poprawi się, albo się nie poprawi. Istnieje też jeszcze trzecia możliwość, że zepsuje się jeszcze bardziej. Coraz szerzej narasta bunt przeciwko tego rodzaju sytuacjom. Jakiś anarchiczny, całkiem irracjonalny bunt. Żąda się, aby skuteczność działań pedagogicznych była identyczna ze skutecznością działań technicznych. Żeby była tak samo oczywista i tak samo pewna.

A przecież w szeregu dziedzin tak być nie może. Tym gorzej dla tych dziedzin! Tym gorzej dla humanistyki, dla nauk prawnych, dla nauk społecznych, filozoficznych itp.

Właśnie podobnie ma się rzecz z modlitwą. Wspominałem wyżej o statystyce. Odrzucam prośby oczywiście niesłuszne. Odrzucam prośby stanowiące „kuszenie Boga". Odrzucam prośby składane w złej wierze. Jeśli to wszystko odrzucimy, to procent próśb skutecznych będzie w moim przynajmniej wypadku bardzo wysoki. Statystycznie zatem rzecz ujmując, prośby są skuteczne, modlitwy są skuteczne. Natomiast oczywistość i pewność skuteczności tych próśb jest niewielka. No cóż, to kwestia wiary. Już w Piśmie św. jest mowa o wierze tak silnej, że zdolna jest przenosić góry.

I tutaj — wydaje mi się — dochodzę do sedna sprawy. Istnieje wyraźny związek między skutecznością modlitwy i wiarą w jej

skuteczność. Zbyt wiele próśb wysyłanych w modlitewnych kopertach do Pana Boga jest upstrzona kleksami wątpliwości.

Jest to stwierdzenie pesymistyczne i optymistyczne zarazem. Mam przecież szereg uchwytnych sposobów pogłębiania wiary. Mogę zatem przyczyniać się do tego, aby wiara moja była coraz silniejsza. Im zaś silniejsza wiara, tym większa nadzieja, że modlitwa moja będzie skuteczna...

N. N., ankieta 197
Kobieta, lat 45
Wykszt. średnie
Duże miasto

Wyjechałam z Polski do Francji w 1934 roku, mając zaledwie lat szesnaście, i od tej pory stale mieszkam w tym kraju. Mieszkam na jednym z przedmieść Paryża.

Kto mnie nauczył modlić się? Oczywiście, matka. Oboje rodzice byli bardzo religijni. Mieli swoje ulubione modlitwy. Ojciec rozpoczynał każdy swój dzień odmawianiem i śpiewaniem „Godzinek". Matka żywiła specjalny kult do różańca. Jedynie choroba i to poważna mogła usprawiedliwić opuszczenie niedzielnej Mszy św. Mimo że kościół był oddalony o 5 km od domu zimą czy latem obowiązkowo trzeba było wysłuchać Mszy św. Z tych odległych lat pozostało mi wspomnienie pięknie spiewanych pieśni np. Suplikacji. Nie mogę bowiem powiedzieć, że wówczas uczestniczyłam we Mszy św. Nie przypominam sobie, by nam ksiądz katecheta kiedyś wytłumaczył, co to jest Msza św., i sens każdej modlitwy, którą kapłan odmawia przy ołtarzu.

Moje pierwsze zetknięcie się z kościołem we Francji było bardzo smutne. Przyjechałam do małej wioski koło Lyonu. Na jedynej Mszy św. niedzielnej było tylko kilka kobiet i dzieci. Powoli zaczęłam się przyzwyczajać do życia we Francji. Potrzebę modlenia się w tym okresie odczuwałam znacznie silniej niż w kraju. Modląc się czułam się mniej osamotniona.

Od czasu do czasu spotykałam miejscowego księdza proboszcza i porównywałam jego prostotę i dobroć z odpychającą dumą księdza proboszcza mojej parafii w Polsce. Postawa księdza, ustosunkowanie się do powierzonych mu parafian, zrozumienie duszy ludzkiej w każdej sytuacji to najlepsze apostolstwo i nauczanie, które sprawia, że w ciężkich sytuacjach człowiek udaje się do kościoła.

Podczas wojny mieszkałam i pracowałam w Lyonie. W roku 1941 miałam szczęście zetknąć się ze siostrą szarytką, Polką. Ta mnie zachęciła do wzięcia udziału w rekolekcjach zamkniętych, organizowanych dla młodych Polek z okolic Lyonu. Było to dla mnie wielkie przeżycie. Podczas tych rekolekcji odkryłam sens życia, ustosunkowanie się katolika do otoczenia i potrzebę intymnego ży-

cia z Chrystusem. Zrozumiałam potrzebę Mszy św. i to nie tylko raz w tygodniu w niedzielę, ale w miarę możliwości w każdy dzień, jako wyraz najdoskonalszej modlitwy.

Rekolekcje te były organizowane każdego roku na wiosnę u sióstr szarytek (francuskich), które oddawały do naszej dyspozycji obszerny dom z ogrodem poza Lyonem. Każdego roku starałam się brać udział w tych rekolekcjach. Moim zdaniem jest to najlepsza terapia dla duszy.

Ostatnie rekolekcje zamknięte, skąd wyniosłam cenne wskazówki dla mego przyszłego życia, miały miejsce u sióstr Urszulanek w Virieu sur Bourbe w 1944 r. Siostry były Polkami i dołożyły wszelkich starań, aby te kilka dni spędzone w zaciszu klasztornym były dla nas odnowieniem naszych dusz w modlitwie i rozmyślaniu.

Nim wyszłam za mąż, modliłam się dużo i często w tygodniu zaczynałam mój dzień pracy wysłuchaniem Mszy św. i przystąpieniem do Komunii św. Potem przyszły inne obowiązki i praktyki religijne dosyć ucierpiały, chociaż Mszy niedzielnej nigdy nie opuściłam. Gdy nie było czasu albo możliwości skupienia się na dłuższą modlitwę zaczęłam odmawiać akty strzeliste. Zdaniem moim jest to bardzo dobry sposób rozmawiania z Bogiem. Nawet będąc bardzo zaabsorbowaną pracą czy troskami można się oderwać na chwilę myślą od ziemi przez krótkie: „Jezus, kocham Cię", „Boże, bądź mi miłościw", „O Mario bez grzechu poczęta, wstaw się za nami" itp.

W parafii, w której obecnie mieszkamy, jak już nadmieniłam, na przedmieściu Paryża, Msze św. są dialogowane. Uważam, że w ten sposób wszyscy wierni naprawdę uczestniczą we Mszy św. Mam mszał rzymski O. G. Lefebvre'a, benedyktyna, w polskim przekładzie i bardzo lubię się z niego modlić. Gdy kapłan przy ołtarzu czyta epistołę czy ewangelię po łacinie, to ja ze swej książki po polsku. Natomiast jeśli ktoś, jak to jest we Mszy św. dialogowanej, czyta epistołę czy ewangelię głośno po francusku, wówczas tylko słucham.

Przechodząc koło kościoła w tygodniu, czasem wpadam do niego na chwilę. Jednak kościół dla mnie jest bardziej Domem Bożym, gdy jest zapełniony wiernymi i gdy lud uczestniczy w Bezkrwawej Ofierze, którą kapłan celebruje na ołtarzu a podczas Komunii przystępuje do Stołu Pańskiego. Z kościoła po *Ite, missa est* wychodzę zawsze wzmocniona duchowo i staram się, aby mój kontakt z Jezusem po Komunii św. udzielał się najbliższemu otoczeniu. W tygodniu, gdy mam możliwość wysłuchania Mszy św., lubię odmawiać z kapłanem modlitwy po każdej cichej Mszy św.

Psalmy zaczynam poznawać, odkrywać i kochać. Są bardzo współczesne i pełne człowieczych problemów na codzień.

W naszej parafii staraniem zespołu liturgicznego mamy raz w miesiącu wykłady biblijne, prowadzone przez jednego z wybitnych znawców tego przedmiotu. Mam Biblię (*La Bible de Jerusalem*). Korzystam z tych wykładów, a w domu od czasu do czasu staram się coś przeczytać z Biblii i przemyśleć.

Należę do Akcji Katolickiej od 18 lat. Udzielam się w miarę możliwości na terenie parafii (francuskiej). Ulubionym moim zajęciem jest nauczanie katechizmu małych dzieci.

Trzy lata temu ksiądz proboszcz powierzył mi przygotowanie do chrztu św. 22-letniej dziewczyny z naszej dzielnicy. Wychowana w bezwyznaniowej rodzinie, o kapłanach i zakonach miała jak najgorsze pojęcie. Mimo to od najmłodszych lat, jak mi się później zwierzyła, czuła się pokrzywdzona, czuła, że czegoś jej brak. Poznała młodzieńca z rodziny katolickiej i poprzez rodzinę przyszłego męża zaczęła poznawać chrześcijan i zapragnęła należeć do wielkiej rodziny chrześcijańskiej, do Kościoła.

Nadmieniam o tym dlatego, że sama wiele skorzystałam z rozmów z katechumenką. Nauczyłam się patrzeć innymi oczyma na bliźnich, którzy żyją z dala od Matki Kościoła. A nadto i dlatego, że katechumenka moja po wstąpieniu do Kościoła, popadła w ciężką i nieuleczalną chorobę. Kiedy ją obecnie odwiedzam, mówi mi często, że bez pociechy i wzmocnienia, które otrzymuje przez Komunię św. i modlitwę, nie byłaby w stanie znosić swoich cierpień.

Poza Mszą św., która, oczywiście, jest najdoskonalszą modlitwą, lubię odmawiać i rozważać różaniec. Ponieważ w domu trudno mi się skupić przy odmawianiu różańca, najczęściej robię to idąc ulicą (gdy idę sama) lub w autobusie, czy w metro paryskim. Zawsze mam przy sobie koronkę, a przesuwanie paciorków w kieszeni nie sprawia żadnych trudności. Gdy wracam wieczorem do domu w natłoczonym metro, obserwuję smutne, zmęczone twarze żon, matek, na które jeszcze czeka tyle pracy w domu, i ofiarowuję zdrowaśki za wszystkich podróżujących ze mną, z których każdy ma jakieś swoje troski.

Napisałam dosyć chaotycznie, dlaczego się modlę i jak się modlę. Poza tym wszystkim dla mnie modlitwa to rozmowa z Bogiem, jak rozmowa ojca z dzieckiem. Nie musi więc ona mieć miejsca jedynie w kościele, na pielgrzymkach, odpustach czy rekolekcjach, aczkolwiek podniosłam ich ważność. Niekoniecznie klęcząco, może być i w łóżku. Ofiarowanie swoich cierpień i dolegliwości, co za piękna modlitwa. Również i praca czasem bardzo żmudna, niewdzięczna

może mieć wielki walor modlitewny, tym większy u Ojca w Niebiesiech, im mniej się myśli o sobie i prosi dla siebie. Zdaje mi się, że jak wymagające dzieci za dużo w modlitwach prosimy, a rzadko pamiętamy wielbić Stwórcę, dziękować za piękną harmonię przyrody, za zdrowe ręce do pracy, za przyjazny uśmiech bliźniego itp.

„Chłop", ankieta 384
Mężczyzna, lat 53
Wykszt. wyższe

Modlitwa w mym życiu to jego rytm. Różny w różnych okresach. Niemniej sprawą bardzo istotną dla mnie jest gimnastyka poranna i wieczorna, kiedy przechodzę chociaż na chwilę do postawy klęczącej, jak również chwila w niedzielę, kiedy w tej postawie jestem dłużej, w pozycji możliwie poprawnej, a więc na obu kolanach. Również i krzyż mierzę przy tym prawidłowo, na całą szerokość piersi i równą dłonią.

Podkreślam sprawy techniczne, właśnie one w mym życiu znaczą dużo. Mam momenty krytyczne i opanowana technika zautomatyzowaniem pozwala mi przez nie przebrnąć. Wyrobiony rozmach ręki, czystość uklęku jest bardzo ważnym dla mnie kołem zamachowym. Ale i w tym znalazły się perturbacje. Kiedyś przed wojną w okresie dość nieuregulowanych moich zajęć wakacyjnych — też chciałem więcej zarobić — nie bardzo regularny byłem w modlitwach zwłaszcza porannych. Spowiadałem się więc z tego dość twardo w czasie podróży służbowej, w którymś kościółku na Wołyniu, gdzie pracowałem. I oto ksiądz zaczął mię tłumaczyć, uspokajać, że opuszczenie modlitwy porannej to nie taki grzech, że wystarczy westchnąć do Pana Boga i to też będzie zadośćuczynieniem. O ile w modlitwie wieczornej jestem nadal regularny, to w modlitwie porannej już blisko trzydzieści lat się męczę, by wrócić do dawnego automatyzmu. Oczywiście, nie chcę winić mojego księdza spowiednika, niemniej jest coś w naturze człowieka, czemu nie można pobłażać i nawet małe rozmiękczenie uzyskanego rygoru ma kolosalne konsekwencje. Wdrożenie do tego mam, oczywiście, po matce chłopce. Modliła się ogromnie żarliwie. Wielkie znaczenie mają w tym chwile z pierwszej wojny światowej, kiedy poszedł na wojnę ojciec. Ale nie tylko modlitwy za niego rano i wieczór, a zwłaszcza w okresie, kiedy dostał się do niewoli i dłuższy czas nie było o nim wieści, miały przez swą intensywność znaczenie, lecz również okoliczności szczególnie dramatyczne. Oto z rozbitego więzienia w Wiśniczu przedarł się do naszej okolicy, skazany za udział w morderstwie na długoletnią karę, dawny mamy konku-

rent, zwany przez nią zbójem. Wysoki, urodny, z nimbem harnasia w okolicy (pogranicze krakowsko-góralskie), przychodził do nas tylko w nocy. Miałem wtedy pięć lat, potem sześć i siedem. Mama kładła mię najczęściej spać po południu, by budzić mię w nocy. Nie chciała być sama. Ale z wieczora, nim przyszedł nocny gość, o którym wiedzieli austriaccy żandarmi, ale bali się z nim zetknąć, klękała przed obrazami świętymi, wiszącymi rzędem na ścianie, i wbitych w nie z ogromną prośbą oczu matki nigdy nie zapomnę. Ja też się modliłem, by mama miała siłę nie dać się zbójowi, chociaż, oczywiście, sytuacji w pełni nie rozumiałem. Wraz z tym jednak usłyszane zdanie mamy, wypowiedziane do sąsiadki na widok fotografii nowego cesarza Karola, że ma grube wargi i taki umiałby całować, ale pewnie wszystkie, a całować się winno tylko swego jednego chłopa — dla mnie tym wyrazistsze, że zbój miał też podobne wargi — stało się wraz z modlitwą też mocną wytyczną w życiu, której zostałem wierny, choć zrodziła się tak przypadkowo.

Mama modliła się instynktownie, uczuciowo, ale z głębi serca. Ojciec natomiast był mimo braku wykształcenia wspaniałym apologetą, o czym mówił mi potem jego towarzysz w niewoli, żyd, niemniej z regularnością w jego modlitwach codziennych było trudniej. I chociaż Mszy w niedzielę nie opuścił nigdy, to jednak do spowiedzi wielkanocnej musiała go mama co roku holować. Też nie zapomniane w swym uroku obrazy. Moja modlitwa w okresie dzieciństwa oraz — uczniowskim i studenckim — była ogromnie żarliwa i ufna, chociaż życie nie układało się nam pomyślnie. Umierały mi siostry, padały krowy, niszczyli złodzieje, a wreszcie umarła mi matka na gruźlicę, po której i ja na nią zapadłem. Chwile przed ołtarzem Matki Bożej Siedmiu Boleści u franciszkanów w Krakowie były nie tylko momentem uchwytywania równowagi, ale rodziła mi się po nich niejednokrotnie wprost cudowna sytuacja, gdy wydawało się, że już nie ma dla mnie wyjścia. I chociaż nie mogłem odwrócić przeczuwanego wyroku na matkę, to jednak w ciężkim życiu codziennym odczuwałem wciąż opiekę boską. Nawet kiedy za pracę w „Wiciach" wytoczono mi procesy, one niespodziewanie pomogły mi zdobyć tak trudne wówczas do otrzymania stypendium.

Modlitwa pozwoliła mi utrzymać równowagę po śmierci żony przy drugim dziecku, na wschodzie, gdy bliski mój znajomy w takich samych warunkach ją stracił. Z modlitwą pracowałem w tajnym nauczaniu. Po wojnie nie mam z nią łatwiejszego życia, niemniej w bardzo trudnych warunkach niejednokrotnie znajduje się jakieś wyjątkowe wyjście. Jednak nie mam w niej dawnej ufności i nie mogę powiedzieć, bym mógł z nią wiązać tak jak

dawniej skutek. Jest w tym może słuszne oczyszczenie ze zbyt magicznego stosunku, niemniej żal mi dawnego napięcia i prostoty i mam wciąż przekonanie, że do niego wrócę. Tym właśnie więcej cenię zewnętrzne akcesoria modlitwy, które mię wiążą z najodleglejszym moim dzieciństwem i dają ufność przełamania obecnego mego sceptycyzmu. W modlitwach stosunkowo mało posługuję się różańcem. Od młodości łapię się tutaj na próżniactwie. Bez skutku. Stwierdzam też sygnalizowane odejście od nabożeństw maryjnych, chociaż należałem do sodalicji mariańskiej i z wielkim przeżyciem brałem udział w wielodniowej pielgrzymce do Kalwarii Zebrzydowskiej. Lecz łączy się to chyba z poprzednio już wspomnianym mym kryzysem. Niedzielną Mszę świętą wypełniam przede wszystkim jakąś swobodną adoracją Boga, wspomnieniami chwil z młodości, rodziców, bliskich, moich pól, dawnych nabożeństw, szukaniem w tym sensu, dziękczynieniem lub czytaniem rozdziałów *O naśladowaniu Chrystusa* z ocalałego sprzed wojny egzemplarza. Bliski mi jest ich średniowieczny charakter i w miejscach odwiecznych modlitw poprzednich pokoleń doznaję szczególnych wzruszeń. Toteż mam żal do niewłaściwie pojętej konserwacji niektórych miejsc szczególnego kultu. Np. w kościele Mariackim w Krakowie lubiałem klęknąć w żłobiznach przed Krucyfiksem, czując się jednym z tych, którzy z ufnością klękali przed Ukrzyżowanym przez tyle pokoleń, aż w stopniach ołtarza od kolan zrobiły się wyrwy. Niestety, po wojnie, gdy przygotowawszy odpowiednio młodzież tam ją poprowadziłem, stwierdziłem, że, niestety, wprawiono nowe stopnie, które dawną drogę do Boga zamazały zupełnie.

Wielka wrażliwość estetyczna matki połączyła moją modlitwę z kontemplacją piękna w każdej postaci, a więc przyrody, sztuki ludowej, architektury, malarstwa, rzeźby dawnych epok, nowej. Chociaż, uprzedzony w szkole, znalazłem drogę do odczucia bizantyjskiego porządku. Najbardziej awangardowa, ale religijnie zaangażowana sztuka współczesna, jest mi szczególnie bliska, szczególnie pomocna w modlitwie. Dlatego żal ściska mię w niejednym kościele na zachodzie, gdy ich opiekunowie realizują swoje upodobania i szukają takich wykonawców, którzy się na to godzą, a więc ptaków niewielkiego lotu, a czasem w ogóle bez lotu, gdy dla ambitnego twórcy mogłaby taka okazja stać się drogą jak dla Undset do Kościoła. Stąd znów taka wdzięczność dla ks. Kądziołki w Nysie czy dla opiekuna kościoła w Białogrodzie w koszalińskim, że umieli w starych kościołach podjąć wielkiego ducha przeszłości, by nim wzmóc współczesność. Zaskakujące piękno przyrody też wprawia mię w modlitwę, chociażby otaczała mię najbardziej rozkrzyczana młodzież w czasie obozów

wędrownych. Niestety, nie ma ona dziś tak głęboko czujących matek, które by jak mnie na przekór ciasnocie księży prefektów w szkole średniej dały jasną drogę na przyszłość. „Nic innego nie mogę ci dać na drogę w świat prócz uczciwie z tobą odmówionego pacierza", powiedziała mi matka, kiedy bez żadnych środków szedłem na studia uniwersyteckie, za które również ona zapłaciła śmiercią.

Proszę wybaczyć chaotycznej formie mej wypowiedzi, ale by całość przeanalizować, trzeba by było znacznie więcej czasu, którego wciąż nie ma. I może trzeba było by mieć życie mniej chaotyczne. Dlatego tak w nim cenię rygor modlitwy. Niemniej jednak chciałbym podkreślić ogromną wartość dla mej modlitwy poczucia w niej wspólnoty ze zbiorowością. Lubię, potrzebuję zbiorowej modlitwy, która łączy ze wszystkimi, właśnie różnymi w wykształceniu, posiadaniu, wieku. Dlatego też zazdrośnie uczestniczyłem w nabożeństwach greckokatolickich, prawosławnych. Lubię pielgrzymki, ale nie bardzo mogę brać w nich udział.

Ogólnie więc modlitwa moja jest mniej intelektualna. Lubię klęczeć i bliski mi jest instynktowny ścisk chłopskich mas przed cudownymi obrazami, jestem jednym z tych, co się pchają.

N. N., ankieta 338
Kobieta
Wykszt. wyższe
Małe miasto

Wychowała mnie Babka i Matka, obie mądre, religijne i praktykujące. Mimo to w domu o tych sprawach mówiło się, o ile pamiętam, mało.

Moją religijność z lat szkolnych i gimnazjalnych trudno było nazwać głęboką. Lekcje religii nudziły mnie, lektura książek religijnych raczej nie pociągała. Do kościoła w niedziele i święta chodziło się regularnie. „Wpadałam" również nieraz na krótką modlitwę przed ołtarz Matki Boskiej Ostrobramskiej w naszym parafialnym wówczas kościele św. Aleksandra w Warszawie, w strachu przed klasówką lub innymi szkolnymi kłopotami.

W czasach akademickich duży wpływ wywarły na mnie rekolekcje prowadzone przez księdza Szwejnica. Również ważnym wydarzeniem było zakupienie mszału rzymskiego, co pozwoliło zorientować się w liturgii i więcej świadomie brać udział w modlitwach roku kościelnego. Po studiach przyszła ciekawa praca i bardzo szczęśliwe małżeństwo. Mąż mój, ewangelik, wielkiej zacności człowiek, prawdziwy przyjaciel, a przede wszystkim chrześcijanin w całym tego słowa znaczeniu, bardzo życzliwie do katolicyzmu nastrojony, uczęszczał ze mną gorliwie do kościoła w niedziele.

Jednak w owym czasie miałam duże trudności ze spowiedzią, a co za tym idzie z częstą Komunią. Jakoś nie bardzo mogłam trafić na spowiednika ani na odpowiednią lekturę i jasne wytłumaczenie, co w małżeństwie wolno a co nie, co jest grzechem a co nie. Zupełnie nie rozumiem, czemu te rzeczy nie były ze mną wtedy tak jasno omówione i przemyślane, jak obecnie to jest z moim synem. Wtedy mój kontakt z Bogiem byłby ułatwiony i miałoby to wpływ na modlitwę i praktyki.

Następnie przyszła wojna i szereg związanych z nią nieszczęść osobistych a przede wszystkim strata najdroższego męża i matki, z którą zawsze bardzośmy blisko żyły. W związku z tym wszystkie moje plany życiowe zupełnie się zmieniły.

W obliczu tych nieszczęść i tej całej katastrofy życiowej właściwie nie umałam się modlić. Pan Bóg nie był mi bliski a wiara moja bardzo słaba. Cierpiałam, bo musiałam, tępo i bez żadnego pożytku, nie rozumiejąc sensu tego, co się stało. Praktykowałam jednak wiernie, chyba jednak bez wielkiego przekonania.

Po paru latach, po wojnie, ból zelżał, a coraz większą moją radością zaczął stawać się mój synek, chłopak wyjątkowo udany, dobry jak mój mąż, opiekuńczy i kochający, zdolny i solidny.

W tym czasie zaczęłam czytać i ogromnie polubiłam „Tygodnik Powszechny". Czytałam go zawsze „od deski do deski". Artykuły religijne zaczęły mnie bardzo interesować, dużo się dowiadywałam i jeszcze więcej chciałam wiedzieć i nauczyć się.

W tym czasie poznałam Laski. Pobyt tam okazał się dobrodziejstwem. Tego mi było potrzeba! Tamtejszy „klimat", piękno i głębia modlitw zakonnic, ich poświęcenie dla niewidomych, dobroć i bezpośredniość dla nas przyjezdnych, szukających i biednych wywarły wielki wpływ na mnie.

W następnych latach mam wrażenie, jakby Pan Bóg znalazł we mnie dużo podatniejszego gruntu na swoje wołanie niż dawniej. Jakby jakoś łatwiej było do mnie dotrzeć. Jego cierpliwość, Jego łaska są niewiarygodne.

Zaczęli stawać na naszej drodze ludzie, którzy wywarli na życie mego syna i na mnie wielki wpływ. W naszej miejscowości zjawił się najpierw jeden a potem drugi ksiądz. Ludzie o wielkiej wartości. Jeden z tych księży, człowiek wielkiej wiary, dobry, mądry i wykształcony okazywał nam wiele przyjaźni i wywarł duży wpływ na nasze życie. Dużo spraw mi wyjaśnił, poradził mi dużo częstsze przystępowanie do Sakramentów.

W tym czasie i mój syn zaczął czytać i studiować „Tygodnik". Zyskaliśmy nowe tematy do rozmów. I zawsze będę wdzięczna temu pismu za wpływ na mego syna i tyle dobra, które mu za-

wdzięczamy. Zaczęłam też w tym czasie czytać „Znak", który dawniej wydawał mi się grubo za trudny.

Zaczęłam pilnie uczestniczyć w liturgii roku kościelnego a nabożeństwa Wielkiego Tygodnia oczarowały mnie.

Jak tylko mogę, przyjeżdzam w niedzielę na Mszę św. do kościoła św. Marcina w Warszawie i tam też uczęszczam na rekolekcje. Tamtejszy „klimat", jakaś dziwna piękność i głębokość modlitw, doskonałe, proste kazania, piękno otoczenia, niesłychanie mi odpowiada. Suma ze śpiewem gregoriańskim jest niewątpliwie najważniejszym momentem i przeżyciem całej niedzieli. I jakże miłe jest wnętrze tego kościoła, gdzie nowoczesność ze starym tak pięknie harmonizuje, wspaniałe „rzymskie" szaty i dekoracje z kwiatów czy gałązek wprost niezrównanie przez Siostry ułożonych.

W ostatnich latach przeczytałam i wielokrotnie przestudiowałam sporo książek, które wywarły na mnie duży wpływ, a przede wszystkim: wszystkie rzeczy Mertona wydane po polsku, Lewisa *O wierze i moralności*, książki o. Abbé Pierre'a, o Bracie Albercie Winowskiej, *Rozważania* ks. Pietraszki, Lefevré'a *Tajemnica boskiej miłości* (czytam to ciągle „tam i z powrotem") i inne.

Od paru lat mamy szczęście syn i ja jeździć do Tyńca. Zwykle nawet jeździmy nie razem (syn jest już obecnie studentem). Jest mi tam dobrze jak nigdzie — „w cieniu opactwa", ładuję się tam jak akumulator siłami na dalsze życie.

Modlitwa obecnie dla mnie jest zupełnie niezbędna i najważniejsza chyba w każdej okoliczności.

Chcę przede wszystkim utrzymać kontakt z Bogiem. Chcę wiedzieć, że mnie kocha, chcę szukać Go, słuchać Jego głosu, jak najlepiej wiedzieć, czego ode mnie chce, słuchać Jego woli i umieć ją rozeznać. Proszę Boga, by dał mi mocną wiarę, wierność i ufność we wszelkich okolicznościach, bym nie traciła czasu, robiła jak najwięcej dobrego i nie myślała o sobie. Chcę, by Bóg był przy mojej śmierci, żebym się jej nie bardzo bała, żebym potem była w niebie. Modlę się za każdy nowy dzień, za piękny świat, za siły, za pracę, za moje najmilsze dziecko, za przyjaźń i życzliwość tylu ludzi. Dziękuję za możność bytności w kościele, za możność spowiedzi i Komunii św. Dziękuję, że obecnie znowu mogę być w Tyńcu i za to, że mój chłopak chce, z własnej woli, jak co roku przyjechać do Opactwa.

Chcę Boga uwielbić i uczcić, jak tylko mogę, składając mu całą siebie tak niesłychanie marną, pełną wad, grzechów, egoizmu, ciasnoty — moje najlepsze chęci, jak i całą moją nędzę.

Modlę się za cały Kościół katolicki i za Kościół w Polsce, wie-

dząc, ile jest trudności, za ks. Prymasa, za duchowieństwo, za księży dobrych i złych, za zakony a szczególnie za drogie Laski i Tyniec i za mojego spowiednika.

Modlę się zawsze za chorych, cierpiących, umierających, będących w strachu — za lekarzy i pielęgniarki, za rodzinę i przyjaciół, za moje najdroższe dziecko. I za wszystkie moje sprawy.

Są okresy, że modlić się jest mi bardzo trudno, brak mi ufności, boję się zbyt ostrych posunięć Boga, martwię się naprzód o tyle spraw.

Doskonale się składa, że po drodze ze stacji do miejsca pracy jest kościół, tak że przyjechawszy wcześniejszym pociągiem mogę być co dzień przynajmniej na części Mszy św. i u Komunii. To wielkie szczęście.

Na Mszy św. lubię na ogół modlić się z mszału, lecz nie zawsze.

Na codzień mam taki notes, gdzie przepisałam sobie cały szereg modlitw jak: „Droga krzyżowa" ks. Pietraszki i kilka innych jego modlitw, cały szereg psalmów, sekwencję do Ducha św., niektóre fragmenty z mszału, wiersz Siostry Nulli Franciszkanki, fragmenty modlitwy z Mertona, a ponadto mam drukowaną wkładkę niezmiennej części Mszy św. Notes już się kończy, niedługo pewno „wyjdzie" tom drugi.

Ulubioną moją modlitwą są psalmy. W tłumaczeniu Staffa jedne są piękniejsze od drugich. Szczególnie 85, 129, 90, 50, 102, 135, 37, 42, 31.

Poza Mszą św. lubię „wpadać" do kościoła głównie po to, żeby podzielić się z Bogiem moją radością i podziękować — lub ze zmartwieniem i kłopotami, których bardzo wiele miałam szczególnie ostatniego roku.

We Mszy św. staram się przyłączyć do Ofiary P. Jezusa i do wspólnej ofiary obecnych dając to wszystko, na co mnie stać, i w całej mojej małości najlepszą chęć wierności, ufności, miłości, słuchania Boga z prośbą o łaskę, o pomoc, o siły.

Lubię Msze św. ciche i chwile samotności i milczenia w kościele. Lubię też te piękne — u św. Marcina a także gdzie tłum jest wokół mnie (Częstochowa), gdzie się ma poczucie wielkiej wspólnej modlitwy. Bogu dzięki za każdą Mszę św., której dał mi dożyć!

Niesłychanie przykro mi jest, gdy Msze św. odprawiane są niedbale, bez tej pięknej powagi, prostoty, staranności, gdy nie czuje się mocnej wiary, że na ołtarzu dzieje się sprawa tak niesłychana!

POSZUKIWANIA

Panie Boże, tak jesteś blisko i taki jesteś dobry, ale pozwalasz, żeby Cię szukano; każesz przychodzić do siebie i pomagasz na każdym kroku, ale chcesz, żeby czasem opierać się na białej lasce, a nie oświecasz drogi słońcem. Naucz nas kochać tę białą laskę i wędrować spokojnie dokąd należy, bo wtedy pozwalasz okazać należne Ci zaufanie. Jeśli zechcesz Panie, to daj abym przejrzał i zobaczył znów blask słońca i piękno świata i cieszył się poczuciem Twej bliskości, ale jeśli zechcesz, to zostaw nas z poczuciem oddalenia, ale kieruj naszymi krokami i wskazuj drogę do Siebie.

Ank. 397, kobieta, lat 33, pracownik naukowy (chemik), duże miasto.

N. N., ankieta 328
Kobieta, lat 32
Wykszt. podstawowe
Wieś

... Gdy chodzi o modlitwę, mam tu na myśli modlitwę myślną, która mnie w ostatnich latach tak bardzo przekształciła. Praktykuję ją od trzech lat i poznałam, że właśnie ta modlitwa najwięcej mi odpowiada. Taką modlitwą żyję cały dzień, daje mi wskazówki, jak ten dzień z Bogiem spędzić. Przynagla mnie do miłości Bożej i bliźniego. Taka modlitwa przecież jest bezpośrednią rozmową z Bogiem. Odmawiam ją tylko rano i po południu albo wieczorem. Aby praca była uświęcona, łączę ją z aktami strzelistymi, które tak bardzo lubię. Szczególnie wtenczas, kiedy mi jest trudno przełamać się albo w jakich bądź pokusach.

Może pomyślicie, że ja „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Maryja" wcale nie potrafię? Przyznam Wam się, że nie. Owszem, na pamięć — tak. Ale przeżyć — tak dobrze tego nie potrafiłam. Od tego czasu, kiedy zaczęłam modlitwę myślną, stan się poprawił. A wiecie, co zrobiłam? „Ojcze nasz" rozmyślałam. Gdy chodzi o Mszę św. to uczestniczę w niej niemal codziennie. Modlę się z mszału już prawie 14 lat i nie mogę sobie wyobrazić Mszy św. bez mszału. Przeżywam tę Mszę św., ale szczególnie wtedy, kiedy kapłan odprawia pomału, nie tak szybko, bo inaczej się gubię, odczuwam roztargnienie.

N. N., ankieta 284
Kobieta, lat 32
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Pisałam tę ankietę dziś w wielkim pośpiechu, bo właśnie znalazło się trochę czasu.

To nie jest wszystko tak jak w życiu — widzę po przeczytaniu. Jak się usiłuje całe lata oddać na paru kartkach i w słowa ubrać coś tak wspaniałego i niezrozumiałego jak łaska — jasne, że z tego nic nie wychodzi.

Nie umiem pisać o modlitwie w oderwaniu od życia.

Modlitwa — to całe moje współżycie z Bogiem. A ponieważ rozgrywa się ono w codziennej rzeczywistości, wśród codziennych ludzi — wszystko to razem łączy mi się w jedno. Dlatego też ewolucja modlitwy jest równoznaczna z dziejami mojej wędrówki ku Bogu przez świat.

Piszę teraz z pewnego etapu który (pociągana przez łaskę i popychana przez ludzi) przebyłam od chwili nawrócenia z niezrozumiałego, biernego, wyuczonego od rodziny katolicyzmu „z zewnątrz" — na katolicyzm z wyboru, w pełni świadomy. A raczej — czy myślałam wtedy o katolicyzmie? Zostałam nawrócona przez Boga i dla Boga, w ramach Kościoła katolickiego, nad którym się wtedy nie zastanawiałam.

Uczę się modlitwy z książek, spotkań i rozmów, z czyjegoś osobistego przykładu, z kazań i rekolekcji, ze spowiedzi, z bieżących wypadków, z Pisma św., z upadków i podźwignięć — być może głównie poprzez łaskę, być może od Ducha św.

Jest ona ciągle niedoskonała jak i niedoskonałe jest życie. Wymaga stałego otrząsania się z rutyny i teorii. Moim pragnieniem jest modlić się ustawicznie, bez słów, całym życiem zagonionego człowieka pracy — poprzez trwanie w świętej obecności Boga, który jest.

Stąd boli mnie i niecierpliwi każde rozdarcie, każda niekonsekwencja w życiu i modlitwie. Widzę wtedy jasno, że to nie miłość, nie rzeczywistość — ale powierzchowność, rutyna, słowem wprowadzanie siebie w błąd.

Jakie są najważniejsze przeszkody w modlitwie: Po pierwsze egocentryzm, który powoduje rozpraszanie uwagi na sprawy i rzeczy nieistotne (a mnie miłe), wypływające z niego nieuporządkowane przywiązanie, którego nie należy mylić z autentyczną miłością. Brak tej ostatniej jest drugą, zasadniczą przeszkodą w modlitwie. Każdy grzech przeciwko miłości, każde zaniedbanie, brak dobroci, cierpliwości, szacunku, wyrozumienia jest dla mnie jasnym dowodem, że mi na Bogu nie zależy. Tyle razy prosił, nakazywał, żebyśmy byli dla siebie braćmi, żebyśmy się kochali, żebyśmy pomagali sobie nawzajem żyć, żebyśmy w każdej chwili gotowi

byli życie swoje dać za braci — a naszymi braćmi są wszyscy ludzie. Po prostu i zwyczajnie wszyscy ludzie bez wyjątku. I podkreślał, że największym przykazaniem jest przykazanie miłości. Więc nie ma wykrętów. Grzesząc przeciwko miłości lub zaniedbując miłość — oddalam się od Boga, który jest Miłością. Nic nie pomoże skupienie, różaniec, medytacje. Mogłabym nawet powtarzać Bogu, że Go kocham, gdyby podobne kłamstwo przeszło mi przez usta! A dzień, w którym nie można powiedzieć Bogu, że się Go kocha, albo przynajmniej, że się tego bardzo pragnie, jest smutnym dniem. Modlitwa ogranicza się do bezustannego przepraszania Boga — niezależnie od przeproszenia samego skrzywdzonego człowieka, co, o ile możliwe, to muszę zrobić natychmiast — do prośby o miłosierdzie dla siebie, o łaskę dla skrzywdzonego, do prośby o pomoc.

„Technika" modlitwy jest różna. Czasem milczenie i trwanie w obecności, czasem proste, własne słowa, czasem słowa Pisma św., liturgii, bardzo często psalmów.

Lubię je bardzo. Nie wiem, czy jest chociaż jeden, który odpowiadałby mi w całości, ale odnajduję w nich własne przeżycia, których nie umiem nazwać. Tam są wszystkie, oddane z wielką precyzją i głębią, kiedy je mówię, wyrażają moje własne tęsknoty, smutki, radości i nadzieje.

Jak wygląda w moim życiu „rozkład" modlitwy, czyli czasu szczególnie wybranego z zajęć i poświęconego Bogu? Rano — często wzniesienie myśli do Niego, przez krótką chwilę, i ofiarowanie całego dnia wraz z sobą. Czasem Pryma — poranna modlitwa Kościoła. Wyraża ona głębiej nasze potrzeby niż najwymyślniejsze pacierze. Czasem „Ojcze Nasz", „Zdrowaś Maryjo", „Chwała Ojcu" i „Wierzę w Boga", różaniec.

Przez cały dzień usiłowanie brania pod uwagę Boga — co często bardzo szwankuje na całym froncie. Pamiętam zwykle, kiedy Go proszę o pomoc dla ludzi powierzonych mi przez mój zawód, kiedy za nich dziękuję, kiedy przepraszam. Pamiętam o Nim w chwilach przykrych, jak moknięcie na deszczu, wieczne opóźnianie się tramwajów czy autobusów; pamiętam w chwilach pomocy i udogodnień, we wszelkich drobnych zdarzeniach, które człowieka spotykają w ciągu dnia. Za to, co radosne, przyjemne i przykre, staram się zawsze dziękować. Często też go przepraszam — na gorąco.

Wreszcie modlitwa wieczorna — przeproszenie, podziękowanie, prośba. Jeżeli moje prośby wyrażam modlitwą — jest nią najczęściej „Chwała Ojcu"..., bo najlepszym sposobem proszenia, jaki znam, jest dziękowanie Bogu za to, że jest taki dobry, i wszystko, co rozrządzi, będzie w 100% najlepsze. On przecież wszystko już

wie, zna nasze potrzeby, a poza tym, czyż nie jest Miłością i Dobrocią? Więc przedstawiam Mu prośby Kościoła, proszę za duchowieństwem, za chorymi, umierającymi, proszę w intencjach ludzi, o których dowiadujemy się w ciągu dnia z prasy i radia — bo po cóż nam byłyby wiadomości o wydarzeniach w świecie — czy po to, żeby dodatkowo obciążyć pamięć — czy po prostu żeby wiedzieć (tak, sztuka dla sztuki)? Intencje stale się zmieniają, tak jak zmienia się życie — z wyjątkiem dotyczących najbliższego otoczenia, z wyjątkiem dziękowania.

Być może, to jest bez sensu, ale często dziękuję Bogu za to, że jest. Uważam to za największą radość i szczęście.

Co do siebie — zgadzam się już z góry na wszystko, co zechce, pod jednym warunkiem: że Sam pomoże mi znieść to, co dla mnie zaplanował. Nie znam bowiem cnoty męstwa i ogromnie boję się cierpienia.

Czasem — nie często — odmawiam kompletę, której nauczyłam się z mszału. Bardzo to praktyczne, bo można ją wtedy odmawiać podczas krzątaniny w domu, na ulicy, na przystanku, w tramwaju czy pociągu. Jest ona jednym wielkim wyrazem ufności, oddaniem swojej duszy w ręce Tego, o którym tak pięknie mówi psalm 90: *Quoniam tu es Domine spes mea...*

W całodziennym kontakcie osobistym widzę łaskę, osadzającą człowieka w rzeczywistości tego, co materialne i nadprzyrodzone. Najgłębszym wyrazem wspólnoty i współzależności jest Msza św. i sakramenty święte.

Tu widać, jak bardzo jesteśmy jedni drugim potrzebni, jak poprzez ludzi i materię nieożywioną spływa na nas łaska. Jak nam — istotom z ciała i duszy — są potrzebne materialne znaki przynoszące łaski niewidzialne. Nasz grzech pierworodny i ten własny, codzienny, czyż nie dotyczy także ciała, materii — nie tylko ducha?

W miarę zrozumienia żałuję, że nie mogę po raz drugi w pełni świadomie przeżyć wielkiej chwili Chrztu i umocnienia Duchem św., jakim jest Bierzmowanie. Modlitwy i obrzędy są jakąś wielką skarbnicą. Zgłębiam je i nadziwić się nie mogę. Staram się więc jak najpełniej uczestniczyć w dostępnych mi sakramentach, osobiście lub jako ktoś obecny podczas udzielania sakramentów innym.

Przy okazji warto wspomnieć o spowiedzi. Jestem głęboko wdzięczna za ten dar Bogu i księżom, którzy poprzez cierpienie i ofiarę swego życia stają się dla nas pośrednikami łaski. Tylko wtedy, kiedy mamy poczucie grzechu — jako tego, co nas dzieli od Miłości — tylko wtedy, kiedy nam ten grzech odpuszczono w jednej chwili, kiedy mogliśmy z wdzięcznością i wzruszeniem powiedzieć

Bogu znów, że Go kochamy, tylko wtedy możemy ocenić wagę tego sakramentu. Owszem, stały spowiednik, wysokiej klasy kierownik duchowy — wielka rzecz, ale każdy ksiądz, najbardziej niewydarzony, może powiedzieć: „Odpuszczają ci się grzechy Twoje" — i znów wszystko jest w porządku.

Do sakramentu Eucharystii powrócę w czasie omawiania uczestnictwa we Mszy św.

Jeśli chodzi o nabożeństwa, lubię wspólny różaniec, wspólną prymę i kompletę, której zwolenników spotyka się w świecie codziennym stosunkowo dużo, a także wspólną adorację — milczące trwanie wypełnionego Kościoła przed Bogiem. Nie mogę „strawić" Godzin świętych, w czasie których ksiądz i organista hałasują na wyścigi nie zostawiając ludziom ani minuty na samodzielne pomyślenie.

Poza mszałem czy księgą psalmów nie lubię żadnych „książeczek". Nie biorę ich nawet do ręki. Wzbudzają we mnie dziki opór, podobnie jak elektryczne świece, sztuczne kwiaty czy chorągwie i figury na procesji Bożego Ciała. Nie lubię kultu świętych jako świętych. Są oni dla mnie przedmiotem miłości — ci bardziej znani i bardziej ludzcy — są kimś bliskim, owszem, ale to tacy starsi, mądrzejsi bracia, którzy swoją mądrością i oddaniem ułatwiają nam drogę do Boga, pouczając, wskazując przykładem życia. Służą oparciem i pomocą — ale w drodze do Boga. Wiem, że są zbawieniem świata, o ile upodobnili się do Zbawiciela, wiem, że są zrównoważeniem naszej podłości, lenistwa i tchórzostwa i często dziękuję Bogu za świętych. Są oni dla mnie w jakiś sposób żywi.

Co do kościołów lubię wnętrza jasne, proste, zwyczajne, nie żadne wymyślne, supernowoczesne. Lubię ołtarz centralny, albo nawet pod ścianą — ale stół sam musi być prosty, byle dookoła był jednakowo piękny i czysty. Od dawna już nie mogę znieść ołtarza „na niby", który od przodu złocony, od tyłu, opajęczały, kryje byle jakie deski. Ludzi jeszcze można oszukać fasadą, ale Bóg widzi przecież go dookoła. Pewnie: nie jest na tyle małostkowy, żeby przywiązywać wagę do pajęczyny albo do żelaznych prętów podtrzymujących święte figury, ale z naszej strony to brak szacunku.

Lubię malowidła proste, symboliczne, a nie usiłujące wiernie oddać Boga, bo i tak nic z tego nie wyjdzie. A jeżeli już muszą być, niech przynajmniej będą dziełem sztuki, czyli nie zwykłym nagromadzeniem farby, ale czymś, co prócz materii zawiera w sobie ludzkiego ducha: piękno, miłość, cierpienie.

W przebogatych, monumentalnych wnętrzach mój znękany wzrok z ulgą spoczywa na białym opłatku, który jest Bogiem — czego również nie rozumiem, ale co jest prawdziwe.

Kazania lubię krótkie, proste, jasne, praktyczne, mówione z przekonaniem z własnego doświadczenia, z miłości Bożej przepełniającej mówiącego. Wymagania mogą być wygórowane, byle były autentyczne, rzeczowe, oparte na podstawach człowieczeństwa. Jeżeli kazanie przeciąga się powyżej 15 minut, przestaję uważać z powodu trudności skupienia uwagi albo spiętrzenia zbyt wielu problemów. Żadnych słodkości, formalizmów, czy tym podobnych rzeczy. Tak samo nie lubię usiłowania przypodobania się słuchającym przez używanie współczesnej gwary lub innych środków.

Rok liturgiczny — bardzo cenię i lubię. Chociaż każdy dzień jest inny, to jednak przeżywane okresy noszą na sobie piętno Chrystusowych tajemnic, przeżywanych po kolei, bez opuszczenia, a co ważniejsze, wspólnie przez cały Kościół. Jest tam miejsce dla wszystkich, na wszystkie potrzeby i „nastroje" duszy — od wielkiego oczekiwania i tęsknoty Adwentu, poprzez ciszę i skupienie Okresu Narodzenia Pańskiego, okresu dziecięctwa, pokory, prostoty i pokoju, przez Objawienie się oczekującym zbawienia ludom, grzęznącym w mroku i niepokoju, poprzez wczesne okresy Chrystusowego życia na ziemi — do Wielkiego Postu, kiedy to nasza nędza i niewystarczalność, nasza głupota i niewierność staje nam przed oczyma, żebyśmy się nawrócili do swego Boga. Dalej Męka i Śmierć — wielka Tajemnica Odkupienia, kulminacyjny punkt Bożego zmiłowania nad światem. Radość, wdzięczność, odrodzenie duchowe, a później znów życie powszednie, zapominanie i pragnienie umocnienia, odnowienia. I oto przychodzi zesłany przez Boga Duch święty, którego nam tak bardzo brak, wraz ze swoim darem siedmiorakim.

Tak nie lubię, kiedy uroczystość Zesłania Ducha świętego nazywa się banalnie Zielonymi Świątkami. Zwykle kojarzy mi się to z tatarakiem i zapachem brzóz, a nie z Duchem Bożym, który tchnie, kędy chce.

Lubię też czas po Zesłaniu Ducha świętego — okres Chrystusowych przypowieści i codziennego życia. Mamy w nim wykazać, na ile wzbogaciliśmy się łaską Chrystusowych tajemnic, na ile umiemy je zastosować w naszym świecie współczesnym każdego dnia aż do skończenia świata, kiedy to zapomniana, zaniedbana i wzgardzona Miłość przyjdzie, żeby go osądzić — jak mówią ostatnie niedziele roku.

Msza św. w moim życiu modlitwy wysuwa się coraz bardziej na czoło. Proces ten wymaga stałego dokształcania się w taki sposób, na jaki nas stać, i modlitwy o łaskę uczestniczenia we Mszy św.

Jednym z motywów, który sprawia, że Msza św. jako sposób oddania Bogu chwały staje się coraz ważniejszym na tle innych

sposobów, jest moja nędza i niewystarczalność. Po prostu widzę: cóż znaczą moje modlitwy czy ofiarowanie siebie — otchłani nędzy — wobec Boga. I tu z pomocą przychodzi sam Bóg, umożliwiając nam oddanie Mu chwały poprzez Swego Syna — z Nim i w Nim. Msza św. jest jedynym momentem w ciągu dnia, w którym wiem, że składam Mu ofiarę godną Jego, i że jest Mu to na pewno miłe. Mniejsza z tym, czy jestem rozproszona, rozmodlona czy jest mi trudno. Fakt jest realnym, obiektywnym faktem. Być może mnie to nie sprawia przyjemności, ale z pewnością sprawia radość Bogu.

Drugą przyczyną przywiązania coraz większej wagi do Mszy św. są ludzie. Nasza modlitwa taka nędzna, taka słaba, tacyśmy rozproszeni — a tu czyjaś pobożność wspomoże, czyjeś skupienie podeprze. W chwili, jak moja myśl odbiegła od Boga, kto inny szczerze i prawdziwie się modli. Lepiej tak razem. Zresztą razem żyjemy, wspólnie mamy się miłować. Jesteśmy nawzajem dla siebie źródłem cierpienia i radości, łaski i grzechu, żyjemy w społeczności. Społecznie musimy więc oddawać Bogu chwałę poprzez Syna, który za nas wszystkich umarł.

Jakaś wielka współodpowiedzialność, współbraterstwo. Minęły dla mnie czasy klęczenia na uboczu, czasy bocznych kapliczek i ideału Mszy św., na której jest tylko ksiądz, co najwyżej parę „babek" i ja.

Czasem, kiedy grzechy doskwierają, proszę żeby jak najwięcej zeszło się ludzi, którzy kochaliby Boga, podczas kiedy ja tego nie umiem. Siadam w ławce w najbardziej niedzielnym tłumie, w tym, co to na oko wydaje się tylko z przyzwyczajenia. Ale kto z nas zna prawdę serca drugiego człowieka?

A jeżeli nawet jest to tłum z przyzwyczajenia, to czy nie trzeba tym bardziej być wśród nich, żeby prosić dla nich o łaskę? Poprzednio nie wracałam do nich po Komunii św. Szłam na ustronie, w miejsce zaciszne — bo widok ich obojętnych twarzy rozbijał w pył moje skupienie. Lekceważące zakładanie nogi na nogę kiedy Bóg dopraszał się, żeby ludzie przyjęli Go jak swój codzienny chleb, obojętność i bezmyślność nie pozwalały mi modlić się po Komunii św. wśród nich — ale teraz uważam, że tym bardziej, jeśli nikt z mojej ławki nie przystępuje do Komunii św., muszę do nich wrócić, żeby chociaż w ten sposób Bóg, który ich kocha i na nich czeka, był tuż blisko wśród nich. A Jego bliskość — chociaż w mojej osobie jest skarbem w glinianym naczyniu — to przecież jest skarbem bezcennym. Nie moim własnym. Nas wszystkich. I myślę, że chętniej Bóg sakramentalnie przebywa wśród wielu, których kocha, niż sam na sam z moją nędzą w cichej,

bocznej kapliczce. Wracam z Nim pomiędzy ludzi — „może ktoś będzie Cię bardziej kochał".

Dlatego też Komunia św. poza Mszą św. jest ostatecznością. A przyjęcie Komunii św. w zastępstwie Mszy św. w dzień powszedni jest dla mnie zgoła trudne. Jakże to tak, nic Bogu nie ofiarowując prócz prywatnych modlitewek, przyjąć dar niezasłużony, bezcenny, jakim jest Jego Syn. Czyż nie trzeba Mu najpierw wraz z Kościołem złożyć tę wielką ofiarę chwały, jaką jest Msza św., uczestniczyć bodajże w konsekracji — ale z całym Kościołem, a później, wraz z innymi korzystać z Owocu Ofiary?

Msza św. to dla mnie bardzo trudne pół godziny. Nic nie rozumiem, myśl mi ucieka, staram się towarzyszyć kapłanowi, albo grzęznę w mszale i stwierdzam, że znów przegapiłam to, co najważniejsze.

Tylko moja obojętność i ignorancja pozwala mi żyć, tak jak ja żyję, biorąc udział co dnia w wielkiej tajemnicy. Za mało modlę się o łaskę uczestnictwa w ofierze Mszy św.

Muszę dodać, że zmienne teksty mszalne są dla mnie ładunkiem mądrości na dany dzień, przekraczającym moje możliwości eksploatacji. Zwykle się pocieszam, że tekst ten znów powróci za rok.

Udział we Mszy św. utrudnia mi poza przeszkodami wewnętrznymi, jak brak miłości, egocentryzm, brak silnej woli w usiłowaniu skupienia, muzyka i śpiewy zupełnie nie przystosowane do tego, co się na ołtarzu dzieje. Te pieśni maryjne albo inne sentymentalne, słodkie, banalne utrudniają zrozumienie istoty, powagi i głębi tej chwili. Wygląda czasem, jakby organista usiłował zabawić ludzi byle czym, byle się nie nudzili. Wina tu proboszcza. Ile razy będąc w jakimś kościele widzę, jak to podczas Mszy św. każdy przysłowiową rzepkę skrobie — zastanawiam się, ile w tym jest bezsilności proboszcza, a ile niezrozumienia przez niego samego problemu Mszy św. i jej miejsca w naszym życiu.

Bardzo mi odpowiadają Msze św. recytowane albo śpiewane głośno i, o ile możliwe, wyraźnie. Może być chór. Mnie osobiście chór przeszkadza, o ile nie śpiewa tekstów stałych i zmiennych ze Mszy św. Bardzo lubię śpiewane Introity, Graduały, Traktusy, Offertoria, czy Komunie i żal mi ludzi, którzy nie mają dostępu do bogactwa ich treści z powodu niezrozumienia albo złej organizacji. Wygląda tak, jakby te wartości były zarezerwowane dla wtajemniczonej elity, chociaż powinny służyć wszystkim.

Udział we Mszy św. jest i tak bardzo trudny. Trzeba go ludziom ułatwiać a nie utrudniać. Lepiej jest podciągać wszystkich w górę, niż obniżać poziom do najpowierzchowniejszych gustów. Jeżeli nudzimy się na Mszy św., to dlatego, że nic nie wiemy o niej, nic nie

rozumiemy, ale nie dlatego, że nikt nam nie śpiewa „Do Twej dążym kaplicy".

Są to ułamki refleksji na marginesie mego uczestniczenia we Mszy św., które jest tak dalekie od doskonałości. Jeżeli nie rozumiem trudności i zbyt wiele wymagam — przepraszam.

Cóż można dodać na podsumowanie? Chyba tylko to — że modlitwa jest wielką łaską udzielaną nam na miarę naszej wierności, nie na miarę sukcesów i zwycięstw. Trzeba się o nią modlić.

N. N., ankieta 98
Mężczyzna, lat 20
Student
Małe miasto

Modlitwa dla mnie jest rozmową z Bogiem. Nie jest to żadne „odkrycie Ameryki" — o tym wie każdy, że modlitwa jest rozmową z Bogiem. Staram się, aby moja była tą rozmową. Czasem to jest dialog z mojej strony (informacja o moich bieżących sprawach), czasem posiada głębszy sens. Nie mogę powiedzieć, czy umiem się modlić — zawsze staram się, by modlitwa była prosta, szczera i dlatego nie uznaję żadnej „książeczki", jedynie mszalik i to nie zawsze — czasem (a nawet często) lubię słuchać Mszy św. bez mszalika. W modlitwach z „książeczki" razi mnie przede wszystkim to, że są one nie moje. Psalmów nie znam, więc nie mogę o nich pisać.

Moja modlitwa to rozmowa o własnych sprawach — rozmyślanie o moim postępowaniu (rachunek sumienia), prośby, podziękowanie, przeprosiny, dalej jest to wstawianie się za innych ludzi, i wreszcie rozmyślanie „na tematy ogólne" (np. problemy z ewangelii) — oznajmienie Bogu o moim poglądzie na tę czy inną sprawę. Przy czym rozmowa ta to nie jest rozmowa „równy z równym", ale również akt uwielbienia Boga.

Nie, modlitwa nie jest czymś „odświętnym", ale ojciec Malachiasz myli się mówiąc; „np. w tramwaju, kiedy nie jesteście nastawieni modlitewnie". Twierdzę, że np. w tramwaju można być nastawionym modlitewnie. Np. w momencie, gdy odczuje się szczególnie obecność Boga (a zdarza się to dość często), ja np. pomyślę sobie: „Boże, jaki Ty jesteś wielki", czasem coś jeszcze, czasem nie, ale to nieważne. Uważam, że i ten akt uwielbienia Boga jest modlitwą.

Nie, modlitwa nie jest kwestią nawyku, wypływa ona z potrzeby wewnętrznej, najłatwiej modlić się, gdy człowiek jest opuszczony, samotny, gdy czegoś potrzebuje od Boga, a najtrudniej, gdy niczego mu nie brak.

W Kościele brakiem jest to, że nauka modlitwy nisko jest postawiona — na pewno byłbym z takiej nauki dużo skorzystał. Z dru-

giej strony trudno mówić np. o poradniku pt. „Krótki kurs nauki modlenia". Uważam, że powinno się przekazywać to, co człowiek wie o modlitwie jako takiej. To ułatwi samą modlitwę.

Tak jak rozmowa między ludźmi może odbiegać od przyjętej formy (można np. rozmawiać oczyma) i mimo to może być jedną z form kontaktu między ludźmi, tak też myślę, że modlitwa może „odbiegać od rozmowy", byle by była również formą kontaktu z Bogiem. I jeżeli właśnie np. w pracy istnieje element kontaktu z Bogiem, myślę, że praca ta może być formą modlitwy. Dlatego sądzę, wszystko, co zawiera w sobie chęć uwielbienia Boga, może być właśnie modlitwą.

Wynikałoby z tego, że modlitwę trzeba by określić nie mianem rozmowy, a mianem kontaktu z Bogiem. Jeżeli w modlitwie proszę o moją osobistą sprawę, to, oczywiście, modlitwa ta ma wyłącznie indywidualny charakter, ale jeżeli grupa ludzi zejdzie się i będzie prosić o łaskę dla nich przeznaczoną, to wtedy modlitwa będzie miała charakter społeczny. Jednak sedno społecznego charakteru modlitwy tkwi, myślę, w tym, że ja na przykład mogę modlić się za Chińczyka Chao-Tien-Wu, a on za mnie.

To chyba byłoby wszystko co do pytań zawartych w „Poczcie".

Dobrze robicie ogłaszając niniejszą ankietę. Myślę, że pomoże ona nam w trudnej bądź co bądź sprawie, jaką jest modlitwa.

N. N., ankieta 131
Kobieta, lat 30
Wykszt. średnie
Wieś

Jak się modlę? Modlitwa poranna — krótkie modlitwy, akt ofiarowania się, intencja, prośba, dziękczynienie, a wieczorem tak samo. Zresztą w modlitwie długiej czy krótkiej, wszystko jedno, stawiam się w obecności Bożej, a jeżeli jestem w obecności Boga, to świadomość mojej nędzy przywodzi żal i skruchę, dziękczynienie i uwielbienie. A niekiedy nic — świadomość, że Pan Bóg Wszechwiedzący wszystko wie, wtedy nie trzeba słów ani myśli.

Jeżeli chodzi o modlitwy czy nabożeństwa do świętych, to właściwie nie umiem się do tych świętych modlić, nie mam żadnych nabożeństw, nawet nie wiem dlaczego.

Msza święta wydaje mi się najbardziej wspólną modlitwą — społeczną.

Książeczki do Mszy świętej mi nie odpowiadają, ponieważ brak w nich części zmiennych a tym samym nie ma łączności z liturgią na codzień. Korzystam z mszalika, we Mszy świętej staram się uczestniczyć, choć nie zawsze mi się to udaje. Dobrze jest gdy mam czas a wcześniej przeczytam części zmienne i to mi wystarczy w czasie Mszy św.

Przygotowanie — *Confiteor*; przepraszam Boga za grzechy swoje i innych.

W czasie lekcji i ewangelii staram się wsłuchiwać w pouczenia w nich zawarte, czego Bóg żąda ode mnie, jakie mam powziąć postanowienia.

W Ofiarowaniu składam Bogu swoje prace, trudy, gotowość do pełnienia Jego przykazań.

W Przeistoczeniu ofiarowuję się wraz z Jezusem — Ojcu.

A następnie przygotowuję się do Komunii świętej własnymi słowami. Po Komunii św. — dziękczynienie.

N. N., ankieta 224
Kobieta, lat 46
Wykszt. średnie
Duże miasto

Kto nauczył mnie modlić się? Jak daleko sięgnę pamięcią wstecz, w lata dziecięce, modliłam się zawsze. Komu w szczególności zawdzięczam pierwsze początki modlitwy? Zapewne Matce, ale tych momentów nie pamiętam, dużo naszej służącej, z którą odmawiałyśmy w czasie jej pracy najróżniejsze modlitwy. Księdzu katechecie? Raczej nie, zresztą nie pamiętam. Zawsze byłam tzw. pobożnym dzieckiem, lubiłam się modlić. Przeżywałam okresy różnych praktyk modlitewnych, nowenn, szczególnych „nabożeństw" do różnych świętych — św. Stanisława Kostki, św. Teresy od Dzieciątka Jezus, św. Antoniego. Do modlitwy podchodziłam emocjonalnie — to była przede wszystkim kwestia uczuć — i użytkownie, jako do potężnej ubezpieczalni, mającej ochronić od wszelkiego rodzaju chorób, nieszczęść i katastrof. Prośba wysuwała się na plan pierwszy.

Tak było przez długie lata. Zrozumienie istoty i sensu modlitwy zjawiło się wraz z zapoznaniem się z zagadnieniami życia wewnętrznego. Do poznania zaś życia wewnętrznego doszłam poprzez długie lata najpierw życia lekkomyślnego, pustki i jałowizny, następnie szukania, trochę po omacku. Po tym dopiero nastąpiło przestawienie całego życia na zupełnie inne wartości.

Dziś wiem, że przez cały ten czas znajdowałem się w orbicie Bożego oddziaływania, z którego nic albo bardzo niewiele zdawałam sobie sprawę. Wśród tych zmiennych okresów życia były takie, kiedy częściej przystępowałam do Komunii św., i wtedy w czasie modlitwy przez długi czas mogłam trwać przy Bogu bez słów. To była prawdziwa łaska darmo dana, bo o modlitwie wewnętrznej w owym czasie nie miałam najmniejszego pojęcia. I wtedy z mej strony była to najbardziej bezinteresowna modlitwa, bez zwracania uwagi na siebie.

Po tym doświadczeniu wydaje mi się, że modlitwy nie można się

nauczyć, chyba że nauczycielem jest Duch św.: że modlitwa jest przede wszystkim łaską i odpowiedzią na łaskę.

Bez wątpienia zapoznanie się z istotą życia wewnętrznego, i istotą, znaczeniem i sensem modlitwy, jest niezmiernie ważne i właściwie konieczne, aby życie modlitwy mogło zaistnieć i być świadomie pielęgnowane. A właściwie u samych podstaw musi zaistnieć pogłębienie wiary i zrozumienie, kim jest Bóg. Nawiązanie współżycia musi poprzedzić poznanie.

Do tego poznania doszłam przez lekturę podsuniętą mi przez znajomego księdza, przez spotkanie spowiednika, który zwrócił mi uwagę (rzecz bardzo rzadka w konfesjonale) na konieczność pielęgnowania życia wewnętrznego, na wartość systematycznego rozmyślania.

Ale nawet i w tym czasie szukałam dosyć po omacku. Zaczęłam od Tanguerey'a *Zarys teologii mistycznej i ascetycznej* a potem już z jednej książki dowiadywałam się o istnieniu innych dzieł duchowych. I tak przechodziłam z lektury do lektury. Dawały one dużo. Otwierały dziwny, przez tylu ludzi zupełnie nieznany świat. Świat naprawdę fascynujący i dziwnie bogaty i ubogacający. Ale były i trudności. Po przeczytaniu tych wszystkich książek, tych wszystkich traktatów o modlitwie, o jej formach i stopniach — oczywiście, z punktu chciałam znaleźć się na najwyższym... Dziś wspominam to z uśmiechem. To bardzo zanieczyszczało modlitwę, bo całą uwagę koncentrowało na własnej osobie. Przy tym rozmyślanie wydawało mi się prawdziwą akademią umiejętności — o tylu rzeczach trzeba było pamiętać, tyle aktów wzbudzać, tak wiele postanowień podejmować.

Dopiero zapoznanie się z dziełami św. Teresy od Jezusa, św. Jana od Krzyża, z duchowością Karmelu przez systematyczne już coroczne rekolekcje zamknięte, które od samego początku „stawiały" na miłość, wprowadziło mnie na właściwą drogę. Z prawdziwą ulgą i radością dowiedziałam się od św. Teresy od Jezusa (co w głębi duszy zawsze przeczuwałam), że „modlitwa jest obcowaniem z Tym, o Którym dusza wie, że ją miłuje" — oraz, że „na rozmyślaniu nie trzeba wiele myśleć, ale wiele kochać". A już prawdziwą mistrzynią modlitwy i życia wewnętrznego okazała się mała św. Teresa, która z beztroską ufnością dziecka rzuca się w objęcia swego Ojca Niebieskiego.

To wszystko ożywiało i pogłębiało moją wiarę i ukazywało mi Boga takim, jakim jest, że jest Miłością, że jest Ojcem, Przyjacielem, Kimś najbliższym. To poznanie dawało podstawę, na której rodzi się już samorzutnie sens i potrzeba modlitwy.

Jak się więc modlę? Rozmawiam albo milczę. Tak jak się obcuje

z osobą bardzo bliską. Moje obcowanie z Bogiem jest obcowaniem z Chrystusem. Jego Bosko-ludzka osoba, przybliża mi Boga transcendentnego w wymiary ludzkie i zrozumiałe, poprzez Niego wszystkie Boże przymioty i działania stają się bliskie. Chrystus-Dobry-Pasterz, Chrystus-Przyjaciel, Chrystus-Zbawca.

Oczywiście, w takiej sytuacji na modlitwie nie posługuję się cudzymi słowami i tekstami modlitewnymi. Jak mogę rozmawiać z Przyjacielem i odczytywać gotowe formułki z książeczki! Najpiękniejsze teksty modlitw są zawsze czymś obcym, tylko wyjątkowo mogą odpowiadać moim nastrojom, przeżyciom czy potrzebom. Ale nawet i wtedy wolę to wyrazić moimi, na pewno mniej pięknymi słowami, niż posługiwać się cudzymi. Tematy do rozmowy stwarza samo życie. Wszystko staje się przedmiotem modlitwy, podobnie jak wszystko dzieli się z osobą ukochaną.

Już nie prośba zajmuje główne miejsce w mojej modlitwie, nie „Boże daj" i „Boże zachowaj" — i nawet nie dziękowanie, chociaż i proszę i dziękuję w dalszym ciągu. Na pierwsze miejsce wysuwa się On, Jego Miłość, Dobroć, Wspaniałość, to, co Jemu się podoba, to, czego On chce, czego może ode mnie wymagać, to, jaką mam być, aby Go zadowolić. Na pierwszy plan wysuwa się miłość. Mam wrażenie, że dochodzę w tej chwili do relacji z czegoś, czego właściwie nie da się wypowiedzieć. Modlitwa moja jest współżyciem z moim Bogiem — a to już jest tajemnica, także i dla mnie. Na to współżycie składa się to tajemnicze, nieustanne Boże działanie, Jego łaska i moja odpowiedź, albo niewierność, gorliwość albo lenistwo i małoduszność, wszystko tak bardzo związane i tak bardzo właściwe niestałej ludzkiej naturze. Jak w każdym współżyciu są chwile jasne i ciemne. Czasem moja modlitwa jest bardzo mizerna, bardzo nieudolna, jestem znudzona i pusta wewnętrznie. Ale zawsze posiadam tę świadomość, że On na mnie zawsze czeka i zawsze kocha i to pozwala mi się wznieść zawsze od nowa ponad moją małoduszność i nędzę.

Wspomniałam, jak wielki wpływ na mnie wywarło zetknięcie się z duchowością Karmelu, nie podobna pominąć przy tej sposobności osoby Matki Bożej, tak bardzo z tą duchowością związanej. To przez Nią spotkałam się z Chrystusem i nauczyłam się Go kochać. Postać Maryi tak blisko związanej z Bogiem a równocześnie żyjącej wśród ludzi zwyczajnym, codziennym życiem, staje się szczególną zachętą i wzorem dla osób żyjących w rozgwarze życia, wśród najróżniejszych zajęć i obowiązków a jednak szukających ciszy i głębszego współżycia z Bogiem.

Msza św. Odkąd nauczyłam się uczestnictwa we Mszy św. z mszalikiem, teksty liturgiczne stały się dla mnie prawdziwą kopalnią

przeżyć, a przede wszystkim środkiem współżycia z Kościołem. Dlatego odpowiada mi osobiście najwięcej Msza św. recytowana. Wytwarza najbardziej ścisłą więź między kapłanem i współuczestnikami. W ciszy a równocześnie we wspólnej modlitwie jakoś bardziej uwypukla się świadomość dokonywującej się ofiary. Wspólne recytowanie stwarza więź między wiernymi w ścisłym powiązaniu z tym, co się dzieje na ołtarzu.

Ale uczestnictwo we Mszy św. — uczestnictwo wspólne wszystkich wiernych — to sprawa bardzo delikatnej natury. Wydaje mi się, że czasami wyłaniają się tendencje upraszczania sprawy w niektórych kościołach. Forsuje się tam prawie na siłę wspólny śpiew podczas Mszy św. i to koniecznie tak głośno, aby aż szyby dzwoniły. Nie wiem, czy to jest całkiem właściwe. Ostatecznie można wyśpiewywać na całe gardło przez godzinę, a wcale we Mszy św. nie uczestniczyć i nie mieć poczucia, że się modli wspólnie. *Nawet uczestnictwo wspólne jest zawsze w rezultacie sumą indywidualnego uczestnictwa i indywidualnego zrozumienia.* Dlatego chyba najważniejsze będzie uświadamianie i pouczanie wiernych — czego ciągle za mało — o istocie Mszy św., o jej ważności, o uczestniczeniu wraz z kapłanem, a forma uczestnictwa czy przez wspólny śpiew, czy przez modlitwę z mszalikiem, będzie kwestią dalszą.

Nie mam nic przeciw śpiewom, byle nie za głośno (jesteśmy po czubek głowy wypełnieni hałasem) i byle były dostosowane do Najświętszej Ofiary, by ją przybliżały i uwypuklały a nie przeciwnie zaciemniały i odwracały uwagę. Żeby nie stawały się lekcją śpiewu podczas Mszy św., próbą generalną przedstawienia czy czymś podobnym. Wiem, że niektóre starsze osoby, które śpiewać nie mogą, bardzo dotkliwie odczuwają tę rekrucką trochę musztrę i czują się rozgoryczone. Na mnie śpiew działa raczej rozpraszająco i nużąco. Rzadko się też zdarza, aby śpiew wiernych zharmonizowany był z czynnościami kapłana przy ołtarzu, zwłaszcza przy tendencjach ogółu księży do błyskawicznego tempa odprawiania Mszy św. — albo nie nadąża się za kapłanem, albo pogania śpiew do tempa galopki. Jest to również bardzo denerwujące.

W pytaniach ankietowych znalazły się i psalmy. Wydaje mi się, że jest to modlitwa w dalszym ciągu jak najbardziej aktualna, jest najwspanialszą chwalbą Bożą. Niestety, wiem z własnego doświadczenia, jak bardzo można ją zrutynizować. Odmawiając je codziennie, często przez szereg dni cwałuję przez nie w pośpiechu, bez jednej myśli zrozumienia, aż raptem, któregoś dnia, zelektryzuje mnie jakiś werset i znów na nowo odkrywam całe ich piękno i aktualność.

N. N., ankieta 286
Kobieta, lat 37
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Wydaje mi się, że problem modlitwy, tak jak i problem wiary, do końca życia będzie sprawą otwartą. Tak jak człowiek musi pogłębiać wiarę, tak też powinien pogłębiać czy wypracowywać modlitwę.

Przez modlitwę rozumiem skontaktowanie się duszy z Bogiem. Nawiązanie bliskiego, osobistego kontaktu z najwyższą formą modlitwy (jeśli tak można powiedzieć) jest udział we Mszy św. i spotkanie się z Chrystusem w Komunii św.

Za modlitwę uważam też pracę poprzedzoną intencją.

Jak się modlę? Modlitwy z książeczek zostawiłam już bardzo dawno mając lat kilkanaście. Modlę się przeważnie swoimi słowami, bo to ma być m o j e spotkanie z Bogiem i omówienie moich spraw a nie cudzych. Poza tym niektóre modlitwy mają taki barokowy język, który nie bierze. Korzystam zwykle z mszału rzymskiego. Najwięcej myśli podsuwają mi teksty liturgiczne, fragmenty psalmów (*Introit*), Lekcje, Ewangelie.

Czy rozmyślam? Takiego formalnego rozmyślania jak to podają święci, np. Ignacy Loyola, nie praktykuję. Natomiast pewne myśli, które uderzą mnie w tekstach liturgicznych mszalnych staram się przełożyć na własne życie czy własne kwestie w zależności od konkretnych potrzeb z danej chwili (np. czy to będzie chodziło o rozbudzenie wdzięczności czy ufności, czy pogłębianie wiary).

Kto nauczył mnie modlitwy? Tej formalnej: rodzice, szkoła. Tej bardziej osobistej: głębocy księża i lektura. Ciągle stwierdzam, że ten mój kontakt z Bogiem nie jest taki bliski, jakbym chciała. Muszę stale przełamywać w sobie to niewłaściwe wyobrażenie Boga z lat dziecięcych, jako kogoś takiego dalekiego, za chmurami i bardzo nerwowego, kogo sprawy ludzkie tak marginesowo obchodzą. A tymczasem Chrystus jest Kimś, Kto stoi obok mnie i Komu na mnie bardzo zależy (nie łatwo jest jednak prostować błędne pojęcia, znacznie łatwiej nauczyć się czegoś od nowa).

Staram się w ciągu dnia wybiegać myślą do Boga, oczywiście, bardzo króciutką, żeby wprowadzać Go w swoje sprawy i życie. Bo inaczej wydaje mi się, że to ostatnie spotkanie z Bogiem będzie jakieś oficjalne i od święta, a przecież On ma być Kimś bardzo bliskim. To nie zawsze jest łatwe, ale kiedyś mi powiedziano, że modlitwa jest pracą, a praca zawsze wymaga trudu i pewne rzeczy trzeba sobie na początku narzucić, żeby weszły w krew, bo nie zawsze towarzyszy modlitwie nastrój, częściej nie. A od nastroju do nastroju to za duże mogą być przerwy, zresztą nie na nastroju polega modlitwa.

Dzień narzuca wiele okazji do wybiegnięcia myślą ku Bogu. Często będzie to troska o najbliższych. Kiedy indziej radość z ich

sukcesów. Czasem potrzeby bliźnich. Komuś komplikuje się życie, ktoś uległ wypadkowi, ktoś w tramwaju jedzie smutny, jakieś dziecko jest krzywdzone. Nie zawsze jest się nastawionym czy wyczulonym na te sprawy, ale takie już jest życie, że nie zawsze wszystko udaje się od razu.

Msza Święta. To jest sprawa centralna. W każdej Mszy św. Chrystus zlewa na nas tyle łask, co przez Swoją śmierć na Krzyżu. To jest rzecz przerażająco wielka, aż trudna do uświadomienia. I tu nie ja robię „łaskę" Chrystusowi, że przychodzę, ale Chrystus chce mi dać obfitość łask. Ode mnie tylko zależy, czy zechcę przyjąć. Jako nierozdzielną część ofiary uważam Komunię św. Bo jeśli się świadomie wierzy, to konsekwentnie przyjmuje się stan łaski uświęcającej i ten najbliższy kontakt z Bogiem w Eucharystii. O dar modlitwy trzeba się modlić.

N. N., ankieta 406
Kobieta

Gdy wieczorem udaje mi się wyrwać na Mszę św., to uczestnictwo w niej jest najczęściej biernym trwaniem, takim, o którym mogłabym powiedzieć Bogu: „Panie, nie stać mnie na nic, w moim sercu pusto zupełnie, wszystko, na co mnie stać, to przeznaczyć te 30 minut dla Ciebie i dlatego jestem". I mimo zupełnej pustki w sercu przystępuję wtedy również do Komunii św., bo wiem, że nie o porywy uczucia tu chodzi. Cóż więc konkretnie dałam Bogu? 30 minut czasu (i może te 3 godziny uważania na siebie, żeby przez pomyłkę nie zjeść czegoś przed wieczorną Mszą św.).

Sprawa modlitwy to zagadnienie szersze, niż pacierz poranny i wieczorny i uczestnictwo we Mszy św. Przypomina mi się wiersz przeczytany bardzo dawno temu, chyba w „Tygodniku Powszechnym", zaczynający się od słów: „Każdy mój oddech niech Cię chwali". Czy nie jest więc również modlitwą życie debila, nie umiejącego zdać sobie sprawy z tego, czym jest Bóg (a czy my aż tak bardzo zdajemy sobie z tego sprawę?), a także pełne wysiłków życie człowieka, starającego się być zawsze dobrym i uczciwym, mimo że nie jest ochrzczony i o Bogu słyszał nie wiele albo nic? Rozmyślając nad tą sprawą, zaczynam ją widzieć tak: istnieje różne natężenie, różna intensywność modlitwy, przy czym u dołu skali będzie samo istnienie, samo trwanie istoty stworzonej przez Boga, dalej praca i wszelkie wysiłki czynione przez człowieka w celu wnoszenia jakiegoś wkładu pozytywnego w dorobek ogólnoludzki, rozumiany również i w sensie etycznym, dalej coraz bardziej świadome kierowanie swego działania ku Bogu, połączone

z coraz bardziej świadomymi próbami nawiązania z Nim bezpośredniego kontaktu w coraz bardziej doskonałej modlitwie, jak możliwie pełne uczestnictwo we Mszy św. i zwrócenie całego życia ku Bogu przez kontemplację (niekoniecznie w klasztorze). Oczywiście, im bardziej bogate jest czyjeś życie wewnętrzne i „wyższy stopień" dążenia ku Bogu, tym doskonalsza jest modlitwa.

W swoim życiu widzę kilka momentów, które wywarły wielki wpływ na moje życie religijne, a tym samym na moją umiejętność modlitwy. Wyróżnię tu przede wszystkim wczesną Komunię św. i nauczenie mnie uczestniczenia we Mszy św. już w dzieciństwie. Wczesna pierwsza Komunia miała decydujący wpływ na całe moje życie...

„Jonasz", ank. 343
Mężczyzna, lat 23
Wykszt. wyższe
Duże miasto

W mej wypowiedzi chciałbym poruszyć zaledwie kilka problemów związanych z modlitwą, które w moim doświadczeniu osobistym szczególnie się wyróżniają.

Na wstępie rzecz na pozór czysto zewnętrzna, a jednak na pewno pozostająca w relacji z postawą wewnętrzną: nie lubię się wręcz modlić przed wizerunkami, które najczęściej utrudniają mi modlitewne skupienie. Nie chciałbym tego absolutyzować — dobra nowoczesna sztuka, która do mnie przemawia, pomaga, oczywiście, w skierowaniu myśli ku Bogu. Pomaga mi w tym też niezmiernie otoczenie przyrody i to nie tylko tej potężnej i wspaniałej, jak w górach, wznoszącej się wprost ku Stwórcy — nawet w domu pacierz poranny odmawiam najczęściej na stojąco, wpatrzony w zieleń drzew i błękit nieba poza oknem.

Jak wygląda sama modlitwa? Dużo miejsca zajmują w niej moje sprawy „życiowe", nawet bardzo przyziemne. Niekiedy wydają się one dominować i jakby zagłuszać wszystko inne. Uważam to za niedopuszczalny utylitaryzm i staram się go przezwyciężyć. Z natury jestem skłonny do refleksji (introwertyk) przeto też uprawiam modlitwę refleksyjną — refleksje nad sobą, nad swą postawą i jej kształtowaniem. Ten rodzaj modlitwy uważam za szczególnie cenny i ważny i dążę do jego ciągłego rozwoju, ale także do rozwoju takiej modlitwy, która byłaby poświęcona wyłącznie uwielbieniu Boga. W ogóle odczuwam potrzebę „nasycenia" życia modlitwą (wpływ to chyba lektury Mertona, a na pewno bardziej jego aniżeli o. Otto od Aniołów — *Wprowadzenie w życie modlitwy*). Wielu mówi: życie modlitwy można prowadzić w klasztorach, lecz to nie dla nas — zagubionych w wirze i chaosie współczesnego

świata, pochłoniętych codzienną walką o byt. Ale ja już wiem, że właśnie w tym wirze i chaosie modlitwa jest cudownym środkiem uspokajającym, pozwalającym odnaleźć siebie, dającym siłę wewnętrzną i pogodę duchową. Lecz nie wolno zapominać (co skłonny jestem niekiedy czynić), że nie jest to tylko wspaniały środek higieny psychicznej, że jej wartości najgłębsze i prawdziwie istotne tkwią w sferze nadprzyrodzonej.

Osobny problem to doświadczenie religijne. Takich, w których odczułem namacalną (subiektywnie, oczywiście) bliskość Boga miałem parę. Każde z nich było inne i jedyne. Najsilniej i najgłębiej przeżyłem pierwsze. Przyczyną naturalną, która je wywołała, było pewne, bardzo przykre i bolesne wydarzenie ukazujące ludzką słabość i ludzkie zło. Wtedy to poczułem niezmierną bliskość Chrystusa cierpiącego na krzyżu i współcierpiałem razem z Nim. Jak lakoniczna jest cała moja wypowiedź, tak lakonicznie potraktowałem ten problem. Przytoczyłem go jednak, bo uważam doświadczenie religijne za rzecz bardzo dużej wagi — silny argument dla wiary i podsycenie jej żarliwości.

N. N., ankieta 389
Kobieta, lat 34
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Dlaczego się modlę? Nie wiem, jak bym się modliła, a nawet w pewnym sensie — czy bym się modliła, gdybym nie musiała. Co nie znaczy, że ktoś mnie kiedykolwiek zmuszał do modlitwy. Na szczęście, nie! Ale modliłam się najczęściej dlatego, że wiedziałam, że „trzeba", że to obowiązek, a więc — powinnam. Dziś już sama wiem, że modlitwa jest potrzebna. Ale to nie znaczy, żebym się do niej wyrywała. Pamiętam, jak nieraz dziwiłam się i prawie zazdrościłam ludziom, którzy poza Mszą Św. wpadali do kościoła i chyba ... modlili się. „Kto im kazał, dlaczego przyszli, dlaczego skręcili do kościoła, co nimi kierowało?" To były dla mnie znaki zapytania. Bo ja, jeżeli w tym czasie byłam w kościele, to dlatego, że coś „odprawiałam" (warto by tu rozpisać konkurs na właściwe słowo!): adorację, modlitwę wewnętrzną czy tym podobne. I liczyłam na palcach (na szczęście jednej tylko ręki), czy to już wszystko na dziś.

Piszę to w czasie przeszłym, ale z niewielkimi zmianami mogłabym napisać w teraźniejszym. Czy to znaczy, że modlitwa jest dla mnie ciężarem? Nie, bo chcę się modlić, chociaż rzadko mam na to ochotę. Dla mnie modlitwa jest przede wszystkim funkcją woli! Intelekt też odgrywa rolę, ale raczej drugorzędną, uczucie — znikomą, wyobraźnia — żadną.

Czy nigdy nie modliłam się spontanicznie z wewnętrznej potrzeby całej osoby? Owszem. Czasem w nieszczęściu, w potrzebie,

w radości, w zachwycie. Ale to pragnienie i radość z modlitwy są rzadkie.

Czy nie potrzebuję modlitwy? Jak najbardziej! Dzień rozpoczęty modlitwą wewnętrzną (choćby nawet polegała na ciągłym uświadamianiu sobie, że o niczym nie myślę) jest lepszy, lżejszy, bo łatwiej w nim wszystko „ustawić". Najczęściej jednak wszystko inne jest pilniejsze, ważniejsze, konieczniejsze, modlitwę się odkłada na potem, jako jeden z obowiązków, które można przełożyć. Nie można zjeść śniadania wieczorem, a — teoretycznie — można się wieczorem pomodlić. Piszę: teoretycznie, bo praktycznie znowu nie będzie czasu albo człowiek będzie tak znużony, że już nie będzie mógł.

Skoro zaczęłam pisać, że modlitwa choć w zasadzie „trudna", czasem jest „łatwa", może od razu dodam, co może u ł a t w i ć m o d l i t w ę. Przede wszystkim — czas jej trwania (mówię tu, oczywiście, o modlitwie wewnętrznej). Im dłużej się modlę, tym łatwiej (o ile żadne obowiązki nie wiszą nad głową). Na ogół po 1/2 godzinie modlitwa przestaje być tak nieznośnie ciężka i jałowa, po godzinie — ma się wrażenie, że można by się teraz zacząć modlić, po 2—3 godzinach — ma się ochotę na dalszą modlitwę. Ale, oczywiście, to jest możliwe tylko w czasie rekolekcji. Jeżeli się nie ma tyle czasu na „wkładanie" się w modlitwę — to poza Pismem św., książką — pomocą było dla mnie częste pisanie. Pisanie pobudza mnie intelektualnie, więc pewno dlatego pomaga (w innych dziedzinach też myślę dopiero wtedy, gdy mam pióro w ręku). Co wtedy piszę? Piszę to, co myślę, albo to, że nie myślę. Takie skonkretyzowanie, uchwycenie myśli w słowa, w zdania pomaga do uświadomienia sobie Boga.

Jak się modlę? Modlitwa to trwanie w obecności Boga, przebywanie z Nim. A częściej tylko jakaś mglista, przerywana świadomość, że on jest. Nieraz w zamęcie zajęć, gdy myśl jest zaprzątnięta obmyślaniem, planowaniem czy wykonywaniem czegoś — modlitwa może być nadzieją. Nadzieją, że On wszystkim kieruje i wszystkie braki naprawi.

Jak wyglądają inne modlitwy poza tą modlitwą szukania Boga, czy raczej — szukania siebie i doprowadzania do Boga? O rozmyślanie raczej mi dziś trudno. Modlitw „z książeczki" na ogół nie odmawiam.

Różaniec. Od jakichś 2—3 lat — poza sporadycznymi wypadkami — nie „odmawiam" różańca, tylko „myślę" różaniec. Tzn. nie mówię „Ojcze Nasz" ani „Zdrowaś Maryjo", tylko myślę o poszczególnych tajemnicach. To też nie jest tak łatwo, myśl czasem ucieka, ale w każdym razie łatwiej niż myśleć i mówić równocześnie.

Z tzw. „nabożeństw" lubię, zdecydowanie lubię „Drogę Krzyżową". Zależnie od sytuacji treść poszczególnych stacji jest inna. Nie odmawiam przy tym żadnych modlitw, najwyżej *Adoramus Te Christe*...

Mówiłam dotychczas o formach. Może warto coś wspomnieć o przedmiocie modlitwy. Nie bardzo wiem, jak powinna wyglądać modlitwa błagalna. Często mi się wydaje, że powinnam się więcej modlić za różnych ludzi, za różne sprawy. Wiem, że niektórzy tak potrafią: nikogo nie opuszczają w swej modlitwie. A ja nie wiem, jak to zrobić. W dzieciństwie, w latach młodzieńczych przedłużałam pacierz wieczorny dodając różne modlitwy w różnych intencjach. Doszło do tego, że gdy zbliżała się pora spoczynku — z przerażeniem myślałam o tym, że trzeba się będzie „zabrać" do pacierza. A i tak przecież modlitwą swoją nie obejmowałam wszystkiego, co wydawało mi się, że powinnam. Zawsze myślałam sobie (i myślę), że mówienie Panu Bogu, żeby się kimś opiekował z jednej strony jest niepotrzebne (bo On lepiej wie i bardziej kocha), a z drugiej strony, skoro chce naszej prośby, to takie powiedzenie także nie wystarczy. Teraz urządzam sobie najczęściej tak, że Mszę św. i cały dzień ofiaruję w jakiejś intencji (najczęściej wieczorem nie pamiętam, jaka była intencja. Mam nadzieję, że Pan Bóg pamięta). Poza tą modlitwą dnia, najczęstsza prośba to prośba za siebie, żeby mną pokierował, żeby zmusił, żeby nie pozwolił ...

Co do modlitwy przebłagalnej — to boję się, że jeżeli jest, to tylko w słowach. Często mi się wydaje, że w ogóle nie żałuję za grzechy. Czasem jest mi głupio wobec Boga, czasem nawet wstyd, ale nie potrafię się martwić, bo wiem, że Pan Bóg doskonale wykorzystuje grzechy, że grzech jest (a w każdym razie może być) odskocznią do większego zaufania i oddania się Mu. Patrzenie w przyszłość utrudnia żal. Raczej jestem skłonna dziękować, choć pewno trzeba jakoś przepraszać.

Dziękuję w ogóle niewątpliwie za mało i zbyt rzadko. Ale wiem, że za wszystko można dziękować.

Co do modlitwy uwielbiania — to cóż człowiek może? Wielbi się życiem, a nie modlitwą ustną czy nawet wewnętrzną. A w pewnym sensie jedynym uwielbieniem jest Msza św.

Czym jest dla mnie Msza św.? Trudno mi na to odpowiedzieć, bo za dużo tu wiem i boję się, żeby nie napisać, „czym być powinna". W każdym razie jest dla mnie ofiarą. Często biorę w niej udział nie bardzo świadomie. Najłatwiej jest mi uczestniczyć, gdy ksiądz jest zwrócony twarzą do ludzi, gdy mówi dość głośno (niech się nie wstydzi tej łaciny, skoro tymczasem inaczej być nie może) a lektorzy czytają części zmienne.

N. N., ankieta 236
Kobieta, lat 50
Wykszt. średnie
Duże miasto

Modlę się dlatego, że mam do tego tyle powodów: jeżeli wierzę, muszę uczcić Boga i z życia uczynić jedną wielką modlitwę w bardzo prosty sposób. Przede wszystkim mimo wszystkich trudności kocham życie, jestem obsypana darami bardzo rozlicznymi jak: zdrowiem, najbliższymi kochającymi, mam pracę, mam codzienny chleb, no, w ogóle wyliczać by można bez końca. Muszę za to dziękować bez końca. Jeżeli mnie przyjaciel obsypie dobrodziejstwami, moja wdzięczność nie ma granic „do końca życia" mówimy, i moja jest do końca życia. Chcę się zrewanżować, bo to jest dalsza droga otrzymywania, chcę też coś dać. To dawanie wygląda przeważnie bardzo mizernie, zdobyć się na ofiarę, na wysiłek — jest bardzo trudno, ale... daję coś łatwiejszego, mniej bohaterskiego, np. uśmiech. Daję go często i dużo otoczeniu. Bo przecież to, że go w ogóle mogę dawać, też zawdzięczam tylko Jemu, o tym nie zapominam. Pomaga mi: „w Nim mogę wszystko" i w myśl tego daję modlitwę za innych, krótkim westchnieniem, jak widzę, że ktoś cierpi, codzienną króciutką modlitwą za tego, co jest smutny, co siedzi obok mnie w kolejce i widać (bo to widać), że ma jakieś ciężkie zmartwienie. A najbliżsi to mi już są ci najbiedniejsi, z którymi się stykam stale; obojętni, wykrzykujący, że Boga nie ma, że sobie doskonale bez Niego poradzą, ci, którzy kradną, prostytutki i zdemoralizowani. Wierzę, że moja krótka myśl o tym czy innym człowieku, zwrócona do Boga, pomoże mu. Jeżeli wszystko mogę w Nim, to przecież jest rękojmia nielada i z niej trzeba korzystać. To jest mój rewanż, właściwie też nie mój, bo gdyby mi Bóg nie pomógł, nigdy bym pewnie nie mogła się na to zdobyć, na pewno, ale wierzę, że największym życzeniem Boga jest, byśmy się miłowali, więc pole do działania jest. Uśmiech i serce — zauważyłam, że tego najwięcej spragnieni są wszyscy, którzy mnie otaczają w domu i w pracy. Co więcej, oni są wdzięczni za ten uśmiech, wydobyć uśmiech na twarzy drugiego, w dodatku smutnego człowieka jest chyba Bogu miłe. To jest moja modlitwa w ciągu dnia, tak bardzo często źle odmówiona przy porannym i wieczornym pacierzu. Np. jak idę do Komunii św., tak lubię zbliżać się potem w ciągu dnia do ludzi najwięcej — w moim pojęciu — „zagrożonych" różnymi bakcylami (w moim pojęciu zaznaczam, bo może być zupełnie inaczej). Mam w sobie najwyższą Miłość, przez przywitanie, czy nawet otarcie się o nich w tym właśnie dniu i króciutką modlitwę — wierzę w jej skuteczne oddziaływanie. Bardzo wierzę w modlitwę zwłaszcza za drugiego człowieka. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem ta lepsza — za mnie na pewno modlą się inni, najbliżsi; inni

dawali mi to samo; to, co otrzymałam, otrzymałam od innych, to, że tak myślę i czuję, że poznałam najwyższe wartości, dali mi inni — Bóg przez innych, więc... należy oddawać chociaż troszkę, bo o „oddaniu" długu jako takiego mowy być nie może. Ja tak dużo doznałam od ludzi dobra, tak bardzo bardzo dużo i ciągle doznaję, że ... aż zawstydza. Człowiek nie lubi być zawstydzony, jest trochę ambitny, nie chce ... tylko przyjmować.

Niezaprzeczalnie wierzę w to, że chcąc Bogu sprawić przyjemność mam tylko kochać swoich braci, kochać i uśmiechać się do nich, zwłaszcza do tych najmniejszych i najbiedniejszych. Ilu mam kolegów i koleżanek, którzy nie wierzą, ale jednak kochają i to często bardzo, z poświęceniem, z zapomnieniem o sobie. Są dla mnie przykładem, ja jeszcze, ponieważ wierzę, dodaję modlitwę — bo w nią bardzo wierzę. Nie przeczę, że często nie zdaję egzaminu, że moje „ja" pręży się i jeży, ale ... to też jest modlitwa. Dziecinne może „otarcie" się o tego czy innego człowieka w dniu Komunii św. jest też modlitwą. Wierzę, że Bóg wtedy bliżej na niego spojrzy, a może, może... obdarzy łaską. Zawsze warto spróbować. Ale to nie znaczy, że ja jestem mocna i może tej modlitwy nie potrzebuję więcej niż kto inny — potrzebuję bardzo modlitwy o prawdziwą pokorę. Człowiek jest taki skłonny myśleć o sobie zawsze lepiej jak w istocie jest. Tak łatwo, tak bardzo łatwo upaść, dlatego proszę również o modlitwę ojca Malachiasza.

„Bramachari", ank. 92
Mężczyzna, lat 38
Wykszt. średnie
Średnie miasto

Osobiście w modlitwie nie stosuję żadnych specjalnych metod, żadnych rygorów, nie trzymam się żadnych schematów, modlę się, jak mogę własnymi słowami. Wydaje mi się, że czytanie z książeczki do nabożeństwa jakichś przygodnych modlitewek do pewnego stopnia uwłacza czci Boga, że jest to chwalenie Jego tylko samymi wargami, podczas gdy serce nasze daleko od Boga. Zresztą sam Chrystus Pan uczył nas, że „gdy się modlicie, nie mówcie wiele jak poganie, którzy sądzą, że dla swej wielomówności wysłuchani będą". Prawdziwa modlitwa, sądzę, powinna wypływać z serca i prawdziwie modli się ten, kto kocha Boga. Zazwyczaj uważa się, że treścią modlitwy powinna być koniecznie prośba o jakieś dary, o odwrócenie jakichś nieszczęść od nas, taki pogląd zuboża bardzo wielkość modlitwy. „Wszakże Ojciec Wasz wie, że tego wszystkiego potrzebujecie", oraz gdzie indziej mówi Chrystus Pan: „Szukajcież wy tedy najsamprzód Królestwa Niebieskiego a wszystko inne będzie wam przydane". Podczas Mszy św., gdy tylko jestem w stanie skupić się, podążam za celebransem, ale gdy jestem zbyt roztargniony i nie

mogę sobie z myślami dać w żaden sposób rady, kieruję swą udręczoną myśl na jakiś obraz z życia Pana Jezusa opisany w Ewangelii i na nim koncentruję całą swoją uwagę, gdy zaś i to z bólami mi przychodzi, rozmyślam nad pięknem liturgii, gdyż choć nie lubię rygorów w modlitwie (oczywiście prócz mszału), to jednak kocham liturgię, hymny, święte pieśni kościelne tak mnie niekiedy głęboko wzruszające. Do wielkich świąt przygotowuję się, jak tylko mogę, uroczyście przez nakładanie sobie drobnych umartwień itp. Staram się też często, o ile możności, przystępować do Stołu Pańskiego, gdyż tylko w tym jest źródło naszego żywota, naszej siły duchowej, pomny na słowa Dawcy Żywota: „Jeśli nie będziecie pożywać Ciała Mego ani Krwi Mojej pili, nie będziecie mieć Żywota w sobie". „Kto trwa we mnie a Ja w nim, wiele owocu przynosi." Ja zaś pragnę gorąco tego obiecanego nam Żywota, pragnę również mocno ten Żywot innym przez modlitwę przynosić, chcę Nim wszystkich obdzielić, „aby Żywot mieli i obficie mieli".

W chwilach głębszego uspokojenia lubię bardzo rozmyślać nad Ewangelią. Chrystus Pan oglądany na jej kartach wydaje mi się jakiś bliższy, bardziej ludzki, widzę wówczas mniejszy dystans między Nim a sobą grzesznikiem. To, co On dla nas uczynił, tak nieskończenie wprost przerasta wszelkie pojęcie ludzkie. W swym całokształcie Ewangelia widziana z tej perspektywy, to Ewangelia Miłości. Jego Boska Miłość sprowadziła Go z Niebios na ziemię, upodobniła Go do nas, w końcu zaprowadziła go na Kalwarię, gdzie dokonał żywota dając nam dowód Swej nieskończonej miłości ku nam. Gdybyśmy chcieli zsyntetyzować wszystkie Jego doskonałości w jednym słowie, to tym słowem byłaby tylko Miłość.

A zważyć, że tak mało lub w ogóle o tym się nie mówi i nie pisze! Wielkość tej miłości Chrystusowej, przekraczająca bez miary naszą małość i nędzę, przygniata, miażdży i zniewala. Kto zdolen dostrzec tę wielkość i zrobić z niej należyty użytek? Chyba tylko sami święci to potrafią i to tylko na miarę ludzką zaledwie. Gdy z jednej strony zważę Jego nieskończoną ku nam Miłość, Jego świętość, Jego najświętsze życie i śmierć oraz wszystkie łaski i dobrodziejstwa, jakimi nas obdarza mimo naszych grzechów, a znów gdy z drugiej strony postawię, co ja najnędzniejszy grzesznik dla Boga czynię, doznaję uczucia tym większej słabości i niemocy. Gdy rozmyślam nad tym, że ten Bóg nieskończonej Dobroci i Miłości, niczego więcej ode mnie nie pragnie, tylko aby Go kochać, że On żebrze u mnie miłości, której tylko odrobinę mogę wygospodarować ze swego egoizmu, bo wciąż tkwię po same uszy w pętach grzechu i różnych nałogów, to serdeczny żal moją duszę ściska na samą myśl o tym, jak również i o tym, że mało kto o tych sprawach

pamięta, mało kto chce naprawdę żyć tą pełnią życia Bożego w nas. Osobiście skłonny jestem sądzić, że rozmyślanie o Bogu połączone z miłością, stanowi istotę modlitwy. Jeżeli tak jest naprawdę, to będzie to odpowiedzią moją na podstawowe pytanie ankiety.

Kazania, miłość bliźniego, wartość życia modlitwy, dawanie przykładu życia głęboko religijnego i inne zagadnienia wiążące się ściśle z zagadnieniem modlitwy to osobny rozdział, któremu chciałbym przy okazji poświęcić słów kilka. Nie potrafiłbym może nawet wytłumaczyć, dlaczego słuchanie kazań sprawia mi najczęściej tyle udręki. Jeżeli już muszę ich słuchać, a z konieczności muszę, gdy chcę być obecny na Mszy św., to ofiaruję Bogu tę swą udrękę, jako pokutę za grzechy. Co do mnie, to wiem na pewno, że gdyby moja wiara miała pochodzić ze słuchania kazań, to najprawdopodobniej byłbym dziś zagorzałym, wojującym ateistą. Od niepamiętnych czasów (choć żyję stale w środowisku miejskim) nie słyszałem jeszcze kazania na temat miłości Bożej czy bliźniego, jak gdyby jedna i druga nie były w ogóle naszym naczelnym przykazaniem. Aż żal serce ściska, że np. lektorzy z TWP potrafią o wiele ciekawiej i bez porównania lepiej mówić o rzeczach arcynudnych, niż nasi kaznodzieje o Bogu. W kazaniach przecież nie o to chodzi, by wykazać się swoją uczonością, by były wygłaszane w kwiecistym stylu, po prostu, gdy chce się serio coś osiągnąć, wystarczy uwierzyć w to, o czym się mówi. Nie na samych zakazach czy nakazach, ale na miłości zawisł Zakon i prorocy, jak nas uczy Pan Jezus i nie z czego innego jak tylko z miłości będziemy sądzeni, gdy przekroczymy progi wieczności. Geniusz ludzki odkrył ogromne moce zawarte w jądrze atomu, ale potęgi zawartej w miłości nikt jakoś nie kwapi się odkrywać ani jej wyzwalać, choć o tym mamy wszyscy przekonanie, że ona istnieje. Nam, którzyśmy tej Miłości zawierzyli, biada, jeżeli będziemy o niej dalej z uporem milczeć.

Kardynał Suhard w jednym z listów pasterskich pisał, że jedynym apostolstwem, jakiego dziś trzeba światu, jest apostolstwo myśli, chciałbym w tym miejscu niejako już na swoją odpowiedzialność wpleść w kontekst jeszcze — apostolstwo przykładu — bo samą myślą, drukowaną, upchane są już do wysokości sufitów archiwa, biblioteki, magazyny wydawnicze itp., a nikogo ona jeszcze nie porwała do czynów wielkich, do pełnienia dobrego.

Dawanie dobrego przykładu, przykładu cnót choć trochę przekraczającego miarę przeciętności i miernoty ze strony katolików, a zwłaszcza osób do tego w szczególny sposób powołanych, wydaje mi się być apostolstwem chwili obecnej. Pamiętam, jak swego czasu w Krakowie opinia publiczna ogłosiła świętym księdza,

który widząc na ulicy ubogiego zdjął z nóg buty i oddał mu je, jako jałmużnę, bo nie miał grosza przy duszy. A był to tylko zwykły, humanitarny uczynek.

Obserwując od lat pod kątem religii życie tych ludzi, wśród których mi przypadło w udziale żyć, odnoszę wrażenie, że tak niewiele potrzeba, aby ich nająć do pracy w Winnicy Pańskiej, że ta religijność tylko drzemie w nich i czeka, aż ją ktoś pobudzi do czynu. To apostolstwo wydaje mi się miał Chrystus Pan nasz na myśli, gdy mówił: „Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca Waszego, który jest w Niebiesiech". Parafia, jako najmniejsza komórka w żywym organizmie Kościoła, ma w tym względzie szczególną rolę do odegrania i od tego, kim będzie jej duszpasterz, tak wiele zależy. *Qualis parochus, talis parochia.* Święci proboszczowie na miarę św. Jana Vianney są raczej zjawiskiem rzadkim w historii Kościoła. Chyba do końca świata nie stracą aktualności słowa Chrystusa Pana, że „żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało, proścież tedy Pana żniwa, aby posłał robotników na żniwo swoje". I w tym zaleceniu Pana zawiera się cała pointa, jeśli chodzi o ludzi modlitwy.

Choć wszyscy wierni modlą się co dzień słowami modlitwy Pańskiej: „Przyjdź Królestwo Twoje", to jednak tylko nieliczni uważają sprawę przyjścia Królestwa Bożego do dusz ludzkich za swoją własną sprawę. Są to ludzie o głębokim życiu modlitwy. Za życie modlitwy w Kościele świętym jesteśmy wszyscy, choć w różnym stopniu, odpowiedzialni. Żeby użyć nieudolnego porównania, chciałbym jakoś dać wyraz wartości modlitwy porównując ją do kapitału w gospodarce państwa — im większy zasób tego kapitału, tym lepszy dobrobyt w ekonomii Bożej na ziemi. Źródłem zaś, z którego ten kapitał otrzymujemy, są zakony kontemplacyjne i dusze święte, i im to źródło intensywniejsze, tym więcej łask Bożych spływa na świat i odwrotnie, im słabiej to źródło wytryska, tym gorzej dla świata.

Gdybyśmy chcieli obiektywnie spojrzeć na dzieje ludzkości (choć wielu może się nie zgodzić z taką interpretacją dziejów), to zobaczylibyśmy obraz zmagań, wzlotów i upadków ducha ludzkiego, a wszystko to w zależności od ducha modlitwy, jaki gdzie panował w danej epoce. Modlitwa w najszerszym pojęciu jest tym *spiritus movens* dziejów ludzkości, a największą przysługą, jaką w ogóle można oddać Kościołowi i swemu narodowi, jest stawanie się z dnia na dzień coraz lepszym, coraz świętszym.

O owocach będących udziałem ludzi ducha modlitwy ani o skutkach spowodowanych brakiem tegoż ducha modlitwy w różnych

aspektach nie będę pisał ze względu na brak środków wyrazu, jaki u siebie odczuwam — aby jeszcze pod tym względem nie zubożyć tak bogatych treści i nie spaczyć do reszty pojęcia modlitwy. To zresztą, co w tym przedmiocie jest najlepszego, najpiękniejszego i najwartościowszego, jest zbyt trudne do uchwycenia w jakiś sposób, wymyka się spod pióra i tak przerasta moje siły, że kończąc te swoje wypociny z głębokim żalem spostrzegam, że to, co napisałem, to nie to, co chciałem napisać — ale nie podejmę się od nowa pisania odpowiedzi na ankietę.

N. N., ankieta 30
Kobieta, lat 21
Studentka
Duże miasto

Ostatnio prawie się nie modlę. Tyle, że właśnie dzisiaj modliłam się bardzo dużo. Jest już noc i w ostatnich wiadomościach podano, że papież znowu stracił przytomność. Dzisiaj modliłam się bardzo dużo — przy robocie, w tramwajach, nawet podczas prywatki.

Ale poddaję się — nie wiem, po co się modlę. Chyba jakoś tam wbrew sobie wierzę w ważność tej modlitwy, ale jest to wiara zupełnie irracjonalna i gdybym była naprawdę konsekwentna, nie powinnam była mówić jednego „Ojcze Nasz".

Gdybym była naprawdę konsekwentna, musiałabym stąd na dobre odejść (kiedyś już odeszłam na kilka lat i stosunkowo niedawno wróciłam).

Bardzo możliwe, że mnie tu trzyma tylko chorobliwa ambicja („jak to — mnie się nie udało") i może jeszcze trochę żalu, że naprawdę jest „nie tak". Wszystko to razem jest dość paskudne.

Nikt mnie chyba nie przekona, że założenie wszechwiedzy Boga nie implikuje w gruncie rzeczy determinizmu. Znam różne argumenty przeciwne, z których w końcu wynika, że z Bogiem jest zupełnie inaczej, niż jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Pięknie — ale skoro inaczej, to dlaczego akurat tak, że się trzeba modlić o różne rzeczy? Macie gotową odpowiedź: dlatego, że tak to przedstawił Chrystus w ewangelii. Ten argument byłby dla mnie przekonywujący, gdyby nie fakt, że ewangelia też ma jakieś miejsce wśród moich wątpliwości. W tym wspaniałym tekście powtarza się wiele razy okrutny nakaz: „wierzcie we mnie" i ostrzeżenie pod adresem tych, którzy nie wierzą. W tym jest dla mnie jakaś sprzeczność. Bogu Ewangelii nie mogłoby tak zależeć na naszej wierze, skoroby jednocześnie wiedział, jak z tą wiarą jest naprawdę. W tym żądaniu jest dla mnie coś bardzo ludzkiego.

Pierwsze zdanie tej wypowiedzi jest o tyle niesłuszne, że ciągle jeszcze próbuję się modlić. Chyba na zasadzie wykształconego

przez półtora roku odruchu. To bardzo żałosne — modlitwa jako odruch.

Próbuję, ale teraz mi już zupełnie „nie wychodzi". Dlatego napisałam to pierwsze zdanie. W każdym razie próbowałam często i różnie. Bardzo często wstępowałam do kościołów, koło których przechodzę i nic się tam ze mną nie działo poza tym, że te wszystkie „próby zaufania" były męczące. Na ulicy — kiedy widziałam ludzi wskakujących do tramwaju. Czasem mi się nawet zaczynało zdawać, że to dzięki mnie mają obie nogi (!). W tramwajach próbowałam się czasem modlić za stojących obok — kiedyś mnie to nawet „bawiło".

Próbowałam po prostu mówić do Boga choćby o tym tylko, że jestem, i tu chyba najbardziej przegrałam. Nie umiem. To jasne — nie umiem się modlić, bo nie wierzę.

Nawet w „najlepszych" momentach adresatem mojej modlitwy stawał się często jakiś żywy, konkretny człowiek, z którym by się dobrze na dany temat rozmawiało. Do niego wtedy mówiłam — nie do Boga. Uświadamiałam sobie to w sposób przerażający, ale kiedy bardzo starałam się mówić do Boga, czułam, że to słowo jest dla mnie puste.

Ta wypowiedź również powstała w dużym stopniu podczas takiej niby modlitwy.

N. N., ankieta 93
Kobieta, lat 60
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Opory przeciwko ankiecie. Dwojakie: 1. Niebezpieczeństwo pozy i w ogóle niebezpieczeństwo ukazywania ludziom tego, co jest tylko między mną i Bogiem. 2. Lęk, że „odbiorcy" (autorzy ankiety) są za mało święci na stawianie takich pytań. Może to śmiesznie brzmi, ale tak to czuję. Trzeba więc sobie z góry powiedzieć: grzesznik mówi do grzeszników.

Narodziny modlitwy. Nie przypominam sobie żadnego okresu życia bez modlitwy. Dlatego nie potrafię powiedzieć, kto mnie jej uczył. Pewno matka.

Jak rozumiem modlitwę? Modlitwa jest czymś, co „u nasady" jest punktem: myśl lub słowo „Boże!", a dalej rośnie w nieskończoność. Jest więc czymś więcej, niż słowem czy myślą. Pełnia modlitwy to całkowita łączność życia z Bogiem.

Czym dla mnie jest modlitwa? Trudna odpowiedź. Działa tu obok niewątpliwego nawyku także przeświadczenie, że „jeśli Pan domu nie zbuduje..." Jest wzywaniem, by budował. Można odpowiedzieć porównaniem. Nastawienie steru na azymut, pod jakim statek ma

płynąć, lub sprawdzenie azymutu, pod jakim płynął. Stąd pewna bardzo zasadnicza łączność z całym dniem, choć w ciągu tego dnia tak mało myśli się o Bogu. Ale modlitwa jest jeszcze czymś więcej. Krzykiem o pomoc, o miłosierdzie dla nieprzeliczonego cierpienia, o którym się tylko wie, dla cierpienia, na które się patrzy i którego widoku nie można znieść. Modlitwa jest wtedy jedynym ratunkiem od buntu i rozpaczy. Aby móc znieść widok cierpienia, które nas otacza, trzeba być albo tępym kaleką, albo świętym. Bo tylko dla świętego (może nie dla każdego świętego?) nieskończona Dobroć jest czymś równie konkretnym, pewnym, oczywistym jak cierpienie. Dla nie świętego cierpienie ma najwyższy stopień oczywistości, czasem jest jedyną oczywistością. Stąd smutek modlitwy, rzucanie krzyku w ciemność.

Modlimy się o pomoc dla siebie — i widzimy, jak wciąż jesteśmy do niczego. Modlimy się o pomoc dla innych — wiemy z góry, że rzadko będziemy wysłuchani w sposób „widoczny". I tu musi się nasunąć zagadnienie niewysłuchanych modlitw. Powiedziano mi przed laty, że każda modlitwa zostaje wysłuchana (oczywiście, modlitwa a nie bełkot czy chytra propozycja transakcji handlowej). Przyjęłam to jako pewnik. Nie może być inaczej. I tak mi żal dzieci — małych i dużych — i starych, których wiara załamuje się, ponieważ ksiądz czy matka nie wytłumaczyli im, że wysłuchanie modlitwy nie jest równoznaczne ze spełnieniem naszego życzenia. Czasami dziecko modli się o skorpiona, o którym mówi Pismo.

Jak się modlę? W mieście chodzę zwykle rano do kościoła. Rzadko wysłuchuję całej Mszy. Chodzi mi przede wszystkim o Komunię św. (problem: czy wskazane jest pozostawanie w dzień powszedni na całej Mszy, jeśli ktoś nie może podołać w pełni swoim obowiązkom?). Podczas Mszy mówię pacierz ranny. Gdy nie pójdę do kościoła, nieraz o nim zapomnę. Czasem modlę się na ulicy, w pociągu itp. Wieczorem odmawiam pacierz przed spaniem (gdy pozycja klęcząca mnie męczy, odmawiam leżąco, aby skupić się raczej na treści. To też pewnego rodzaju problem, wcale nie czysto formalny). Na nabożeństwa popołudniowe (majowe, czerwcowe itp.) chodzę bardzo rzadko, bo 1) fizycznie nie znoszę tłoku, 2) brak mi czasu, 3) za ważniejszą uważam Mszę. Wstępuję do kościoła niekiedy, gdy jest pusty, jest wówczas oczywiście „przyjemniej", nie uznaję jednak w życiu religijnym supremacji nastroju i sentymentu, wobec czego wzgląd na „przyjemność" nie jest decydujący.

Opory w modlitwie. Oczywiście, niemal chroniczne. Zmęczenie, roztargnienie, zmechanizowanie, pustka. Ciemność.

Udział we Mszy. Słaby. Uczestnictwo — momenty. Poza tym

modlitwa indywidualna, rachunek sumienia, przygotowanie do Komunii św., pewno zbyt formalistycznie traktowane:

W różnych okresach życia różne fragmenty modlitw mszalnych przemawiały szczególnie.

„Od człowieka złego i niesprawiedliwego wyrwij mnie..." — uświadomienie sobie: to znaczy — ode mnie samej!

Wlewanie wody do wina. Na ten wstrząsający symbol wejścia Boga w nędzę człowieczeństwa otworzył mi oczy w jakiejś konferencji religijnej niezapomniany ks. K.

„Światłość świeci w ciemnościach, a ciemności jej nie ogarnęły."

Bliską mi jest modlitwa do św. Michała. To taki pakt metafizyczny.

Nie wyobrażam sobie modlenia z książeczki. Używam mszalika. Modlitwy wstępne odmawiam z pamięci, tak samo modlitwy ważniejszych części Mszy. Poza tym odczytuję zazwyczaj tylko części zmienne. Odmawianie wszystkiego ogranicza bardzo możliwość zastanowienia się. Muszę mieć „luzy".

Co mi utrudnia a co ułatwia słuchanie mszy. Nie wytrzymuję stania. Bardzo źle znoszę tłok. Bardzo nie lubię długich nabożeństw. Gdy nie widzę ołtarza, trudno skupić się i mam potem wrażenie, że brakowało czegoś istotnego. Niby znam łacinę, ale niewyraźnego lub szybkiego mamrotania nie rozumiem. Wzdycham do reformy, by modlitw we Mszy było mniej, a zato były głośno, powoli i wyraźnie odmawiane. Dobre organy nie przeszkadzają. Śpiew — to zależy. Zdyscyplinowany, ogólny chór jest wspaniałą formą modlitwy społecznej, ale nie w każdej chwili. Nie może odrywać od treści Mszy. Śpiew na chórze? Istnieje jakaś bardzo subtelna różnica między śpiewem solowym czy chóralnym dla popisu i śpiewem-modlitwą. Dla popisu — nie do zniesienia (czy księża nie mogliby delikatnie przypominać wiernym, że zbyt donośny wyrywający się głos śpiewaka a zwłaszcza śpiewaczki nie przyczynia się do chwały bożej, natomiast bywa torturą dla bliźnich?).

W pewnych momentach powinna panować zupełna cisza. Przed, podczas i po Podniesieniu. Przed, podczas i po Komunii św. Za zupełne barbarzyństwo uważam śpiew (ogólnie u nas przyjęty) w tym ostatnim przypadku. Mam często ochotę zatkać sobie uszy rękami, by móc się skupić. Nie robię tego, by nie zwracać uwagi.

„Kiedy ranne wstają zorze" jest pieśnią piękną, ale intonowanie jej w chwili, gdy kapłan odmawia cudowne modlitwy u stóp ołtarza: „czemużeś smutna, duszo moja, i czemu mnie trapisz? Miej nadzieję w Bogu, bo Go jeszcze wysławiać będę..." — czy to ma sens?

Jakie pieśni mają dla mnie najgłębszy sens modlitewny? Przede wszystkim dawne. Zawsze w ostatnich latach przeżywam żal, że w okresie Wielkanocy tak mało śpiewa się przepięknych pieśni o Zmartwychwstaniu. Niektórych wcale lub tylko jedną zwrotkę. Wzruszają mię naiwności w rodzaju: „Widziałam Go po męce, Trzymał chorągiew w ręce" lub „Tu Go nie ma, tu Go nie, tylko Jego odzienie". Z kolęd za najpiękniejszą (ze śpiewanych po kościołach) uważam „Anioł pasterzom mówił...", za najmniej piękną, bo zbyt „obśpiewaną" i sentymentalną — „Lulajże Jezuniu..." „Godzinki" — prześliczne, byle nie podczas Mszy. Gdyby tak w okresie Adwentu śpiewać je przez kwadrans przed Mszą? Wśród pieśni nowych nieliczne mają prostotę modlitw. Piękny jest apel jasnogórski. Jeśli chodzi o Psalmy, to można się naprawdę na nich modlić, choć czasami trudno się nie uśmiechnąć (Pan Bóg sprawiedliwy, połamie karki grzesznikom). Trudno jednak nosić osobną książkę. Bardzo przydałyby się w mszalikach pieśni i psalmy!

To wszystko był m ó j g u s t. Mogą być inne. Stąd potrzeba zróżnicowania stylu zewnętrznego Mszy, a zwłaszcza śpiewu, zależnie od środowiska. Można by jednak trochę oddziaływać, a także ułatwiać ludziom poznanie słów.

Modlitwa własnymi słowami. Oczywiście. Sformułowania oficjalne nie wystarczają. Pomagam więc sobie po swojemu. Rankiem: „Stawiam się przed obliczem Twoim i cześć Ci oddaję jako Stwórcy mojemu i Źródłu wszelkiego dobra. Dziękuję Ci za wszystko, co dla mnie czynisz, i przepraszam Cię za wszystko, czym Cię obrażam. Wyrwij mię, Panie, z grzechów moich i ze wszystkiego, cokolwiek oddala mnie od Ciebie. Daj, abym wolała cierpieć i umrzeć niż zgrzeszyć. Daj, a b y t e s ł o w a b y ł y p r a w d ą." Wieczorem oddaję Bogu wszystko, cokolwiek łączyło mnie z ludźmi: „napraw i wynagródź, wyprostuj i uzupełnij, uświęć i pobłogosław". Swoimi słowami uzupełniam modlitwy po Komunii: „Niech ta Komunia św. nie będzie mi na grzech, ale na wyzwolenie z grzechu; niech połączy mnie z Tobą i nie pozwoli nigdy oderwać się od Ciebie; niech przenika moje myśli, słowa i uczucia, stosunek do ludzi, stosunek do obowiązków, stosunek do trudności; niech oczyszcza myśli i intencje, niech poddaje właściwe słowa i właściwe sposoby postępowania; niech prowadzi mię drogą woli Twojej i Miłosierdzia Twojego i doprowadzi po śmierci do połączenia się z Tobą na zawsze..." Zdaję sobie sprawę, że w tych modlitwach są różne nielogiczności, powtórzenia itp. Ale to nie jest ważne.

Te własne modlitwy przekształcają się i zmieniają co pewien czas. Przychodzi jakieś nowe spojrzenie i dyktuje nowe słowa.

Różaniec. Do nabożeństw paraliturgicznych nie mam serca. Zdaję sobie jednak sprawę, że potrzeby religijne ludzi są tak różne, jak różni są sami ludzie. Niech chodzą, skoro im to odpowiada.

Długo nie mogłam się przekonać do różańca. Młynkowanie pacierzy wybitnie mi nie odpowiada. Z czasem zaczęłam odmawiać różaniec, adaptując go w sposób następujący:

a) tylko jeden dziesiątek na raz;

b) wybieram sobie jedną tajemnicę zależnie od dnia tygodnia. Niektóre częściej od innych. Tak z tajemnic radosnych szczególnie bliskie jest dla mnie Nawiedzenie. Takie proste, zwykłe, ludzkie: we własnym utrudzeniu znaleźć chęć niesienia pomocy innym. A przy tym to jakieś cudowne porozumienie dwóch bliskich sobie osób, dwóch pokoleń, związanych wspólnotą uwielbienia. Z tajemnic bolesnych najbliższą mi jest modlitwa w Ogrojcu. Straszny lęk przed cierpieniem. Żyję takim lękiem, więc mogę powiedzieć sobie: Nawet Chrystus... Z tajemnic chwalebnych wybieram najczęściej Zesłanie Ducha św., gdyż ono jest nam ciągle na nowo potrzebne. Jak inaczej wyjść z naszych ślepych uliczek?

c) każde „Zdrowaś" dziesiątki przeznaczam na inną intencję. Np. za dziesięć różnych osób zmarłych, za najbardziej cierpiących, za bliskich niewierzących, za ogólne osobiste potrzeby itp. Co dzień może to inaczej wyglądać. Nie jest to może autentyczny różaniec, myślę jednak, że Matka Boża nie obraża się o te modyfikacje.

Długo wypadło to pisanie, a ja modlę się krótko. Zdumiewa mię umiejętność długiego modlenia się u wielu osób. Myślę, że modlitwa we wszystkich swoich wymiarach jest na miarę wiary. Moja wiara jest słaba, a miłość bardzo letnia. Czuję się jedną z tych, co otrzymali tylko jeden talent. Chciałabym jednak uczciwie wyliczyć się z tego talentu. Wiernością wynagrodzić słabość, letniość, ospałość. Może i to pragnienie jest modlitwą.

N. N., ankieta 242
Kobieta, lat 32
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Nie wystarczało mi nigdy to, co mnie otacza i czego dotykam; nie dawała mi zaspokojenia wiara, którą przekazali mi rodzice, bo i to chciałam poznać bliżej. Już w okresie młodzieńczym zaczęłam szukać czegoś głębszego, trwalszego, zwłaszcza od chwili, kiedy przekonałam się, że miłość ludzka zawodzi.

Dziś z perspektywy czasu widzę, że sam Bóg mnie prowadził przez różne okoliczności życia do siebie i roztęsknił za sobą.

Jak rozumiem modlitwę? Najlepiej odpowiada mi określenie modlitwy mistrzyni życia wewnętrznego, św. Teresy od Jezusa: „Mo-

dlitwa jest obcowaniem z Tym, o którym wiemy, że nas kocha". I dla mnie modlitwa dopiero wówczas staje się prawdziwą modlitwą, jeśli przynajmniej jest staraniem z naszej strony o takie przyjacielskie obcowanie z żywym i miłującym Bogiem. Odważyłabym się nawet powiedzieć krótko, że modlitwa to miłość wyrażona przez myśli, słowa, milczenie czy pracę.

Jak się modlę? Czym dla mnie jest modlitwa? Modlitwa wewnętrzna indywidualna jest głęboką potrzebą mojej duszy i pragnę, by stała się ona moim oddechem zgodnie z radą Chrystusa — „Trzeba się zawsze modlić i nigdy nie ustawać". Nie mogłabym powiedzieć, że lubię się modlić, owszem, modlitwa — zwłaszcza taka, gdy wyznaczę sobie określony czas na nią — kosztuje mnie czasem niemało zaparcia się siebie, ale równoczesne wewnętrzne przekonanie, że Bóg tego ode mnie wymaga, pomaga mi wytrwać na niej. Od dłuższego czasu nie mam prawie żadnych uczuć na modlitwie, pozostała mi tylko sucha wiara, która po każdej chyba modlitwie wewnętrznej jakoś się wzmacnia; już sam charakter mojej modlitwy do tego przyczynia się. Najczęściej powtarzam w obecności Jezusa lub Boga Ojca pewne teksty z Pisma św. (przeważnie pojedyncze zdania), które w danej chwili odpowiadają mojej duszy, czasem w milczeniu zatrzymuję się przed Bogiem żywym, o którym przekonana jestem, że mnie kocha i to mi wystarcza. Skupiam się wówczas przed Nim cała (wszystkimi władzami mej duszy bez działania wyobraźni) i tak pozostaję nic nie mówiąc i to mi wystarcza; głęboki spokój zalewa mą duszę i doświadczalnie przeżywam Boga. Na modlitwie daję też Bogu pragnienia, by być tylko Jego, składam gotowość swoją na wszelkie oczyszczenia mnie zewnętrzne i wewnętrzne, by móc spełniać najmniejsze życzenia Jezusowe. Czasem powtarzam Mu to własnymi myślami, a czasem milczeniem. Po takiej modlitwie mam przeświadczenie, że Bóg sam dał mi to skupienie, bo chce mi się udzielać. Innym razem znowu (obecnie najczęściej) czas modlitwy upływa na wysiłku z mej strony (wysiłku woli, a nie rozumu), by być z Bogiem. Gdy roztargnienia przerywają tę łączność z Bogiem, to znów wracam w pokorze i ze spokojem do obecności Bożej pomagając sobie czasem Pismem św. lub tekstami liturgicznymi, i na takim utrudzeniu upływa czas mojej modlitwy. I z takiej modlitwy także przychodzi korzyść dla duszy, bo poznaje ona swą słabość wchodząc w prawdę. Przed taką modlitwą wzdraga się moja natura, jednak wiara daje mi przekonanie, że Bóg pragnie tego trudu, i to pomaga mi wytrwać na modlitwie. Codziennie oddaję się takiej modlitwie. Później po pewnym czasie Bóg znowu hojnie obdarza mnie Sobą i pozwala kosztować Siebie w skupieniu. Czasem i roztargnienia

włączam w modlitwę, to znaczy na różne tematy, które się narzucają, „rozmawiam z Jezusem". Teraz nie przejmuję się już bardzo tymi roztargnieniami, bo one jedynie mogą zakłócić rozum, a nie miłość, która wypływa z woli i jest najważniejsza na modlitwie. Ja osobiście prędzej się skupiam poza wyznaczonym czasem na modlitwę, tzn. w drodze, w tramwaju, gdy coś załatwiam, wykonuję prace fizyczne itd. Pragnę wprowadzić Jezusa w każdą sytuację życiową, wczuwać się w Jego pragnienia poprzez znajomość ewangelii, przez wyczuwanie natchnień Ducha św. To jednak wymaga dużego czuwania nad skupieniem wewnętrznym i ze słabości często mi się to nie udaje, wtedy chociaż te nieudolne próby ofiarowuję Jezusowi, a On je dopełnia. Czasem wyraźnie wyczuwam, że czegoś ode mnie życzy sobie Bóg, upewniam się wtedy (jeśli to możliwe) u kierownika duszy, gdy chodzi o rzeczy ważniejsze, i staram się to spełnić, najczęściej jednak nie wiem, jak to zrobić, bo jestem bardzo nieporadna (pocieszam się, że „głupich wybrał Bóg"). Więc znowu z ufnością proszę Ducha św. o pomoc. Zapewnił nas przecież Jezus: „On was wszystkiego nauczy..." i rzeczy zawiłe stają się bardzo proste.

Modlitwa wspólna bardzo mi odpowiada po prostu dlatego, że Bogu się podoba. Tym motywem kierowałam się dotychczas włączając się w modlitwę wspólną. Niedawno — ku wielkiej mojej radości — usłyszałam wyjaśnienie, że Bóg ma upodobanie w modlitwie wspólnej dlatego, że jest ona wyrazem miłości bliźniego i wspólnoty, o którą Chrystus prosił Ojca — „spraw, aby byli jedno". Mam głęboką świadomość, że w czasie modlitwy wspólnej Sam Chrystus pośredniczy między Bogiem Ojcem a nami i modlitwa jest skuteczna. Jeszcze inny motyw — bardzo osobisty — przemawia za tym, że lubię włączać się w modlitwę wspólną: lubię adorować Chrystusa nie tylko żyjącego w Eucharystii, we mnie, ale także pragnę adorować Chrystusa żyjącego w bliźnich jako braciach Chrystusa i moich, a do tego daje mi okazję modlitwa wspólna. Ta świadomość łączy mnie z ludźmi od wewnątrz i stają mi się oni bliżsi. Gdy czasem nie mogę się modlić, to i wtedy chcę być chociaż z tymi, którzy się modlą czekając na coś...

I jeszcze dla wyjaśnienia dodam, że z natury wolę przebywać z dala od wszelkiej społeczności i nieraz musiałam zadać sobie gwałt, by nie pójść za głosem natury.

„Zenon", ank. 101
Mężczyzna, lat 20
Student
Małe miasto

Modlitwa to kromka razowego chleba, kromka chleba, którą zdobywa się w pocie czoła, by ją włożyć do ust i nasycić się jej świeżością. Czy jednak tak jest zawsze? Gdy jestem zbyt zmęczony pracą i późno wieczór oczy kleją się do snu, to nieraz odmawiam tylko krótki pacierz, czasem nawet całkiem bezmyślnie znaczę na sobie duży znak krzyża i prawie natychmiast zasypiam. Sumienie potem mówi: w ciągu dnia miałeś czas na rozrywki, na ciekawą książkę, na zapamiętałe kopanie piłki, na czytanie rozmaitych gazet, na niepotrzebne rozmowy i plotki, a dla Boga ci go brakuje? Zbywasz Go tylko jedną minutą odklepanej modlitwy?

I znów staram się poprawić. Więcej poświęcam czasu swej modlitwie porannej i wieczornej. Gdybym jej całkowicie zaniechał, to wiem, że moje życie stałoby się puste, że brak by mi było czegoś istotnego, bez czego nie można żyć.

Przeraża mnie czasem ogrom otaczającego mnie świata, własna bezsilność i małość, własna zależność i niemoc. Wówczas idę, by spotkać się z Bogiem. On milczy i ja milczę, lecz moje milczenie mówi za mnie. Jego pozorna niemoc umacnia mnie. Rozumiem, że jestem właściwie zależny tylko od Niego i wówczas chcę Go mieć blisko przy sobie, na każdym kroku, przy każdej mojej czynności. Wtedy inaczej patrzę na drugich — widzę Go w nich, tak jak mi to On polecił. Rozumiem wówczas, że modlitwa polega na zbliżeniu się do Niego. Nie potrzeba wówczas nawet słów. Serca bowiem kochające się milczą.

Lecz nie zawsze ten stosunek jest taki idealny. Nieraz zamiast modlitwy wyrywają się z ust słowa sprzeciwu i buntu, wyrywa się pytanie: dlaczego?, na które nieraz trudno znaleźć odpowiedź. Wierzyłem w coś mocno, ufałem, że Bóg mi pomoże — a tymczasem wszystko się zawaliło. I znów rozpaczliwe pytanie: dlaczego?! Staram się wówczas zdać na wolę Bożą mimo buntu i oporów wewnętrznych. On wie lepiej. Sam powiedział: drogi moje nie są drogami waszymi i myśli moje nie są myślami waszymi.

Najważniejsze sprawy ludzkiego życia mają się rozgrywać w sercu, w oazie ciszy, którą trzeba stworzyć wśród zamętu życia. Trzeba z Bogiem stale nawiązywać kontakt, a taki kontakt będzie właśnie modlitwą.

Któryś z poetów powiedział, że tylko w ciszy Bóg cię lepiej usłyszy.

Oczywiście, że stworzenie takich warunków wymaga ofiary, a niepowodzenie doczesne nie może ich burzyć.

Jeśli modlitwa nie wnosi nic nowego w moje życie — to moja wina.

My młodzi słyszymy wiele od księży i od innych o duchu ofiary i wyrzeczenia, lecz mało się nad tym zastanawiamy, nie widzimy tego także zbyt często u tych, którzy nam o tym mówią. A przecież każda modlitwa, o ile ma być prawdziwą modlitwą, to musi być ofiarą.

Wspomniałem na początku, że czasem odmawiam tylko krótki pacierz i znaczę duży znak krzyża.

Tak, kładę duży znak krzyża, by mnie chronił i dodawał siły, gdy jestem bezsilny i nic mi się nie chce. Zawsze jednak staram się czynić ten znak z jak najpełniejszym zrozumieniem. Staram się o poszerzenie horyzontów modlitwy. Odmawianie bowiem samych formułek modlitewnych prowadzi często do płycizny modlitewnej. Często w tych modlitwach brak jakiejś głębszej treści. Do nas młodych mało przemawiają takie formuły modlitewne. Szukamy własnego języka, dostosowanego do naszego życia i naszych potrzeb. Nie chcemy, by na rozmowę z Bogiem czekać w poczekalni. Jeżeli do Niego należymy, to chcemy Go mieć blisko, chcemy, by nasz kontakt z Nim był przyjacielski, jednym słowem chcemy Go mieć bezpośrednio w naszych codziennych sprawach, choćby to wymagało dużej ofiary i zaparcia.

Chcę, by moje modlitwy były naprawdę kromką czerstwego, razowego chleba, którą można się posilić, gdy się jest utrudzonym.

Dużo się mówi, by całe życie było modlitwą zanoszoną do Boga. Wiele o tym słyszę w kazaniach, sam się tym interesuję, czytam na ten temat, chociaż trudno jest czasem coś takiego dostać. Rozumiem, że tak być powinno, chcę być świadomy tego, co wykonuję. Z szeregu modlitw szczególnie podobają mi się modlitwy mszalne przez swą prostotę i głębię treści. Choćby np. takie potężne wołanie: *Kyrie eleison* — Panie zmiłuj się!

Ja to rozumiem i odczuwam.

Pragnę, by każde moje schylanie się nad wypracowaniem było modlitwą, by każda moja rozrywka była modlitwą. Wiem, że moje życie bez modlitwy byłoby pozbawione głębszego sensu, byłoby puste i beznadziejne, tak jak pustą i suchą jest pustynia bez wody. Gdy pędzę na nartach, to wydaje mi się, że Bóg jest tak blisko. Nie potrzeba wówczas słów. Już ten sam wspaniały pęd jest modlitwą. Modlę się — chcę się modlić dobrze — modlę się dobrze. Chcę, by z tych powiedzeń zostało tylko to ostatnie — modlę się dobrze.

Modlę się, aby być pełnym człowiekiem!

N. N., ankieta 335
Kobieta, lat 30
Duże miasto

Nie umiem modlić się własnymi słowami. Z wyjątkiem próśb, które polegają na wymienianiu litanii ludzi czy ewentualnie spraw. A i to coraz mniej. Wszelka inna modlitwa, wypowiedziana własnymi słowami, nie wychodzi mi — zwroty są śmieszne, niepoważne, nieprawdziwe, wstydzę się. Modlę się takimi modlitwami, jakie umiem na pamięć („Ojcze nasz", „Zdrowaś Maryja", „Chwała Ojcu", „Wierzę w Boga", różne tzw. akty strzeliste, „Wieczny odpoczynek", akt żalu i czasem te inne, takie wierszowane dla dzieci, „Pod Twoją obronę"). Poza tym modlę się z mszalika — teksty Mszy św., modlitwa odpustowa po Komunii św.: „Oto ja, o dobry i najsłodszy Jezu". Czasem różaniec, Droga krzyżowa, jakaś litania. Niektórych tekstów ze Mszy św., które mi szczególnie odpowiadają, używam jako bardziej codziennych modlitw — np. Sekwencja do Ducha Świętego na Zielone Świątki albo Lekcja św. Pawła o miłości. Również przed Komunią św. modlę się (obecnie) tylko słowami ze Mszy św.

Za to, że nie umiem inaczej, to staram się te modlitwy odmawiać dobrze, to znaczy coraz lepiej zrozumieć, o co w nich chodzi, zrozumieć, dlaczego taki a nie inny jest w nich ciąg myślowy, i chcieć naprawdę tego, co słowami danej modlitwy mówię, że chcę.

W dodatku uważam, że tak jest dobrze. Myślę sobie, że musi być jakiś powód, dla którego Kościół niektóre modlitwy stosuje częściej od innych, dlaczego np. każdy ksiądz, który przecież z założenia najbliżej i najpełniej uczestniczy i współofiaruje we Mszy św., modli się zawsze tymi samymi słowami. Widocznie (oprócz innych względów) dobrze jest myśleć to, co te modlitwy podsuwają, i chcieć tego, co się w nich wyraża. Kościół jest mądry — i moje słowa ani prośby mądrzejsze nie będą, i ja chciałabym nauczyć się naprawdę chcieć tego, co się w tych modlitwach chce.

Tak sobie wytłumaczyłam również na przykładzie tej właśnie modlitwy odpustowej po Komunii św. Inne odpusty są dosyć pracochłonne, a ten jest na pozór łatwy do uzyskania. Więc od dzieciństwa tę modlitwę odmawiałam, żeby nie zmarnować łatwej okazji do wypuszczenia jakiejś duszy z czyśćca. Ale nie wiem już, co ja dawniej tak gorliwie odmawiałam, skoro dopiero niedawno zauważyłam, o co w tej modlitwie chodzi, i ciągle jeszcze, pomimo dalszego odmawiania i nawet zgodności woli, nie wydaje mi się, żebym była w takim stanie, który by był w pełni zgodny ze słowami wymawianymi, tak że być może nigdy jeszcze tego odpustu nie uzyskałam...

To wszystko tym bardziej odnosi się do „Ojcze nasz". Też dopiero niedawno zauważyłam, jaka to trudna modlitwa, jak dużo

pracy wymaga, żeby słowa były wyrazem stanu ducha. W ogóle „Ojcze nasz" jest wspaniałe, co jakiś czas mi się okazuje, że tam zawiera się odpowiedź na moją kolejną wątpliwość. Np. słowo d z i s i a j przy prośbie o chleb powszedni — i dosłownie każde słowo.

Kiedy się modlę? Dawniej to różnie bywało, ale teraz staram się mówić co dzień pacierz rano (często dopiero w tramwaju w drodze do pracy) i wieczorem, poza tym na Mszy św. w niedzielę, staram się też chodzić w zwykłe dni na Mszę św., a przynajmniej do Komunii św., ale niezbyt często mi to wychodzi. Czasem wstępuję do kościoła po południu.

Poza tym w ciągu dnia, zależnie od okoliczności i stanu ducha — wysyłam krótkie komunikaty do Pana Boga w sprawie tego, że zdarzyło mi się coś dobrego albo że zobaczyłam coś pięknego, za co mam ochotę podziękować, albo odwrotnie, że zdarzyło się coś złego i muszę prosić o pomoc czy też usiłować się zgodzić, czy też polecam uwadze Pana Boga jakąś osobę itp.

Może to zresztą źle określiłam jako komunikaty, bo ja w gruncie rzeczy odbieram każdą rzecz i każdy rozwój wydarzeń jako zesłany bezpośrednio czy też pokierowany pośrednio przez Boga — więc też często się zastanawiam, co dany układ faktów znaczy, do czego prowadzi, z czego złego we mnie wynika, czego ma mnie nauczyć albo oduczyć, a przede wszystkim — co ja powinnam wobec tego zrobić.

Te dyspozycje mają też wpływ na moje rozumienie modlitw albo Ewangelii — nie umiem o nich rozmyślać inaczej jak tylko w powiązaniu ze swoim życiem, i dopiero kiedy już jakiejś odpowiedzi szukam, to okazuje się, że ona leży na wierzchu w tekście, który już doskonale znałam, a dopiero teraz mogę coś z niego naprawdę zrozumieć.

Dlaczego się modlę? Niestety, z interesu. Bo wiem, że sama mogę tylko napsuć, i ciągle potrzebuję pomocy. Dużo w życiu narobiłam złego i nakomplikowałam; Pan Bóg tak zrobił, że skutki (a raczej pewnie dopiero ich część) nadeszły, i teraz jestem tak ustawiona, że nikt oprócz Pana Boga nie może mi pomóc. Tak jest, oczywiście, ze wszystkimi ludźmi, ale ja mam wyjątkowo jaskrawy wypadek, tak że nie mam przynajmniej żadnych złudzeń, że mogę to załatwić „sama" lub jakimiś „zwykłymi" środkami. A więc ponieważ w dodatku jestem interesowna i chyba oschła z natury, więc modlę się interesownie.

Dlatego łatwo mi tylko prosić, dziękować i postanawiać poprawę, natomiast tzw. uwielbianie, a co gorzej i żal za grzechy polega głównie na chceniu czucia tych rzeczy, a nie na tym, żebym

to faktycznie czuła. Nigdy w życiu nie popłakałam się z powodu żalu za grzechy, natomiast z rozczulenia nad swoimi nieszczęściami przychodzi mi to bardzo łatwo i muszę się raczej twardo powstrzymywać. Pomimo że związek pomiędzy grzechami a nieszczęściami mam wyłożony jak na dłoni.

Nie umiem również rozmyślać właściwie o męce Chrystusa. Nie znaczy to, że nie staram się nigdy modlić albo robić coś wyłącznie „dla przyjemności" Pana Boga, ale boję się, że we wszystkim jest taki podtekst, że jeżeli szybciej nauczę się tego, czego Pan Bóg chce mnie właśnie nauczyć, to Pan Bóg szybciej będzie mógł przestać mnie karać. Mam nadzieję, że może kiedyś uda mi się jeszcze wyjść poza tę interesowność.

To wszystko jest również powodem, że pomimo starań nie potrafię jeszcze właściwie uczestniczyć w Ofierze Mszy św., bo chociaż chyba uczę się powoli zgadzać z wolą Bożą, to nie umiem — a może raczej boję się — ofiarować siebie tak całkiem i dobrowolnie, a chociaż to jest może to samo, odczuwam to jednak jako coś innego i daleko więcej.

Do kogo się modlę? (teraz będzie śmieszne, bo przejaskrawione, oraz dlatego, że jestem w tej materii niedouczona).

Czasami w ogóle „do Boga". A czasami jest jakieś zróżnicowanie — więc najczęściej do Chrystusa, bo jest najwięcej okazji, a poza tym do Chrystusa nie ma się pretensji — sam żył i pracował, i cierpiał, i teraz ciągle męczy się z nami na ołtarzu.

Duch święty znowu bardzo mnie interesuje. Przede wszystkim jest mi potrzebny; to wszystko, co Duch święty ma do dania, jest mi bardzo potrzebne, a poza tym kiedyś bardzo wyraźnie mi pomógł i to w ładny sposób, i pewno ciągle mi pomaga. Dlatego, że Pan Jezus powiedział, że po Jego śmierci Duch święty nas nauczy reszty, myślę, że teraz nami zajmuje się przede wszystkim Duch święty.

Najgorzej jest z Bogiem Ojcem. Nie da się zaprzeczyć, że do Niego mam czasem różne pretensje, które potem sobie jakoś wyperswadowuję, ale co jakiś czas je mam. I tak jakoś do Boga Ojca nie czuję się dostatecznie podłączona. Żeby Go lubić, znajduję przede wszystkim dwa (tylko dwa) powody: niesłychana pomysłowość i wrażliwość artystyczna w stworzeniu świata (ja wiem, że to bzdurne sformułowanie, ale teraz opisuję to, co trochę podświadomie czuję) — oraz to, że Pan Jezus bardzo Go sobie cenił.

I z tym wszystkim, chociaż to bardzo śmieszne, jak się modlę do jednej z Osób Boskich, to wydaje mi się, że tym pozostałym żal, i muszę do tych innych też.

Modlę się także do Matki Boskiej. Tak naprawdę to na-

wiązałam z Nią kontakt też dopiero niedawno. Okazało się, że w udzielaniu pomocy jest szybka i ma wzruszające sposoby. Do rozpatrzenia sobie życia Matki Boskiej przydał mi się bardzo różaniec — taka modlitwa pomaga uprzytomnić sobie, jak Pan Bóg Jej życie skomplikował i jak współcześnie prawdziwe były trudne sytuacje, przez które musiała przejść.

(W różańcu jednej rzeczy nie wiem: czy odmawianie „Zdrowaś Maryjo" itd., które przy innych okazjach staram się mówić ze zrozumieniem — tutaj służy tylko do odmierzania czasu, oraz do tego, żeby kiedy duch rozmyśla, i ciało miało pobożne zajęcie?)

Niestety, w Polsce wielu ludziom trudno jest zachęcić się do nabożeństwa do Matki Boskiej, chociaż Ona jest naprawdę wspaniała, a to z tego powodu, że tzw. kult maryjny jest rozbudowany bardzo szeroko, ale za to w kategoriach ogromnie prymitywnych (obrazy, pielgrzymki itd.). Oczywiście, zawsze jest argument, że kto nie chce tak, to może inaczej, a większości ludzi tak właśnie odpowiada, za czym przemawia masowy udział w tego rodzaju imprezach. One na pewno zaspokajają jakąś potrzebę — ale czy religijną, czy też raczej innego typu, nie wierzę też w to, że „zwykły, prosty człowiek — chłop, kobieta wiejska, robotnik" — są tacy tylko prymitywni. W każdym człowieku, pod innymi pozorami jest rdzeń powagi, do którego religia powinna właśnie się odwoływać, bo wtedy może wpłynąć na jego życie, a inaczej — to rzeczywiście trochę takie „opium dla ludu". Piszę to wszystko bardzo nieporządnie, bo mam mało czasu, ale mam nadzieję, że ktoś z czytających to zrozumie.

Modlę się też do *świętych* — jako do pomocników i pośredników. Najczęściej modlę się, żeby żadnego nie pominąć, do „wszystkich świętych" — ale też i osobno: do św. Józefa, św. Tadeusza, także do św. Teresy od Dzieciątka Jezus (też mi się okazało, że miała dużo dobrych pomysłów i nie była wcale taka ckliwa, jak to wygląda ze sposobów Jej przedstawiania), oraz do *Anioła Stróża* (do tego też trzeba w sobie najpierw wytracić wspomnienie obrazu z dwojgiem dzieci na kładce w lesie i skrzydlatym „aniołem" unoszącym się nad nimi — a zamiast tego uprzytomnić sobie, że to jest duch-osoba, nasz własny i osobisty przyjaciel, który nas zna i ma z nami kontakt przez całe życie, i na drugim świecie jakie to będzie interesujące spotkanie, i w dodatku mój Anioł Stróż musi być do mnie podobny, bo jest na pewno jakiś powód, dlaczego dostał właśnie mnie a nie kogo innego).

A również modlę się do *dusz w czyśćcu*.

Jak sobie wyobrażam Boga? Obecnie przy pomocy pojęcia osoby. Np. kiedy myślę o sobie (o innych to trudniej — patrzę na nich

częściej niż do lustra, dlatego osoby innych bardziej wiążą mi się z ich kształtem materialnym), to odczuwam przecież siebie jako całość wyodrębnioną — ale nie wiąże mi się to wcale z moim ciałem i wyglądem, czego dowodem, że kiedy niespodziewanie przypadkiem zobaczę siebie w lustrze, to nie mogę się poznać. Dlatego mogę również przyjąć, że Bóg jest osobą bez uciekania się do wyobrażenia brodatego starca. Ale w takim ujęciu zbyt dużo tylko ludzkich cech przenosi mi się na Boga. Czasami — przez pół sekundy — odczuwam Boga jako zalewającą wszystko miłość — i może to jest prawdziwsze.

Co mi pomaga do lepszego rozumienia modlitwy — m. in. mądre książki (np. ks. Pietraszki) i dające do myślenia artykuły w „Tygodniku Powszechnym" i w „Znaku". Naprawdę.

Pismo święte. Bardzo się wstydzę, ale nigdy w życiu nie przeczytałam całego Pisma św., nawet Nowego Testamentu. Ale oczywiście Nowy Testament rozpatruję sobie po trochu.

Do Starego zachęciłam się kiedyś poprzez Claudela *Umiłowanie Pisma Świętego* — i zajrzałam do Księgi Hioba, o której Claudel tak pięknie pisze. Ale w naturze okazało się to dla mnie kompletnie zamknięte. I jeszcze do tego przeczytałam komentarz, że to wszystko nie zdarzyło się naprawdę, tylko że autor chciał przez to wyrazić prawdy moralne — bardzo się rozczarowałam, bo myślałam, że Pan Bóg naprawdę rozmawiał z Hiobem.

Pytacie o psalmy — też wszystkich nie czytałam, ale z tych niektórych, co znam, to podobają mi się ogromnie te fragmenty, które mówią o stosunku między Bogiem a jednostką. Do zrozumienia i przyswojenia sobie innych, gdzie mowa o stosunku między Bogiem i zbiorowością — jeszcze nie dorosłam.

O Mszy św. od strony zewnętrznej. Nie da się zaprzeczyć, że wolę łączyć się z wszystkimi obecnymi w duchu, niż materialnie, przez recytacje, śpiewy itp., nie mówiąc już o tłoku i wynikających z tego konsekwencjach.

Ojciec Malachiasz pyta, dlaczego ludzie nieraz na Mszy św. stoją senni i znudzeni. Wiem dlaczego, bo przez długie lata sama tak stałam. Przecież jeżeli w niedzielę na Mszach św. południowych jest tłok, duszno, trzeba stać, nogi bolą, nic nie widać, mało co słychać, a do tego kazanie nieatrakcyjne — no to trzeba naprawdę wielkich nieszczęść, żeby się wtedy modlić, a nie przypatrywać bezmyślnie fryzurom i kostiumom.

1. Pieśni lubię śpiewać i słuchać, przede wszystkim kolędy, ale i inne, szczególnie stare — jak wspaniałe „Wszystkie nasze dzienne sprawy", „Kiedy ranne wstają zorze", „Kto się w opiekę", pieśni

wielkopostne, wielkanocne, także i „Godzinki", „Gorzkie żale", pieśni o Matce Boskiej — ale nie podczas Mszy św., tylko przed lub po czy na osobnych nabożeństwach. I pięknie jest, jak te pieśni śpiewa cały kościół. A co powinno moim zdaniem dziać się na chórze? Na chórze powinna być dobrze grana muzyka organowa z prawdziwego zdarzenia i śpiew dobrego chóru (nigdy solo) — ale inne pieśni niż te, co mogą śpiewać wszyscy — takie jak psalmy czy np. *Alleluja* Haendla. Szkolenie organistów jest rzeczą równie ważną jak wystrój plastyczny kościoła (a nawet łatwiej jest zamknąć oczy niż zatkać uszy).

2. Recytacja łacińska całego kościoła na Mszach akademickich ma swój urok, jest dla mnie pełna dławiącego w gardle patosu, ale jej piękno czy też jej potknięcia w gruncie rzeczy mnie rozpraszają — to robi wrażenie, ale nie wiem, czy to jest modlitwa. Taki ksiądz, co stoi na ambonie i co jakiś czas niespodziewanie przerywa ciszę czytaniem modlitw zmiennych — niby to dobre teoretycznie, ale praktycznie też jakoś peszy i nie pomaga w skupieniu, które musi mieć jakąś ciągłość. Moim zdaniem najwięcej do skupienia pomaga ksiądz, który prawdziwie pobożnie odprawia Mszę św., cichą lub mówioną, bo ze śpiewaną to trochę tak jak z recytacją — rozprasza, bo albo tak piękne (rzadko), albo tak męczące. Natomiast wspaniała wydaje mi się taka innowacja, którą gdzieś zauważyłam — żeby i po lekcji i po ewangelii odczytywać drugi raz tekst po polsku (od ołtarza), i to również na Mszach św. cichych w dni powszednie — wtedy zdarzają się takie ciekawe wyjątki z Pisma św. Odczytane we właściwym czasie, a nie dopiero po Mszy św., mogą dać ludziom do myślenia na dalszy ciąg Mszy św., co jest przecież ich celem. Odczytane w ten sposób, żeby zachodził widoczny związek między sensem a intonacjami.

Uwaga czysto techniczna: żeby księża zechcieli brać pod uwagę, że w dzień powszedni bardzo ważne jest odprawianie Mszy św. bardzo punktualne i mieszczenie się w czasie 25 minut — żeby te 5 minut zostawało na dojście do bliskiego miejsca pracy (często ktoś chodząc do pracy np. na godz. 9 idzie do pobliskiego kościoła na 8,30). Za to w święta rytm odprawiania Mszy św. powinien być wolniejszy, i lepiej zacząć o 2—3 min. później — żeby nie mnożyć ludziom grzechów.

3. Do dobrej, treściwej modlitwy w czasie Mszy św. bardzo mogłyby pomóc dobre kazania, ale, niestety, ciągle jeszcze jednym z głównych dowodów na nadprzyrodzone pochodzenie Kościoła jest dla mnie fakt, że słuchanie kazań nie powoduje masowych wyjść z kościoła na zawsze.

Dwie są rzeczy najgorsze w kazaniach: 1) brak powagi i 2) ciężaru gatunkowego — po prostu czuje się, że dany ksiądz nic nie myślał ani przed kazaniem, ani w czasie mówienia, i że albo w ogóle nic w życiu nie tylko nie przemyślał, ale nawet nie przeżył, albo nie przyszło mu dotąd do głowy, żeby poszukać jakiegoś związku między życiem a religią — więc nie mając nic do powiedzenia naprawdę, mówi rzeczy różowe, nieprawdziwe, daje śmieszne przykłady. A może księża w ten sposób chcą się zniżyć do poziomu słuchaczy? Niepotrzebnie. A nawet niegrzecznie. Każdy woli być traktowany poważnie, a w ostateczności uważany za mądrzejszego niż jest, jak również dowiedzieć się tego, co jemu samemu jeszcze do głowy nie przyszło.

Nawiasem: nie ma powodu, żeby w kościele grzmieć na nieobecnych niewierzących — to raczej nam, obecnym, należą się grzmoty, bo jesteśmy złymi świadkami — każdy ksiądz powinien to sobie dobrze uświadomić.

Krótkie, nawet bardzo nieporadnie powiedziane kazanie, ale zawierające dowód, że któraś z prawd religii została przez księdza osobiście przemyślana — oto ideał, a że możliwy do zrealizowania, to udowadnia wielu księży, jak np. (podaję tylko 2 przykłady z wielu mi znanych) proboszcz w Świeradowie (1962 r.) czy proboszcz w Warszawie na Lesznie.

Tak dużo napisałam, a chociaż starałam się napisać prawdziwie, to i tak w najlepszym razie tylko połowa. O tej drugiej, ważniejszej połowie nie potrafię nic napisać.

N. N., ankieta 67
Kobieta
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Wiecznie żywym źródłem modlitwy jest rozmyślanie, codzienne krótkie rozmyślanie: skupienie uwagi nad zdaniem, ustępem, który porusza i zastanawia. Odczytuję, powtarzam, wbijam w pamięć, aby zachować w myśli przez cały dzień. Kończę krótką, odpowiednią na dany dzień modlitwą. Tę praktykę zachowuję od wielu, bardzo wielu lat i daje mi ona nieskończenie wiele. Nie tylko utrzymuje przy Bogu, lecz nie pozwala trwać w miejscu, prowadzi coraz wyżej, coraz szersze odkrywa horyzonty. Wierzę w potęgę modlitwy, Bóg zawsze wysłuchuje, zawsze przychodzi z pomocą. Chrystus po wielekroć zapewnia o tym z naciskiem, w tonie jakby zaprzysiężenia. „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam..." Wiemy o tych zapewnieniach tak dalece, że powstało przysłowie „wiara góry przenosi" powtarzane niefrasobliwie. Sami jednak tkwimy po uszy w doczesności, w której nie ma miejsca ani na modlitwę, ani na

skupienie. „Spustoszona jest wszystka ziemia, bo nie masz kto by rozmyślał w sercu swoim.”

Groźne ostrzeżenie starego Izajasza dla czasów obecnych. Chyba tylko zakony kontemplacyjne wyrównują to manko duchowe i utrzymują równowagę między niebem a ziemią.

N. N., ankieta 404
Kobieta, lat 39
Wykszt. średnie
Małe miasto

Co mi pomaga w dążeniu do dobrej modlitwy? 1) pewne przygotowanie ascetyczne — bodaj lekki post; 2) nastrój — muzyka, śpiew, światła, obrazy, prostota i piękno wnętrza kościelnego, piękno przyrody; 3) wysiłek wewnętrzny dla skupienia się; 4) uczciwość w stawianiu swoich spraw, win — i pragnienie poznania prawdy; nawet gdyby miała być niewygodna; 5) wmyślanie się w potrzeby ludzi, za których chcę się modlić, albo swoje (im lepsza znajomość tych potrzeb, tym większa żarliwość modlitwy); 6) zastanawianie się nad wartością otrzymanych darów, za które mam dziękować; 7) zdobycie się na zaufanie do Boga i Jego przykazań — większe, niż do własnych sądów, przewidywań, obaw; 8) czytanie Pisma św. i rozmyślanie o nim; 9) pokora; 10) miłość; 11) łaska.

WĄTEK DNI

N. N., ankieta 322
Mężczyzna, lat 34
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Wydaje mi się, że najlepszą definicją modlitwy jest określenie jej jako „zwrócenie duszy ku Bogu". „Zwrócenie" takie może być bardzo bezpośrednie, kiedy wyraźnie „stawiam się w obecności Boga" i mówię do Niego słowami modlitwy nauczonej na pamięć, czytanej „własnymi słowami" albo bez słów — Bóg, który wszystko widzi nie potrzebuje ich, aby zrozumieć treści, które chcemy Mu przekazać.

Zwrócenie to może być mniej wyraźne, kiedy w zasadzie zajmujemy się czymś innym, ale kiedy równocześnie „tłem" stanu duszy jest pamięć o spojrzeniu Bożym przenikającym nas w każdej chwili i chęć stałego wypełniania Jego woli. Myślę, że w pewnym sensie za modlitwę może też być uważane każde działanie wypełniane w dobrej wierze nawet przez człowieka niewierzącego, a tym bardziej przez wierzącego, który, np. w modlitwie porannej, polecił swój dzień Bogu.

Rodzice nauczyli mnie „Ojcze nasz", „Zdrowaś" „Wierzę w Boga" i kilku innych modlitw, nie starając się tłumaczyć mi znaczenia ich słów. Częściowo dziecko rozumie je samo, resztę objaśniła nauka religii w szkole i inne okoliczności życia religijnego, jak kazania czy lektura. Myślę, że duży wpływ na moje stanowisko wobec modlitwy i na jej praktykę mają jedne z rekolekcji akademickich a szczególnie jedna z nauk, poświęcona modlitwie. Pamiętam związane z tym przeżycie, które można by sprowadzić do słów: „odtąd modlitwa będzie połową mojego życia". Druga połowa była „zarezerwowana" na pracę i inne obowiązki. Dziś sądziłbym raczej, że należy dążyć do stanu, w którym w pewien sposób całe życie jest modlitwą.

Sądzę, że na kształtowanie się poglądu na modlitwę i na jej praktykę mają wpływ wszystkie okoliczności życia religijnego. Małym przełomem musi się tu chyba stać każda rozwiązana wątpliwość wiary, a może w szczególnym stopniu przyjęcie, że Bóg jest dobry i że czeka na nas z pełnią dobra, mimo że ciężary i bóle

życia, do którego nas powołał zdają się temu przeczyć. Bardzo ważna jest, jak sądzę, pełna szczerość w zwracaniu się do Boga niezależnie od okoliczności, w jakich to następuje. Ważna jest też chyba każda życiowa decyzja, przygotowana przez porozumienie z kompetentnymi osobami i własnym sumieniem i podjęta w dobrej wierze dostosowania się do woli Bożej.

Jak się modlę? Jest to pytanie bardzo intymne i jeżeli na nie odpowiadam — jak zresztą i na pozostałe pytania tej ankiety — to ze względu na apel o. Malachiasza z „Tygodnika Powszechnego". O. Malachiaszowi winien jestem dużo wdzięczności za jego „Pocztę", mimo że nigdy wprost się do niej nie zwracałem.

Jest to pytanie trudne z dwu względów. Po pierwsze modlitwa, tak jak i rozmowa z ludźmi, może wyglądać bardzo rozmaicie, zależnie od wielu okoliczności. Po drugie mówienie i pisanie o rzeczach dziejących się wewnątrz duszy jest trudne w ogóle, a szczególnie dla człowieka związanego z naukami przyrodniczymi i technicznymi.

Nie jest chyba pozbawiony słuszności pogląd, według którego najważniejszą modlitwą czy też przynajmniej najważniejszą okazją do modlitwy jest bezpośrednie zetknięcie się z Synem Bożym w Komunii św. Przystępuję do Komunii św. co niedzielę, bo na częstsze przystępowanie nie pozwala narzucony przez sytuację zewnętrzną rozkład dnia i odległość od kościoła. Kiedy tych trudności nie było, starałem się przystępować do Komunii św. codziennie.

Przystępując do Komunii św. pamiętam o zasadniczych warunkach uprawniających mnie do tego, tzn. o stanie łaski uświęcającej i o „dobrej intencji". Był okres, kiedy miewałem częste wątpliwości, czy nie jestem w stanie grzechu śmiertelnego i czy wobec tego mam prawo przystąpić do Komunii św. Wątpliwości te zakończył mój spowiednik, który upoważnił mnie, aby stan grzechu ciężkiego przyjmować tylko wtedy, gdy nie ma co do tego wątpliwości.

Co do „dobrej intencji" obaw raczej nie miewam. Przystępowanie do Sakramentów, a tym bardziej częste przystępowanie, jest u nas działaniem przeciw prądowi i chyba trzeba tu dobrze znać argumenty „pro", aby przeciwstawić się ogólnemu nastawieniu „contra". Przystępuję do Sakramentów często, bo wierzę, że jest to skierowane do chrześcijan życzenie Boga. Wierzę, że czyniąc temu życzeniu zadość, otwieram Bogu drogę do mojej duszy i dusz innych ludzi zjednoczonych z Chrystusem w Kościele, w tym przede wszystkim do moich bliskich.

Przystępując do Komunii św. na ogół nie odmawiam związanych z tym modlitw „drukowanych", ale staram się jak najprościej

zwracać do Jezusa, którego przyjmuję. Czasem „załatwiam" z Nim bieżące ważne sprawy. Kiedy przyjmowałem Go codziennie, sięgałem często do prostych, ale mocnych w swych sformułowaniach modlitw na „przed" i „po" Komunii św. św. Tomasza z Akwinu. Wielkiego wysiłku wymagałoby chyba ode mnie szczere odmówienie egzaltowanych, jakoś chyba bardzo „niedzisiejszych" modlitw św. Alfonsa Liguori.

Przed spowiedzią (raz na miesiąc) zawsze obawa, czy dobrze „zreferuję", co mam do zreferowania, zawsze — darujcie — pewien lęk przed tym, co usłyszę, prośba, abym spowiedź odbył tak, jakbym przystępował do samego Chrystusa. Po spowiedzi podziękowanie za Krew, która mnie obmyła, modlitwy końcowe. Z „pokutą" kłopot: zwykle jest to jakaś modlitwa; tę trudno odprawić bez mimowolnych roztargnień. Jeżeli są, to człowiekowi głupio, że pokuta marna, ale nie powtarzam — do tego podobno niedobrze się przyzwyczajać.

Z Sakramentem Ołtarza pozostaje też w związku uczestnictwo w Mszy św.

W czasie Mszy św. modliłem się zawsze „z książeczki". Od kilku lat mamy z żoną mszalik — jeden na oboje. Modlę się z mszału, albo bez pomocy druku, sam.

W czasie studiów natrafiłem na Mszę św. recytowaną w kościele akademickim św. Anny. Od tego czasu przez szereg lat była to „moja Msza", a potem nasza — z żoną. Ostatnio ze względu na dziecko chodzimy na Mszę późniejszą, ale kościół św. Anny został „nasz". O wyborze obecnej „naszej" Mszy zadecydowała też osoba kaznodziei, który przez lata współżycia z parafią stał się nam szczególnie bliski.

W czasie Mszy św. staram się zachować dyscyplinę i łączyć się intencją z tym, co właśnie dzieje się przy ołtarzu. Przede wszystkim staram się nie przegapiać najważniejszych momentów Mszy, jak modlitwy wstępne z żalem za grzechy, Ofiarowanie „nasze", ofiarowanie Chrystusa w Przeistoczeniu i Komunia św., w której staramy się uczestniczyć sakramentalnie. Z drugiej strony cieszę się, jeżeli modlitwa w czasie Mszy św. może być bardziej „moja", jeżeli potrafię powiązać ją ze swoimi aktualnymi problemami. Z tego też względu, czytając modlitwy z mszału, zwykle wiele z nich opuszczam — nie potrafiłbym, „zachowując tempo", modlić się dość „przytomnie". Z modlitw zmiennych staram się nie opuszczać Kolekty, z pozostałych staram się zachować te, które wydają mi się najważniejszymi w Kanonie.

To wszystko jest zresztą raczej wzorcem mojego uczestnictwa we Mszy św., niż jego rzeczywistym obrazem. Często, szczególnie

w okresach dużego obciążenia pracą czy trudnościami osobistymi, rodzinnymi, zawodowymi, uczestnictwo to polega raczej na wysiłku, aby wciąż uciekające myśli kierować na ich właściwy tor.

Tyle o modlitwie w związku z Sakramentami. Chciałbym teraz przejść do codziennej modlitwy porannej i wieczornej. Modlitwy wieczornej nauczyli mnie rodzice, poranna weszła w życie od czasu szkolnej nauki religii.

Modlitwę poranną odmawiam przeważnie sam. Wygląda ona bardzo rozmaicie, tak jak rozmaicie, ze względu na nieregularny rozkład zajęć, wygląda nasz początek dnia. „Wersja krótka", to „Chwała Ojcu", podziękowanie za noc i początek dnia, ofiarowanie dnia, prośba o ochronę przed złem i pomoc w dobrym, prośba o pomoc Matki Bożej i świętych. Od czasu, kiedy nie chodzę do Komunii św. codziennie, staram się zastępować ją Komunią duchową przy modlitwie porannej. „Wersja długa" (bywają i pośrednie), to wyciąg z brewiarzowych modlitw porannych, jaki mam w mszale.

Modlitwę wieczorną odmawiamy razem z żoną. Ma ona układ od dawna ustalony, a „objętościowo" największą jej częścią jest dziesiątka różańca. Przed różańcem jest chwila modlitwy „prywatnej" — rachunek dnia i prośba o dobrą noc, po różańcu kilka „zdrowasiek" w intencjach „stałych" bądź „doraźnych", potem jeszcze kilka krótkich modlitw: za zmarłych, za Sobór, o pomoc Matki Bożej, św. Józefa, Patronów i Aniołów Stróżów.

Wieczór jesteśmy zwykle zmęczeni i śpiący, zdarza się nam nawet przy pacierzu zasnąć. Od czasu do czasu zaczynamy starania, aby przenieść różaniec na wcześniejszą porę, niestety, zmienny układ dnia udaremnia te starania.

Poza modlitwą poranną i wieczorną nie mam ustalonych sposobów modlenia się w ciągu dnia. Jeżeli chodzę po mieście, a mam trochę czasu, staram się odwiedzić Pana Jezusa w kościele. Staram się w prosty sposób zwracać do Pana Boga przed i po pracy i przy podobnych okazjach.

Osobnej uwagi wymaga modlitwa w okolicznościach nadzwyczajnych — wobec grożącego niebezpieczeństwa, wobec ważnej decyzji życiowej. Konieczna jest wtedy chyba bardziej gruntowna „rozmowa z Bogiem", dająca człowiekowi wewnętrzne uporządkowanie i zrównoważenie.

Jak uczymy modlić się nasze dziecko? Nasza córka ma teraz 5 lat. Do lat mniej więcej trzech z „modleniem się" było u niej raczej kiepsko. Teraz zna dużo tekstów „podstawowych": „Ojcze nasz", „Zdrowaś", „Wierzę", „Aniele Stróżu" a także „Chwała Ojcu", „Pod Twoją Obronę", „Anioł Pański". Nie umie ich dobrze

na pamięć, ale przy pomocy „suflera" odmawia je dobrze i chętnie. Mówimy z nią pacierz poranny i wieczorny w rozmaitym układzie, zwykle nie więcej niż jakieś 3 modlitwy, czasem dokładamy doraźnie układane podziękowania czy prośbę. Nie nalegamy, kiedy dziecko jest śpiące i chce tylko „krótki paciorek".

Na Mszę św. idziemy zwykle całą trójką. Oprócz kazania (dla dorosłych), które jej czasem ciężko „przetrzymać", Mała zachowuje się w kościele dobrze, stara się śpiewać ze wszystkimi, odmawiać „Wierzę" i „Ojcze nasz". Z klękaniem i wstawaniem w odpowiednich miejscach też jest na ogół wszystko w porządku.

Nie „wykładamy" Małej „znaczenia" słów modlitw. Czasem pyta sama, raz o rzeczy błahe („Co to jest niewiasta"), kiedy indziej o istotne („Gdzie jest Pan Bóg"?). Oczywiście, staramy się odpowiedzieć prosto i dobrze, co zresztą bywa niełatwe. Wybieganie ponad zainteresowania dziecka daje — jak mi się zdaje — wyniki negatywne.

W ten sposób dziecko zostaje do modlitwy wdrożone „od zewnątrz", od strony słów i gestów. Jest to jednak, jak myślę, droga naturalna, zgodna z jego ogólnym rozwojem. Spodziewam się, że formy te wypełnią się treścią w miarę rozwoju umysłu dziecka i w miarę nabywania religijnych wiadomości w domu i w kościele. Duże na pewno znaczenie dla ugruntowania i rozwoju modlitwy dziecka będzie miał naturalny przykład rodziców i otoczenia.

N. N., ankieta 211
Kobieta, lat 39
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Praca moja obecna jest ciągłym prawie pobytem w delegacji, co z jednej strony oddala od praktyk religijnych (brak czasu i niechęć do tzw. „dawania przykładu" — na pokaz wydawałoby się), z drugiej zaś strony każe tę oziębłość i oschłość zrekompensować przynajmniej wysiłkiem włożonym w coniedzielne uczestnictwo we Mszy św., nawet jeśli trzeba gnać polnymi drogami po kilka kilometrów w deszcz i zimno. A tak się często człowiekowi po prostu nie chce. I tylko czasem zastanawiam się, czy tego rodzaju tresura samej siebie ma w ogóle jakiś sens, czy to nie oszukiwanie się pozorami przełamania swego lenistwa, aby się przed sobą usprawiedliwić.

Bo w moim pojęciu modlitwa to chyba nie „odklepanie" codziennego pacierza czy też „wysłuchanie" Mszy św., ale przede wszystkim realizacja na codzień (bo to najtrudniej) Bożych praw, świadome służenie Mu całym życiem, nawet te najdrobniejsze, najbłahsze osiągnięcia wywalczone ze sobą samym — dla Niego.

A tymczasem — ponieważ realizacja takiego pojęcia modlitwy

jest zbyt trudna, zaś zbyt łatwe jest odklepanie przepisowych pacierzy — nie umiem się modlić! Bardzo często zdarza mi się, że klękam do pacierza czy też jestem w kościele i — po prostu nie stać mnie na wypowiedzenie ze zrozumieniem najprostszych słów. Każda modlitwa staje się wtedy „odklepywaniem" pewnego zbioru słów bez treści, zaś myśli rozbiegają się wokół różnych błahych czy ważnych spraw codziennych. Przez zwykłe poczucie obowiązku i jakąś może trochę cudaczną uczciwość zaczynam wtedy „od początku", znowu się gubię i w ten sposób nawet „Ojcze nasz" kilkakrotnie rozpoczynane nie może dobrnąć do końca. W chwilach takich cichutko mówię sobie na pociechę porzekadło: „Jakimżeś mnie Panie Boże stworzył, takim mnie i masz..." chcę Cię kochać i służyć Ci, ale nie umiem — musisz nauczyć mnie miłości i modlitwy, bo mnie samą na to jakoś nie stać!

Przy takich „wyjątkowych zdolnościach" do rozpraszania się jedynie Msza św. — taka najzwyklejsza, cicha, możliwie wczesna, kiedy w kościele jest tylko parę osób — stanowi chwilę, w której Bóg staje się najbardziej bliski, kiedy najłatwiej „wyłączyć się" z codzienności i przestawić na rozmowę z Nim, kiedy Jego przyjście do nas (we Mszy św.) jest zrozumiałe i realne. Dlatego staram się zawsze być na Mszy św. wczesnej, w niedzielę najchętniej o 7 rano, a będąc w Warszawie — o ile się tylko da czas wykroić — często w tygodniu, przed pracą. I brać w niej udział najpełniejszy — przez Komunię świętą jak najczęściej. Przy tym zawsze w czasie Mszy św. modlę się z mszalika — zmienność modlitw każe wmyślać się w ich treść, zapobiega rozpraszaniu uwagi i myśli, przez archaiczny styl wersetów czy psalmów przebija treść wciąż jak najbardziej aktualna, problemy zawsze żywotne, narzucające jedyny „styl życia" — na wszystkie czasy, środowiska i epoki. Przystosowanie tego do obowiązującego „dzisiaj" to chyba właśnie maximum tzw. „sztuki życia". Niedawno — szukając prezentu dla kogoś — „odkryłam" przypadkiem nowe wydanie mszalika *Ciebie Boga chwalimy* ks. Tworkowskiego z 1961 r. Prezentu nie dałam (bojąc się posądzeń o chęć „nawracania na siłę") — natomiast mszalik ten zastąpił mi mój dawny z lat dziecinnych (r. 1930) i urzekł pięknem, prostotą, sensem zawartych w nim modlitw i myśli — tych codziennych. Sądzę, że trzeba by starać się jak najbardziej go rozpowszechnić, szczególnie wśród młodzieży.

Wracając do sprawy Mszy św. bardzo podoba mi się wprowadzony ostatnio w Warszawie zwyczaj głośnego odczytywania przez księdza — równocześnie z księdzem odprawiającym Mszę św. — tekstów polskich modlitw zmiennych. Nie przeszkadza to tym, którzy modlą się z mszalika, a wszystkich obecnych (także i zgu-

bionych nieraz w intencji Mszy św. w danym dniu) zapoznaje z pięknem tych modlitw.

Ale równocześnie — wydaje mi się, że na tym powinna się kończyć „pomoc" w modlitwie. Prowadzenie dorosłych ludzi „za rączkę" przez cały czas nabożeństwa więcej przeszkadza, niż pomaga, tak samo zresztą jak najpiękniejsze nawet pieśni kościelne czy litanie rozpraszają uwagę i świadomość tego, co się dzieje na ołtarzu. Trzeba każdemu dać czas na zastanowienie się w ciszy nad tym, co, dlaczego i w jaki sposób przyszedł Bogu ofiarować.

Dlatego również czuję się dziwnie zażenowana w czasie Mszy św. odprawianej twarzą do ludu. Może to tylko przejściowe zaszokowanie nową formą, ale jednak wydaje mi się, że Msza św. — będąc ofiarą składaną Bogu przez kapłana w imieniu wszystkich obecnych wiernych — jest zarazem indywidualną modlitwą zarówno każdego z nas, jak i celebrującego księdza. I dlatego właśnie musi chyba być przykrą dla księdza odprawiającego Mszę św. świadomość, że jego „własna" rozmowa z Bogiem jest „podglądana przez publiczność" — jak na scenie teatru. Każdy z nas — a i ksiądz również — modli się tak, jak go na to w danej chwili stać, i to są nieliczne momenty w życiu, kiedy się jest naprawdę sobą, kiedy nie potrzeba przed nikim „grać" takich czy innych nastrojów, czy uczuć, kiedy taka gra nie ma sensu, bo On nas widzi takimi, jakimi jesteśmy naprawdę. Dlatego nie zmuszajmy księży do nakładania w czasie Mszy św. maski lepszego czy gorszego aktora. Pozwólmy im też być sobą — ludźmi często na równi z nami szukającymi sensu i ładu w życiu.

Z racji mego zawodu mam okazję obserwować często na przeróżnych wiejskich parafiach, „gdzie diabeł dobranoc mówi", odwrotną stronę medalu, Mszę św. odprawianą przez wiejskich (przeważnie starszych) proboszczów z rzucającą się w oczy bezmyślną „rutyną" — aby szybciej — zmuszającą do przeskakiwania w szalonym tempie modlitw mszalnych bez możliwości „nadążenia" za księdzem, już nie mówiąc o zrozumieniu i przemyśleniu. Wtedy najczęściej rezygnuję z mszału, uciekając do prześlicznej modlitwy ogłoszonej w „Tygodniku Powszechnym" w ubiegłym roku z racji otwarcia Soboru — inwokacji z VI w., która rozpoczyna się słowami: „Duchu Święty, Boże, stajemy przed Tobą obarczeni ciężarem naszych przewin, ale zgromadzeni w Imię Twoje. Zstąp i pozostań z nami; racz oczyścić nasze serca. Poucz nas, co mamy czynić, jak osiągnąć nasz cel, jak działać, byśmy z Twoją pomocą zdołali spełnić we wszystkim Twoją Wolę" itd. Całość prawdopodobnie znana. Ja ją w każdym razie mam wklejoną do mszalika. Stała się dla mnie modlitwą podstawową — streszczeniem wszystkiego, o co mogę i powinnam Boga prosić.

Nie umiem bowiem prosić Go o konkretne drobnostki codziennego życia, mając świadomość, że tak mało miejsca na codzień Mu w swoim życiu daję: ot, czasem przelotny moment myśli w zatłoczonym tramwaju lub przelotna modlitwa w podróży, w samochodzie — kiedy Go przybliża piękno krajobrazu — ale zato jak daleki jest w życiu rodzinnym i zawodowym, wtedy, kiedy najtrudniej byłoby się w Jego Imię przełamać, przyhamować, przemilczeć złość, urazę, niecierpliwość.

W poczuciu tej „dalekości" i obojętności na codzień mówię do Niego często słowami modlitwy kończącej litanię do Pana Jezusa: „Panie Jezu Chryste, któryś rzekł: »Proście, a otrzymacie, szukajcie a znajdziecie, kołaczcie, a będzie Wam otworzono«, błagamy Cię, daj nam się przejąć najwyższą ku Tobie miłością, abyśmy kochali i wielbili Ciebie całym sercem w słowach i czynach naszych."

Natomiast sama forma litanii jest czymś budzącym sprzeciw i niecierpliwość, formą do której — jak również do różańca i innych „tasiemcowych" modlitw — prawdopodobnie po prostu nie dorosłam. To jest dla mnie właśnie to typowe odklepywanie modlitwy w tempie „aby szybciej", bezmyślne mimo najszczerszych chęci i drobnych przebłysków świadomości.

Na zakończenie tych luźnych refleksji jeszcze jedno: całą postawę życiową, wszystkie te „lepsze" porywy i uparte szukanie kontaktu z Bogiem i oparcie w Nim zawdzięczam księdzu prefektowi — mojemu przewodnikowi lat szczenięcych i młodzieńczych, doskonałemu psychologowi, który umiał młodzież porwać, zainteresować Bogiem i na tej, nie najłatwiejszej drodze ustawić. To, mimo wielu późniejszych buntów, sprzeciwów wewnętrznych i załamań, jednak zostaje na całe życie jako pewna konsekwentna postawa życiowa i dlatego musimy przede wszystkim Boga prosić o takich właśnie księży, pełnych zapału, którzy dziś będą umieli podobnie i nasze dzieci zaprząc do pracy nad sobą w Jego Imię.

N. N., ankieta 166
Mężczyzna, lat 33
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Mam lat trzydzieści trzy. Jestem urzędnikiem, wykonującym swoje czynności w tzw. „terenie", na szczęście na ogół niezbyt od domu odległym. Praca jest interesująca, aczkolwiek nie zawsze wdzięczna — a przede wszystkim absorbująca. Żona nie pracuje zarobkowo, zajmuje się gospodarstwem domowym oraz udziela tygodniowo kilka lekcji muzyki. Mamy trzy córki: pięcioletnią, piętnastomiesięczną i dwumiesięczną. W domu pomagam żonie dosyć sporo; we własnym zakresie wykonujemy także takie czynności, jak reparacja instalacji wo-

dociągowych, drobne naprawy obuwia, szycie dla dzieci itp. Poza tym uczęszczam na seminarium z ekonomii i usiłuję aktualnie napisać swoją pracę doktorską.

Niezależnie od tego staram się być jakoś przynajmniej na bieżąco z lekturą „Tygodnika Powszechnego" i „Życia Gospodarczego" oraz rocznie — poza literaturą naukową — czytam a czasami połykam około 60 książek, starając się, aby część tej lektury była w języku angielskim, rosyjskim względnie niemieckim.

Czasami spotykamy się ze znajomymi.

Kwestia czasu. Jak z wyżej nakreślonego krótkiego opisu mych zajęć wynika, wolnego czasu pozostaje niewiele. Szereg spraw załatwia się kosztem snu (przeciętnie sypiam na dobę 4—6 godzin). Nawał zajęć powoduje, że jestem (żona także) w jakimś stałym pośpiechu, którego zresztą nie odczuwam ujemnie. Niemniej brak jest spokojnych chwil na jakieś „wewnętrzne remanenty", na przemyślanie itp.

Moja modlitwa prywatna. Codziennie odmawiam pacierz rano, wieczorem, w południe „Anioł Pański" oraz także codziennie Różaniec wraz z modlitwą za Księdza Prymasa. Ilościowo wydaje się to dużo, jednak jakość, wartość tych modlitw według mojej oceny jest raczej mizerna. Dlaczego?

Rano, jak to rano — na ogół się pędzi, więc czasami to i zapominam. W ogóle to swoje paciorki odmawiam w najróżniejszych okolicznościach; w drodze do pracy, w tramwaju, w pociągu, w sklepie, popychając wózek z dziećmi na spacerze, piorąc czy wieszając pieluchy, uczestnicząc w konferencjach (zwłaszcza „Anioł Pański" przypada na okres pracy, tak że czasami odmawiam go ratami, czyniąc krótkie przerwy w rozmowie itp.). Wieczorem modlę się razem z żoną.

Okoliczności, w których jakże często odmawiam modlitwy, nie sprzyjają skupieniu, wręcz przeciwnie, powodują odklepywanie lub wręcz automatyczne „przeskakiwanie" całych partii czy ustępów.

Kiedyś dawniej miałem dosyć dużo wolnego czasu. Chodziłem do kościoła i w atmosferze ciszy oraz wewnętrznego spokoju (nazwałbym to może „rozluźnienia mięśni") r o z m a w i a ł e m z Bogiem. Właśnie rozmawiałem — raz krócej, drugi raz dłużej, czasami to się udawało, a niekiedy nie. Ale to była właściwa droga. Obecnie odczuwam niekiedy brak takiej rozmowy, ale ciągle się pędzi i pędzi i nic z tego. Zresztą nawet jeśli trafi się jakaś wolniejsza chwila, to tak od razu nie mogę się przestawić. Uważam jednak, że modlitwa prywatna powinna być rozmową, myśleniem o tym, co się ustami odmawia.

Modlitwa prywatna najstarszej córki. Mimo że dziecko rozwijało

się intelektualnie z wyprzedzeniem wieku, stosunkowo późno zaczęło odmawiać „Ojcze nasz", „Zdrowaś Maryjo" i „Skład Apostolski". Żona uczyła córkę w ten sposób, że tłumaczyła jej znaczenie poszczególnych wersetów i dopiero po zrozumieniu całości modlitwy, zaczęła córa ją odmawiać. Dla przeciwdziałania ewentualnemu odklepywaniu co pewien czas następuje zmiana kolejności w odmawianiu paciorka.

Moja modlitwa w kościele w czasie Mszy świętej. W czasie Mszy świętej korzystam z mszalika — w wersji łacińskiej. Jeżeli mi czas pozwala, to w sobotę, względnie przed Mszą świętą czytam zmienne części Mszy po polsku, aby potem być pewnym, że tekst łaciński zrozumiałem prawidłowo. Modlitwy mszalne bardzo do mnie przemawiają — zarówno części stałe, jak i zmienne i wszelkiego rodzaju prywatne modlitwy nie są w stanie mi ich zastąpić.

Dlaczego się modlę? Chyba przede wszystkim z szacunku dla Boga. Nie tyle dlatego, że wymaga się tego poprzez przykazania, ile z tego powodu, że nie umiałbym jakiegoś przyrzeczenia czy danego słowa nie dotrzymać. Wobec nikogo a co dopiero w stosunku do Istoty najdoskonalszej. Nie kieruję się obawą przed ewentualną karą — dla mnie, jako teologicznego laika pojęcia kara wiekuista, czyściec są dosyć pustymi dźwiękami. Trudno bać się czegoś, czego się nie pojmuje. Po prostu nie mogę nie dotrzymać słowa. Nie jest to jedyny motyw. Prawdopodobnie nie uświadamiam sobie wszystkich momentów, może z tego powodu, że nie próbowałem do tej pory zaprzestania modlitwy. W modlitwie staram się nie prosić Pana Boga. Owszem, dziękuję za otrzymane łaski i dobrodziejstwa, ale uważam, że tego, co mam, jest wystarczająco i nie należy być bezczelnym i domagać się jeszcze więcej. A jeżeli są jakieś kłopoty o choroby, to przecież to jest udziałem wszystkich ludzi i nie bardzo widzę powodu, dla którego miałbym być wyłączony z losu bliźnich. Swoją drogą Pan Bóg jest dla mnie i mojej rodziny bardzo, bardzo łaskawy.

Reasumując: Jestem przekonany, że poza katolicyzmem moje życie nie byłoby tak ciekawe, wartościowe i nie dawałoby tyle radości i zadowolenia.

Takie jasne postawienie przed sobą samym problemu wywołuje jakąś konkretną postawę, ta zaś w konsekwencji znajduje swoje odbicie i w praktykach (przykładowo: kiedyś bym się wstydził, a obecnie idę na Mszę świętą ze sporym modlitewnikiem w ręku) i w modlitwie, którą traktuję coraz poważniej.

N. N., ankieta 50
Kobieta, lat 43
Wykszt. średnie
Duże miasto

To, co mam zamiar napisać na temat mojej modlitwy, to nie będzie ani wszystko, ani po kolei, ani mądrze — zwyczajnie między praniem a gotowaniem obiadu — obywatela II kategorii: „matki niepracującej".

Otóż im więcej muszę ze sobą wojować, o wierność obowiązkom, tym trudniej mi się obyć bez codziennej Mszy św. Wstaję o 5,30 i z bańką na mleko i torbą idę do kościoła na 6-tą. Po drodze już odmawiam „Anioł Pański" (czasem za Sobór) — ulubioną modlitwę — bo tam jest „Służebnica Pańska" — więcej nie zdążę, bo czasem są śliczne śniegiem pokryte gałązki, albo — jak teraz — coraz zieleńsze drzewa i trzeba oczy nacieszyć na cały dzień siedzenia na IV piętrze. W kościele zaczynam modlitwę od *Confiteor*, mówię bardzo wolno, żeby na pewno uzyskać zmazanie powszednich grzechów i przygotować się do Ofiarowania — żeby to, co ofiaruję, było przyjęte z czystych możliwie rąk. Potem bez książeczki *Credo* — w niedzielę z całą rodziną mówię to wszystko głośno po łacinie na Mszy św. recytowanej — ale ta z pamięci mówiona łacina, choć rozumiem, co mówię, jest, jak na audiencji u Króla — usłyszy, hołd przyjmie — ale nie przytuli ani po głowie nie pogładzi w odpowiedzi. To jest dobre w niedzielę do wspólnej modlitwy — dla całego kościoła jednakiej. Potem ofiaruję moje 3 śpiące jeszcze główki dzieciaków (15, 17 i 18 lat) i czarny łepek mężowski i jeszcze, jeszcze, i cały dzień, i pranie i to, co będę robić ważnego, i szycie i pracę społeczną, nieraz trudną a piękną i dającą radość — i potem zawsze nieodmiennie w każdej Mszy — „Przyjdź Duchu Św. i Spuść z niebios wzięty Światła Twego strumień". Sekwencji tej o. Moderator uczył w gimnazjum i mówię ją przed spowiedzią i w każdej Mszy św. To jest moja zbroja na cały dzień, na wszelkie rzucanie się z motyką na księżyc, robienie czegoś z niczego w kłopotach domu, na wszelkie trudności w nauce dzieci, omodlenie klasówek, egzaminów, moich referatów, czy dekoracji — wszystko, do czego czuję się nie dość mocna i pewna, wmadlam w tę Sekwencję. Potem Podniesienie: Pan Mój i Bóg Mój — „Duszo Chrystusowa" — itd. aż do Komunii św. „Panie, nie jestem godzien" — a jednak przyjdź — bo sama niczego nie rozplączę i nie poradzę — i nie chcę być daleko. Potem: „Oto ja grzeszny człowiek upadam na kolana przed obliczem Twoim i z największą gorącością ducha..." i już za kościołem „Ojcze Nasz" i „Zdrowaś" za dusze zmarłych. Ponoć to jest według książeczki warunek odpustu zupełnego za zmarłych — ale to bez „warunku" ofiaruję Miłosierdziu Bożemu do skarbonki Świętych Obcowania.

Potem już dzień pędzi — mleko, pieczywo, budzić o 7 dzieciaki.

W ciągu dnia, np. w bardzo trudnej pracy, nim skroję jakiś drogi materiał na płaszczyk, albo nim uszyję coś, czego nie umiem jeszcze, klękam albo się żegnam — z prośbą krótką o pomoc — przeważnie do Matki Bożej, wiszącej w kuchni nad stołem.

Dzieci wychodzą z domu z „Niech będzie pochwalonym" zawsze. Dobre, kochane, mądre dzieci!

Nie odmawiam długich różańców ani wieczorem już nie biegam, jak w młodości na „majowe", wieczór jest już zwolniony w tempie od zmęczenia, i pracy starcza do 11-tej — więc bez przesady. Wieczorny pacierz jest więc ofiarowaniem dnia, nocy, krótkim *Confiteor* na wypadek śmierci, czasem czytam Pismo św. — krótko — czasem Ricciottiego — Mertona — „Znaki" — „Ateneum" — „Tygodnik Powszechny", ale zasypiam wnet i tyle czytania.

Z Pisma św. ulubione strony to ostatnie modlitwy w wieczerniku i List św. Pawła do Koryntian o miłości.

Dlaczego się modlę — bo wierzę w przyjaźń Bożą, muszę więc rozmawiać z Bogiem, wierzę, że mi więcej niż ptakom niebieskim i niż liliom polnym pomoże — ale to wierzenie nie jest zawsze tak oczywiste i bez wahań, żeby nie potrzeba było nawiązywania kontaktu, szukania oparcia, bo siły brak do dźwigania ciężaru wolnej woli.

Jako mała dziewczynka najgoręcej modliłam się o śmierć i ćwiczyłam wolę, gorączkowo umartwiałam się, wojowałam z wadami, żeby na tę rychłą śmierć zasłużyć — żeby uciec od trudnego życia w domu awanturniczego taty. Potem w domu męża prosiłam o pomoc, bo gryzłam palce nie mogąc z własną żywością zrozumieć flegmatycznego niedźwiedzia o gołębim sercu — a ja czekałam, że po okradzionym dzieciństwie wreszcie w małżeństwie będą mnie choć trochę psuli i rozpieszczali. I żeby nie krzyczeć „że to nie tak", trzeba się było kurczowo trzymać modlitwą Boga.

I trudy małżeńskiej wstrzemięźliwości — po urodzeniu 4 dzieci w 6 latach *quo usque tandem*...? I gdy to się wszystko już przełamało, bunty przygasły — musi być modlitwa wdzięczności, bo mąż po 20 latach małżeństwa nigdy jeszcze na mnie nie krzyczał, dzieciaki proste, zdrowe i świetnie się uczą, więc choć bieda, meble stare i czasem do 1-go daleko, to jednak coś musi zostać „dla garbatego" — jak mówię — i trzeba dziękować. I za to, że mam jeszcze siły do prania, i za to, że mąż oczyma wodzi. Gdy tak patrzę na ten mój skarb „domu, gdzie nikt nikomu nie ma za złe" — to modlę się za pijaków awanturujących się za ścianą, i za tych niecierpliwych, zeźlonych w tramwaju, i w czasie jazdy, choć tego nie liczę, wiele „zdrowasiek" się uzbiera — zaskakiwanie Łaską, jak pisał w „Dniu Życia" ksiądz w konkursie Spodkowym.

Gdy jest coś bardzo trudnego, czyjaś straszliwa złość, która musi stawać na drodze, i niesposób jej ominąć — wszystko to omadlam, uspokajam się, jakbym ciężar dźwigany rozdzielała na dwoje i znów mogę być uśmiechnięta. Gdy ktoś mi zwierza swój kłopot, nieszczęście, obiecuję wspólnotę w modlitwie i też już się bezradnością tak nie martwię. Gdy jest czasem tak wielka radość, np. córa zdała maturę z samymi piątkami i egzamin wstępny na architekturę — kto może zrozumieć, podzielić to, co się dzieje w sercu mamy? — mąż cieszy się, ale jest flegmatyk, a we mnie wszystko aż skacze i śmieje się i piszczy z uciechy — trzeba wtedy iść podzielić radość: „Panie Jezu, dziękuję Ci". Myślę, że Bóg, dawca wszelkich temperamentów, sam musi je wszystkie zrozumieć i nic go nie śmieszy i nie dziwi.

Jeśli chodzi o modlitwy z książeczki, to są niektóre wprost cudowne, czasem odkrywczo żywe i pasujące do życia i do chwili, ale są i martwe, tak zawiłe i językiem straszące, że najchętniej się je zapomina.

Dobrze by było nauczyć wszystkich ludzi głośnego odmawiania po polsku (łacina jednak w kościołach dla inteligencji) części stałych *Asperges, Vidi aquam*, psalmu 42 itd. *Confiteor, Kyrie, Gloria*— albo tylko najważniejszych jak *Confiteror, Kyrie, Gloria* i *Credo*. Żeby nie gapili się sąsiedzi na fryzurę. Ołtarz przodem do ludzi jest utrudnieniem pewnym dla księdza, choć może i tę ofiarę ponieśliby kapłani, gdyby to ludziom w uczestnictwie we Mszy św. pomogło. Mnie to jest obojętne — dla mnie ważne, że jest Podniesienie, w którym uczestniczę ofiarując skromne życie swoje i swoich — i że jest Chleb Mocnych, z którym biegnę na twarde „nie dam się". Mama uczyła nabożeństwa 9 piątków. Do dziś z mężem w każdy pierwszy piątek, przeważnie także dzieci, jesteśmy u Komunii św. — ale te obietnice, objawienia są dla mnie nieważne. Chwała Serca Jezusowego wymaga tego dnia szczególnej czci — a co Bóg zechce z Swego Miłosierdzia udzielić i czy właśnie szczęśliwą śmierć, to nie sądzę, że przez 9 piątków, ale przez stałą łączność, przez to światło bijące z otwartych drzwi wieczności, które oświetla każdą chwilę i czyn, i w tym świetle wykonywane sprawy nabierają jasności — jak z dzisiejszego dnia Wniebowstąpienia.

Myślę — że żeby tylko „modlić się i nie ustawać" może jakoś uda się! Te trudne rygory etyki i ekwilibrystyka chodzenia po siatce dekalogu — wpisywanie w nią swej historii — może się to udać, ale potrzeba czuć się bardzo małym i wszystko z ufnością powierzać Miłosierdziu. Boć są przecież takie sytuacje, kiedy dla ratowania jakichś wielkich wartości, trzeba pozornie łamać rozkaz —

i wybierać to, co jest jeszcze możliwe, mniej hamuje wzrost, więc jest bardziej zgodne z etyką — bo dekalog jest siatką — a sytuacji w przetrudnym życiu ponoć więcej niż 10. I w tych trudnych wybieraniach, gdy wolność woli jest najcięższym z darów Miłosierdzia Bożego — gnębi myśl, czy Bóg znajdzie w niebie order: „za złamanie rozkazu"? Czasem to cieszę się na śmierć — żeby to już, żeby odmówić ostatnie *Magnificat* i już nie wojować.

A dopóki jest walka, musi być i modlitwa, bo życie jest drapieżne i czasem — a może zawsze — to broń jedyna.

Tyle szczerych słów ojcze Malachiaszu. Te strony — to moja wdzięczność za „Pocztę".

N. N., ankieta 357
Mężczyzna, lat 35
Wykszt. wyższe
Małe miasto

Na wstępie chciałem zaznaczyć, że ankieta była dla mnie szczególnie trudna, tak ze względu na to, że sprawa modlitwy jest sprawą bardzo wewnętrzną i poniekąd nie nadającą się do przekazywania drugiemu człowiekowi (przynajmniej gdy chodzi o niektóre jej aspekty), jak też ze względu na to, że podczas modlitwy człowiek nie myśli o tym, jak się modli, ani po co się modli i dlatego później trudno mu odtworzyć charakter modlitwy, jak wreszcie i ze względu na to, że pytania ankiety sformułowane były bardzo ogólnikowo.

Mój udział we Mszy św. Podczas Mszy św. staram się łączyć z modlitwą kapłana we wszystkich zasadniczych częściach Mszy św., a pomiędzy to wplatam własne swoje intencje (jeśli korzystam z mszału, to tylko tam modlę się własnymi słowami, gdzie przewidziano na to miejsce — np. za zmarłych, za obecnych, za Kościół itd.). Przede wszystkim zaś na początku Mszy żałuję za s w o j e grzechy, podczas łacińskiej ewangelii mówię: „Boże, bądź w myślach, słowach i sercu moim", podczas Ofiarowania ofiarowuję także i swoją pracę Bogu, równie „prywatnie" przygotowuję się do Komunii św. (choć tu już zwykle mówię: „Oczyść, Boże, serca nasze, żebyśmy Cię godnie przyjęli"), a podczas błogosławieństwa i po Mszy św. proszę: „Błogosław, Boże, myślom, słowom i uczynkom nas wszystkich" (a przez „nas wszystkich" rozumiem rodzinę i przyjaciół).

Dawniej częściej (lub nawet wyłącznie) modliłem się we własnym tylko imieniu, potem coraz częściej zacząłem się modlić w imieniu innych a wspólnie — od chwili, gdy zrozumiałem, że wolą Boga jest, żeby ludzie nie indywidualnie zdążali ku Niemu, ale poprzez Kościół, a więc społecznie, wspólnie. Wtedy dopiero zrozumiałem sens wspólnej modlitwy. Największą może rolę w tej zmianie

u mnie odegrała prelekcja p. Małunowicz (z KUL-u), którą słyszałem jakieś dwa lata temu.

Najbardziej lubię Mszę św. bez wszelkich litanii i różańców (to uniemożliwia uczestnictwo), śpiewów, a nawet bez muzyki, za to powoli odprawianą z wyraźnie słyszanymi słowami kapłana — gdyż w innych Mszach zbyt łatwo tracę orientację, co się w danej chwili dzieje na ołtarzu. Łacińskie słowa nie przeszkadzają mi, bo nawet jeśli ich nie rozumiem, to przynajmniej ułatwiają mi orientację, jaka to część Mszy. Bardzo mi tylko przeszkadza brak czytania po polsku ewangelii (w dni powszednie) i lekcji (także i w święta). Msze recytowane i Msze z kierownictwem i objaśnieniami uważam za bardzo pożyteczne, ale tylko jako etap przejściowy służący dla lepszego nauczenia się uczestnictwa we Mszy, bo temu, kto już rozumie Mszę, objaśnienia przeszkadzają w uczestnictwie, a po łacinie modlić się nie umiem, bo modlić się można tylko we własnym języku, choćby się ten drugi obcy język najlepiej znało — bo tu nie tylko trzeba by mówić, ale też myśleć i czuć w obcej mowie, co już możliwe nie jest.

Bez książeczki uczestniczę we Mszy tylko wtedy, jeśli jestem zbyt zmęczony, żeby czytać, jeśli w kościele jest ciemno lub zapomnę książeczki. Najchętniej korzystam z mszału, gdyż teksty „książeczek" zbyt odbiegają od pięknych modlitw rzeczywistej Mszy. Jednakże w tekstach zmiennych zazwyczaj się gubię i nie nadążam za kapłanem.

Msza niedzielna bez kazania powinna się moim zdaniem zdarzać tylko wyjątkowo (choroba księdza, nie ogrzewany w mrozy kościół itp.), bo na czytanie czasu jest zawsze mało, a kazanie zawsze daje coś nowego do myślenia albo przypomina rzeczy zbyt szybko zapominane.

W dni powszednie rzadko bywam na Mszy, bo rano przed pracą trudno zdążyć (zwłaszcza po wieczornym zasiadywaniu się, a przy dzieciach trudno kiedy indziej pracować), a wieczorem Msza jest tylko w sobotę i w pierwszy piątek, a Komunia dodatkowo też w pierwszy czwartek, no, i codziennie w maju, czerwcu i październiku. Zresztą także i wieczorem zawsze jest dylemat: iść do kościoła czy pracą Bogu służyć? Co się Bogu będzie bardziej podobało?

Nie umiem w pełni uczestniczyć we Mszy wtedy, gdy idę z dziećmi. Nie mogę się po prostu należycie skupić. Natomiast obecność współmodlących się nie przeszkadza mi, wręcz odwrotnie — jest konieczna do nawiązania dialogu z Bogiem, bo bez bliźnich nie ma Ciała Mistycznego. Poczucie łączności z ludźmi jest dla mnie konieczne dla poczucia łączności z Bogiem. Oczywiście natomiast tłok w kościele przeszkadza w skupieniu, zwłaszcza gdy

jest się potrącanym i nie ma się gdzie uklęknąć. Wolę więc, gdy kościół nie jest zapełniony, ale zupełnie źle się czuję na Mszy w pustym kościele.

Uczestnictwa we Mszy wciąż się jeszcze uczę, wciąż są w nim u mnie braki zasadnicze. Kiedy zacząłem uczestniczyć we Mszy, nie pamiętam — 12 lat temu już uczestniczyłem, 20 lat temu uważałem, że wypełniam obowiązek „wysłuchania Mszy św.", jeśli od ofiarowania do końca byłem w kościele (nic nie rozumiejąc i czekając, kiedy się skończy). Chodziłem do kościoła systematycznie (poza krótkim okresem kryzysu religijnego) od 8-go roku życia. Przedtem nie chodziłem zupełnie.

Do Komunii św. chodzę okresami codziennie, częściej (np. ostatnio) tylko kilka razy po spowiedzi, a potem przerwa do spowiedzi następnej. Do spowiedzi zaś chodzę zwykle co 2—4 tygodnie.

Modlitwa. 1. Kiedy się modlę? Rano i wieczorem z zasady, z tym, że rano czasem po drodze do pracy (gdy zapomnę). Poza tym modlę się przed każdą szczególnie trudną i ważną pracą, decyzją, załatwieniem trudniejszej sprawy. Przy posiłkach nie modlę się — to jakoś takie banalne.

Często modlę się urywkowymi zdaniami podczas pracy. Czasem po obudzeniu się w nocy. Często podczas przymusowej bezczynności, a więc w poczekalni, w drodze pieszej, jadąc autobusem, tramwajem czy koleją. A także przy najrozmaitszych innych okazjach.

2. Jak się modlę i jakimi słowami? Najczęściej krótko. Czasem słowami Pisma świętego, ale najczęściej własnymi. Schematycznych pacierzy nie lubię (choć i własne słowa układają się z czasem w pewne schematy) — odmawiam je tylko z obowiązku, gdy mi to poleci spowiednik lub prosi o nie Ojciec święty, biskupi czy kto inny. Zwykle modlę się klęcząc, ale także idąc, leżąc (w nocy, w chorobie), a wśród ludzi także i siedząc. Przez dłuższy czas praktykowaliśmy wspólną (cała rodzina) modlitwę wieczorną i odmawianie Apelu Jasnogórskiego we dwoje z żoną, a od jakiegoś roku wspólny różaniec w sobotę. Ostatnio jednak nie starcza na to wszystko czasu, tak że każde z rodziny modli się osobno i o innej porze. Podobnie też zaniedbałem odmawianie aktu poświęcenia rodziny Sercu Jezusowemu (zawsze zresztą miałem opory przed kultem Serca Jezusowego, bo dlaczego nie poświęcenie się Chrystusowi tylko Jego Sercu? Podobnie jak niektóre formy kultu świętych trąci to dla mnie jakąś skłonnością do wielobóstwa, na którą w chrześcijaństwie nie ma przecież miejsca — ale to zresztą sprawa do dyskusji, bo zależy od rozumienia Ciała Mistycznego, a tu zdaje się dużo jeszcze zostało do powiedzenia).

Rano proszę tylko krótko: „Boże, błogosław mojej pracy, myślom i uczynkom, żebym dziś jak najwięcej dobrego zrobił, a nic złego". Przez jakiś czas (pod wpływem Jana XXIII) ofiarowałem także cały dzień rano Panu Bogu, potem o tym jakoś zapomniałem.

Wieczorem odmawiam modlitwę, którą nakazał mi 12 lat temu spowiednik co dzień odmawiać i zwykle przepraszam Boga za swoje grzechy, polecam Bogu całą swoją rodzinę i proszę: „Objawiaj mi wolę Twoją, Panie, i oświecaj mnie, żebym ją zrozumiał, i umacniaj, żebym ją w pełni wykonał" (albo też „objawiaj nam..."). Zależnie od potrzeby (a także od zmęczenia i ilości czasu) dodaję często do tych rannych, a zwłaszcza wieczornych modlitw okolicznościowe prośby w intencji osób szczególnie potrzebujących pomocy (chorych, umierających, niewierzących, dotkniętych klęską żywiołową itp.), a także za tych, którzy prosili mnie o modlitwy, za swoich dobroczyńców i za tych, których skrzywdziłem czy zgorszyłem, lub też w innych intencjach.

Oprócz tego modlę się zawsze w czasie burzy lub dźwięku syreny pożarnej o to, żeby ta burza czy pożar nikomu nic złego nie wyrządziły, a jeśli wyrządzą, to żeby to poszkodowanym wyszło na pożytek duchowy. Często też modlę się za spotykanych ludzi — za kaleki, niedołężnych, chorych (np. gdy jedzie karetka pogotowia), za ludzi w żałobie lub płaczących, za spacerujące pary, za spotykane dzieci, za szczególnie ładne i miłe (lub właśnie bardzo brzydkie) dziewczęta, za zmarłych (np. gdy mijam cmentarz lub miejsce straceń), za przystępujących do ślubu, do chrztu, do spowiedzi do Komunii św. W pociągu czy autobusie za współjadących i za mieszkańców mijanych osiedli. Modlę się także za przyszłych mieszkańców budujących się domów, żeby w tych domach mieszkało szczęście i miłość. O co się modlę dla tych wszystkich ludzi? O szczęście doczesne też, ale przede wszystkim o zbawienie i o świętość, o to ostatnie modlę się zwłaszcza dla nowoochrzczonych dzieci.

3. Do kogo się modlę? Do Boga w Trójcy Jedynego lub do Pana Jezusa, ale najczęściej wymieniając wszystkie Osoby Trójcy Świętej albo jeszcze częściej zwracając się po prostu: „Boże".

Do świętych czasem się modlę, ale najczęściej tylko jako wstęp do właściwej modlitwy do Boga. Proszę ich o wstawiennictwo, żeby Bóg wysłuchał mojej prośby, bo cóż mogą oni sami? Są przyjaciółmi Boga, ale władzę ma tylko Bóg. Do Matki Boskiej modlę się codziennie, ale też rzadziej niż do Boga i z prośbą o wstawiennictwo lub opiekę, nigdy o zrządzenie czegoś. Często też zwracam się do Niej jako do naszej ziemskiej królowej.

Do aniołów modlę się bardzo rzadko. Czasem do Michała Archanioła (nie tylko przy spowiedzi powszechnej), rzadziej do mojego

Anioła Stróża, bardzo rzadko do Archanioła Gabriela. Do aniołów modlę się podobnie jak do świętych, bo i oni są tylko przyjaciółmi i wykonawcami woli Bożej.

4. Czym dla mnie jest modlitwa? Stawieniem się w obecności Bożej i otwarciem duszy na działanie łaski, a przede wszystkim staraniem się odczytania woli Boga w stosunku do mnie i znalezienia wytycznych dalszego postępowania. Okazaniem wdzięczności Bogu za okazane łaski i za oświecenia, za darowanie win tyle razy i za podniesienie z upadku. Prośbą o siły do dalszej pracy i do walki ze złem tkwiącym we mnie. Źródłem sił i odwagi w podejmowaniu decyzji i w patrzeniu w przyszłość. Źródłem spokoju i ufności. Ucieczką w chwilach samotności i niezrozumienia przez bliźnich. Pracą — tam zwłaszcza gdzie wszelka inna praca zawodzi. Pomocą zmarłym i żywym. Zbliżeniem do wszystkich ludzi, a zwłaszcza do tych, bliskich mi ludzi, którzy zmarli, wyjechali albo w oczach których jestem obcym czy nawet wrogiem.

Tu ograniczyłem się do węższego ujęcia modlitwy, jako rozmowy z Bogiem i świętymi i mówiłem tylko o modlitwe prywatnej. Jeśli zresztą chodzi o modlitwy wspólne, to poza Mszą, czuwaniem soborowym, a może także wypominkami i różańcem, nie miałem nigdy do czynienia z rzeczywiście wspólną modlitwą.

Modlitwę można jednak ująć znacznie szerzej, bo oddzielenie modlitwy od pracy nie jest chyba możliwe. Modlitwa jest często pracą i to pracą ciężką, a praca modlitwą, gdy w swej intencji jest służbą Bogu.

5. Braki mojej modlitwy. Oczywiście, braków tych jest znacznie więcej, tu podam te tylko, które szczególnie rzuciły mi się w oczy.

A więc: nie umiem się zdobyć na wieczorny rachunek sumienia. Częściowo ze zmęczenia, częściowo z lenistwa, a głównie z powodu trudności przypomnienia sobie przebiegu dnia.

Za mało w mojej modlitwie bezinteresownej miłości Boga. Owszem, staram się Mu służyć, ale czy z miłości, czy z egoizmu (chęć osiągnięcia szczęścia, lub wprost chęć dokonania czegoś w życiu albo sama przyjemność działania, albo po prostu strach przed karą?), nie umiem rozstrzygnąć.

Wreszcie za dużo w niej egocentryzmu. Zajmuję się wolą Bożą odnośnie mnie samego, ale często nie zauważam innych, a raczej tego, że i i oni mają coś do zrobienia w życiu i to często coś znacznie ważniejszego niż ja. Skłonny jestem raczej to, co moje, uważać za najważniejsze, nie biorąc pod uwagę tego, że może powinno ono ustąpić temu, co ktoś inny ma do zrobienia i że może dla jego pracy trzeba poświęcić swoją. A to niebezpieczna tendencja, bo można przy niej tak „służyć Bogu", że więcej zła się wyrządzi niż

dobra, bo realizacja własnej służby przez burzenie cudzej to żadna służba.

Nie każdego dnia potrafię się modlić za tych, którzy krzywdzą czy to mnie, czy częściej — innych. Nie każdego też dnia potrafię się w ogóle skupić przy modlitwie, a okresami boję się po prostu nasłuchiwać woli Bożej, bo mi wygodniej nie ruszać się z wygodnego miejsca.

Natomiast od dawna już się nie buntuję przeciw woli Bożej, bo mam ufność, że wszystko, co Bóg zrządza, jest zawsze na nasze dobro.

Wtedy zaś, gdy jestem już bardzo zmęczony, lub nic mi się nie udaje, staram się te swoje zmęczenia i przykrości ofiarowywać Bogu czy to w jakiejś intencji, czy jako pokutę, ale nie zawsze mi się to udaje.

N. N., ankieta 217
Mężczyzna, lat 25
Lekarz
Duże miasto

Modlitwę rozumiem jako stan, w kórym mam Bogu coś do powiedzenia, obojętnie czy proszę, czy dziękuję, czy wyrażam wdzięczność albo słowa wierności, a nawet kiedy wstąpię do kościoła i nic nie mówię w myślach prócz tego, że chcę być w sposób „symboliczny" bliżej. Zwyczajnie jak się do kogoś odczuwa miłość i przyjaźń i wie się, że spotyka się z tym samym, to wystarcza obecność zupełnie bez myślanych słów. Swego rodzaju gest przyjaźni i miłości. Wspomniałem właściwie już o rodzajach mojej modlitwy, ale jeszcze pewne uzupełnienie. Są modlitwy, w których proszę (a proszę o wiele spraw i za siebie i innych). Modlitwy, w których dziękuję, czasami dziękuję zwyczajnie, bez zaangażowania uczucia, za coś. Czasami znowu inaczej, kiedy jestem szczęśliwy, obojętnie czy z powodu jakiegoś doznania widokowego (jeziora, las, góry itp.), czy kiedy jestem z kochaną dziewczyną, odczuwam momenty jakiegoś pełnego wdzięczności wzruszenia, w którym dziękuję Bogu za życie-istnienie, uważam tę formę, chociaż spontaniczną, jednak za bardzo ważną, bodaj czy nie ważniejszą od „oficjalnych" podziękowań w czasie modlitwy. Wreszcie uważam też za modlitwę to, kiedy wejdę do kościoła i nic nie myślę, tylko powiem czasami „Panie Boże, chcę trochę być z Tobą".

Modlitwa jest dla mnie pewnego rodzaju nawykiem wynikłym z wiary, że nie jestem wraz z wszystkimi ludźmi obojętny. Jeżeli odczuwa się miłość i przyjaźń, to jak już powiedziałem, chcę się podzielić różnymi sprawami z tym Kimś. Do świętych się nie modlę (oczywiście, prócz Królowej świętych), wydają się mi jacyś

dalecy, obcy i często nieprawdziwi (chyba wpływ fałszywych obrazów, kazań i literatury o świętych). Modliłem się tylko parę razy do świętego Jana XXIII, wydaje mi się bardzo bliski i bardzo ludzki, miał to nawet w twarzy, nie tylko w czynach.

Wydaje mi się, że mój udział we Mszy św. nie jest właściwy, taki jak powinien; inaczej to sobie wyobrażam. Wprawdzie klękam, kiedy trzeba, i staram się śpiewać, jak potrafię, ale tylko ten właśnie śpiew i akt woli, że przyszedłem na Mszę św., wydaje się być jedynie wartościowy. Reszta jest mocno niezrozumiała (formy, ksiądz, język itp.) i uważam, że wiele musi się zmienić, bo Msza św. nie spełnia obecnie swojej roli i wychodzę często jakiś niezadowolony. O jakimś wewnętrznym skupieniu na Mszy trudno mówić, nic temu nie sprzyja. Wydaje mi się, że to powinna być zbiorowa modlitwa i uczestnictwo wszystkich razem i w języku polskim i to modlitwa raczej mówiona, nie śpiewana (jak ksiądz śpiewa nawet po polsku, to i tak nie wiadomo co). Ale chodzę na Mszę i czekam na zmianę na lepsze — może wreszcie *vox populi*...

N. N., ankieta 278
Kobieta, lat 53
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Najpierw trochę systematyki. Rozróżnię modlitwę 1. indywidualną i 2. zbiorową. W indywidualnej — taką, przy której a) uwaga zwrócona jest w intencji jedynie ku Bogu, tzn. kiedy nic innego z obowiązku nie absorbuje mojej uwagi (choć, oczywiście, absorbują bardzo liczne roztargnienia). Bliskie takiej modlitwie jest łączenie się z Bogiem przez ból fizyczny i zmęczenie. Inna odmiana indywidualnej to b) modlitwa „przy okazji" pracy, przebywania wśród ludzi (tramwaj, ulica, kino), obcowania z ludźmi. Pod względem sposobu wyrażania się podzielę modlitwę na ustną i inną (nie lubię terminu „modlitwa myślna"), pod względem treści na błagalną, przebłagalną, dziękczynną i modlitwę uwielbienia. Do odpowiedzi na pytanie, jak się modlę, należy również stwierdzenie, do kogo się modlę, o co się modlę, gdzie, kiedy się modlę. A także, co mi do modlitwy pomaga i co mi przeszkadza.

A teraz odpowiedzi.

Jak rozumiem modlitwę? Modlitwa jest uzmysłowieniem sobie rzeczywistości nadprzyrodzonej i ustosunkowaniem się do niej. Dialogiem, monologiem, trwaniem, przylgnięciem do Boga.

Jak się modlę? Czym dla mnie jest modlitwa?

1a) Modlitwa indywidualna jest dla mnie oddechem duszy, czymś absolutnie niezbędnym do życia. Jest też bardzo istotną

psychoterapią, która mnie rozładowuje, rozgrzewa, prostuje i daje bardzo „głęboki" wypoczynek. Nie lubię modlitw „gotowych" poza nielicznymi wyjątkami, do których należą psalmy (z wyjątkiem 93 i 108 — nie mogę pojąć, jak mogą być używane do celów liturgicznych), *Gloria Patri*, *Veni, Sancte*, *Adoro Te*. Nie lubię, bo w obcowaniu z Bogiem, który jest bliższy mnie niż ja sama sobie, nie ma miejsca na czyjeś myśli i czyjeś słowa — często nie ma miejsca na moje myśli i słowa, tak bardzo nieważne, skoro jest Jego Słowo wcielone pod postacią Najświętszego Sakramentu. Najłatwiej jest mi się modlić przed tabernakulum, w samotności i ciszy — wtedy już sama sytuacja zewnętrzna niezależnie od moich myśli i odczuć gwarantuje bliskość. Treść modlitwy to najczęściej adoracja w połączeniu z błaganiem i dziękczynieniem. Modlitwę błagalną uważam za zaszczytny udział w przyczynowości bożej, którego nie wolno nam pomijać. Proszę, żebym była w Jego ręku podatną gliną, proszę za wszystkie społeczności ludzkie, których jestem członkiem (Kościół, rodzina, przyjaciele, instytucja, w której pracuję, ojczyzna, wszyscy ludzie, a najbardziej ci, którzy są najdalej od Boga). Ale nie usiłuję wymienić wszystkich, traktuję sprawę raczej globalnie, żeby mieć więcej czasu dla Boga samego. [1] Ale zawsze mi dźwięczą słowa: „Mnie nie zawsze macie" (Jan 12, 8). Modląc się za ludzi mówię: „Boże, Ty to swoje dziecko lepiej ode mnie znasz, bardziej kochasz i więcej możesz, wiesz, co lepsze dla niego". To neutralizuje mój niepokój. W adoracji mojej najsilniejsza jest nuta podziwu i wdzięczności, za ogrom miłości, i zwykle wielka radość. Jako kanwa — nie zawsze potrzebna — służą wersety z psalmów (22, 26, 41, 62, 102, 138, 83, 88, i psalm *Laudate*) i z Pisma św. (*Manete in dilectione mea; ut diligatis invicem, sicut dilexi vos*; hymn o miłości), zwykle coś z liturgii dnia lub okresu. Poza modlitwą do Boga bez sprecyzowania osoby, albo do Trócy św. modlę się najczęściej do Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie, albo w Ogrójcu za cierpiący świat i często do Ducha św. Boleję nad tym, że nie mam dość nabożeństwa do Matki Najświętszej — myślę, że zawiniły tu ckliwe pieśni i gipsowe figurki — modlę się do Niej rzadko, chyba wezwaniem „Panno wierna" albo obrazem przepełnionej łaską, przelewającej się czary. Widzę Ją przede wszystkim ofiarującą Dzieciątko i otrzymującą zapowiedź ciosu w serce albo współbolejącą — ale chyba i współradosną — pod krzyżem. Czasem modlę się do „zaprzyjaźnionych" świętych: św. Teresy Wielkiej, św. Katarzyny Sieneń-

---

[1] To nie jest eskapizm, bo im głębiej się modlę, tym bliższe jest mi cierpienie ludzkie, na które tylko u Boga mogę znaleźć ratunek.

skiej, św. Augustyna, do patrona dnia, a ostatnio spontanicznie do Jana XXIII. Ale zawsze jakoś wolę do Boga wprost. Jeżeli jestem bardzo zmęczona, roztargniona albo półprzytomna, modlitwa moja jest tylko materialnym trwaniem w bliskości — nazywam ją „modlitwą św. Jana Chrzciciela", który tak zapewne się modlił w łonie matki. Nigdy nie udało mi się odprawić rozmyślania według przyjętego z góry schematu. Czasem odmawiam „Ojcze nasz", albo litanię zatrzymując się na każdym słowie — to mi odkrywa niespodziewane perspektywy, (np. „Jezu, miłośniku czystości" — „Jezu, miłośniku nasz..." — co za zdumiewająca skala!). A czasem po prostu „ryba w morzu, a morze w rybie"... różaniec i Droga krzyżowa są dla mnie raczej męczące przez wielkość tematów i niemożność wyczerpania jednego, a różaniec także przez konieczność odmawiania „Zdrowaś" — nie umiem ani robić dwóch rzeczy na raz, ani stopić ich w jedno. Wolałabym jedną tajemnicę i patrzeć na nią dłużej. Ale te nabożeństwa w swoim czasie zbliżyły mnie do Chrystusa.

A zatem: modlitwa moja indywidualna to reakcja bezsłowna, w której zaangażowana jest wola i uczucie, nie zaś obrazy i rozumowanie, i dlatego nie nazywam jej myślną.

1b) Modlitwa indywidualna „przy okazji" jest raczej intencją dołączoną do wykonywanej czynności, chyba że czynność jest zupełnie mechaniczna albo pozwala na porównywanie (np. gdy szoruję garnki druciakiem, proszę, żeby mnie nie oszczędzano — choć kiedy się to zdarza, to się otrząsam!). W ten sposób staram się modlić wszędzie i zawsze, choć najtrudniej mi to przychodzi w obcowaniu z ludźmi. Staram się, żeby myśl, skoro nie musi być zajęta czym innym, wracała do Boga jako do właściwego jej centrum grawitacji — skoro mamy Boga kochać także „ze wszystkich myśli".

2a) Modlitwa wspólna liturgiczna — gdy mogę się zdobyć na względną uwagę, radują mnie teksty i fakt udziału we wspólnej modlitwie Kościoła. Dużą rolę grają dla mnie przeżycia estetyczne związane z liturgią, czasem nawet ze szkodą dla istoty rzeczy (kolor ornatu, piękne wyrażenie w tekście). W chwilach zmęczenia poprzestaję na łączeniu się z intencją i zapadam w bierność. Dopiero przy pisaniu tych słów widzę, jak mało myślę o oddawaniu chwały Bogu, jak egocentryczna jest moja postawa.

2b) Modlitwa wspólna paraliturgiczna — nabożeństwa majowe *etc.* — uczestniczę w nich rzadko, wolę, kiedy jest cicho. Bardzo mi przeszkadzają pieśni nie dostosowane do dzisiejszego człowieka — dlaczego na nocnej adoracji na intencję soboru, o późnej godzinie, gdy w kościele znajduje się tylko kilkadziesiąt starszych

kobiet, intonować: „Śpiewaj, śpiewaj, dziatwo mała" (autentyczne!). A cóż dopiero „tulmy się jak dziatki" i „o, mój Jezu, pociesz mnie". Dlaczego zaniedbuje się taki ważny środek wychowania religijnego, jakim może być wspólny śpiew? Czytanki na tych nabożeństwach też bardzo mnie „jeżą". Wolałabym mniej moralizatorstwa, a więcej współcześnie pojętej teologii, skoro „im więcej poznajemy, tym więcej miłujemy".

Modlitwy uczyła mnie matka, kładąc duży nacisk na zwracanie się do Boga swoimi słowami w każdej okoliczności, wiele razy w ciągu dnia. Potem pierwsza Komunia św. i następne. Potem to rosło wraz z nauką religii, ks. katecheta dał w rękę Ewangelię i nauczył ją komentować, przez wiele lat uczyło mnie *Naśladowanie*, potem spowiednik i wskazana przez Niego lektura (m. in. Perinelle'a *Comment faire oraison*, św. Teresa, św. Katarzyna). I tak po prostu w praktyce, Bóg, który był zawsze Ojcem, stał się Panem i najbliższym Przyjacielem.

Mój udział we Mszy św. Do czasu przeczytania książki Parscha a zwłaszcza Journeta, Msza św. była dla mnie jakby drogocenną oprawą, relikwiarzem dla Najświętszego Sakramentu. Teraz jest zdumiewającą niwelacją 2 tysięcy lat i różnicy geograficznej, która sprawia, że stoję pod krzyżem nie mniej autentycznie niż Matka Najświętsza i św. Jan. Mój udział — usiłuję łączyć swoją ofiarę z Jego ofiarą. Centrum mojej modlitwy jest Komunia św. przyjmowana codziennie (było to tak: w szkole cztery razy do roku, potem nowenna do Serca Jezusowego i co miesiąc, potem co niedzielę, następnie w niedziele i czwartki — a potem już codziennie i poczytuję sobie za wielką krzywdę, że gdy jestem na drugiej Mszy w ciągu dnia, nie mogę przyjąć Komunii św. po raz drugi — to takie niepełne uczestnictwo!). Najbardziej odpowiada mi Msza św. recytowana. Lubię bardzo gregoriańską. Nie lubię przy Mszy pieśni polskich, nawet dostosowanych do jej przebiegu. Bardzo mi przeszkadza głośny różaniec lub litania albo wręcz kazanie głoszone w czasie, gdy drugi ksiądz odprawia Mszę św. A także gdy Komunia św. jest rozdawana przy innym ołtarzu i w niewłaściwym czasie, co sprawia, że człowiek nie może skupić się, tylko nieustannie ma się na baczności, czy aby nie rozdają Komunii św.

Reasumuję: modlitwa jest konsekwencją mojej wiary. A wierzę, bo *scio cui credidi*. Skoro jestem stworzona, żeby Pana Boga znać i kochać i Jemu wiernie służyć, nie mogę się nie modlić. A z drugiej strony „niespokojne jest serce ludzkie, dopóki nie spocznie w Panu". Więc chciałabym powiedzieć wszystkim, którzy się nie modlą: *Gustate et videte* — skosztujcie a obaczcie.

H. L., ankieta 364
Kobieta, lat 36
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Niesystematyczność i roztargnienie w modlitwie jest grzechem powtarzanym przeze mnie na każdej spowiedzi. Próbowałam z tym grzechem walczyć jeszcze w dzieciństwie. Są okresy, w których odczucie bliskości Boga jest wyraźne i modlitwa staje się prawdziwym obcowaniem z Nim (na przykład choroba, cierpienie, czasem wielka radość — odpoczynek w górach). Skupienie się przychodzi łatwo, powtarzanie słów zwyczajnych modlitw („Ojcze nasz", „Zdrowaś Maryjo"...) wywołuje we mnie głęboki rezonans i wzruszenie.

Wiem, że poprzestawanie jedynie na takich nastrojach modlitewnych, to za mało. Próbuję się modlić podczas pracy, podczas codziennej bezmyślnej krzątaniny w kuchni czy pielęgnując kapryszące dziecko; mam wtedy przeświadczenie, że to, co robię, przełamując w sobie lenistwo, pokonując znużenie, jest w jakiś sposób poświęcone Bogu, że Jego obecność uświęca moją pracę. Trudniej jest pamiętać o Bogu podczas pracy zawodowej, związanej z kontaktami z ludźmi, czasami męczącej, czasem dającej satysfakcję. Staram się więc w niedzielnej Mszy św. ofiarować całotygodniowe zajęcia i prace Bogu.

Czasem modlę się w ciągu dnia powtarzaniem aktów wiary albo słowami Tomasza a Kempis z *Naśladowania* (których potrzebę wyuczenia się na pamięć przeżywałam kiedyś). Ale to zdarza się wtedy, gdy przeżywam jakieś rozterki, a nie codziennie, systematycznie. Codziennie i systematycznie odmawiam jedynie wieczorny pacierz z mężem — półgłosem kilka modlitw, ale, jak to już napisałam, odmawiam je czasem bezmyślnie, z roztargnieniem.

Pacierz nasz jest krótki, „Ojcze nasz", kilka „Zdrowaś Maryjo" w różnych intencjach, modlitwa do Ducha św. Teraz myślę, że powinno się zaczynać pacierz od *Credo*. Albo od rachunku sumienia. Ale rachunek sumienia to forma osobistego obcowania z Bogiem. W dzieciństwie pewien ksiądz, mój spowiednik, wymagał codziennego robienia rachunku. I znowu w pewnych okresach rachunek sumienia staje się czymś nieodzownym, ale częściej o nim zapominam.

Nastrojowość w modlitwie. Niestety, ulegam jej często; w pustym, mrocznym kościele łatwiej o skupienie. Udręką są natomiast dla mnie nabożeństwa z głośnym, powszechnym śpiewem, w zatłoczonym kościele. Dlatego chodzę najchętniej na poranną cichą Mszę św. Modlę się z mszalika, teksty modlitw mszalnych wydają mi się proste i głębokie, wymagają jednak skupienia i zwrócenia uwagi ku Bogu. Pieśni nie związane z tekstem Mszy św., pieśni powszechnie śpiewane, nieraz ckliwe, barokowe, przeszka-

dzają mi tylko w modlitwie. Dlatego też nie lubię nabożeństw majowych, nieszporów. Myślę, że modlitwa społeczna może być również bardziej głęboka, prosta i mniej hałaśliwa.

„Serafia", ank. 152
Kobieta, lat 70
Wykszt. średnie
Duże miasto

Choć zdawałoby się, że modlitwa to monolog — jakże często czuję odprężenie i szczęście, że w ogóle mogę, śmiem zwracać się do Istoty Najwyższej.

Szczęściem, radością jest móc być codziennie na Mszy świętej. Każdy dzień niesie z sobą różne trudy, potrzeby, nastroje. Chrystus mówi, że modlić się trzeba zawsze. Rozmyślanie dla mnie jest strasznie trudne, jestem zbyt żywa, ruchliwa, roztargniona, niesystematyczna. Sama z siebie nic nie wymyślę, ale od młodych lat staram się zawsze mieć dobrą książkę. To jest najlepszy przyjaciel. *Naśladowanie*. Żywoty różne. Człowiek przy powszedniej pracy jałowieje, musi oprócz kazań i rekolekcji mieć coś jeszcze do czytania — przykłady świętych uczą, zachwycają.

Żadnego cierpienia bez modlitwy nie jestem w stanie znieść. Najbardziej lubię akty strzeliste. W każdej chwili stawiają mnie w obliczu Opatrzności Bożej, którą czuję koło siebie.

Przy mojej żywości, jestem przeważnie ze wszystkiego zadowolona i szczęśliwa, majątku ani renty nie posiadam, wszystko straciłam (córki dają mi na życie), mam więcej, niż mi potrzeba, mogę drugim wciąż coś udzielić. Świadomość, że Bóg jest przy mnie, mną się opiekuje, kieruje nawet okazją do uczynienia dobrego uczynku, komuś jakiejś przysługi, staram się więc, cokolwiek mi się nadarzy, wszystko wykonać, choć trudne, jak tylko potrafię.

Zachwyca mnie myśl, że każdej chwili na całym świecie wznoszą się ręce i ofiarują Syna — Ojcu. To uspokaja mnie. To cudowne rozmnażanie chleba wciąż trwa. Jezus czeka na nas i Msza święta wciąż się odprawia.

Gdy miałam czas oschłości, prosiłam, by modlitwy, które nie były „moje" (tylko „czytane") stały się moje i stały się autentyczne i czuję, i pragnę tego całą duszą.

Współpraca z łaską, akty wiary rozbudzają ufność. Akty miłości i błagania za moimi, aby żyli z Bogiem.

„Czy jeżeli kto prosi was o chleb, dacie mu kamień — o ryby — dacie mu węża, o jaja — dacie mu niedźwiadka? Jeżeli wy dajecie waszym dobrze, ile bardziej chce i może dać Ojciec Niebieski wam!"

Może w końcu wybłagam powrót moich do Boga.

Albo matka prosząca o uzdrowienie córki, której wiarę Chrystus doświadczył mówiąc jej, że nie godzi się odbierać synom, a rzucać psom — tak, ale psy żywią się tym, co spada pod stół. Myśli te nie odstępują mnie, zawsze są żywe, nieustępliwe, z nadzieją wbrew wszelkiej nadziei. W końcu muszę uprosić, choćbym sama tego nie dożyła.

Msza święta jest potrzebą mojego życia. Jeżeli chodzi o uboczne sprawy, to wolę ranną, gdy publiczność skromniejsza. Przeszkadza w modlitwie śpiew nieodpowiedni do Mszy świętej lub nierówny. „Korki" w ławkach. Zresztą można się wyłączyć na codzień — ale na święto staram się wczuć w całość, być cząsteczką tej całości, poświęcić wygodę i wszelkie usterki na Chwałę Bożą!

Nie jestem za łączeniem Mszy świętej z innym nabożeństwem w niedzielę, jak nieraz bywa równocześnie litania lub różaniec.

Był czas, że wszystko było mi trudne, dziś Matka Boża i wszyscy święci szyją ze mną, piorą, palą w piecu i sprzątają i choć stara jestem, wszystko idzie.

Jezu, kocham Cię każdym ściegiem, uchroń tego, co będzie to nosił, od złego. Myślę, że to jest tak. Że gdy przyjdzie godzina śmierci, starczy mi oliwy w mojej lampie.

N. N., ankieta 179
Mężczyzna, lat 29
Inżynier
Duże miasto

Modlę się codziennie, czy to jednak z powodu zmęczenia wieczorem, czy późnego wstania rano, zaniedbuję modlitwę pojmowaną jako rozmowę z Bogiem. Ale niemal zawsze, dłużej czy krócej lub nawet bardzo krótko, otwieram się przed Bogiem, przedstawiam Mu swoje zamierzenia, rodzinę, wspominam Ojca świętego, Ojczyznę a nawet świat.

W „Ojcze Nasz" szczególnie uderzają słowa „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom".

Przez pewien czas tylko wieczorem modliliśmy się razem z żoną. Po odmówieniu wspólnych modlitw każde z nas, w ciszy, przez chwilę zakończało modlitwę. Musimy wrócić do wspólnej modlitwy, ale już razem z dziećmi. W ciągu dnia staram się być sprawiedliwy i dobry, ale różnie to wychodzi. Staram się dobrze pracować i raczej nie wzbudzam w sobie jakichś krótkich modlitw.

We Mszy świętej niedzielnej uczestniczę raczej żywo. Mam mszał niedzielny — modlę się, trochę śpiewam. Lubię bardzo fragmenty Pisma Świętego. Bardziej uczestniczę we Mszy świętej w kościołach mniejszych oraz tam, gdzie śpiewa się łagodnie i raczej cicho, z podkreśleniem muzyki.

Chętnie słucham kazań. Odpowiadają mi kazania rzeczowe, podane prosto i spokojnie. W kazaniach szukam Boga i Jego nauki. Odczuwam potrzebę częstej Komunii świętej, nawet wydaje mi się, że rozumiem Jej znaczenie, ale przyjmuję ją rzadko.

Myślę, że byłoby bardzo pożyteczne wprowadzić więcej wieczornych Mszy świętych, zwłaszcza po miastach mniejszych. W związku z pracą będąc dłużej poza Krakowem, nieraz poszedłbym chętnie na taką Mszę św.

N. N., ankieta 41
Kobieta, lat 40
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Modlitwa była dla mnie zawsze najnudniejszą i najmniej sensowną czynnością, a przy tym czynnością niezrozumiałą. Podobnie jak pojęcie miłości do Boga. Uważałam to za skutek defektu psychicznego. Ot, brak jakiejś klepki. Nie wmontowali! Okresowo próbowałam się modlić z poczucia obowiązku i z jakiejś mglistej nadziei i tęsknoty. To znów przeciwnie, buntowałam się, odczuwałam niechęć, obrzydzenie, prawie nienawiść do wszelkiej pobożności, do pacierzy rodzinnych.

Msza św.? Odstawałam ją uczciwie co niedzielę. Pamiętam tę rozpaczliwą nudę, to obrzydliwe ssanie w dołku. Jeszcze z dzieciństwa. Pełny kościół, jakieś ludzkie tyły, jakieś dzwonki. Kazań to nawet nie słuchałam. Długo byłam przekonana, że są także mówione po łacinie. Kiedyś bardzo się zdziwiłam, gdy odkryłam, że nie. Ale i tak się wyłączałam. Chodziłam do Komunii, zgodnie z regulaminem szkolnym. Pamiętam, że gdy się budziłam, odczuwałam zawsze cichutką radość z oczekiwania na coś niezwykłego, co mnie miało tego dnia spotkać: Ale potem tak szybko tonęło się w nudzie, zmęczeniu, głodzie, niezrozumiałych, wielkich słowach, które wydawały mi się i głupie i kłamliwe. Ja nie byłam od wielkich słów. Byłam od małych, uciążliwych, tak często nieudanych czynów, oplątana nimi, obijająca się o nie beznadziejnie. One tylko były realne. Raz odwaliłam dziewięć pierwszych piątków. Kiedy byłam w ciąży z Kingą. Akurat starczyło. Irytowałam się, dlaczego dziewięć, dlaczego pierwszych, a nie ostatnich, ale chciałam być w porządku wobec Kingi. Kinga okazała się nieprzeciętnym czortem. Nieraz myślałam sobie gorzko o tych dziewięciu piątkach. Byłam jeszcze wtedy naiwna i stać mnie było na pretensje do Pana Boga. Potem już przestałam mieć pretensje. Wiedziałam, że jestem sama. Dziesięć lat twardo utwierdzałam się w tym przekonaniu. Dziesięć lat tłumaczyłam sobie codzień od nowa, że ja tylko mogę decydować o sobie, wyznaczać swoje normy moralne. Byłam zresztą z natury dość uczciwa. To zupełnie dobrze szło.

Ale przyszło niespodziewane powikłanie. To było 4 lata temu. Chodziło o ciążę. To zbyt skomplikowana sprawa, żeby opowiadać. Ale wtedy okazało się, że nie mogę zdecydować. Nie miałam siły odebrać sobie prawa... No, nie wiem, jak to powiedzieć, ale chodziło o Komunię. Bo to co innego było z tego prawa nie korzystać, a co innego go nie posiadać. Wtedy przeżyłam chyba najgorszą noc w moim życiu. A rano, na bosaka z pepegami w garści w czasie ulewnego deszczu leciałam z córką do jakiegoś odległego kościółka w górach. To była niedziela. I wtedy to się stało. Przybiegłyśmy, stanęłyśmy we drzwiach — już było Podniesienie — byłam zupełnie zmaltretowana tą beznadziejną walką. „Czego ode mnie chcesz, czego się mnie czepiasz?" powiedziałam ze złością. Zdaje się, że po raz pierwszy tak jak do kogoś, kto jest. I nagle wszystko zrozumiałam. Miałam uczucie wyraźnej odpowiedzi. Chodziło Mu o moje szczęście. Mnie przecież też. Ale wtedy wiedziałam wszystko. I co to jest szczęście i krzyż. Nie, nie żaden krzyż, ja tam żadnych krzyży nie noszę — nie cierpię tych pobożnych powiedzonek. Krzyż w znaczeniu dosłownym. Tamta sprzed wieków szubienica. Nie wiem, jak to się stało, to wszystko razem trwało tak krótko. Kiedyśmy przyszły, dzwoniono na podniesienie, a kiedy ksiądz podniósł hostię, już wiedziałam. Zareagowałam tak niespodziewanie — Jakżeż Cię kocham, jak bardzo Cię kocham. Odnalazłam moją zagubioną klepkę. I tak się zaczęło. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, co jest tej całej sprawy istotą, jaki tu działa mechanizm, co czyni niektóre ludzkie czynności modlitwą? To jest zawsze odkrywanie prawdy i niełatwe zgadzanie się na nią, i rezultat — uczucie miłości, radości, zachwytu. Tak mi się jakoś napisało. Bo mnie się zawsze najpierw pomyśli, a potem usiłuję to zrozumieć.

Więc może jak to wygląda praktycznie. Przede wszystkim zrozumiałam, że On odpowiada. Zaczęłam po prostu nasłuchiwać. To była rewelacja. Wystarczyło zjawić się z jakimś swoim kłopotem, powikłaniem, zacietrzewieniem, wypieszczonymi koncepcjami i zdecydować się powiedzieć coś w rodzaju — „Zawrócę z każdej drogi, jeżeli moja droga nie jest Twoją". To tak często wydaje się niemożliwe, absurdalne, człowiek się przed takim oświadczeniem instynktownie broni: wcale nie jest łatwo porzucać „swoje drogi". Ale to prawie wystarczy, żeby się odezwał, żeby wszystko nagle uprościł i żeby się uczuło, jak jest niezwykły. To się zdarzało potem z taką regularnością i było takie nowe i niezwykłe, że aż niepokoiło. Próbowałam nawet zapisywać. Usiłowałam wtłoczyć w słowa tę nagłą świadomość, żeby się jej przyjrzeć, wziąć w rękę, zobaczyć, czy to jest naprawdę coś, czy tylko jakieś metafizyczne

dreszczyki. A jednak było. Mam stos drobniutko zapisanych karteczek o całkiem wyraźnej treści. To było zawsze trochę więcej, trochę prawdziwiej, trochę słuszniej niż ja w danym momencie. Mam gdzieś taki zapisek, coś w tym rodzaju: „Mój Bóg mówi do mnie moim szorstkim, dosadnym językiem, bo jest mną, tylko trochę więcej". A gdzie indziej, że to, co najczęściej mi powtarza, to — „Wiesz, moja droga, nie zawracaj głowy!". To nie kawał. Dla niektórych trochę bardziej niż potrzeba szarpiących się ludzi, to jest twardym uderzeniem po głowie, otrzeźwieniem, prostotą i prawdą.

Lubię moje rozmowy z Panem Bogiem. Czekam na nie, staram się ich nie przeoczyć. Zwłaszcza, że nigdy nie wiadomo, kiedy to się stanie. Nieraz biegnę do tramwaju, ścielę łóżko, myję zęby czy z kimś rozmawiam. A On akurat potrzebuje wtedy. Aż się muszę roześmiać: „Popatrz tylko, jaki z Ciebie Miś!" Nie zawsze tak kordialnie. Po tej całej awanturze w góralskim kościółku odczuwam ciągłą potrzebę wyrażania wdzięczności i czegoś, co się nazywa „chwałą", a co dotąd zaliczałam do wielkich i nic nie znaczących słów. Nigdy prośby. To podobno źle — brak zaufania. Nieraz próbuję — nie umiem. Wiem, że cokolwiek będzie, będzie dobrze. No, więc ta „chwała". Można ją odczuwać, a można i wypowiadać — po domowemu, bezceremonialnie a można i bardziej dostojnie. I właśnie — polubiłam psalmy, polubiłam ten ich ton uwielbienia. Myślałam, że to mój wynalazek. Polubiłam *Gloria* — to jedyna modlitwa, którą sobie powtarzam po łacinie — *quoniam tu solus sanctus, tu solus*... Często też ze mnie wyskoczy nie wiem kiedy słyszane „Wielbi dusza moja Pana i rozradował..." Mówię strzępki hymnu św. Tomasza — *Adoro te devote* — i to jest dobrze *Adoro te devote*. A potem już po polsku — nie wnikam jak Tomasz w Twe najświętsze rany, lecz pragnę Cię mym Bogiem... i — błagam jak łotr błagał pokutny na krzyżu. Nawet nie wiem, co dalej, ale lubię tego łotra. Budzę sią ze słowami najmniej chyba w tym momencie odpowiednimi — w ręce Twoje Panie... i to jest coś jak szyfr między nami. I hymn do Ducha świętego. „Przybądź Duchu święty, zlej z niebiosów na nas... Przyjdź Pocieszycielu, słodki gościu duszy..." Tu znowu ten słodki gość mi się podoba. I to — „Bez Twojego Bóstwa nie ma nic w człowieku..." A św. Tomasz znowu „Tyś wszystkim, ja..." Wszystko i nic. Dotąd znaczyło dla mnie dużo i trochę. A teraz czasem prawie, prawie, że rozumiem, że może być wszystko, bez reszty. No, i jeszcze — „Ugnij co oporne!" To też pamiętam. Ba! Nie wiem, skąd to wszystko umiem. Gdzieś to się naczekało, zakopane i nagle się wyzwoliło.

Podobnie i ze Mszą św. Odstawałam ją tak pracowicie przez tyle lat. Czytałam niezrozumiałe mszalne teksty. I nagle to wszystko ożyło. Zaczęło się od „Cóż oddam Panu za wszystko, czego mi udzielił. Kielich zbawienia wezmę i wzywać będę..." A więc na tym Mu zależy? A potem już wiedziałam: Msza jest czymś niezwykłym. Nigdy tego nikomu nie powiem, zwłaszcza dzieciom. Mnie też tak mówili. Myślałam sobie: Ale bujają! No, i teraz taki wpadunek. Już nie czytam z mszału. Za drobne literki. I zresztą na razie nie mogę. Za bardzo to przeżywam całą osobą. Nie rozumiem dlaczego, więc trochę się i wstydzę. Co zrobić? I nawet nie rozumiem tego wszystkiego, że ofiara, że powtórzenie Męki. Już mi to tłumaczyli, ale ani rusz. Musiałabym jak dziecko — dotknąć i polizać. Inaczej nie da rady. A przecież przeżywam, a ze swoimi przeżyciami liczę się tak samo jak z doświadczeniami.

No, więc z tą Mszą to puściłam się na całego. Oczywiście codziennie i Komunia też. Komunia — ten absurdalny pomysł tego dziwnego człowieka stanęła jakoś w centurm mojego życia. Przez nią nabierają sensu wszystkie moje „małe, nieudane czyny, o które się ciągle obijam". Nie stają się bardziej udane — z tym musiałam się pogodzić, ale nabierają sensu przez tę ciągłą, dziwną relację z Bogiem, przez tę upartą chęć jej niezerwania. Komunia tak ułatwia. Można sobie przez cały dzień powtarzać mądrze i głęboko lub głupio, naiwnie, dziecinnie jakieś gdzieś zasłyszane wierszyki — „Boże, choć Cię nie pojmuję... albo „Wielbię Ciebie w każdym momencie" — właśnie wtedy, kiedy tramwaj uciekł.

No, i jak tego wszystkiego dużo (jakież to też musi być nudne dla czytającego!). A przecież jak dalece to nie wszystko. A kiedy i gdzie? Czy w kościele czy w tramwaju? Raczej w tramwaju. I dosłownie i przenośnie, jeżeli za tramwaj uważać całe rozklekotane, obijające się o ludzi, wiecznie rozjątrzone życie. Moje jest chyba bardziej tramwajowe niż innych. Kupa dzieci, bardzo absorbująca praca zawodowa... Może dlatego ani na chwilę nie mogę puścić tej ręki (to powinno być z dużej litery).

A przecież są stany chandry czy depresji, takie właśnie, gdy trzeba łykać miltown. Wtedy wszystko bierze w łeb. Znowu jesteś w pustce, znowu zaplątana w jakąś straszną komedię gestów, słów bez znaczenia, patrzysz na siebie — klęczysz, po co klęczysz, co to ma znaczyć, ktoś tam przy ołtarzu, śmiesznie przebrany, macha rękami, coś mamrocze. Gdzie jesteś? Po co to wszystko? I wtedy powtarzasz sobie beznadziejnie dziecinne wierszyki: „Ufam Tobie, boś Ty wierny". Czasem powtarzasz, a czasami nawet nie jesteś w stanie. Czy zawsze będę wierna mimo chandr, czy nie przekroczę jakiejś granicy, czy nie odwrócę się jak kiedyś? A czy

i On będzie wierny, czy upomni się o mnie. Jak kiedyś. Czy jest coś w życiu twardego, na czym bym mogła się oprzeć. Bóg? przecież Go nie ma w chwili chandry.

Wydaje mi się, że ciągle źle szukam. Że to jest bardzo blisko. Jakoś we mnie. Siedzi tam. Siedzi to niepokonane dobro. Mimo wszystko, mimo wszystko, co złego robię. Przyszło mi to do głowy niedawno, wtedy, gdy sobie powtarzałam „Anioł Pański". Najtrudniej jest Boga dojrzeć w sobie, a przecież tam jest najrealniejszy. Wtedy też było trudno, gdy „Anioł Pański zwiastował..."

No, to i tyle. Aha, Kinga wyrosła na wspaniałą dziewczynę. Bardzo ciekawy i bujny człowiek. Ale to nic nie znaczy. Albo może znaczy.

No, więc to wyszło tak. Bardzo intymnie. Bardziej niż przypuszczałam.

N. N., ankieta 334
Mężczyzna, lat 25
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Panie Ty wiesz, że Cię jeszcze nie miłuję.

1. Jak rozumiem modlitwę? Modlitwę rozumiem jako:

— hołd składany Ojcu, zwracanie się do Niego, uwielbianie Go, łączenie się z chwałą oddawaną Mu przez inne byty;

— dziękowanie Ojcu za moje istnienie, za świat, za wspaniałych ludzi, których spotykam, za przyrodę: gwiazdy, góry, wody i stworzenia;

— przepraszam Go za niedoskonałość, za zbyt powolne dążenie do Niego, lub odchodzenie od Niego; za kierowanie się własną przyjemnością, za szukanie swojej, a nie Jego chwały;

— proszenie o poznawanie Jego woli, o inteligencję, o pomoc w przezwyciężaniu pokus, o stałe zbliżanie się do Niego, o pociąganie innych ku Niemu.

2. Jak się modlę?

A. Forma zewnętrzna: Modlę się klęcząc wówczas, gdy jestem sam, z kilkoma obcymi ludźmi lub z paroma znajomymi (krewnymi) i gdy są do klęczenia warunki (czysta podłoga, względny spokój). W innych wypadkach modlę się na stojąco lub przechadzając się (czasem przyjmuję pozycję jogów).

B. Treść: Najczęściej moja modlitwa składa się z „Ojcze nasz" i „Zdrowaś" a w dalszym ciągu jest rozumowaniem (zawiera w sobie akty omówione w punkcie 1 oraz myśli, o których wspomnę w punkcie 3. Niekiedy modlitwę kończę słowami: „Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię jeszcze nie miłuję", oraz proszę o rozwijanie w sobie miłości i mądrości. Czasem odmawiam wszyst-

kie modlitwy, których nauczyła mnie moja matka. Od paru lat staram się (na ogół z pozytywnym skutkiem) codziennie odmówić dziesiątkę różańca i „Anioł Pański".

3. Czym jest dla mnie modlitwa? Modlitwa jest dla mnie ustawieniem siebie na właściwym miejscu we wszechświecie, zdaniem sobie sprawy z mej świadomości i osobowości i pokłonem składanym Bogu; czasem modlitwa jest robieniem planów, rozrachunkiem z minionym dniem, postanawianiem poprawy. Czasem rozważaniem życia Chrystusa, Maryi, Świętych, przypominaniem sobie znajomych, bliskich.

Modlę się (= zwracam się myślą, świadomością do Boga), gdy zdarzają mi się trudności i niepowodzenia, ale również robię to, gdy spotykają mnie zdarzenia nadzwyczaj radosne. Najmniej myślę o Bogu, gdy powodzi mi się „względnie dobrze".

N. N., ankieta 122
Kobieta, lat 39
Pielęgniarka
Duże miasto

Myślę, że modlitwa jest czymś tak naturalnym, potrzebnym i koniecznym dla mnie jak każdy z podstawowych warunków istnienia. I na własnej skórze (i duszy) odczuwam od razu zachwianie równowagi, jeśli w jakimś okresie życia modlitwę zaniedbuję. Już dość dawno zauważyłam, że jak się źle zaczyna ze mną dziać: rozdrażnienie, rozgoryczenie, pretensje do wszystkich i o wszystko, niechybnie po uczciwym namyśle okazuje się, że źle jest z moją modlitwą. A jeśli staram się modlitwę systematycznie pogłębiać i nasycać nią życie, wszystko się uładza. Naprawdę. W każdym razie tak jest ze mną, a przecież tylko o sobie piszę.

Jak się modlę? Rozmaicie. Trudno to dokładnie określić, nie mam na to recepty i reguły. Z zapałem i bez, czasem ze łzami wzruszenia to znów z sercem twardym, suchym i nieużytym, wielbię, proszę, dziękuję, przepraszam, raz wolę w ciszy, innym razem najlepiej w gromadzie, lub też z kimś bliskim, kto myśli podobnie, w kościele i na ulicy. Nieraz tak łatwo przychodzą mi słowa modlitwy, to znów ani rusz coś z siebie wykrzesać. Czasem tylko siedzę lub klęczę w kościele przed tabernakulum i patrzę, czasem drzemię jak uczniowie w Ogrojcu. Ale zawsze wiem, że modlitwa jest potrzebna i ważna, nawet wtedy, kiedy z jakichś tam powodów ją zaniedbuję. Ale wtedy robi się we mnie od razu bałagan.

Po dłuższym okresie opuszczania się w modlitwie zawsze mam trudności z pozbieraniem się na nowo. Ciężko i trudno idzie. Jakby gdzieś zniknął cały rozpęd i zapał, jakby raptem z obojętnym zdziwieniem patrzyło się na kogoś bardzo dawniej kochanego.

Z modlitwą jest jak z miłością i przyjaźnią: trzeba ją pielęgnować. Tak łatwo jest zerwać różne cienkie nici, oddalić się. A wtedy trudno to naprawić.

Początkowo oczywiście brałam zagadnienia modlitwy bardziej emocjonalnie; później coraz bardziej przekonywałam się, że jednak chodzi głównie o wiarę, żywą i kochającą, i to jest znacznie trudniejsze. Jeśli nie pilnuję się stale i nie czynię na serio tego wysiłku wiary, to po krótkim czasie następuje wewnętrzne wyjałowienie, nie ma żadnego punktu zaczepienia (zewnętrzne, odczuwalne bodźce już nie wystarczają) i łatwo może dojść do kryzysu. Wtedy nie trudno jest się zniechęcić i machnąć ręką albo poprzestać na bezdusznym przyzwyczajeniu, formułkach itp. Nieraz tak ze mną bywało, ale nie dawało mi to spokoju i znów wracałam do modlitwy z Bożą pomocą i zebrawszy się na wysiłek. Bo to łatwe nie jest. Tak jak nie jest łatwa żadna prawdziwa miłość. Ciężkie do przebycia są takie okresy zupełnej — zdawałoby się — wewnętrznej pustki, kiedy wszystko idzie jak z kamienia i nie można odnaleźć dawnego języka modlitwy i miłości. Ale warto takie okresy przeczekać, przetrwać i znów „swojego" Boga odnaleźć. W końcu trzeba na modlitwę popatrzeć i od strony naszej chwiejnej psychiki. Jak w każdej ludzkiej sprawie i tu się zdarzają różne fluktuacje. Bardzo niebezpiecznie jest chcieć, aby nasz stosunek do Pana Boga był niewzruszony i nieczuły na żadne wpływy i okoliczności. To Pan Bóg jest niewzruszony, a nie my, i inaczej być nie może. W ogóle dobrze jest, tak uważam — patrzeć na swoje wewnętrzne życie po prostu i stosować tu miarę, metody i wnioski podobne jak w każdej innej dziedzinie. Wszystkiego musi się człowiek uczyć i stopniowo poznawać, to i modlitwy, i Pana Boga też, wszędzie są trudności, to i tu wszędzie można się pomylić i nie ma innej rady tylko zawrócić z błędnej drogi. W życiu wewnętrznym też można się bardzo zawikłać, ale dlatego właśnie w tym wypadku człowiek żąda, żeby go Pan Bóg cudownym sposobem z tej matni wyciągnął. Trzeba pomyśleć i samemu też się wziąć do roboty. Myślę, że bezcenne jest takie praktykowanie uczciwej oceny własnej duchowej sytuacji i przede wszystkim przyznawanie się do winy przed samym sobą i Bogiem. Modlitwa musi się zasadzać na całkowitej szczerości. Wszelkie udawanie, pozy, dociąganie na siłę mści się i na pewno człowieka bardzo wypacza. Nawet jeśli nic nie umiem powiedzieć Panu Bogu, to Mu mówię to właśnie, że nic mi nie wychodzi i nie mam na to rady. A jeśli da mi odczuć czasem jakąś głęboką radość, czy coś jaśniej zobaczyć, to wiem dobrze, że to jest Jego dar i zachęta, żeby iść dalej wytrwale po drodze, która jest zazwyczaj szara, czasem nudna, i męcząca, głównie z powodu moich własnych nie-

dostatków i tępoty. Ale cóż na to poradzić? Może być jeszcze gorzej w późniejszym wieku, bo przecież z biegiem lat na ogół i umysł się przytępia, i świeżość uczuć przygasa. Ważne jest, żeby chcieć iść tą drogą, która prowadzi do Boga.

Poza tekstami liturgicznymi rzadko kiedy odpowiada mi jakaś gotowa forma modlitwy. Czuję w niej przesadę i nieprawdziwość. Jeśli chodzi o „Godzinki" i „Gorzkie żale", to — czytane — nic mi nie dają, a nawet trochę drażnią, a bardzo je lubię i doceniam śpiewane razem w kościele. Różne specjalne nabożeństwa zawsze bardzo mnie nużyły; to zanadto skomplikowane, człowiek się gubi na peryferiach. Po co tak bardzo rozdrabniać Pana Boga czy Chrystusowe człowieczeństwo? Ale te wszystkie elementy i cykl życia Chrystusa na ziemi jakoś bardzo organicznie można sobie przyswoić i przeżyć w ramach roku kościelnego. Wtedy to wygląda zupełnie inaczej i w sumie tworzy całość. Ale samo dla siebie i oddzielnie wydaje mi się zbyt ciasne i jednostronne i chyba jednak przeszkadza wytworzyć w człowieku właściwe proporcje i zdrową, prawdziwą pobożność.

Psalmy. Nie mam dość słów wdzięczności dla tego, który nauczył mnie je kochać. Ale to też nie było łatwe. Początkowo „nie trawiłam" wielu z nich, wydawały mi się niezrozumiałe, niektóre mściwe. Trwało chyba parę miesięcy, zanim pochwyciłam ich ducha — i język — ale już na dobre. Teraz gdy się modlę słowami psalmów, to naprawdę — choć nie zawsze, bo to też jest sprawa danej chwili — tak myślę i czuję, co one wyrażają. Psalmy mają jakąś jedyną w swoim rodzaju zdolność poruszania we mnie „strun drgających tajemnym wzruszeniem" (to określenie Conrada), ich słowa nie są obce, sztuczne i narzucone. Tak to czuję teraz, ale tego odczuwania jednak musiałam się też nauczyć, nie przyszło samo. Myślę, że na początek trzeba dawać do czytania i przemyślenia te psalmy „łatwiejsze", bardziej jednoznaczne, zrozumiałe. Jest sporo takich, które nie wywołują żadnych oporów i od razu urzekają swoim pięknem. Inne „chwyta" się dużo później, niektóre dopiero po latach, a parę zwrotów zgrzyta mniej lub więcej do tej pory, ale nie można żądać, żeby wszystko od razu stało się jasne. Dlaczego w najbardziej tajemniczej dziedzinie — ducha — chcemy, żeby wszystko było łatwiejsze i bardziej zrozumiałe, niż gdzie indziej? Przecież każda rzecz rozjaśnia się powoli i stopniowo. W miarę im bliżej z kimś żyjemy, tym lepiej go poznajemy, ale nie od razu. A cóż dopiero jeżeli chodzi o Pana Boga, który jest niewyczerpany w swym bogactwie i na Którego można patrzeć tylko czystym sercem i oczyma. A nasze wcale nie są czyste.

Praktyka modlitwy wzrastała razem ze mną od dzieciństwa, odkąd pamiętam, lubiłam i chciałam się modlić, choć nikt specjalnie mnie do tego nie zachęcał. Zwyczajnie: Nauka pacierza w dzieciństwie, przygotowanie do pierwszej Komunii św., Msza św. w niedziele. Potem (12—13 lat) bardzo mi pomogły „ustawić" się wobec Pana Boga *Dzieje duszy* św. Teresy, *Naśladowanie*, jeszcze później św. Jan od Krzyża. Zresztą niewiele więcej z dzieł pisanych. Na ogół nie przepadam za lekturą duchowną, rzadko mi to całkiem trafia do przekonania.

Dopiero po 20-tym roku życia zetknęłam się bliżej z różnymi księżmi, zakonami, głębszym nurtem religijnym, liturgicznym. Osobiście bardzo sobie chwalę, że nie tkwiłam w jakimś środowisku (np. klasztornym) od najmłodszych lat, że nikt mnie nie wsadził do jakiejś formy i nie urobił na swoje kopyto. Czasem widzę takie gotowe foremki i to jest raczej przykre (wielki skrót i uproszczenie).

Zdaje mi się, że moje życie modlitwy nie jest wypaczone i gdybym tylko nad nim pracowała, szłoby w dobrym kierunku i ukazywałoby bardzo szerokie horyzonty.

Pan Bóg dał mi bardzo wiele: chyba dość normalną psychikę, proste (choć niezupełnie łatwe) życie, dał mi spotkać wielu dobrych i mądrych ludzi, od których mnóstwo się nauczyłam, dał mi się zetknąć z benedyktyńskim duchem modlitwy i życia, co w decydującym stopniu zorientowało moje własne życie wewnętrzne i modlitwę na chwałę Bożą i współżycie z Kościołem. Wreszcie: mam zawód (pielęgniarka), który tak ściśle łączy się z kierunkiem i sensem całego mojego życia, że nie potrzebuję go dzielić na prywatne i zawodowe. To wielkie i rzadkie szczęście. Gdybym to swoje życie skierowała całkiem ku Bogu i napełniała modlitwą, byłoby naprawdę pełne i prawdziwe. Ale do tego jeszcze daleko.

W każdym razie staram się przestrzegać (z mniejszym lub większym powodzeniem) takich zasad: iść możliwie prostą drogą, nie plątać sobie życia, nie brnąć w kłamstwie, nie pozwalać, żeby narastała we mnie gorycz, bunt, złość; zawracać czym prędzej z błędnych ścieżek, gdy tylko to spostrzegę, nie pozwalać „zachodzić słońcu na swoje zagniewanie" czy jakąkolwiek urazę, mówić zawsze wszystko Panu Bogu, nie chcieć przed Nim ukryć najbardziej nawet podłej i zawstydzającej rzeczy.

Im więcej i lepiej się modlę, tym jestem spokojniejsza i pogodniejsza, tym mniej mam różnych kompleksów. I odwrotnie — wszystkie bestie podnoszą we mnie głowy, gdy modlitwę zaniedbuję. Oprócz czasu specjalnie przeznaczonego dla Pana Boga — co jest bardzo ważne, choćby to miała być krótka chwila — jakoś

najlepiej mi jest wplatać w swoje codzienne zajęcia różne myśli odnoszące się do Boga. Tu nieocenione są różne fragmenty psalmów tak dobitnie i trafnie dostosowane do każdej chyba sytuacji i potrzeby, cudowne zwroty wielbiące Boga... Często w najbardziej szarej chwili olśni mnie jakieś zdanie czy porównanie z tych wierszy, które tak dobrze znam.

Msza święta. Jestem na niej prawie codziennie, mam mszał i lubię się z niego modlić. Ale nie sądzę, żeby moje przeżywanie Mszy św. jako Ofiary i wspólnoty z Chrystusem było takie, jak trzeba. To też jest jedna z tych spraw wcale niełatwych. Bogu dzięki, że jakoś przecież wiem, o co we Mszy św. chodzi, więc znowu wziąwszy się do pracy w tym kierunku można by wiele poprawić.

Duża trudność wynika u mnie z częstej niemożności właściwego skupienia się w czasie Mszy św., z jakiegoś „przegapienia" istotnych w niej momentów: Ofiarowania, Przeistoczenia, Komunii. Msza się kończy, człowiek pozostaje dalej jakiś nieczuły i otępiały, a dopiero potem — czasem — coś mu świta i chciałby wrócić do tej chwili, aby ją dobrze przeżyć. Ale już jest za późno. Otóż to. Za późno w czasie, ale może nie za późno w tym, co jest istotne i najważniejsze? Bo istota Mszy św. trwa i jest ponad czasem i miejscem jej odprawiania i naszą fizyczną na niej obecnością. Może niekoniecznie trzeba ściśle zsynchronizować nasze intencje i akty w odpowiednich chwilach Mszy św., w której danego dnia uczestniczymy? Niedawno pewna moja przyjaciółka — zakonnica — powiedziała mi, że różne swoje sprawy łączy z Ofiarą Mszy św. — tak jak one w ciągu dnia następują i tak jej Msza św. rozciąga się na cały dzień. Ten sposób bardzo mi trafia do przekonania i nadaje się jak najbardziej do przemyślenia i zastosowania. Bo stałe aktualizowanie Ofiary Chrystusowej w naszych sprawach i ofiarach umożliwia właściwe przeżycie i skuteczność tej naszej, codziennej Mszy, podczas której może nie bardzo udało się nam skupić. A więc robimy to teraz, wcześniej lub później, wracamy myślą w ciągu dnia. W ten sposób można by wiele uratować z naszego prawdziwego uczestnictwa we Mszy św. Jeszcze nie całkiem to rozumiem i potrafię zastosować, ale jeżeli to jest słuszne, warto by nam lepiej wyjaśnić i pomóc, aby nasze uczestnictwo we Mszy św. i jej owoce nie szły na marne. Wspólnota z ofiarą Chrystusa, wspólnota z ludźmi — te sprawy wynikające z Mszy św. — nie są łatwe. Jeśli o mnie chodzi to dojrzewają bardzo powoli.

To powolne dojrzewanie wszystkich spraw związanych z modlitwą jest w moim życiu bardzo charakterystyczne. Choć nie przeżywałam burz i zwątpień swojej wiary, nic nigdy nie odbywało się

szybko i łatwo. Widzę zasadniczą potrzebę ciągłej pracy i wytrwałości w tej dziedzinie. Nie wierzę nagłym i łatwym efektom. Nawet głęboka wiara i wola oddania się Bogu może się stopniowo w człowieku załamać, tyle widziałam tego smutnych przykładów. Sama w sobie też widzę to nieustanne ciążenie ku dołowi: wystarczyłoby zmniejszyć czujność i wysiłek — i już katastrofa. Modlitwa nie jest niczym stałym i niezmiennym, żadnym zabezpieczeniem. Jest orężem i pomocą w ciągłej walce.

Dużo mi dają żywe kontakty: dobre, głębokie nauki, jakie miałam i mam okazję słyszeć, współżycie z innymi ludźmi, którzy do Boga dążą, rozmowy na ten temat, czasem lektura religijna, głównie Pismo św. Na ogół znam je, ale jednak za mało się nim karmię. To też jest rzecz do naprawienia i popracowania. W jakiś sposób tkwię w środowisku religijnym i to życie w sobie podsycam. Mam oczywiście także wiele styczności z ludźmi niewierzącymi lub niepraktykującymi. Czasem dochodzi między nami do rozmów na tematy duchowe i religijne. Zadziwia mnie przede wszystkim niesłychana ignorancja, także u wierzących, i dziwne materii pomieszanie. Zawodzi najprostsza logika (tzn. brak jej) w odniesieniu do spraw religii. Ludzie są dziwnie bezradni i zagubieni w tych rzeczach, choć ich one niewątpliwie nurtują, tylko to jest wstydliwy temat. Jak trudno jest przybliżyć obraz Boga czyimś oczom! Ale słowa to nie wszystko. Inni patrzą przede wszystkim na odbicie Boga w nas i w naszym życiu. A że ono nie jest, niestety, zbyt proste i prawdziwe, to i obraz Boga jest tak przyćmiony.

„Jeremi", ank. 182
Mężczyzna, lat 32
Wykszt. wyższe
Małe miasto

Myślę, że *Wyznania* św. Augustyna są modlitwą i *Listy do Przyjaciela* Gołubiewa i rozważania T. Mertona, i pewne wizje Teilharda de Chardin są modlitwą, i każdy akt ducha Ojca św. Jana XXIII przejawiony w mowie lub piśmie — był modlitwą, i wyznania świętej Małej Teresy od Dzieciątka Jezus. Ludzie wielcy i mali, sławni i prostaczkowie pochłonięci są tajemnicą Bożego wołania. Na owo wołanie odpowiadają strzelistymi aktami modlitwy — czynem najbardziej godnym człowieka. I tu jawi się właśnie problem: co kształtuje, jakie czynniki sprzyjają rozwojowi takiego typu człowieka? Otwarcie wyznam, że nie wiem. Lecz myślę, że najoczywistsze są tu chyba słowa ewangeliczne: „Duch wionie, kędy chce". Chodzi o przygotowanie serc.

Znaczenie modlitwy w moim życiu? Jedyne i naczelne. Jaką drogą to przyszło — nie wiem.

Jak się modlę? Sądzę, że najlepiej wtedy, kiedy nie modlę się oficjalnie, a mimo to pogrążony jestem w pamięci o Bogu. Cokolwiek czynię, myślę o jak najpełniejszym spełnieniu Woli Bożej. Lecz najpełniej modlę się wtedy, gdy poryw wdzięczności do Boga wyzwala modlitwę improwizowaną, modlitwę tryskającą z serca i tam tylko zapisaną. Najpełniej modlę się wtedy, gdy rozmawiam z Bogiem własnymi słowami.

Przeżywam czasem kryzysy pustki i duchowej ruiny. Nie widzę wtedy ani rąbka światła, ani nadziei na nie, znikąd. Następuje żmudne i jednostajne: dom — zakład pracy, zakład pracy — dom. Dniami i tygodniami obłąkańcze dreptanie konia w kantarze: wąski, schematyczny trakt przed głową a po bokach ciemność. Czekam dnia odbudowy. Czekam powstania z martwych. Na to potrzebna jest samotność. Spotkanie z sobą. Spotkanie nie jednogodzinne lub wielogodzinne, ale wielodniowe, kilkunastodniowe. To nie bagatela znaleźć dziś tyle czasu, pozwolić sobie na „kosztowne" spotkanie z sobą, by odbudować swoje wnętrze i wrócić na powrót do ludzi, dawać im siebie, prząść radość swej odzyskanej głębi, radość z odnalezionych złóż, które zdawały się już wyeksploatowane, a obfitują jednak w skarby promieniotwórcze. Co za radość w t e d y żyć!

Tymczasem błąkam się nieprzytomnie i po omacku szukam swojego celu. I ... „nie mogę się pogodzić z tym, że życie marnie mija".

Nie jestem szczęściarzem losu. Nie zaznaję spokoju. Depresje rodzą się raz po raz na tle morderczej jednostajności. Jeden i ten sam kontakt międzyludzki, jedne i te same problemy i problemiki, twarze, zdarzenia, rozmowy „że co — że pstro". Wszystko to powoduje ochotę zanurzenia się raz po raz w ciszę, gdzie można siebie i tych ludzi odnaleźć, gdzie można przede wszystkim porozmawiać z Bogiem.

Co za rozpacz żyć i nie móc pozostać z sobą tak długo, jak to jest potrzebne dla znalezienia siebie! Potrzebny mi jest czas na refleksję, na refleksyjną lekturę. To jest ów ponton, który utrzymuje mnie na falach życia. Bez niego idę na dno natychmiast.

W okresach kryzysu nie modlę się. Wieczorem ciskam się na pościel jak skołatane zwierzę, a rankiem podnoszę się jak automat. Automatycznie też wykonuję wszystkie dzienne obowiązki i prace. Gorzki wówczas ma smak ów kolejny dzień jak codzień. Pytam siebie: choroba to czy naturalne wołanie psychiki o higienę? Gdzie znaleźć zrozumienie dla tej duchowej potrzeby? Kto uszanuje wolną refleksję? Kto uzna ją za dobro na równi z chlebem powszednim, zębatym kołem?...

— *Primum vivere!*? Ależ ja nie chcę żyć na poziomie wygodnego i wiecznie głodnego prymitywnej strawy zwierzęcia! Ja chcę się

modlić! Chcę mieć czas na spotkania z sobą i rozmowę z Bogiem. Słyszysz to moja zatroskana i wiecznie „dobra" żono? Słyszycie poczciwi przyjaciele od nadliczbowych godzin?! Ja nie chcę tego, czego wy chcecie. Nie chcę aut, telewizorów i lodowatych lodówek! Tak jest, by wejść wśród ludzi, potrzebne jest czasem odizolowanie się od świata. „Dziwactwo" to nie łatwo dziś zrealizować. Pragnienie takie uznaje się za chorobę. Jaka szkoda, że nie jesteśmy z seryjnej produkcji?... Łatwiej byłoby żyć i łatwiej byłoby nam życie układać.

Jeżeli tracę kontakt z Bogiem, tracę go z ludźmi i światem. Pusty i martwy to czas — kłębek zdarzeń niemej, filmowej taśmy. Nadchodzi jednak powoli podnoszenie się z mar, powolne harmonizowanie wnętrza. Jakie niepowetowane duchowe straty sprawia jednak ta okresowa dezintegracja!

Zapędziłem się w zaułki swych trosk, a tu trzeba konkretnych odpowiedzi na pytania ankiety, dobry, trzeźwy, rzeczowy, „humorystyczny" ojcze Malachiaszu.

Ogólnie wypowiedziałem się już — a jeśli idzie o szczegóły, to poruszyć pragnę jeden: treści popularnych modlitewników dzisiejszych w naszym kraju nie zadowalają mnie. Razi ich język pełen retorycznych paplanin, które rzadko kiedy pokrywają się z rzeczywistą potrzebą serca człowieka, chcącego się pomodlić. Język tych książeczek niekiedy mocno archaizowany — razi swą obcością.

Wierzący człowiek dzisiaj wie, jak modlili się święci. Odbrązowiono już niektórych i wydobyto autentyczne ich twarze. Okazuje się, że są podobni nam, że są całkowicie ludzcy i wcale niebiańsko nie ulukrowani. Cierpieli i zmagali się z życiem tak, jak my cierpimy i zmagamy się. Posiadali prosty i bezpośredni stosunek do Boga i rozmawiali z Nim prostymi słowami ufnego dziecka.

Odmawiam ze czcią „Ojcze nasz", bo wiem, Kto się tą modlitwą modlił i kiedy się modlił. Odmawiam ją wtedy nawet, kiedy „nie mogę się modlić" za pomocą innej modlitwy, jak to napisałem wyżej. Z tych jednak „utrapień" modlitewnikowych wyrywa mnie każdorazowo, ilekroć jestem w kościele, *Mój mały niedzielny mszalik*, z którym nie rozstaję się od pierwszych lat gimnazjalnych. Zafundował mi go, podobnie jak reszcie urwidrani, — ksiądz katecheta. Nie wiem, czy miałbym po co chodzić na Mszę świętą, gdyby nie ten mszalik. Nie wyobrażam sobie uczestnictwa we Mszy św. bez tej książeczki. To jest „moje wszystko".

Ale przecież czasem, gdy się jest w kościele przypadkiem, lub z potrzeby serca, w dzień zwykły, gdy nie odprawia się żadne nabożeństwo albo i w domu, chciałoby się mieć pod ręką tę właśnie i n n ą książeczkę.

N. N., ankieta 111
Kobieta, lat 57
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Bardzo wcześnie i bardzo intensywnie zdałam sobie sprawę ze zła w sobie; ale ostatecznie, skoro mamusia mnie kochała mimo to, czemużby On nie mógł? Pierwsza Komunia, która się odbyła w czasie wojny, bez żadnej uroczystości, bez białej sukienki, wianka, świecy i, prawdę powiedziawszy, prawie bez specjalnego przygotowania, nie wywarła na mnie wielkiego wrażenia; za to szkolne rekolekcje w parę lat później — ogromne. Wprowadziły mnie w nastrój Wielkiego Tygodnia, i po raz pierwszy chyba poczułam, że tym, co najważniejsze w życiu, jest Jezus Chrystus. Że trzeba Go kochać — co jest względnie łatwe (wtedy wiedziałam tylko o uczuciowej miłości) — oraz ponieważ On tak chce — kochać ludzi, co jest strasznie trudne, ale jakoś trzeba się chociaż starać. Odtąd modlitwa osobista stała się dla mnie coraz bardziej wzrastającą potrzebą. Ogromnie dużo dała mi książeczka do nabożeństwa J. Kamockiej *Bądź wola Twoja.*

Jednakże dopiero chyba o. Woronieckiego *Pełnia modlitwy*, przeczytana wiele lat później, „usystematyzowała" mi całkowicie zagadnienie, czym powinna być modlitwa: że nie tylko prośbą, ale przede wszystkim aktem uwielbienia, następnie dziękczynienia (oj, jak rzadko bywa to w życiu! zwłaszcza jak rzadko się pamięta o dziękczynieniu za dobrodziejstwa już minione!), przeproszenia za winy i dopiero prośby — a i tej najpierw o dobra nadprzyrodzone a na drugim miejscu o doczesne.

Czy ten schemat mi odpowiada? — Tak. I na ogół staram się go trzymać. Jest słuszny i ułatwia życie modlitwy, jak każdy rozumny ład. A potrzebę ładu odczuwam jak potrzebę powietrza do oddychania. Niemniej modlitwa-prośba z pewnością „ilościowo" u mnie przeważa, co chyba jest naturalne. Ale przecież prośba nie musi być egoistyczna. Jeżeli się człowiek modli o dobra duchowe dla siebie, to przecież dlatego, że one zbliżają do Boga, toteż takie prośby równają się, jak sądzę, aktom miłości, pragnienia i uwielbienia.

Na szczęście już wcześnie, z owej książeczki Kamockiej dowiedziałam się, że modlitwa nie jest sprawą uczucia i nastroju, tylko umysłu i woli, że przeżywanie wzruszeń i uniesień religijnych absolutnie nie ma nic do jej wartości: może być ona oschła a mimo to dobra i cenna; któryś z ekscerpowanych tam autorów radził mówić do Boga, o ile pamiętam, w razie potrzeby nawet tak — „Panie Boże, nudzisz mnie w tej chwili okropnie i pilno mi zająć myśl czym innym! Jednakże ponieważ chcę pełnić Twoją wolę a nie swoją, będę się starać powiedzieć Ci przynajmniej część tego,

co Ty chcesz usłyszeć ode mnie. A Ty mi pomóż, bo mi trudno, i daruj moją słabość". Ta świadomość niezależności od uczucia i wzruszenia, którego przecież nie można wywołać na rozkaz, uwalniała od skrupułów „niegodności" i odwracała od subiektywizmu i pogoni za wrażeniami i przeżyciami ku wartościom obiektywnym. Czego do dziś dnia nie mogę polubić, to różańca, który mnie przygniata monotonią i niemożnością skupienia się na ciągle powtarzanych słowach. Mimo to czasem go odmawiam, ponieważ Kościół zapewnia, że tym sprawiamy przyjemność Najświętszej Pannie — a o Nią tu wszak chodzi, nie o nas.

Ulubione modlitwy? Istną ich skarbnicą jest mszał. Zwłaszcza kolekty i postkomunie mszalne są tak nieraz piękne, tak trafiające w sedno, szczególnie w oryginale, dzięki nieporównanej zwięzłości i ekspresji języka łacińskiego, że chciałoby się je jak najczęściej powtarzać, np. *Deus, qui diligentibus Te facis cuncta prodesse, da cordibus nostris inviolabilem Tuae caritatis affectum, ut desideria de Tua inspiratione concepta nulla possint tentatione mutari.* Cudowne są też wersety sekwencji mszalnych, zwłaszcza *Veni, Sancte Spiritus.*

W ogóle zżycie się z modlitwą liturgiczną, zrozumienie choć w części, jak niezastąpioną i jedyną rzeczą jest Msza św., o której jakiś bodaj święty powiedział, że jest właściwie „jedyną naprawdę ważną rzeczą, która się dzieje na ziemi", zupełnie przekształca życie religijne, uczy zwalczać instynktowny ów, naiwny nasz antropocentryzm, który każe nam odczuwać Boga jako coś istniejącego „dla nas", zamiast świadomości, że to my istniejemy dla Niego. Dla mnie w każdym razie wprowadzenie w liturgię było prawdziwym przełomem. Zwłaszcza wymagania modlitwy społecznej, włączenie się w modlitwę Kościoła, wyjście z kapliczki ściśle prywatnego, indywidualnego nabożeństwa, w której, jako stworzenie z natury skrajnie aspołeczne, myślałam, że mam prawo przebywać — było otwarciem oczu na rzeczywistość i niezmiernym wzbogaceniem życia wewnętrznego.

Ale i to nie wszystko. Nurtowało mnie zawsze zagadnienie, ile człowiek powinien się modlić? Wiedziałem już od dawna, że nie można z tym czekać, aż się będzie miało ochotę. Modlitwa powinna być potrzebą (i u mnie jest nią istotnie), ale jest i obowiązkiem. Toteż myślę, że wyznaczanie określonych chwil na nią i przestrzeganie ich jest bardzo wskazane wobec słabości naszej woli i chwiejności nastrojów. Tak robiłam przez całe życie. Ale czy to wystarcza? Chciwie czytałam, co kto z autorów duchownych napisał o modlitwie. Nie wszystko mi odpowiadało. Chyba dużo szkodziła przestarzała frazeologia i terminologia u dawniejszych autorów.

Kiedy czytam o modlitwie „ustnej” i „myślnej”, zdaje mi się to najprostszą rzeczą. Ale oto dowiaduję się, że modlitwa myślna to nie tylko każda modlitwa nie wymawiana słownie, ale inaczej „rozmyślanie”, a rozmyślanie to znów ma swoje wymagania i metodę i powinno być tak a tak odprawiane. Na to przy tym trzeba rozporządzać odpowiednim czasem, a jeszcze przedtem móc się skupić, a potem odmówić dziękczynienie *etc., etc.* Wiele wskazówek dawniejszych autorów głębokich i doświadczonych, nieraz świętych, nie nadaje się do stosowania, bo ich mentalność była mentalnością zakonników, nastawiona na specyficzne warunki życia, a w każdym razie na życie nie znające nerwowego pośpiechu, braku czasu, zaharowania. Pamiętam we wspomnianej książeczce upomnienie „odłóż pół godziny czasu rano i wieczorem na wynagrodzenie twej duszy uszczerbku, jaki jej przyniósł świat”. Ba! a jeżeli nie mogę? a dzisiejszy autor (J. M. Perrin) powiada — „Kto nie ma pół godziny czasu na dzień, ten może ma trzy razy po 10 minut? Albo dziesięć razy po trzy minuty?” W tym rzecz właśnie, że, jak się okazuje, można odejść od wszystkich schematów (odczuwanych dziś nieraz ze zniecierpliwieniem jako „staroświecczyzna”) a zachować to, co istotne. Ten sam Perrin powiada, że chwile poświęcone modlitwie powinny doprowadzić do tego, żeby całe życie stało się modlitwą. Myślę, że z pomocą Bożą można w sobie wyrobić przyzwyczajenie ciągłego zwracania się do Boga w życiu codziennym: zrobiłam głupstwo — przeprosić Go zaraz (nie czekając na zalecany wieczorny rachunek sumienia), dostałam pomyślną wiadomość — krótka myśl: „Boże, dziękuję!”, a już co do próśb, to chyba z pięćdziesiąt razy na dzień można westchnąć — ześlij! pomóż! natchnij! daj!

A nawet i to nie wszystko. Mamy przecież upomnienie św. Pawła, żebyśmy, czy jemy, czy pijemy, czy pracujemy, wszystko robili w imię Boże; a wszakże wieczorem śpiewamy: „A gdy będziem zasypiali, niech Cię nawet sen nasz chwali!” Jeżeli każda nasza czynność, nie będąca grzechem, może być zasługą, o ile jest Bogu ofiarowana przez zasługi Chrystusa, to tu otwiera się możliwość nieprzerwanej w ogóle modlitwy, nieustannego kontaktu z Bogiem. A jednocześnie jest to bodziec do dobrego i porządnego wykonania każdej czynności. Co do mnie, miałam, jak większość ludzi zapewne, skłonność do przeświadczenia, że Bogu ofiarować można tylko to, co mnie kosztuje, tj. cierpienie, pracę, wysiłek. I musiałam się dopiero przyzwyczaić do świadomości, że także i odpoczynek i przyjemność może być modlitwą. Zapewne, wymaga to chwili skupienia od czasu do czasu, ale to skupienie może też stać się nawykiem (czy tam „sprawnością”, jak chce o. Woroniecki — ale mnie się to wydaje sprawą czysto terminologiczną).

Modlitwa uszczęśliwia także przez świadomość, że się nie jest absolutnie bezsilnym w obliczu zła albo cierpienia. To nie byle co — wiedzieć, że zawsze i każdemu można wyświadczyć coś dobrego. Przeważnie zresztą pod warunkiem wyrzeczenia się oglądania rezultatów swego wysiłku duchowego, co nie zawsze jest łatwo. Ale czymś wszak trzeba zapłacić za tę wspaniałą możność czynienia dobrze i pomagania tam, gdzie nie podobna pomóc w sposób namacalny. Jakież mnóstwo czasu marnowanego na niemyślenie o niczym, w pociągu, w kolejce, w poczekalni, można obrócić na pożytek bliźnich i nasz własny. A modlitwa za zmarłych! Przecież na ich intencję tak samo możemy ofiarować nie tylko „Wieczny odpoczynek", ale nudną robotę — i przyjemną robotę, i słuchanie pięknego koncertu — i słuchanie wrzeszczącego na cały regulator u sąsiadów radia, kiedy się chciało spać.

Mnie się modlitwa wydaje tematem wręcz niewyczerpanym. Ale już chyba i tak za dużo napisałam. Jednak chcę dodać zwrot pod adresem duszpasterstwa, o którym wspomina o. Malachiasz — „Duszpasterze! mówcie ludziom więcej i głębiej o zagadnieniu »modlitw niewysłuchanych«, tłumaczcie to! Jakże często słyszy się na kazaniach, ot, takie zwroty: »... ufajcie mocno Matce Bożej, módlcie się gorąco, a Ona odwróci od was każdy cios« albo: »Uklęknij, człowiecze, przed tabernakulum, a zawsze odejdziesz pocieszony«. Ludzie biorą to dosłownie, a potem na tym tle powstają załamania" (czego sama byłam kiedyś świadkiem). A i ten nasz ulubiony i chyba jedyny ogólnie znany psalm „Kto się w opiekę..." wymaga gruntownego komentarza, bo sam przez się może doprowadzić do wypaczenia pojęć religijnych. Chyba nawet można zagadnienie modlitwy nie wysłuchanej nazwać newralgicznym punktem dzisiejszego stosunku do religii.

Na zakończenie jeszcze jedno osobiste zwierzenie. Ogromnie lubię, kiedy autor piszący o wierze i modlitwie potrafi to od czasu do czasu robić z humorem. Co dziś się na szczęście zdarza coraz częściej, a nie bez zasług jest tu i sam o. Malachiasz. Myślę, że ten element możemy po trochu wprowadzać do naszych własnych modlitw, a Pan Bóg nie powinien się o to obrazić, skoro stworzył rzecz tak wspaniałą jak śmiech.

U pewnego autora angielskiego przeczytałam: „Patrzymy na Boga tak jak lotnik na swój spadochron — on tam jest od wszelkiego wypadku, ale się ma nadzieję, że nie będzie potrzebny". No, i czyż nie dobrą rzeczą są takie ankiety i pytania skłaniające do zastanowienia się nad swoim własnym stosunkiem w praktyce do „spadochronu"? A ten stosunek to przecież właśnie modlitwa.

N. N., ankieta 388
Kobieta
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Pamiętam dobrze, że się modliłam, kiedy bratu urodziło się dziecko. Ta krucha odrobinka, tak bezradna i od wszystkich i wszystkiego zależna — co z niego wyrośnie? Jakie piętno świat na nim wywrze? Modliłam się o jego człowieczeństwo.

Wydaje mi się, że moja modlitwa wypływa z mojej słabości, moich wad i z potrzeby kochania. Przeraża mnie świat, jestem bezradna wobec cierpienia, modlę się więc za bliskich, za dzieci, za starców, chorych i nieszczęśliwych. Lękam się zła, do którego jestem zdolna, i muszę podziękować za dobro, jakie mnie spotyka, za piękno, które dostrzegam, za mądrość, którą podziwiam.

Lubię modlić się samotnie, unikam wspólnych modlitw, ludzie przeszkadzają mi. Znoszę bliźnich tylko na Mszy św. Na inne nabożeństwa, jeśli pójdę, to dla atrakcyjnych kazań.

Brzydkie, banalne, pospolite wnętrze, gipsowe figury i te obrazy z sercem i te wszystkie przesłodzone przeszkadzają mi skupić się, przeszkadzają modlić się.

Fotografia Matki Boskiej Częstochowskiej bez klejnotów i korony urzeka mnie. Delikatna twarzyczka o wschodniej urodzie, trochę niesymetryczna, jakby z jednej strony spuchnięta od ran, bardzo bliska, bardzo prawdziwa, tyle mająca w sobie goryczy — tę kocham, podziwiam, wielbię.

N. N., ankieta 368
Mężczyzna, lat 36
Inżynier
Duże miasto, U.S.A.

Proszę o wyrozumienie, jeżeli list przyjdzie po pierwszym września. Dzieli nas jednak kilkanaście tysięcy kilometrów...

Jak się modlę? Czym jest modlitwa? Za pierwszy akt modlitwy uważam wyskoczenie z łóżka na dzwonek budzika o 6-tej rano oraz przeżegnanie się. To pierwsze prawie nigdy mi się nie udaje. Po umyciu się odmawiam „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Maryjo". Po śniadaniu wskakuję do samochodu, przypinam się pasami do oparcia, wpadam w rzekę mknących po autostradzie samochodów z szybkością 100 km na godzinę i oddaję się porannej modlitwie.

Modlitwa ta składa się ze Składu Apostolskiego, trzykrotnego „Wieczny pokój"... prywatnej prośby w intencji rodziny, przyjaciół, Papieża, Kościoła katolickiego, pokoju powszechnego oraz spraw codziennych i materialnych, takich jak żeby mi się samochód nie psuł i żebym nie uległ wypadkowi w tej zwariowanej jeździe (dziennie jeżdżąc do pracy robię 80 km), o dom i wreszcie modlę się o pracę, którą sobie cenię i której nie chciałbym stracić.

Przejeżdżając koło kościoła mówię w myśli: „Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament na tym ołtarzu oraz na wszystkich ołtarzach świata". W domu, szczególnie przy kolacji, staram się odmawiać z rodziną modlitwę przed i po jedzeniu. Także w samochodzie i różnych drobnych wolnych chwilach staram się odmawiać różaniec, jedną tajemnicę dziennie. Wieczorem przed snem odmawiam podobną modlitwę jak rano w samochodzie, lecz już bez intencji prywatnych.

Mój udział we Mszy św. Modlę się z mszalika. Modlitwę odmawiam, niestety, przeważnie „automatycznie". Po prostu chcę nadążyć za księdzem. Podczas tutejszych kazań siedzę przeważnie naburmuszony i często w myśli zgrzytam zębami, pomstując na paplaninę o loterii na francuskiego pudla, organizowaniu zabawy parafialnej, pieleniu kwietnika przykościelnego lub nagabywaniu parafian o przepisy kucharskie, które mają być wydane w formie książki przez parafię! Nie do wiary, ale to wszystko najautentyczniejsze przykłady. O Bogu tutejsi proboszczowie wspominają rzadko i jakby na marginesie, bo po prostu na to brak czasu. Jednym słowem tutejsze kazania są dla mnie próbą cierpliwości i pokory, z których, niestety, nie zawsze wychodzę zwycięsko. Reszta Mszy św. zmierza do Przenajświętszej Ofiary, której ukoronowaniem jest Komunia św., do której staram się przystępować co miesiąc a czasami i częściej. Każdą Mszę św. ofiarowuję w jakiejś intencji wierząc, że jest to największa ofiara, jaką stworzenie może złożyć Stwórcy.

N. N. ankieta 162
Mężczyzna, lat 37
Lekarz
Duże miasto

Mam lat 37, żonę, troje dzieci, jestem lekarzem, urodziłem się w małym miasteczku, wojnę spędziłem w tajdze, obecnie mieszkam w dużym mieście.

Jak się modlę? Różnie.

1. Modlę się z obowiązku. Przykładem może tu być modlitwa poranna i wieczorna. Klękam, staram się nie rozpraszać, odmawiam pacierze. Piszę klękam, bo znam ludzi, którzy mawiają pacierz na leżąco — ja w czasie modlitwy „z obowiązku" zachowuję formy. Piszę o nierozpraszaniu się, choć uważam tę modlitwę za ważną, nawet jeśli ze względu na zmęczenie czy na co innego, modlę się tylko wargami — rzadko bywa, że powtarzam np. „Zdrowaś", bo myślałem o czymś innym. Pisząc „odmawiam pacierze" chcę wyrazić fakt, że głównym podmiotem modlitwy z obowiązku jest moje ciało: kolana, na których klęczę, kręgosłup, który trzymam prosto, złożone ręce spokojnie i ośrodek mowy w moim mózgu.

Wieczorny pacierz odmawiam często wspólnie z żoną i dwoma synami (pięć i siedem lat). Nie jest to reguła bez wyjątków: często miewam dyżury, czasem śpieszymy się do kina i wtedy chłopcy mówią sami, a rzadko któryś z chłopców chce mówić sam, po cichu — wtedy reszta mówi osobno. Na wieczorny pacierz składają się u nas: „Ojcze nasz", „Zdrowaś Maryjo", akty wiary, nadziei, miłości i żalu, potem jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, mówi to w jednym lub dwóch zdaniach (chodzi tu raczej o rzeczy ważniejsze — taki dodatek zdarza się raz na jeden do dwóch tygodni), potem wzywamy patronów: najpierw ja — patrona rodziny („Święty Józefie" — módl się za nami), potem każdy swoich chrzestnych. Na zakończenie utarło się wspólne „A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami". Bywają nadprogramowe dodatki. Np. w czasie agonii Jana XXIII mówiliśmy modlitwy: „Uzdrowienie Chorych" i „Bramo Niebieska". W czasie konklawe: „Panno Roztropna", „Zwierciadło Sprawiedliwości", „Arko Przymierza" trzy razy „Królowo Apostołów", „Św. Józefie" i „Św. Piotrze". Krótko bo krótko, ale treściwie.

Jeślibym miał sformułować mój pogląd na „modlitwę z obowiązku", powiedziałbym: modlitwa ta wyraża moją wolę stałego — niezależnie od nastrojów — stania przy Bogu, tj. życia zgodnie z Jego przykazaniami i z Jego zamiarami, które bywają przecież często dla mnie zakryte. Przez codzienne, powszednie powtarzanie pacierzy robię coś, co nazwałbym praktykowaniem cnoty, która przez to, powiedzmy, zaczyna rządzić w podświadomości.

2. Modlę się spontanicznie. Widzę, jak konduktorka poci się w tramwaju — daj jej, Boże, co jej potrzeba. Zdenerwuje mnie kazanie (rzadko mi się to bardzo zdarza) — „pomagaj mu, Boże, dalej służyć Tobie". Na spacerze wstąpię na cmentarz i zmówię „Anioł Pański" nad jakimś grobem lub nad całym cmentarzem. W czasie mycia się do operacji odmówię: „Przybądź, Duchu święty" (spodobało mi się, więc się nauczyłem). Natknę się w radio na *Magnificat* Bacha i powspółczuję z Matką Boską („odtąd błogosławioną zwać Mnie będą *omnes generationes*").

„Natchnienie" do modlenia się „spontanicznie" przychodzi do mnie w niektórych okresach częściej — w innych rzadziej. W każdym razie modlitwa „spontaniczna" poczyna się u mnie w sferze uczuciowej (tu pytanie dla teologów: czy miłość, żal, nadzieja i wiara to uczucia i w jakim pozostają one stosunku do duszy, jeśli dusza to rozum oraz wola?) i jako taka łatwo ogarnia mnie całego — skupienie się nie wymaga wówczas wysiłku.

3. Modlę się słuchając. Mam tu na myśli czytanie Pisma świętego. W zwyczaj to u mnie nie weszło. Regularnie czytałem Nowy

Testament w czasie trwania całej sesji Soboru. Obiecałem Bogu co najmniej pięć rozdziałów dziennie w dniach, kiedy nie mam dyżuru. Kończyło się zwykle na dwóch rozdziałach, co zabierało piętnaście do dwudziestu minut. Nad poszczególnymi zdaniami czy słowami dłużej się nie zatrzymuję. Poprzednio kiedyś przeczytałem Jana też dużymi haustami, odebrałem Go zupełnie inaczej, niż gdy się urywał po pięciu czy ośmiu wierszach. Słowem kontakt z (Bogiem) Autorem jest u mnie lepszy, gdy czytam większymi urywkami.

Do Starego Testamentu zaglądam rzadziej. Najsilniej mówią do mnie psalmy, szczególnie w tłumaczeniu Kochanowskiego (jeśli jakiś psalm czytam, to zwykle równocześnie w tłumaczeniu Wujka, Kochanowskiego i Staffa). W każdym razie gdyby wyszło nowe tłumaczenie Starego Testamentu — kupiłbym z radością, choć Wujka mam i choć wydatek byłby na moją kieszeń duży.

4. Modlę się rozmawiając. Czasem trapi mnie jakiś problem, jakaś wątpliwość itp. Formułuję ją i albo sam czekam, aż natknę się na wyjaśnienie, albo — rzadko — zwracam się do autorytetów. Rezultaty staram się przemyśleć lub zasymilować w modlitewnym kontakcie z Bogiem.

Przykład: Dość długo nie mogłem dać sobie rady z myślą, że Chrystus cierpiał chyba mniej, niż ofiary gestapo. Nawet nie chodziło o to, że krócej, tylko o to, że był także Bogiem, wiedział po co cierpi i wiedział, kiedy to się skończy. Przedstawiłem w końcu problem o. Malachiaszowi. Nie wiem, czy w odpowiedzi na mój list, ale w „Poczcie" o cierpieniu zwierząt napisał na ten temat pół zdania: tak jak cierpienie człowieka nie może być porównane z cierpieniem Boga (tak cierpienie zwierzęcia — z człowieczym). Przeczytawszy, chciałem wysłać list z zapytaniem, czy to jest pogląd Ojców Kościoła czy Ojca Malachiasza i poprosić o szczegóły. Ale rozważając któryś raz modlitewnie problem skojarzyłem go z nauką o Ciele Mistycznym i pomyślałem, że Chrystus mógł w Ogrójcu czy na krzyżu czuć oprócz Swoich ran także i te, które zadawali wszyscy gestapowcy, inkwizytorzy itp. wszystkim jego członkom. Perspektywa zmieniła się zupełnie i problem „został rozwiązany". Oczywiście nie tylko w sferze rozumu. Także w sferze przekonania wewnętrznego, od którego zaczyna się (przynajmniej u mnie) wszelkie rozumowanie i z którego czerpie natchnienie wola (dla teologów: czy takie przekonanie to jest uczucie?).

5. Modlę się prosząc. Tu trzeba wprowadzić dwie podgrupy. Pierwsza to modlitwa w duchu pierwszej połowy „Ojcze nasz". Np. modląc się za Sobór nie modlę się o zwycięstwo idei odnowy,

a o pokierowanie Soborem w kierunku zgodnym z Wolą Bożą. Dla ludzi w ogóle, lub dla konkretnych jednostek, proszę o dary Ducha świętego: żeby stawali się lepsi dla innych, roztropniejsi, a w rezultacie szczęśliwsi.

Druga grupa to prośby o sprawy konkretne: o zdrowie, o efektywne wykonanie jakiejś pracy itp. W ten sposób modlę się rzadko. Pewno dlatego, że wytworzyło się u mnie zaufanie do Opatrzności Bożej. Przekonałem się kilka razy, jak niezrozumiały zły los, który mnie spotykał, przynosił mi po miesiącach lub latach owoce, które uważam za dobre.

6. Modlę się egoistycznie. Kilka razy w życiu gdy byłem psychicznie wyczerpany, rozdygotany, przy tym nieszczęśliwy, zamykałem uszy i oczy i (najczęściej leżąc twarzą w dół) wzywałem Boga nie myśląc o niczym, odsuwając od siebie wszelkie rozumne myśli. Dwa czy trzy razy w życiu z takiego dygotu przeskakiwałem niespodzianie w spokój i ciszę — również bezmyślną, ale pełną harmonii i ładu.

Staram się rzadko używać modlitwy „egoistycznej". Może ze wstydu? Ostatnio jestem szczęśliwy, więc nie ciągnie mnie do użycia tej ostateczności.

7. Pytał ojciec Malachiasz, czy uważam pracę za modlitwę? Nie. Tak samo jak nie jest modlitwą post, jałmużna czy dobry uczynek. Inna rzecz, że można by podyskutować, która z tych rzeczy najwięcej podoba się Bogu. No, i dojść do jakiejś syntezy.

Tyle o modlitwie prywatnej. Cały powyższy podział jest, oczywiście, dosyć sztuczny — granice między „gatunkami" modlitw zacierają się często. Np. modlitwa „z obowiązku" często przechodzi w „spontaniczną" itp.

Teraz sprawa uczestniczenia we Mszy świętej. Z mszalika modliłem się w dzieciństwie. Obecnie noszę go ze sobą ale po to, by odczytywać zmienne części Mszy świętej. Czytam je jedną po drugiej, nie równolegle z celebransem. Prócz tego słucham kazania, myślę o nim, śpiewam wspólnie z innymi — na tym upływa mi czas do początku Kanonu. Do *Ordo Missae* zaglądam raz na dwa do trzech miesięcy i jadę przez nią tak długo, aż zatrzyma mnie jakaś modlitwa czy zwrot — używam go wtedy jako rozważania. Od początku Kanonu „wspólność" modlitwy mszalnej staje się u mnie większą. Mszalik odkładam, słów *Ordo* nie używam, bo ile razy próbowałem, nigdy nie mogłem zdążyć. Skupiam się w intencjach: za Kościół, za żywych, łączność ze świętymi, itd. aż do Komunii świętej, do której zwykle przystępuję.

Wystrój wnętrza kościelnego na ogół ani mi nie przeszkadza, ani pomaga. Szczególnie w czasie Kanonu do Komunii wyłączam

wrażliwość na wartości estetyczne tak dodatnie jak ujemne. W czasie Mszy katechumenów wnętrze lub jego fragment może stać się motywem dla rozważań. Np. o nowym tryptyku witrażowym w moim kościele parafialnym mógłbym długo gadać. Choćby twarz Najświętszej Maryi Panny w lewym witrażu — stajence betlejemskiej. Szaro-brązowa jak ziemia-matka, zupełnie nie wycieniowana, monotonna, wyprana z uczuć jak pusta kwinta — czuje się, że poród był wyczerpujący, tym bardziej, że poprzedzała go przecież długa i wyczerpująca droga. I nie bardzo wiem, jak to się dzieje, ale w tym wyczerpaniu nie ma nic zwierzęcego. Jest za to spokój, jakieś dostojeństwo i świadomość dobrego spełnienia obowiązku.

No, trochę gorzej, ale ja też obowiązek spełniłem.

MSZA ŚWIĘTA

N. N., ankieta 102
Kobieta, lat 19
Studentka
Duże miasto

Chyba najprawdziwsze będzie stwierdzenie, że nie umiem się właściwie modlić. Tak, to wprowadza w zakłopotanie, ale wydaje mi się głęboką prawdą. Rozmowa z Bogiem, Tym, który jest Miłością i Nieskończonym Dobrem, z Bogiem Stwórcą i z Bogiem Dawcą — to rzecz niepojęta, rozmowa, w której ja „jestem tą, która nie jest". Może więc i dlatego nie umiem się modlić. Modlitwa jest łaską i kiedy za nią dziękuję, to wiem, że i to jest łaską Boga miłującego.

Dla mnie lekcją modlitwy jest nie tylko „Ojcze nasz", nie tylko zasłuchanie się w modlitwę arcykapłańską i Ewangelię — ale przede wszystkim Msza św. — arcymodlitwa. Jądro Mszy św. — Ofiara, Przeistoczenie i Komunia św. — nie wymagają słów. To są fakty, w które staram się być mocno zaangażowana, wiem, że to nie zawsze mi „wychodzi", że czasem stoję „z boku" nie rozumiejąc — jak dawniej — Wielkiego Dramatu, który rozgrywa się na ołtarzu i nie tylko. To dziwne, że na lekcjach religii tak mało mówiło się właśnie o Mszy św. Często liczyłam świeczki na ołtarzu, „odwalałam" niedzielną Mszę św. i na tym się kończyło. A może właśnie wtedy się zaczęło? Zaczęłam chodzić do liceum, spotkałam profesorkę, która częściowo podreperowała moją niewiedzę. Zaczęłam powoli praktykować codzienną Mszę św...

Każda forma zwrotu do Boga jest modlitwą, a więc szczególnie Msza św., której szczególność polega na tym, że wyczerpuje wszystkie możliwe tematy, jakie możemy odnieść do Boga. Przypomina mi o tym, że chociaż moja modlitwa jest „czymś" bardzo osobistym, „czymś", co człowiek kryje przed oczami wścibskich — jednak dotyczy innych i to nie tylko dlatego, że łączy mnie z nimi fizyczna obecność koło ołtarza, ale że wspólnie Bogu składamy ofiarę, wspólnie Go wielbimy i też wspólnie — choć niby oddzielnie — przyjmujemy Go w Eucharystii. Jesteśmy razem wrośnięci — to daje mi poczucie siły.

Modlę się za nich — tych, których może nie znam — modlę się, bo dobry spowiednik właśnie za pokutę dawał mi najczęściej modlitwę za „nich". I to już tak zostało. Nauczył mnie, przez praktykę, prawdy o społecznym charakterze modlitwy. Słowa św. Pawła z lekcji na V niedzielę po Zesłaniu Ducha św.: „Najmilsi! Wszyscy jednomyślnie w modlitwie trwajcie (....)" — są słowami wezwania i przypomnienia, że jedynie z kamyczków może powstać jedna duża mozaika. *Ut unum sint*. Dlatego głęboki sens ma wspólna Msza św., chociaż czasem chciałoby się zdezerterować z tego tłumu, który krępuje i peszy, a słowa Jezusa „Módl się do Ojca twego w skrytości" — jeszcze silniej dręczą. Ucieczka ta również jest od organów, tych okropnych, sentymentalnych pieśni — które drażnią.

Jestem zwolenniczką Mszy św. cichej, recytowanej albo śpiewanej — inne rozpraszają. Tylko dlaczego Msza św. cicha odprawia się czasem z takim pośpiechem, że aż przykro? Cenię wartość Mszy św., która pozwala mi na konfrontacje ze swoim życiem, daje szanse przepraszania Boga w *Confiteor*, wielbienia w *Gloria*, składania ofiary na wzór ofiary Jezusa. Msza św. daje możność oczyszczenia — tym też jest modlitwa. Mogę wreszcie przyjąć Boga, modlitwa wtedy tak jak przy konsekracji — staje się jeszcze bardziej konkretna — i znowu Chrystus, którego obok mnie przyjmują inni świadczy za tym, „abyśmy byli jedno". Msza św. — uczy mnie modlitwy, uczy jednej z głębokich prawd, że rozmowa z Bogiem ma być dialogiem, a nie listą moich próśb, podziękowań i skarg!

A ja tak mało dopuszczam do głosu Jego, który mnie zaprosił na rozmowę. Głęboki sens ma modlitwa z przecudnych Psalmów: „Boże mój, nie milczże na wołanie moje: abym, gdy będziesz milczał na mój głos, nie stał się podobnym do zstępujących do grobu".

Cenię modlitwę, którą Bóg stworzył dla nas, nie dla siebie, modlitwę, na płaszczyźnie której możliwy jest kontakt z Bogiem, modlitwę określającą życie i wypełniającą moją samotność — i jestem szczęśliwa.

•

N. N., ankieta 359
Kobieta, lat 18
Studentka
Duże miasto

Na Mszę św. chodzę w każdą niedzielę. Czy zawsze z tzw. „potrzeby duchowej"? — Nie, uważam, że jako członek Kościoła jestem do tego chodzenia zobowiązana. Do Mszy mam jednak wiele zastrzeżeń. Przede wszystkim łacina. Dla większości jest niezrozumiała. Msza św. taka, jaka jest dzisiaj, jest Mszą kapłana, a my?

Mszaliki nie rozwiązują sprawy, one tylko zawiadamiają o tym, co dzieje się przy Ołtarzu, na uczestniczenie nie pozwalają. Mszy recytowanej też nie lubię, często to jest po prostu bezmyślne powtarzanie niezrozumiałych słów.

W 7—8 n-rze „Więzi" Jerzy Strojnowski w artykule pt.: *Komentarz psychologiczny do wielkiej odnowy* pisze: „Jak zareagują wierni, kiedy kapłan odwróciwszy się od ołtarza zamiast niezrozumiałego, ale pełnego namaszczenia „Dominus vobiscum", powie równie niezrozumiałe słowa „Pan z wami"? (s. 52).

Czy rzeczywiście niezrozumiałe? Znaczyłoby to, że dla wierzącego katolika nie treść, ale forma jest ważna, że treści nie rozumie, że jest dla niego już obca, a łacina, patos, w jaki go wprowadza, ma pokryć pustkę nic nie znaczącego obrzędu? Myślę, że nie.

Tak więc na Mszy św. modlić się nie umiem. Czytania z książeczki modlitw nie związanych z liturgią nie uważam za właściwe. Często chodzę do cerkwi. Znam sporo tekstów liturgicznych i psalmów w języku rosyjskim, modlę się ich słowami, podśpiewując razem z chórem, odpowiadając kapłanowi. Prawosławni bardzo dużo śpiewają psalmów. Są bardzo piękne. Czy nie można byłoby ich śpiewać w naszym kościele, po polsku, zamiast okropnych często, innych pieśni? Albo „Ojcze nasz". Spotkałam się z takim wypadkiem — ksiądz na ambonie komunikuje: „a teraz kapłan odmawia „Ojcze nasz", my też odmówimy sobie po cichu". W Cerkwi wszyscy śpiewają na kolanach Modlitwę Pańską.

Ta sama sprawa z „Wierzę w Boga". Przy okazji, czemu my mamy odmawiać jakiś skrócony tekst „Wierzę"?

Czy modlę się sama, prywatnie? Tak. Czasem czuję potrzebę pomówienia z kimś o swoich bardzo osobistych sprawach, poproszenia o coś, podziękowania (to rzadziej, zawsze się prosi, a potem zapomina podziękować). Czasem w rozmaitych miejscach przy różnych okazjach, przypomina mi się, że muszę się za kogoś pomodlić. Myślę wtedy: wieczorem koniecznie zmówię modlitwę za tę osobę. A wieczorem albo zapominam, a jeżeli pamiętam, to modlę się, ale już bez tego entuzjazmu, z jakim pomyślałam wtedy. Pocieszam się czasem, że może tamta myśl też miała jakieś znaczenie, że to było coś w rodzaju „aktu strzelistego".

Jakimi słowami się modlę?

„Ojcze nasz", jak słusznie napisał ojciec Malachiasz, rzeczywiście nie wzbudza chyba u nikogo oporów.

Zauważyłam, że rzadko modlę się do Matki Boskiej a chyba nigdy do świętych.

Ojciec Malachiasz prosił, żeby wypowiedzieć się w sprawie ołtarza, czy nie za daleko? Uważam, że lepiej, gdy ołtarz jest od-

sunięty od ściany, prostszy, bez wielu „ozdóbek" taki, jak np. na Piwnej w Warszawie, ale nie podoba mi się, że kapłan odprawia tam Mszę z twarzą zwróconą do wiernych. Stwarza to znowu podział — my i on. Owszem, kapłan jest celebransem, ale jest jednym z nas. Taka sytuacja jest chyba zresztą i dla niego samego żenująca.

Co do tekstów modlitewnych z książeczek do nabożeństwa — w tej sprawie nie mogę nic powiedzieć, nigdy ich nie czytałam, właściwie kiedyś czytałam; zbyt przestarzałe, świętoszkowate.

N. N., ankieta 154
Mężczyzna, lat 54
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Osobiście zaczynam rozumieć, co to jest Msza święta, dopiero od pół roku, mimo że byłem przez dłuższy czas ministrantem, otrzymałem wychowanie religijne i wykształcenie tak religijne jak i ogólne. Pół roku temu wpadł mi w ręce mszalik z 1928 roku i zacząłem się z niego modlić podczas Mszy świętej. W miesiąc po tym fakcie uczestniczyłem w odpuście w kościółku pod wezwaniem św. Iwona w Iwoniczu-Zdroju. Proboszcz miejscowy sprowadził z Poznania księdza profesora specjalistę od zagadnień Mszy świętej, który przez szereg dni w czasie nabożeństw majowych szczegółowo omawiał treść i formę Mszy świętej. Wówczas dopiero stwierdziłem z zdziwieniem, jak mało wiedziałem do tej pory, co to jest Msza święta, i co oznaczają Jej symbole.

Nabyłem nowszy mszalik ks. dr F. Machaya, a dla dziecka mszalik-modlitewnik ks. Tworkowskiego. Od tej pory rozpocząłem dopiero uczestnictwo we Mszy świętej prawdziwe.

Na podstawie mojego doświadczenia nasuwają się następujące wnioski:

1) należałoby poświęcić dużo uwagi opracowaniu i rozpowszechnianiu mszalików-modlitewników,
2) co pewien czas, przed Mszą świętą szczególnie dla młodzieży, udzielać krótkich objaśnień o treści i formie Mszy świętej,
3) jak najszybciej wprowadzić język ojczysty do Mszy świętej.

Jeżeli mam wziąć udział w jakiejś konferencji — uczestniczyć, a nie tylko być obecnym, to koniecznym jest, ażeby konferencja odbywała się w języku dla mnie zrozumiałym. Przecież Pan Jezus nauczał biednych w języku dla nich zrozumiałym, a nie w języku faryzeuszów czy saduceuszów! Łacina jest konieczna jako język urzędowy Kościoła, ale nie jako język, w którym mamy się modlić.

Dlaczego dopiero teraz zaczynam rozumieć, co to jest Msza

święta? Na pewno już i dawniej mówiono mi i tłumaczono, co to jest Msza św. Kiedyś szedłem na Mszę świętą, bo życzyła sobie tego najpierw śp. Matka moja, później przełożeni, a ksiądz katecheta w pewnym sensie zmuszał nawet. Otóż wydaje mi się, że łatwo kogoś „zmusić albo nakłonić" na pójście na Mszę świętą, ale trudniej przekonać kogoś własnym przykładem i uświadomieniem o celowości i wewnętrznej potrzebie świadomego i dobrowolnego uczestniczenia.

Bardzo mi się podoba i cieszyłbym się bardzo, gdyby można wprowadzić Mszę świętą w jej pierwotnej formie i charakterze, tj. z darów w naturze kapłan wybiera chleb i wino do konsekracji. Pozostałe dary, pobłogosławione, roznosi się po Mszy świętej biednym. Wierni wpisują swe intencje przed Mszą świętą do wyłożonej książki, którą następnie umieszcza się na ołtarzu i z której kapłan czyta je głośno, wzywając wiernych do modlitwy. Przywrócenia w dosłownym znaczeniu obrzędu pojednania się wiernych przez podanie sobie obu rąk. Wielka ilość wiernych utrudnia wprowadzenie tego rodzaju pierwotnego charakteru Mszy świętej, ale można by tego rodzaju charakter Mszy świętej wprowadzić, np. w każdy piątek.

N. N., ankieta 196
Kobieta, lat 72
Duże miasto

Nie idę na Mszę św., żeby być widzem. Chcę uczestniczyć. Czy osiągam to? Nie zawsze.

A jak Ją rozumiem?

Najbardziej bezpośrednio uczestniczę we Mszy św. cichej albo recytowanej, gdy kapłan zwrócony jest twarzą do kościoła. Posługuję się wtedy mszalikiem — lecz tylko częściowo. Stać chcę jak najbliżej — wtedy mam skoncentrowaną uwagę na bieg czynności przy ołtarzu, nie rozpraszam się na obserwacje ludzi, co zdarza się, gdy stoję dalej. Wchodzę do kościoła jak do domu, w którym będzie się odbywała uroczystość — zastanawiam się, czy jestem odpowiednio przygotowana. Staram się skupić i upokorzyć z powodu swoich win, co właśnie jest w tekście spowiedzi powszechnej. Czuję się winna. I oto zaraz mam odpowiedź Chrystusa, bo następuje ewangelia, a przecież w każdej ewangelii jest dobra nowina, bo każda mówi o jakiejś formie miłosierdzia i miłości. Jak byłoby dobrze, żeby podczas każdej Mszy św. mógł być odczytany po polsku tekst ewangelii przeznaczonej na ten dzień! Radzę sobie w ten sposób, że przypominam sobie tekst ewangelii z ostatniej niedzieli — żeby nie stać, jak niemy słupek, podczas gdy ksiądz odczytuje sobie treść po cichu i po łacinie.

Podniesiona na duchu przygotowuję się do Ofiarowania (jeśli jest zbieranie na tacę, to trzeba wtedy właśnie grzebać w portmonetce lub trzymać w ręku pieniądz — to trochę przeszkadza).

A Ofiarowanie to przedziwny moment. Jest to opłatek i wino, a przecież to jest ofiara nasza ludzka — to jest praca rąk i umysłów — ten opłatek i wino to uprawione pola, to produkcja narzędzi, to wydobycie potrzebnych materii, to umiejętność rozniecenia ognia — to wyrób hutniczy butelek, to wysiłek umysłowy, by produkcja szła. A przecież wiemy i mówimy: „Panie, z Twoich rąk żyjemy, choć własnymi pracujemy" — przecież tworzywo mamy z rąk Bożych. Świat materialny, z którego bogactwa czerpiemy, jest nam przydany „z darów i hojności Twojej". Myślę obrazami. Widzę Golgotę. Powtarza się ofiara na Krzyżu i męka moralna przed Golgotą — jest i zdrada Judasza i zaparcie się Piotra i pogarda i naigrawanie. Te ofiary, nasza z ziemi fizyczna i moralna, i tamta Boska spotykają się z sobą, łączą. Gdy wzniesiony opłatek (ten od ludzi) wraca na ołtarz, to jest już zespolenie w spotkaniu, uświęcenie — opłatek stał się Hostią.

Wtedy „Ojcze nasz" to jest i prośba, i obietnica, i uwielbienie — rozmowa z Ojcem, który przyjął ofiarę jako zadośćuczynienie, i gdy w postaci komunikantów ksiądz obdziela w imieniu Chrystusa godnych przyjęcia Go — to przenika ich całą istotę jakby materialne dotknięcie Boże.

Ot i cała Msza św.

Potem już tylko na pożegnanie: „Bądźcie zdrowi, idźcie spokojnie niosąc mnie w sobie".

I na to odpowiedź „Dziękuję".

Nie często w ten sposób uczestniczę. Czasem coś pomaga, czasem coś przeszkadza.

Jeżeli Msza św. nie jest cicha — śpiew i muzyka pomaga, jeżeli wiąże się z liturgią Mszy św. Wspólna spowiedź powszechna, „Wierzę w Boga", „Panie, nie jestem godna..." itd. Ale pieśni bezwzględnie przeszkadzają, bo melodie i słowa absorbują, odciągają. Czyż można nie wziąć udziału w śpiewie, gdy płyną takie prośby: „Niewidomym podaj rękę, niewytrwałym skracaj mękę..." itd. A jednak wówczas niespostrzeżenie przychodzą tajemnice Mszy św. Nie wiem, nie umiem się rozdwoić.

Albo śpiewanie litanii.

Druga rzecz, która albo pomaga, albo przeszkadza to postawa kapłana odprawiającego Mszę św. Ksiądz pobożnie i spokojnie odprawiający nabożeństwo pomaga i zespala wszystkich modlących się. Pośpiech, niedbałe ruchy płoszą myśli i tak bardzo przeszkadzają!

Również niemiłe wrażenie wywołuje „trzepanie" jednym tchem modlitw po Mszy św. Jeśli jest mało czasu, to chyba lepiej wcale ich nie mówić.

I jeszcze jedno — objaśnienia z ambony. Dla mnie osobiście wprost nie do przyjęcia — widocznie jest to bardzo trudne, bo wyjątkowo tylko zdarzało mi się trafić na mistrzowski wprost współudział wyjaśniającego z modlącymi się ludźmi. Na ogół uniemożliwia to po prostu modlitwę. Może to jest moje indywidualne odczucie, toteż nie generalizuję tej sprawy.

Było też pytanie kto uczył mnie modlenia się? Jako dziecko — dom. Potem przeminęło na długie lata. Dlaczego? Nie było ugruntowane, nie było podbudowane rozumowo, a młodość była wyzwalająca się z rozmachem z różnych więzów — oczarowana teoriami naukowymi, olśniona efektownymi odkryciami.

To nie było zepsucie moralne, lecz duże nieporozumienie. Wydawało się, że postęp to między innymi również odrzucenie religii. Trwało długie lata (mam ich teraz 72) i dopiero po wojnie, po przeżyciu cierpień i strat bolesnych, gdy przyszła samotność, zaczęła się powolna droga ku zagubionym wartościom. To nie było jakieś olśnienie gwałtowne. O nie — moralny trud szukania, umacniania, aż doszłam do kratek konfesjonału. Tak — to już 14 lat.

Przez kogo? Przez życzliwe otoczenie i mądrych księży. Cóż? Mogłabym przytoczyć szereg nazwisk tych, których słowa wygłaszane na konferencjach w Warszawie u św. Anny, czy w „Romie", czy u księży jezuitów — stopniowo kruszyły pancerz niewiary. A poza tym literatura.

Nie uważam procesu tego za zakończony. Sprawą wciąż nieprzezwyciężoną to wielkie trudności spowiedzi; ciągłe uczucie niedosytu, niepokoju; wrażenie, że są jakieś niepełne. Ale to już inna sprawa i nie tu miejsce na jej omawianie.

N. N., ankieta 134
Kobieta, lat 19
Studentka
Średnie miasto

Modlitwa jest w moim życiu sprawą najbardziej istotną i najbardziej osobistą.

Do odkrycia wartości Mszy świętej doszłam nie tak bardzo dawno. Pomógł mi w tym piękny gotycki kościół i to, że mogłam stać tuż obok bardzo prostego ołtarza i obserwować, a potem zastanawiać się. A na to, czego nie mogłam zrozumieć, szukałam odpowiedzi w książkach. Aby pamiętać o tym, że Msza święta to nie tylko modlitwa wspólna, ale to Ofiara, uczestniczę w Niej najczęściej z mszalikiem. Nie przeszkadza mi to, że części nie-

zmienne są zawsze takie same — wiele razy, np. modlitwy ministrantury, czytam je z takim przejęciem, jakbym ich w ogóle nie znała.

Niedzielna Msza święta tym różni się od codziennej, że jest w kościele dużo ludzi, wspólnie śpiewamy, odmawiamy „Wierzę w Boga" i „Ojcze nasz" a niektóre z modlitw danej niedzieli ksiądz czyta z ambony. Lubię niedzielną Mszę świętą. Nieraz w sobotę cieszę się myślą o niedzieli, tym, że pójdę do kościoła, i tym, że będzie w nim dużo ludzi.

Czasem pragnę wspólnej modlitwy. Tylu ludzi spotykam, wspólnie się uczymy — dlaczego nie mielibyśmy się razem modlić?

Przypominam sobie, że były takie okresy w mym życiu, że obecność innych przeszkadzała mi w modlitwie. Teraz już i w czasie niedzielnej Mszy świętej potrafię znaleźć moment na modlitwę swoimi słowami. Modlę się wtedy najczęściej na temat niedzielnej Ewangelii i kazania i proszę, abym to, co usłyszałam, potrafiła wprowadzić w czyn.

N. N., ankieta 315
Mężczyzna, lat 35
Wykszt. wyższe
Duże miasto

„Uważam, że w ogóle nabożeństwa prowadzone są zbyt długo i dlatego wielu ludzi na nie nie uczęszcza. Przychodzi mi na myśl powiedzonko jednego księdza — „dlaczego nabożeństwo miałoby trwać dłużej niż Najświętsza Ofiara, tj. Msza św.?"

A u nas na ogół nabożeństwa są rozwlekłe a już szczególnie dodatkowe kazania lub co gorsza czytanie z książki. Rozumiem i uważam za potrzebne krótkie rozważania, kilka myśli związanych z nabożeństwem dla przemyślenia, dla rozważenia. Przecież chyba wychodząc z kościoła trzeba wynieść radość lub zastanowienie, a nie znudzenie.

Msza święta. Teraz inaczej patrzę na Nią. To już nie nabożeństwo a Ofiara, którą składa kapłan w zastępstwie Chrystusa Bogu Ojcu, w której i my uczestniczymy. Od kiedy uświadomiłem sobie rzeczywistość ofiarowanego Ciała i Krwi Jezusa, odtąd widzę wielką potrzebę i wartość uczestniczenia we Mszy św. Do właściwego — uważam — rozumienia Mszy św. dopomogły mi *Rozważania* ks. Pietraszki i krótkie wyjaśnienia na temat Mszy św. udzielone podczas Mszy św. wieczornej codziennej w kościele św. Józefa w Gdańsku. To było dla mnie jakieś odkrycie. Tyle czasu (lat) byłem uczestnikiem tej świętej Ofiary, ale niedostatecznie rozumiałem jej wartość i ważność. Msza święta to nie zwykła ceremonia odprawiana na pamiątkę śmierci Pana Jezusa, to auten-

tyczna ofiara Chrystusa w wieczerniku i na krzyżu. Każdy chciałby zobaczyć Chrystusa w stajence, każdy by chciał zobaczyć Go, jak przemienia chleb i wino w wieczerniku i powiedzieć: oto widziałem Chrystusa. A przecież to samo odbywa się na ołtarzu, ten sam Chrystus. Żeby powiedzieć, oto jest Chrystus Bóg-Syn patrzący na człowieka, żeby uznać Go za Boga trzeba było wiary. Trzeba też tylko tej wiary, aby widzieć Chrystusa w Chlebie Eucharystycznym. Rozumiem, że pełne korzystanie z darów Mszy św. to zjednoczenie się z Chrystusem w Komunii św. Łącząc się z Chrystusem staję się mieszkaniem Ducha św., który działa we mnie na tyle, na ile ja zezwalam. Dlatego korzystam często z Komunii św. To jest jedyny sposób spotkania się z Mistrzem z Nazaretu, spotkanie bezpośrednie.

N. N., ankieta 391
Kobieta, lat 25
Prac. naukowy
Duże miasto

Od kilku lat codzienna Msza św. recytowana jest ośrodkiem mojego dnia. Ołtarz stoi w pośrodku, my, mały Kościół, społeczność biorąca w Niej udział, otaczamy go. Modlimy się wspólnie z kapłanem, zmieniamy losy świata, wydaje nam się, że o wszystkich pamiętamy. Zaczynamy od bliskich, a kończymy na tym końcu świata, gdzie aktualnie wydarzyło się nieszczęście czy dzieją się wielkie rzeczy. Często jednego dnia kogoś polecamy Bogu w *memento* za żywych, a już następnego modlimy się za niego wspominając zmarłych. Wypowiadamy głośno te nasze „mementa", żeby wspólnie, społecznie, prosić i dziękować. Składamy na patenie wszystko, co przynosimy; zakrywamy to symbolem małych, białych kawałków chleba składanych na ołtarzu w czasie Ofiarowania. Na nasz ołtarz przenosimy wszystko. Czasem, by nie zapomnieć o obowiązku czynnej miłości, składamy na nim prawdziwy chleb, mięso, mąkę, cukier dla tych, którzy są głodni, i odzież dla tych, którzy są nieubrani. A później, po Podniesieniu, zbliżamy się wspólnie do ołtarza i podajemy sobie ręce: „Pokój Pana niech będzie zawsze z nami wszystkimi". Idziemy z radością, bo Mu zawierzyliśmy, bo nas Sobą napełnił. Trwa Sakrament Jego obecności w nas i naszego zanurzenia się w Nim. Nie wyobrażam sobie życia bez tej codziennej Mszy św. Często smutno mi na myśl, że mnóstwo ludzi na taką właśnie prawdziwą Mszę św. nie natrafia i dlatego Jej nie rozumie i z Niej nie czerpie.

Gdybym miała się zdecydować, jaką formę modlitwy poza Mszą św., a może obok Niej, bo jest jedyną na tym najwyższym poziomie, kocham, to nie potrafiłabym chyba rozróżnić między modlitwą

nocy a psalmami. Modlitwę nocy kocham od dzieciństwa, bo wtedy tylko w nocy mogłam być sama z Panem Bogiem i dzielić się z Nim wszystkimi radościami i przykrościami. Później poznałam noce w przyrodzie: w stodole o dziurawym dachu, w namiocie, podczas długich godzin włóczęgi. Zaprzyjaźniłam się z nocą, bo w nocy jestem bardziej sobą, znikają pozy i aktorstwa, a obcowanie z Bogiem staje się prostsze. Noce modlitwy adoracji, kiedy czas jest prawie nieograniczony, kiedy wiadomo, że za chwilę nie trzeba się będzie nigdzie spieszyć, że nikt nie przyjdzie i nie będzie czekał, są dla mnie pełne życia. Bo wtedy jest Chrystus, który mnie ogromnie kocha, który chce mi tę Swoją miłość przekazać i mnie jej nauczyć. On się w nocy urodził, wiele nocy przemodlił, po nocy w Ogrojcu cierpiał i umierał, nocą zmartwychwstał, i Ducha św. nam dał po niejednej wypełnionej trwaniem na modlitwie swoich bliskich nocy. I psalmy. Wiem, że niewiele pojmuję z ich bogactwa. Każde następne ich przemodlenie zawsze wyjaśnia coś nowego. Jeżeli się nie mogę cieszyć, że rozumiem psalmy, cieszę się z tego, że jeszcze długi czas będę je odkrywała w czasie modlitwy. Ale jest mnóstwo krótszych lub dłuższych chwil, które uobecniają i przybliżają Boga i myślę, że też je można nazwać modlitwą: spojrzenie w proste i ufne oczy dziecka, trud długiej wędrówki, chwila ciszy w pustym kościele, spotkanie z Bogiem w czasie pracy, długa i szczera przyjacielska rozmowa albo zaglądnięcie w twarz słońcu poprzez gałęzie drzew w lesie.

N. N., ankieta 354
Kobieta, lat 40
Wykszt. średnie
Małe miasto

... Nie mam łatwego życia — borykam się z tysiącem spraw i kłopotów swoich i cudzych w pracy i w domu. Wprowadzanie w czyn postawy chrześcijańskiej, ewangelicznej nie jest łatwe. Weźmy proste: kochać Boga i bliźniego. Być dzieckiem Bożym i traktować innych ludzi, wszystkich ludzi, jak dzieci Boże — wcale nie jest takie proste na codzień, na każdą chwilę dnia. Czasem łatwiej jeszcze przyjmować obowiązek miłości innych wobec nas — ale świadczyć konkretnie tę miłość życzliwości i to stale wszystkim ludziom, to nie bardzo wychodzi. Może ktoś to już potrafi — a mnie ciągle ciężko idzie to świadczenie życzliwości każdemu spotkanemu człowiekowi — w gorączce pracy lub jej monotonii, w miejscu pracy zawodowej, w domu, na ulicy, w kolejce do kina lub w sklepie, w zatłoczonym autobusie — w zmęczeniu, w oburzeniu za bezmyślność, za niewłaściwą postawę, za istotną krzywdę, złą wolę czy też nadepnięty nagniotek.

Ciągle daleka jeszcze jestem od tego, by wszystkim wierzyć, wszystkim ufać, wszystkich kochać i spodziewać się wszystkiego, chociaż doskonale wiem, „że gdzie nie ma miłości, trzeba dać miłość i zdobędzie się miłość". I że doświadczyłam tego sama — że nie trzeba na zwycięstwo czekać do trzech razy — w ludziach jest, jest bardzo dużo miłości, tylko jest ukryta i trzeba ją wyzwolić, do niej się odwoływać. Ja to wszystko wiem, ale mimo to, nie siedemdziesiąt — ale sto siedemdziesiąt razy na dzień jestem nie w porządku wobec Boga mieszkającego w moich bliźnich.

Nie zniechęcam się tylko dzięki modlitwie. Bo kiedy już dokumentnie jestem uwikłana we własną niemożność — zwycięstwo łaski nie byłoby jakoś możliwe bez modlitwy. Ona jest rozwiązaniem wszystkich powikłań, wszystkich poplątanych dróg własnych i cudzych, jest wyrównaniem za wszystkie stracone pozycje dnia, za nie wykorzystane możliwości i sprawy. Jest odpoczynkiem i spokojem, jest siłą do podejmowania trudu następnego dnia z całym bagażem niewiadomych sytuacji i spraw. Bo właśnie modlitwa nie może być nigdy wyłączona od tych wszystkich spraw — codziennych, zwyczajnych, banalnych — ona musi je prześwietlić, przepromieniać, dopełniać, inaczej się nie da, inaczej nie można, inaczej nie wychodzi.

Kto nie czytał książki *Duch pracy ludzkiej*, to niech koniecznie prędko przeczyta, tam jest uzasadnienie tego i wskazanie, w jaki sposób nie oddzielać modlitwy osobistej od modlitwy wspólnej. Od „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Maryjo" (są w liczbie mnogiej), poprzez uczestniczenie we Mszy św., przyjęcie Eucharystii, modlitwę myślną i stały kontakt z Bogiem, w ciągu całego dnia aż do zaśnięcia — przez wszystkie zdarzenia dnia, przez wszystkie rozliczne prace i obowiązki, przez najbardziej nawet osobiste akty wiary, nadziei i miłości — wszystko jest wspólne, tak wierzę — to wynika z prawdy o Mistycznym Ciele Chrystusa.

Czym jest Msza św.? Jest spotkaniem i zespoleniem wszystkich ludzi z Bogiem. Jest modlitwą najbardziej społeczną w Kościele — modlitwą obejmującą wszystkich. Uważam Mszę św. za siłę nuklearną niewykorzystanych możliwości — przeżywam Mszę św. jak spotkanie wszystkich ludzi wielkiej rodziny człowieczej, podczas którego Bóg niczego nie może ludziom odmówić i nie odmawia. Tak chciał i jakoś nie są istotne ani organy, ani śpiewy, ani fałszywe, krzykliwe melodie za uchem, rozpraszające skupienie — bo przez tę melodię uczestniczy we Mszy św. moja siostra — i równie miła Bogu a może i milsza Mu z całego serca pieśń, niż moja modlitwa starania.

We Mszy św. uczestniczę z mszalikiem i marzę o tym, żeby

wszyscy ludzie mieli je w ręku, szczególnie żal mi dzieci, młodzieży, której się tego za mało uczy. Gdyby tak Msza św. mogła być w polskim języku — może wówczas tyle ludzi stojących chyba bezmyślnie odniosłoby korzyści ze Mszy św. Msza św. miałaby większy wpływ na ich życie. Liturgiczne teksty są tak bogate w treść, żywe i smakują jak codzienny chleb.

Wierzcie mi, że wówczas gdy umęczony do końca człowiek już nie może powiedzieć — to na pewno potrafi jeszcze westchnąć „Z głębokości wielkich wołam do ciebie...". Kończę pisać w pociągu, jeśli nie wyślę tych luźnych kartek, to już nie wyślę wcale — jak to miało miejsce z ankietą „Dlaczego wierzę...". Mam wiele wdzięczności dla Was — artykuł A. Gołubiewa ze „Znaku" uratował wiarę kilku młodym ludziom w roku 1955.

N. N., ankieta 288
Mężczyzna, lat 63
Wykszt. średnie
Małe miasto

Jak rozumiem modlitwę? Modlitwa — prośba. Modlitwa stawianie się przed Bogiem.

Każda myśl życzliwa jest chyba modlitwą, bo jeśli komuś życzymy dobrze, to któż ma to życzenie spełnić? A myśl nieżyczliwa — to grzech — to jakby modlitwa do ducha złego. Modlitwa — stawianie się przed Bogiem to modlitwa bez prośby.

Jak się modlę? Nie modlę się z książeczki może i dlatego, że trudno mi się skupić i wniknąć w myśl zawartą w modlitwie. A więc przy codziennych modlitwach dodaję swoje prośby. W kościele gdy jestem w tym czasie, gdy nie ma nabożeństwa, rzadko kiedy odmawiam modlitwy. Zwykle rozmyślam nad sobą lub o tych, co są w tej chwili w kościele.

Rzadko proszę o coś dla siebie w modlitwie. Czy modlitwa jest kwestią nawyku? U mnie chyba nie może być nawykiem, bo jestem jakby „samoukiem" i choć mam lat 63, to modlę się zaledwie 23.

Kto mnie uczył modlitwy? Chyba babcia uczyła mnie się modlić i pierwszy raz zabrała do kościoła. Przypomina mi się z tego czasu chwila, gdy przy wejściu do kościoła powiedziała mi: „Obmyj się", co zrozumiałem dosłownie i całą rękę zanurzyłem w kropielnicy i chciałem obmyć sobie twarz. Później gdy miałem 11—13 lat, nauka w szkole. Niewiele z niej zrozumiałem. Traktowałem naukę religii jak inne lekcje i choć w tym czasie i spowiadałem się i byłem bierzmowany, to nie przeżywałem tego głęboko. Potem wojna 1914 roku przerwała dalszą naukę religii.

Co pozostało z tamtego okresu? Pozostało zdziwienie nad światem podobne do zdziwienia, gdy mając lat 7—8 widząc wylatującą

przez okno muchę, pomyślałem, gdzie się ta przestrzeń, w której mucha zniknęła, kończy. Zdziwienie to nie opuszczało mnie i dopominało się wyjaśnienia w okresie, gdy stałem poza Kościołem.

Msza Święta. Sądzę, że jestem uczestnikiem, a nie tylko słuchaczem Mszy św. Modlę się z mszału i aby móc spokojnie się modlić, bywam na sumie, ponieważ suma odprawiana jest zwykle wolniej niż inne Msze.

Uwagi ogólne. Wobec tego, że po Soborze będą być może znaczne zmiany także w liturgii, trzeba będzie dostosować się do tych zmian. Czy ja doczekam tych zmian? Czy te zmiany nadążą za zmieniającymi się usposobieniami wiernych? Bo przecież zmiany te mają ułatwić dotarcie do współczesnego człowieka. Do człowieka, ale którego? Czy jest coś takiego jak człowiek „przeciętny", to jest taki mniej więcej statystyczny człowiek? A może lepiej byłoby zwrócić się do tego człowieka z pewnym żądaniem, a nie dostosowywać się do niego. Zażądać, by włożył jak najwięcej wysiłku w sprawę, która powinna być dla niego najważniejsza. Niech nie czeka, aż mu się przyrządzi coś w rodzaju „błyskawicznej zupy", na którą on poświęci tylko chwilę czasu tak cennego, bo potrzebnego na „istotniejsze sprawy". On się wciąż śpieszy. Może lepiej by było, gdyby zastosował się do zasady: „Do domu modlitwy idź spiesznie — wracaj powoli". Tak podobno mawiali pobożni Żydzi. Ale jak przemówić do wiernych, by włożyli więcej wysiłku, by poważnie potraktowali swą wiarę. Czy wystarczą takie zmiany w odprawianiu Mszy św., jak umieszczenie ołtarza bliżej wiernych, jak to, że kapłan zwrócony będzie twarzą do wiernych, czy też język narodowy w liturgii. Bez wysiłku ze strony wiernych niewiele to da; wszelka nowość po pewnym czasie spowszednieje.

Dane niewiele powiedzą o mnie, bo choć mieszkam od pewnego czasu poza Warszawą, to Warszawa mnie kształtowała. Interesowała mnie sztuka, chęć poznania jej, próbowałem malować, bywałem często na koncertach, sam próbowałem grać na pianinie. Przed wojną interesowałem się Wrońskim, prenumerowałem tygodnik „Zet". W czasie okupacji w roku 1940 rozpocząłem regularnie chodzić na Mszę św. Po wojnie jestem stałym czytelnikiem „Tygodnika Powszechnego" i „Znaku".

Rodzice moi byli obojętni religijnie, ale nie występowali przeciw religii.

N. N., ankieta 26
Kobieta, lat 41
Wykszt. wyższe
Duże miasto

Modlitwa była dla mnie zagadnieniem, nieraz dość trudnym, jeszcze w dzieciństwie. We wczesnym dzieciństwie była raczej normalnym zwracaniem się do Kogoś potężnego i dobrego — głównie prośbą i ucieczką (byłam okropnym strachoputem i obrońca był mi zawsze potrzebny). Pierwsze spięcie z „obowiązkiem" modlitwy nastąpiło w 6-tej powszechnej czy 1-szej gimnazjalnej klasie. Zapisałam się była do „Kółka różańcowego". Uważałam, że „Zdrowaś" wtedy jest „ważnie" odmówione, gdy rozumiem je w całości treści modlitwy od początku do końca. Każda ucieczka uwagi uniemożliwiała objęcie całości — rozumienie, co mówię. Więc zaczynałam *da capo*. Nim przebrnęłam przez 10 „Zdrowaś", mijało pół godziny a raczej więcej. Przy tym z modlitwy cichej przechodziłam w natężony szept. Któregoś dnia starsza siostra nie wytrzymała i wybuchnęła strasznym płaczem. Wypisałam się z „Kółka" i przez wiele lat nie tykałam różańca. Starcie między treścią a formą modlitwy przebiegało już wedle tego schematu. Trudność przebicia się przez słowa do syntetycznej treści tego, co wyrażają. A równolegle odkrycie sensu modlitwy jakby obok owych trudności słownych. W pewnym okresie dużego napięcia sprzeczności ze słowami spowiednik poradził machnąć ręką na słowa (poza najkrótszymi sformułowaniami paru-słownymi) i cały wysiłek skierować na rozumienie faktu, że Bóg jest. I że jest stosunek Bóg — ja, że Bóg jest tym, który kocha. I istotnie otworzył tym zamknięte drzwi.

To jest jedna strona modlitwy — usiłowanie otworzenia siebie na Boga — na Jego Miłość — i na świadomość, że On jest. Do tego nie trzeba słów.

W moim życiu wewnętrznym wiele więcej od słów znaczą fakty. Sakramenty i Msza św. to są fakty.

Wydaje mi się naturalnym, że sakrament — znak ustanowiony przez Boga — jest znakiem sprawiającym żywą łaskę. Znak tworzony i ustanowiony przez człowieka jest zawsze tylko znakiem treści — i to już wielka rzecz, że nosi w sobie sens przerastający formę. Znak ustanowiony przez Boga wręcz musi być żywy — sprawny — bo Bóg jest życiem. Toteż bardzo mocno przeżywam to, że sakramenty są faktami realnego i obiektywnie pewnego spotkania z Bogiem.

Modlitwa katolika łączy się chyba bardzo silnie z życiem sakramentami. Fakt spotkania z Miłosierdziem Boga w sakramencie Spowiedzi i fakt Mszy św. to najbardziej regularne, najbardziej powtarzalne spotkania.

I fakty sakramentów mają to do siebie, że równolegle łączą z Bogiem i z ludźmi w Łasce — z ludźmi w Bogu.

Należałoby chyba pracować nad bardziej powszechnym, lepszym rozumieniem sakramentów jako faktów spotkania z Bogiem, życia Bogiem — faktów centralnych w modlitwie chrześcijanina.

To, co zawsze mnie dziwi, zdumiewa, w sakramencie pokuty to połączenie dwu faktów. Jeden to fakt, że Miłosierdzie Boga przychodzi poprzez spotkanie ze słuchającym miłosierdziem człowieka — zaufanie, z jakim idziemy do Boga z naszym żalem za zło, realizuje się w zaufaniu do człowieka, który działa z ramienia Boga w Kościele. A zarazem jest faktem, że ten człowiek jest w tej sprawie z boku wobec spotkania spowiadającego się z Bogiem. I może być tak, że to, co mówi spowiadający się, jest bardzo mało adekwatne do tego, co on chce przedstawić Bogu, a spowiednik jeszcze mniej rozumie i z kolei odpowiada nie rozumiejąc — jakby pod innym mylnym adresem — ale w woli Miłosierdzia Bożego wszystko się dzieje i Bóg, który działa przez znak sakramentu, sprawia pojednanie. Jeśli to się rozumie, wszelaki żal za zło łączy się nie tylko ze sprawą Bóg — ja, ale ze sprawą Bóg — my w Kościele.

Msza św. — uczestniczenie wedle mszalika było zawsze dla mnie trudne, gdyż myślę wolno i nie nadążam za tempem odprawiania. Staram się raczej o uczestniczenie wedle rozumienia treści. Cieszę się, jeśli mogę równolegle z kapłanem odmówić z mszalika modlitwy u stopni ołtarza łączące radość, nadzieję i żal *Confiteor*. Potem zwracam uwagę na Ofiarowanie. Te teksty znam na pamięć. Żałuję, że w razie czytania ich z ambony przy Mszy św. recytowanej opuszcza się „Boże, któryś naturę ludzką cudownie stworzył...". Ta modlitwa jest istotna. W Ofiarowaniu nie tylko dajemy dar chleba i wina — owoce natury i pracy, całej świeckiej działalności — ale i siebie dla Przemienienia — jak tę kroplę wody. Kocham teksty Prefacji. A szczególnie o Trójcy Świętej. Jest dla mnie zawsze objawieniem piękno Boga i piękno Jego Miłości — w Nim i ku wszystkiemu, co stworzył.

Wspomnienie żywych — ogarnięcie myślą tych wszystkich, z którymi łączę się w Mszy św. z całym Kościołem, z potrzebującymi z bliskimi i tymi, dla których powinnam być, i z tymi, którym wiele zawdzięczam — wypełnia mi czas do Przeistoczenia. Wtedy staram się uważać i łączyć z przypomnieniem Ostatniej Wieczerzy i tekstem słów kapłana a potem z tekstem ofiarowania Ojcu Syna przez Niego, z Nim i w Nim w jedności Ducha św., co rozumiem zarazem jako jedność Kościoła, jedność z Maryją, świętymi, z żywymi i zmarłymi (tu warto dodać, że kapłan w czasie Przeistoczenia oddaje siebie, by Chrystus przez niego działał — Chrystus Ofiarujący Siebie — a wierni współuczestniczą w ofia-

rowaniu, ale głównie są tą stroną, która oddaje siebie, by być współofiarowanymi z Synem Ojcu — dopełniać Ofiarę Syna). We wspomnieniu o zmarłych staram się pamiętać nie tylko o bliskich, ale szczególnie o samobójcach znanych mi i nieznanych.

Komunia święta dawniej była dla mnie czymś samodzielnym — spotkaniem Chrystus — ja, wydzielonym z otoczenia, oddaniem siebie Jemu, przyjęciem Jego w mym domu. Często wolałam tylko przystąpić do Komunii św., niż być na całej Mszy św. Obecnie jest inaczej. Komunia św. jest dopełnieniem Mszy św. W Ofiarowaniu przynoszę życie i siebie. W Przeistoczeniu biorę udział we współofiarowaniu Chrystusa Ojcu i bardzo nieśmiało wiem, że jest to także udział w Chrystusie ofiarowanym. Komunia św. ten udział ziszcza. Jest włączeniem w Chrystusa ofiarowanego — w Jego śmierć i Jego zmartwychwstanie. Jest spotkaniem z Nim — ale i w Nim z wszystkimi w Kościele. I nie boję się prosić, by była szczególnym spotkaniem w Jego Miłości z tymi, których szczególnie kocham, i by była szczególnym włączeniem w Chrystusa ofiarowanego na rzecz tych, których On raczy mi dać i dla których raczy mnie sobie wziąć. Toteż wszystkie moje miłości, wszystkie przyjaźnie, spotkania i koleżeństwa żyją w codziennej (o ile coś szczególnego nie przeszkodzi) Komunii św. Staram się być na całej Mszy św. — jeśli nie mogę, wiem to bardzo mocno, że Komunia św. łączy mnie z całością treści Mszy św. i staram się ją przyjmować w duchu całości Mszy św.

Nie zawsze udaje mi się tak świadomie przeżyć Mszę św. Jestem bardzo roztargnionym człowiekiem i wiele rzeczy mi przeszkadza. Oddalenie ołtarza, nieliturgiczne śpiewy, szybkie tempo i mruczone teksty nawet tych głośnych modlitw, odwrócenie kapłana plecami. Łatwo tracę wątek — zamyślam się czasem o sprawach życia, które ze mną, w moich myślach weszły do kościoła, czasem nawet się modlę, ale już poza przeżyciem Mszy św. i raptem widzę, że to już Przeistoczenie... Msza św. jakoś ucieka i zostaje żal, że nie tak było trzeba. W jednym tylko kościele nie mam tych trudności — w Warszawie u św. Marcina na ul. Piwnej. Ołtarz wysunięty. Msza św. odprawiana twarzą do ludu. Teksty wyraźnie i wolno a głośno mówione — odpowiedzi recytowane lub śpiewane przez zakonnice — zawsze liturgiczne współuczestniczenie. Bez wysiłku przebijania się przez przeszkody i łapania wątku wchodzi się w dziejącą się Mszę świętą. Wystarczy patrzeć i słuchać, i być otwartym, i chcieć uczestniczyć — a usunięcie przeszkód pozwala swobodnie i spokojnie po prostu brać udział w Mszy św. Dość rzadko warunki pozwalają mi tam przyjść na Mszę św. — ale zawsze jest to dla mnie przeżyciem i oddechem, i jeszcze mocniej

rysuje niepotrzebność przeszkód piętrzących się w codziennej praktyce w naszych kościołach.

Przy Mszy św. recytowanej i odprawianej „twarzą do ludu" z wyraźnie mówionymi tekstami inaczej rysuje się także sens lekcji i ewangelii. Jest wtedy jasna łączność między modlitwami u stopni ołtarza a „słowem" lekcji i ewangelii, wspólnym *Credo* i Ofiarowaniem. Byłam też raz w kościele, gdzie wprowadzono zwyczaj odpowiadania w języku polskim tekstów ministrantury, „Wierzę", „Ojcze Nasz". Myślę, że tam, gdzie większość parafian nie zna dostatecznie łaciny — to znaczy wszędzie poza środowiskami typowo inteligenckimi — jest to nawet słuszniejsze od Mszy św. recytowanej. Przy tym pieśni powinny być koniecznie liturgiczne. Jest tyle starych „Mszy św. polskich" — np. Kurpińskiego. „Pieśni majowe" nie powinny być śpiewane w czasie Mszy św., na to są nabożeństwa paraliturgiczne. Podobnie piękne zresztą kolędy nie powinny „wypełniać" całego czasu uczestniczenia w Mszy św. — choć mogą być łączone z liturgicznymi modlitwami. Są tak wrośnięte w nas, że stały się potrzebą i znakiem Bożego Narodzenia, a tak bogate w treść, że można je dobrać w sensie związania z treścią Mszy Świętej dbając, by jej nie przysłoniły. Jeśli wspólny śpiew jest liturgicznie związany z Mszą św. i nie ma charakteru „pobożnych piosenek", to nie przeszkadza, a pomaga we wspólnym udziale w Mszy św. — tworzy poczucie głębokiej i mocnej więzi w uwielbieniu Boga. Do rozpaczy mogą doprowadzić tylko pieśni nie związane z treścią Mszy św. i pełne barokowych lub secesyjnych ozdobników i liryzmów. Te wszystkie „od Bałtyku po gór szczyty" ogrody, kwiaty serca i obłoki zamiast prostej modlitwy-hymnu.

Na koniec wyrażam radość z podjęcia tematu w ankiecie i nadzieję, że choć trochę uświadomi ona konieczność zmian w duszpasterstwie odnośnie problemu modlitwy — tak w uświadomieniu ludziom (tj. nam świeckim) pełnego jej sensu, jak głównie we wprowadzeniu liturgiczności odprawiania Mszy św. Oby coraz częściej „twarzą do ludu" z pełnym udziałem wiernych!

N. N., ankieta 255
Mężczyzna, lat 47
Wykszt. wyż., Ksiądz
Duże miasto

I dla księdza i dla zakonnika i to starego i Msza św., i modlitwa jest ciągle takim samym problemem, jak dla tych spod chóru. Po 19 tysiącach odprawionych półgodzinnych rozmyślań każde nowe rozmyślanie jest dla mnie trudne.

Czym jest dla mnie modlitwa? Czy nawykiem, czy potrzebą? I tym i tamtym, ale przede wszystkim pracą. Przywykłem do mo-

dlitwy i to długiej, stała się ona potrzebą mojego życia. W kościele i na plaży — tak, na plaży nie umiem nucić innych piosenek jak religijnych. A jednak modlitwa jest dla mnie pracą, pracą zawodową, ciężką, ale miłą. Lubię ją, jak się lubi każdą pracę twórczą, pracę, do której się przywykło i która coś daje.

Nie jest ona dla mnie źródłem rewelacji, nie jest nawet rozmową, jest raczej mową, trudną, ale piękną, wypracowaną mową.

I od dziecka do dziś jestem zwolennikiem modlitwy pięknej, a ponieważ nie stać mnie samego na taką, od dziecka do dziś lubię modlitwy cudze, pisane, nawet śpiewane.

Co przejąłem od swojej wiejskiej matki: „Kiedy ranne" na „przemyską" melodię, „Kochajmy Pana", „Boże w dobroci", to dziś nucę sobie przy ubieraniu się. Do tego doszło od ministranckich i seminaryjnych lat „Czego chcesz od nas, Panie", *Haec est dies*, *O sacrum convivium* i to są moje, przyswojone modlitwy poranne, nigdy nie spowszedniałe, nucone w piątek i świątek pod namydlonym pędzlem.

Modlitwy cudze! Zawsze byłem zwolennikiem książeczki. Tego nauczyli mnie rodzice. Z rozrzewnieniem wspominam ukochaną przeze mnie — książeczkę *Na przyjęcie Pana* — codziennego mego przewodnika przy codziennych Komuniach św. w niższym seminarium, *Sto nawiedzeń* i *Nawiedzenia Najświętszego Sakramentu* (Św. Alfonsa Liguori), *Manuale Clericorum* (o. Schneidera), a potem nieocenione *Soliloquia* św. Augustyna i *Der Mensch Job redet mit Gott* (Lipperta).

A na codzień i na zawsze — do dziś dnia — pozostała mi najbliższą formą modlitwy litania. Tak, litania w każdej formie. To wyliczanie próśb, gromadzenie epitetów stanowi dla mnie zasadniczą metodę, którą ujmuję w słowa *mens captivata* — myśl zniewolona. W modlitwie pojętej jako praca, w modlitwie traktowanej zawodowo, nie wyczekującej na uniesienia czy rozczulenia, u człowieka, któremu ciągle grozi nowe roztargnienie, to zniewolenie myśli, przykucie jej do cudzych, czytanych słów zdaje dobrze egzamin. Czy brewiarz trafił na ten grunt, czy on go wytworzył, nie wiem. Ale brewiarz bardzo dobrze mi odpowiada, jako modlitwa gotowa i piękna.

Psalmy są dla mnie modlitwą zawodową i osobistą. Cenię w nich nade wszystko ich teocentryczność, że są one modlitwą do Boga, że pozwalają mi z Bogiem mówić na „Ty". Psalmy sprawiają, że brewiarz jest moją modlitwą i radością moją. Niestety, psalmy historyczne, epiczne, przeszkadzają mi w mowie do Boga.

Bardzo boleję nad tym, że lud polski poza nieszporami zna wła-

ściwie tylko jeden psalm — 90-ty, że przez tysiąc lat nie miał go kto nauczyć psalmów introitowych, czy ofertoryjnych, że moja kapłańska intonacja psalmów introitowych, czy na Ofiarowanie i Komunię we Mszy — z winy samej liturgii łacińskiej — trafia u ludu „słuchającego" Mszy na pustkę, że lud, organiści i kompozytorzy wysilają się na zapełnienie tych luk innymi utworami, a nie śpiewają po polsku psalmów wskazanych na te chwile przez mszał. Próbowałem polecać śpiewanie psalmów na Mszy i spotkałem się z wyrzutem, że psalmy nadają się na nieszpory, a nie pasują do Mszy. Oczekuję od Komisji Liturgicznej Episkopatu nowego, ludowo-liturgicznego tłumaczenia psalmów introitowych, ofertoryjnych, komunijnych, ogólnie mszalnych, a dla nich ułożenia takich melodii, by „chwyciły" jak „Cześć Maryi", czy „Gwiazdo śliczna, wspaniała" albo „Zdrowaś Maryjo Bogarodzico", a nie podkładania pod słowa psalmów melodii brewiarzowych, jak w nowym Rytuale, których lud na pewno nie polubi, bo nie są ludowe, ale scholarne i monachalne.

Marzę również o „nostryfikacji" czy modernizacji psalmów. Choć je mówię codziennie 22 lata, to ciągle mam zahamowania na porównaniach z epoki kołczanów, łuków, hełmów i tarcz...

Mimo wszystko rozkoszowałbym się brewiarzem, szczególnie psalmami i oracjami, gdyby tak można było, gdyby czas na to był, zatrzymać się nad nimi, westchnąć, zastosować do siebie, a nie gonić i gonić.

Chętnie uciekam z modlitwą (czytaną), z brewiarzem z kościoła do światła, ze Mszy śpiewanej do ciszy. Ach, te organy, nasz czyściec kapłański na ziemi!

Mszę św. przeżywam jako Mszę kapłańską, moją, pełną poezji, pełną cudzych, czyli gotowych myśli. I znowu żałuję serdecznie i nieustannie, że nie wolno mi na niej medytować, smakować w jej ideach i tekstach. A ile razy odwracam się od ołtarza do ludu, otrzymuję zdawkową odpowiedź z nad wielkich drzwi kościoła płynącą ponad obcymi ludźmi i obcymi ich modlitwami, czy „Gwiazdami ślicznymi, wspaniałymi", albo od stopni ołtarza, od ministranta odpowiedź przez niego nie rozumianą, jak od szpaka wyuczonego czy od papugi. Oj, ile ja mam pokus przeciw tym instytucjom Kościoła: organisty i ministranta, instytucjom śmiercionośnym dla liturgii ludu naszego! Oto moja pokusa: jak Kościół może patronować przez drugi już tysiąc lat podobnej paplaninie! I to ma być modlitwa i to oficjalna, i to najdoskonalszej religii świata? Ja mówię: *quare tristis est anima mea et quare conturbas me?*, a mój ministrant odpowiada: „nicus", „nicus" i jeszcze raz „nicus", a przecież to synek praktykujących katolików z wyższym

wykształceniem. Czyżby ministrantura nie mogła być piękną, tęskną modlitwą całego, pełnego kościoła w jego ludowej mowie?

Razi mnie we Mszy nie dopuszczanie ludu do jej liturgii. Dlaczego ja jako kapłan muszę (!) odmawiać po cichu, „tak, żeby mnie wierni nie słyszeli" modlitwy, które wymawiam w liczbie mnogiej, w imieniu ludu, a które właściwie powinien recytować lud a ja z nim? Przecież nawet w słowach konsekracji zwracał się Pan Jezus do wszystkich obecnych. Bierzcie i jedzcie wszyscy. Słyszycie? nie, bo ja to muszę szeptać. Lud w naszej rzymskiej Mszy jest odsądzony od akcji i skazany na słuchanie i może tylko przez aklamację — amen — potwierdzić moje kapłańskie modlitwy.

A nawet wtedy, gdy nasza liturgia każe ludowi śpiewać, to albo zawiesza czynności przy ołtarzu, jak na *Gloria* i *Credo*, albo pozostawia ludowi śpiewanie elementarnego *Kyrie eleison* i tak 9 razy lub *Sanctus*, a akcja liturgów przy ołtarzu biegnie podczas tego inną drogą. Jakbyśmy mówili: wy sobie śpiewajcie np. *Offertorium*, *Sanctus*, czy *Agnus*, a my (kapłani) podczas waszego śpiewu zajmiemy się czymś innym, akcją ofiarniczą.

I za to winę ponosi sama konstrukcja rzymskiej Mszy i nic nie pomoże ustawianie ołtarzy twarzą do ludu, dopóki sama Msza będzie odwrócona plecami do ludu.

Boli mnie ta teza: za to odejście ludu od liturgii rzymskiej aż do różańców, do pseudoliturgii rozważania Męki Pańskiej: jak Piłat umywa ręce, gdy ksiądz ręce umywa, do „Godzinek" na Prymarii, nie ponosi winy wierzący polski lud ani duchowieństwo. Za to ponosi winę sama liturgia rzymska, która dała nam Mszę: szkieletowy zabytek z roku Pańskiego 600!, a nie wspólne przeżycie dla ludu bożego.

To ona sama spowodowała, że nasza inteligencja nie umie albo nie chce się modlić wspólnie, że ucieka z granych, śpiewanych Mszy na ciche albo ze Mszy na odwiedziny kościoła prywatne.

Jak mnie bolą moje śpiewane Msze powszednie, w których śpiewa tylko ksiądz, a organista odpowie tylko amen, albo i nie odpowie, tylko odegra, odhuczy, w których dochodzi do paradoksu: intonacji do zera: ja intonuję: *Gloria*, a kościół nic, tylko organista wygra tę dziurę i czeka, kiedy ja położę znacząco dłonie na ołtarzu. Ja zaczynam: *Credo*, a nikt tego *Credo* dalej nie mówi, nie śpiewa. Ja śpiewam: *sine fine dicentes* i zamiast sam dośpiewać do prefacji choćby w tonie ferialnym *sanctus*, mówię znowu sam zagłuszony przez dzwonki i wyobrażam sobie zginające się kolana w takt oglądania się jednych na drugich, czy to Podniesienie czy nieporozumienie. Tak, tak, myślę sobie: *nihil dicentes* słyszysz Boże?

Czekam z upragnieniem na liturgię posoborową, ludową, podobną do liturgii greckiej, w której przez całą Mszę wierni są zaangażowani akcją i modlitwą mszalną, gdzie nie ma szkieletu litanii: 9 eleison, ale gdzie jest litania intencji mszalnych i potrzeb życiowych oraz suplikacji całego ludu.

N. N., ankieta 106
Kobieta, lat 22
Studentka
Duże miasto

...Bardzo prędko przywiązałam się do swojego kościoła akademickiego. Spotkałam księdza, który „zmienił bieg historii". Po prostu mówił moim językiem, jego słowa chłonęłam jak gąbka wodę, a wszystkie były podpowiadaniem modlitwy. Ale przede wszystkim modlitwa jest łaską. To była jedna z moich pierwszych rozpaczliwych próśb: „Panie, naucz mnie się modlić". Odpowiedź jak zawsze: „Gdy się modlicie, mówcie — Ojcze..."

Modlitwa jest ściśle związana z wiarą. Od strony człowieka jest jakimś uświadomieniem, uzewnętrznieniem (mimo że jest czymś przede wszystkim wewnętrznym) i wypowiedzeniem wiary. Od strony Boga jest, tak jak wiara, Darem. Ponieważ Bóg jest Bogiem osobowym, więc modlitwa jest wyrazem stosunku osoby do osoby.

Właściwie moja modlitwa wcale nie jest moja. To Pan Bóg mi podpowiada. Bo nawet jeżeli ja mówię, to tylko po to, żeby lepiej usłyszeć to, co On mi chce powiedzieć. Bardzo często jestem swoją modlitwą po prostu zaskoczona: jakieś przebłyski świadomości, jakieś „mądrości życiowe", jakieś pragnienia tak silne, że zmuszają do działania. Skąd ja to wszystko wiem? A potem na kazaniu czy w konfesjonale słyszę to samo! Górą nasi!

I pisz tu, człowieku, jak się modlisz, jeżeli to nie ty. Spróbuję jednak napisać, bo może rzeczywiście komuś się przyda.

Jednym z pierwszych wielkich odkryć życiowych było to, że Panem Bogiem można się ucieszyć. Gdy mi się pierwszy raz „powiedziało": „Ciesz się, dziewczyno, bo Pan Bóg jest!", to o mało nie zleciałam ze schodów, bo to się właśnie zdarzyło na takich poczciwych, bliskich sercu schodach. Odtąd się uśmiecham do Niego często (oczywiście, gdy nikt nie widzi), a ludzie się czasem dziwią, czemu mi tak wesoło. Może to kogoś zgorszy, ale Mu nawet dowcipy opowiadam. Szczytowym osiągnięciem byłby uśmiech przez łzy, ale to mi się jeszcze rzadko udaje. Odkryłam też, że na odwrót Pan Bóg się uśmiecha do swoich dzieci i warto się pomęczyć, żeby na ten uśmiech zasłużyć. Gdy to samo „morka b morky" usłyszałam na kazaniu, to nie trzeba mi było długo tłumaczyć. Dla ścisłości należy dodać, że dopiero ksiądz na kazaniu uświadomił

mi, że to wiem, i On to za mnie sformułował (zresztą jak zwykle). Jest faktem, któremu nigdy nie będę mogła zaprzeczyć, że to Pan Bóg nauczył mnie się śmiać. Chrystus ukryty w Najświętszym Sakramencie jest źródłem radości życia. Przez Niego odkryłam całe piękno świata i „urodę życia". Nauczyłam się, co to znaczy „afirmacja". „Nic mi, świecie, piękności twej zmącić niezdolne." Można powiedzieć, że radość jest jednym z głównych akcentów mojej modlitwy. Czasem to jest radość z wyboru, ale kto wie, czy ona właśnie nie jest bardziej uśmiechnięta. I dalej: siłą rzeczy uśmiecham się do życia i do ludzi. Nie tak dawno to było „zadanie bojowe", a teraz powoli wchodzi w nałóg. Pomyśleć: śmiać się nałogowo! Chciałabym umieć zarażać ludzi radością, zwłaszcza że (jak słyszałam w moim kościele) „Pan Bóg jest Przyjacielem dobrych myśli, dobrych słów i dobrych uśmiechów".

Druga rzecz: bo, wiecie, jestem straszny tchórz i jeszcze gorsza niedorajda. Wszystko, co nowe i obce, przedstawia mi się od najtrudniejszej strony. Wszystko mnie onieśmiela: ludzie, nauka, samo życie. Boję się żyć. Rzadko mi się zdarza przyjąć postawę zdobywczą wobec przyszłości. Wolałabym raczej uciec, zaszyć się w jakiś ciemny kąt i mieć święty spokój. Ale tak nie można. Czuję, że to byłby koniec tego, co w człowieku jest najlepsze i najbardziej ludzkie i co gwałtem dobija się o swoje prawa. Łatwiejsza jest prawda niż kłamstwo, a więc musiały dojść do głosu te ludzkie wartości. I wtedy „Prawica Pańska mnie podźwignęła". Jakoś łatwo zrozumiałam, że Pan Bóg jest ze mną blisko, na codzień, na dobry i zły los. Że ja wprawdzie swojej drogi nie znam, ale On ją zna i wie, co mnie na niej czeka i że droga z Nim to jest wielka szansa na realizację pełni życia. Stąd się wzięła modlitwa ufności. Zaufać ze wszystkich sił i ... byle dojść do końca. Każde przezwyciężenie stanu „czarnej rozpaczy" też uważam za modlitwę, zwłaszcza, że znalazłam w Ewangelii „swoje zdanie": „Nie lękaj się, trzódko mała, bo spodobało się Ojcu waszemu dać wam Królestwo". I czego tu się bać?

W konkrecie ta wspólna droga to ze strony Boga Miłość i wspomagająca łaska, a z mojej próby walki, nie tyle ze złem, co walki o dobro. Tutaj modlitwa ma wiele do zrobienia. A więc (podpowiedziana) prośba o prawość woli, żebym nie kręciła i nie oszukiwała. Czasem zresztą proszę o różne rzeczy wbrew sobie: „Zmuś mnie, Boże, do tego, bo ja nie mam ochoty i chyba nie będę miała siły tego zrobić'. Wiem, że każda modlitwa jest w jakiś sposób wysłuchana. Albo: uznaję, że coś jest dobre i chciałabym tak postępować, ale w praktyce to się nie udaje. Tu się przydała rada mojego księdza: „Staraj się często rozmawiać o tym z Panem Bogiem". To naprawdę pomaga.

Najważniejsza sprawa miłości do ludzi. Bez tego nie ma mowy o wierności Bogu! A ja jestem super-egoistką. I dlatego muszę właśnie o ludziach dużo z Panem Bogiem rozmawiać. Patrzeć na nich tak, jak On, dostrzegać te wartości, które Pan Bóg w nich ceni, i starać się o takie wewnętrzne usposobienie, żeby nie zawodzić „na froncie". To wszystko obywa się na ogół bez słów, ale to jest chyba najbardziej modlitwa przyjaźni. Przecież jest powiedziane: „Miłujcie..., abyście byli dziećmi Ojca waszego". Sprawdza się! Rzeczywiście człowiek ma wtedy silne poczucie przynależności do Ojca. Często się modlę za ludzi i wyszukuję ich sprawy, które można powierzyć Bogu. Naprawdę w to wierzę, że modlitwa za drugiego człowieka jest skuteczna, chociaż czasem w sprawach po ludzku trudnych nie tak łatwo zdobyć się na ufność. Słyszałam wiele razy, że jeżeli człowiek ochrzczony klęka do modlitwy, to z nim jest cały Kościół, ale nigdy jeszcze tego nie „zobaczyłam" i właściwie nie bardzo wiem, jak to jest z tą „społecznością Kościoła". To są chyba dosyć trudne sprawy. Tak samo wiem, że Msza św. jest ofiarą Chrystusa i całego Kościoła, że ludzie ochrzczeni są, oprócz wspólnoty poglądów, związani jeszcze inaczej, ale nie zawsze to sobie uświadamiam.

Następna sprawa to kształtowanie światopoglądu. Jeżeli Pan Bóg „zagarnął" i ogarnął całą moją osobowość, to także moje myślenie i wartościowanie. To jest takie naturalne, że dziecko chce patrzeć i myśleć tak jak Ojciec. Tak bym czasem chciała usiąść przy Nim i pogwarzyć sobie o różnych rzeczach, trochę się podziwić, „pozdumiewać", popytać. To się nawet czasem zdarza i taka modlitwa jest źródłem moich „mądrości życiowych" (może być bez cudzysłowu) i, co ważniejsze, źródłem wiadomości o Bogu. Po takiej modlitwie już mi nie wolno narzekać na swoją nieporadność i nieprzydatność do czegokolwiek, a co najwyżej powiedzieć „błogosławiona słabość" (jeżeli może być *felix culpa*, to mnie też wolno!). Nie wolno mówić, że życie jest marne, ale że jest „niczego sobie".

Wartość życia uznaję tylko dlatego, że jest dane przez Boga z Miłości i uratowane przez Odkupienie. Jeżeli tak, to musi mi zależeć na tym, żeby było jak najlepsze. Mam powołanie na zwyczajnego człowieka (zaznaczam, że to brzmi dumnie) i chcę być wierna temu powołaniu. Chodzi o to, żeby w tym zwyczajnym „od rana do wieczora" było jak najwięcej miłości i żeby wszystko było zrobione jak najlepiej. Można się zakochać w szarym dniu powszednim właśnie dlatego, że on może być modlitwą. To jest wprawdzie miłość trudna i czasem człowiek ma wszystkiego wyżej uszu, ale od czego wolna wola? Na początku dnia uśmiech (zwykle

nieco zaspany) i uprzytomnienie sobie Bożej Obecności. Prośba wyczytana z mszału: „ochraniaj nas tak Swą Mocą, abyśmy się nie skłonili do żadnego grzechu, ale wszystkie myśli swoje, słowa i uczynki zwracali do spełnienia Twej Woli". Później jeszcze ofiarowanie dnia: „Wszystkie sprawy nasze, prosimy Cię, Panie, natchnieniem Swoim poprzedzaj, a pomocą wspieraj, aby wszelka modlitwa i praca nasza od Ciebie się zaczynała i przez Ciebie się kończyła. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen." To jest moja kochana modlitwa, bo tymi słowami modlą się „wszystkie sprawy nasze". Praca może być modlitwą. No, bo biorę swoje „środki produkcji", tzn. ołówek (dobrze zaostrzony), papier do pisania, zeszyt z wykładami tudzież własną głowę i zaczynam się wgryzać w powyższy zeszyt przy pomocy tejże głowy pomagając sobie ołówkiem. Ciężki chleb! A Pan Bóg patrzy i pewnie Mu się to podoba. A jak już człowiek „podpiera się nosem", to (jak się dowiedziałam na rekolekcjach) można „usiąść z Panem Bogiem na ławce i przy Nim odpocząć. Amen" (tak było powiedziane). W ciągu dnia często sobie przypominam o Panu Bogu albo „niechcący", albo „świadomie i dobrowolnie". Zresztą modlitwa zdarza mi się we wszelkich możliwych i niemożliwych miejscach. A wieczorem: „Staw się w obecności Bożej". Zawsze mam tę świadomość. A potem mniej więcej tak: „Przynoszę Ci dzisiejszy dzień. Przyjmij to, co było dobre, przebacz to, co złe. Dziękuję Ci za każde dobro, które się dzisiaj stało i za wszystko. Twojemu sercu polecam na całą tę noc wszystkich moich bliskich i dalekich." To jest schemat. Szczegóły są codziennie inne. Staram się jeszcze robić rachunek sumienia, ale nie zawsze. Jeżeli jest mi dane, to się modlę „od siebie". Noc sprzyja zwierzeniom. Bo przecież Pan Bóg tak dobrze mnie rozumie i tak wie, czego mi trzeba. Odnalazłam w Nim Towarzysza i Przyjaciela mojej samotności i wrażliwości, bo przecież na pewno każdy człowiek jest w głębi serca bardzo piękny. Pan Bóg ochrania ludzką indywidualność i potrafi tak wspaniale wydobywać z człowieka to, co w nim najpiękniejsze i najprawdziwsze. Przed Nim można być sobą i nie hamować swoich „idealnych" porywów, bo tam każde słowo znaczy to, co znaczy i nie tanieje. Zresztą słyszałam kiedyś taką zachętę: „Moi drodzy! Miejcie swoje tajemnice z Bogiem." W ogóle modlitwa jest prawie synonimem największej tajemnicy. Nigdy nikomu na świecie nie powtórzyłabym swojej modlitwy. Jeżeli to robię teraz, to tylko dlatego, że anonimowo. Jest oczywiste, że modlitwa indywidualna powinna być „w skrytości". Kiedyś to zobaczyłam: widziałam jezioro Ciemnosmreczyńskie z Gładkiego Wierchu. Leży sobie w dole, takie urocze, a tak nie dba o to, czy jest podziwiane. Po prostu tak sobie jest! Cicha modlitwa Ciemnosmreczyńskiego jeziora.

Przepraszam za tę wstawkę, ale tak mi się napisało.

Można aż do bólu tęsknić za Bogiem. Cenię sobie tę tęsknotę i proszę, żebym tylko nigdy nie przestała tęsknić, żeby mi nie było wszystko jedno, żebym sercem przylgnęła do Niego i tak się z Nim zrosła jak latorośl z krzewem winnym. Stąd się bierze bardzo często motyw otwarcia i oddania. „Weź mnie i wychowaj na takiego człowieka, jakiego chcesz mieć", albo „mieszkaj i czuj się tu jak u siebie w domu". Bardzo mi trafiło do serca takie proste zdanie z któregoś kazania: „Ty jesteś moim Bogiem, a ja jestem Twoim człowiekiem". Kapitalne zdanie! Tylko chodzi o to, żeby w tym Twoim człowieku było jak najwięcej miejsca dla Ciebie, żeby nie było „mroków drzemiących po kątach" („posępnego dumania" już nie ma) i żeby nie było tak, że „swoi Go nie przyjęli".

Czasem jest mi ciemno i wtedy najważniejszą sprawą jest utrzymanie łączności. Za wszelką cenę utrzymać łączność, ratować, co się da i nie robić głupstw. Musi mi wystarczyć świadomość, że tam gdzieś po drugiej stronie Ktoś słucha i wie. Jest blisko jak zawsze. Wystarczy zawołać. Tylko że ja tego nie czuję. Wtedy modlitwa staje się świadomym aktem woli. Klękam, składam ręce, tak, jak mnie mama nauczyła we wczesnej młodości i ...no i co? Nic nie umiem powiedzieć. Czasem człowiek całkiem nieźle rozumie, co to znaczy „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie".

Od dzieciństwa dostrzegałam wartość Mszy św., jako że pilnie uczyłam się religii. Z okazji pierwszej Komunii św. dostałam mszał ks. Tomanka i często się nim posługiwałam. W okresie kryzysu religijnego przestałam aktywnie uczestniczyć we Mszy św., ale pozostała sympatia dla liturgii i świadomość, że przejęcie się Mszą św. jest świadectwem rzetelności wiary. W kościele akademickim poznałam Mszę św. recytowaną i prawie od razu „wpadłam". Pamiętam moje pierwsze wrażenie: ci ludzie tworzą jakąś całość, coś ich łączy, gdy tak razem klęczą i wspólnie się modlą. Chyba nie przypadkowo przypomniały mi się katakumby i pierwsi chrześcijanie. Ołtarz stał na środku. To była nowość, którą powitałam z entuzjazmem, ale bez zaskoczenia: tak powinno być. Czułam, że się znajduję zewnątrz tej społeczności, ale wiedziałam, że zbliżyć się do ołtarza trzeba przede wszystkim sercem. Gdy odżyła moja wiara, zaczęłam się zbliżać do Mszy św. Przyswajałam sobie i tłumaczyłam „na swój język" modlitwy mszalne. Moim ideałem był ścisły związek życia z Mszą św., żeby wszystko skupiało się wokół ołtarza. Stamtąd brać energię, tam przynosić z powrotem swoje sprawy. Właśnie w okresie największego zainteresowania Mszą św. zdobyłam *Rozważania* ks. Pietraszki. Bardzo dużo dała mi ta książka i bardzo jestem za nią wdzięczna Autorowi. Jeszcze dzisiaj podczas Mszy św. przypominają mi się niektóre myśli.

Jak uczestniczę? A więc najpierw uroczysty znak Krzyża wraz z księdzem i ludźmi. Potem radosne stwierdzenie, że przystępuję do ołtarza Bożego. Prawda o Bogu, który uwesela młodość moją, jest oczywista. Kiedyś Mu powiedziałam: „Ty jesteś moim uśmiechem". „Osądź mnie..." — tak bardzo chcę, żeby przyszedł ktoś z zewnątrz i pokazał, co i jak trzeba zmienić, żeby być bliżej Niego. „Wszak Ty, Boże, jesteś Mocą moją" — dobrze to wiedzieć, bo jestem słaba. „Wyślij Światło i Prawdę Swoją" — nie tak dawno to była treść mojej rozpaczliwej modlitwy, powtarzanej w kółko, dopóki nie uchyliła się zasłona. A więc jak refren powtarzam słowa: „I przystąpię do ołtarza Bożego, do Boga, który uwesela młodość moją". Na harfie grać nie umiem, ale zdarza mi się śpiewać bez słów. I czego ty się, dziewczyno, martwisz z byle powodu? Miej nadzieję w Bogu!

„Pomoc nasza w Imieniu Pana" — tryumfalne „A widzisz" pod adresem mojej słabości. Potem *Confiteor*. Tu mi się zawsze przypomina myśl z *Rozważań:* „Kapłan przed ludem, a lud przed kapłanem wyznają swoje grzechy. Ludzie stają się bliscy i prostsi". Bardzo prawdziwie brzmi to *Confiteor*, gdy jest za co żałować. A gdy nie ma — to dzięki Bogu! Bo to Jego dar. A później kapłan przyzywa dla skruszonych serc pełni zmiłowania Bożego.

Introit. Tyle tych zdań zrosło się ze mną. Czasem budzę się ze słowami: „Do Ciebie wznoszę serce, Boże mój, Tobie ufając nie zginę". I jak tu nie wstać! Albo: „Prawica Pańska dokonała czynów wielkich. Prawica Pańska mnie podźwignęła. Nie umrę, lecz będę żył." I tak się cieszę, że „będę żył". Albo: „wesel się, ziemio, radujcie się, wyspy mnogie". I „wyspy mnogie" stają na głowie z radości. Jest jeszcze jeden przykład: powracająca w Adwencie prośba: „Panie, daj mi poznać drogi Twoje i ścieżek Twoich mnie naucz". Rok temu tymi słowami prosiłam o rozeznanie i delikatność sumienia, a teraz o poznanie kierunku mojego przyszłego życia, żeby było zgodne z „planem z góry". Inna treść, bo zmieniły się problemy życiowe. Modlitwy Kolekty są też czymś własnym i bardzo bliskim. Potem lekcja i ewangelia, z których zawsze staram się coś przyjąć. Kazanie — to inna sprawa, ale to na „mojej" Mszy św. jest prawie zawsze na temat Ewangelii, a zawsze jest podpowiadaniem modlitwy. Bardzo dziękuję!

Nareszcie Ofiarowanie! Słowo daję, że mam ochotę razem z księdzem podnieść ręce, zwłaszcza że odprawia twarzą do ludzi (ważne!) i że bardzo godnie i starannie wykonuje wszystkie gesty (bardzo ważne). Modlitwy na ofiarowanie są bardzo własne, bo przecież zawsze coś do kościoła przyniosę albo „przywlokę" (zależnie od ciężaru). Między linijkami jest zawsze tak: „Weź moje radości

i zmartwienia, problemy i niepokoje. To, co wiem, a jeszcze bardziej to, czego nie wiem. Moje tęsknoty, moją młodość, żeby jej życie nie zniszczyło. Moją słabość, bo to jedyny mój majątek i całe „od rana do wieczora". To wszystko jest zawarte w tym „Przyjmij, Ojcze święty, tę Hostię niepokalaną". A ponieważ jestem egoistką, więc dopiero *Rozważania* przypomniały mi, że to jest za wszystkich obecnych i w pewnym sensie za wszystkich ludzi, i że ta patena jest ciężka. Myśl: podtrzymać ją! Przy ofiarowaniu przypominam sobie po raz drugi, o „wszystkich tu obecnych". Potem jest jeszcze kielich i zawsze aktualna modlitwa: „Pokornych duchem i skruszonych w sercu racz nas przyjąć". No, bo przecież właśnie chodzi o nas. *Veni Sanctificator* — znowu *Rozważania* zwróciły mi uwagę na prostotę i głębię tej modlitwy. Z całego serca proszę: „Przyjdź..." zwłaszcza że ksiądz takim pięknym modlitewnym ruchem wznosi i składa ręce. Świadoma odpowiedź na *Orate fratres*. Apel: *Sursum corda* i prefacja. Wolę śpiewaną, ale trudno. Ale zawsze: *Vere dignum*... Po *Sanctus* wszyscy równocześnie klękają. To jest rys wspólnoty. I chociaż teraz każdy modli się sam, to jednak jest łączność. To się czuje. Tu chyba gra rolę ważność chwili, która nastąpi. Czasem zastanawiam się, czy ksiądz, który stoi parę metrów dalej i bierze chleb do ręki, wie, że jesteśmy blisko, razem z nim. Zresztą cały Kanon przed Przeistoczeniem jest modlitwą wspólnoty: cały Kościół, Ojciec św., biskupi i wszyscy wierzący, ludzie najbliżsi i ich sprawy, a wreszcie Matka Boża i święci. Wszyscy przy ołtarzu! A później jeszcze prośba o przyjęcie ofiary „całej rodziny Twojej". Prośba, „aby nam się stały Ciałem i Krwią". Ksiądz błogosławi Hostię i puszkę z komunikantami. Nie zapomniał! W kościele robi się bardzo cicho (naprawdę!), tylko słychać krzyk jaskółek nad kopułą albo zgrzyt tramwaju na skrzyżowaniu. Trudno usłyszeć słowa konsekracji. Przyklęka. To już! Potem kielich. Naprawdę tutaj człowiek nic nie może (*Rozważania*).

Na Kanon po Przeistoczeniu już mi zwykle brakuje siły i nie mogę się skupić. Jeszcze wysiłek na *Nobis quoque peccatoribus* — memento indywidualnego człowieka. „Ojcze nasz" jest zawsze świadomie wspólne. Nowa koncentracja uwagi: to już jest bezpośrednie przygotowanie do Komunii św. Każda prośba ma swoje szerokie zaplecze tam, poza kościołem, ale jest w szczególniejszy sposób zwrócona do Ojca poprzez Chrystusa Eucharystycznego, który teraz, wiem to, jest na ołtarzu. Potem serdeczne życzenie pokoju Bożego i tak samo serdeczna odpowiedź. Od niedawna w tym miejscu przypomina mi się Ojciec św. Jan XXIII. „Baranku Boży" — ufność, bo skoro gładzisz grzechy świata, to wybaw mnie od wszyst-

kich nieprawości moich i od wszelkiego złego. Bo jeżeli przez Mękę Swoją świat ożywiłeś, to nie pozwól odłączyć się od Ciebie. Najbardziej boję się odłączenia z własnej winy, a wiem, że mogę. Nawet wiem, jak łatwo!

„Panie, nie jestem godna"... chyba najprawdziwsze słowa, jakie można powiedzieć Bogu.

„Ale rzeknij tylko słowo"... „I uwierzył ów człowiek słowu, które mu powiedział Jezus" — mówi Ewangelia.

Ludzie klękają wzdłuż kościoła. Ksiądz schodzi od ołtarza, idzie daleko, czasem aż do samych drzwi i pochyla się nad każdym z osobna. To nie tylko wygoda i uniknięcie zamieszania. To jest wymowny symbol! Wystarczy popatrzeć uważnie, żeby dużo rzeczy zrozumieć. Jak się modlę po Komunii św.? Czasem mam „natchnienie", czasem jakaś myśl z kazania, czy tekstu Mszy św., o której staram się porozmawiać. Ale na ogół nic nie umiem powiedzieć. Wtedy mówię po prostu: „Nic Ci nie potrafię powiedzieć" i po prostu tak sobie jestem przy Nim. Albo Mu powiem: „Rób ze mną, co chcesz, bo ja chcę tego, czego Ty chcesz". Nie robię sobie z tego żadnych wyrzutów, bo przecież Pan Jezus to nie jest taki gość, niezbyt wygodny, którego trzeba zabawiać rozmową. Nie o gadanie tu chodzi, tylko o wierność w życiu. Czasem poza kościołem powraca moment wierności względem Chrystusa obecnego w Najświętszym Sakramencie, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o takie rzeczy, których nikt nie widzi, o myśli i uczucia. Czasem obiecuję coś trudnego jako *donum pietatis,* dar rodzinnej miłości.

Ale Msza św. jeszcze się nie skończyła.

Przypomnienie — wezwanie „Pan z wami", dużo mówiące zwłaszcza tym, którzy Go przyjęli w Komunii św. Ludzie trochę się mobilizują i skupiają się wokół ołtarza.

Modlitwa po Komunii. Chyba mi się nie zdarzyło, żebym na końcu nie dodała „No, właśnie".

Ite, missa est — echo Chrystusowego „Idźcie, ja was posyłam" (*Rozważania*). Świadomość odpowiedzialności za wzięty Dar — trzeba go zanieść życiu.

Błogosławieństwo Ojcowskie, na drogę, urzekające słowa ostatniej ewangelii. Dobrze, że ksiądz czyta pomału. Zawsze zdążę.

Ostatnie radosne stwierdzenie, że „słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami" i *Deo gratias!*

Wychodzę i „uśmiecham się do życia". Prawie zawsze słońce świeci. Tak jest na mojej Mszy św. recytowanej.

Na Mszy św. „dla ludzi" jestem trochę „szarpana sprzecznymi uczuciami". Bo co robić? Nie można tylko śpiewać i opamiętać się dopiero na Podniesienie i nie można się tylko modlić w swoim

kącie, bo to „nie wypada". Trzeba zrezygnować trochę ze śpiewu, trochę z modlitwy. Na pewno śpiew i tłum ludzi przeszkadzają w skupieniu, ale wcale nie uważam takiego uczestnictwa za mniej warte. Przecież i na śpiew musi być miejsce, bo jest potrzebny i Msza św. powinna się odprawiać wśród tłumu różnych ludzi, bo jest dla wszystkich. Lubię się modlić razem z ludźmi, bo tak ma być. Kościół to jest społeczność a Pan Bóg jest Ojcem wszystkich. A poza tym dobrze wiedzieć, że nas jest tyle.

Osobna sprawa — to przeżywanie razem z Kościołem całego Roku Liturgicznego. Nauczyłam się w moim kościele, co to znaczy *sentire cum Ecclesia* (przynajmniej mniej więcej).

WNIOSKI DUSZPASTERSKIE I WYCHOWAWCZE

ANKIETA o modlitwie nie ma właściwie charakteru postulatywnego, nie jest jakimś sondażem w sprawie reformy. Bezimienni, którzy się modlą, opisali po prostu swoje przeżycia — mówią o tym, co w swoim życiu uważają za łaskę, za co są wdzięczni Bogu i ludziom. Mówią też o trudnościach, o potrzebach, planach, postanowieniach. Większość żądań stawiają sobie samym — i to jest bardzo cenne. Niemniej te opisy dróg życia i dróg modlitwy nasuwają także wnioski i projekty o charakterze społecznym — duszpasterskim i wychowawczym. Czytając ankietę można niejako naocznie przekonać się, że wiele konkretnych poczynań tak rodziców jak i księży przyniosło kiedyś owoce i przynosi je nadal. A z drugiej strony widać też wielkie, palące, niezaspokojone potrzeby duchowe ludzi — i fakt, że duszpasterstwo nieraz się z nimi rozmija.

Modlitwa zawsze będzie czymś trudnym, co trzeba wypracować — i jednocześnie darem Bożym, darmo danym. Nie chodzi o to, by ją jakoś sztucznie ułatwić, ustawić czy wyreżyserować pomijając rolę łaski i współpracującej z nią osobowości ludzkiej. Taki plan byłby i naiwny, i szkodliwy. Ale z pewnoś ią można i trzeba tworzyć klimat sprzyjający modlitwie. Przede wszystkim trzeba, aby jej istota i wartość przeświecała przez wszystkie gesty i czynności Kościoła, przez Jego codzienność i odświętność, aby to wszystko, z czym stykamy się na zewnątrz, nie gasiło ducha, lecz wspomagało go... Ostatecznie chodzi o to, by życie wewnętrzne — życie miłości, która jest jedna — zajęło w Kościele to miejsce, które ma w Ewangelii.

Wnioski, jakie tu przedstawiamy czy raczej streszczamy, zmierzają, jak sądzimy, w tym właśnie kierunku. Ich ciężar gatunkowy jest nierówny — niektóre dotyczą spraw kluczowych, inne raczej drobiazgów. Są między nimi dość śmiałe, są i bardzo ostrożne. Wszystkie są dość tymczasowe — w bardzo wielu sprawach musimy czekać — ale nie biernie — na to, co przyniesie Sobór, zwłaszcza na reformę liturgii, której wpływ i zasięg (w praktyce, nie w teorii) trudno na razie przewidzieć.

1. WYCHOWANIE I SAMOWYCHOWANIE DO MODLITWY

Wyniki ankiety potwierdzają tezę, że w rodzaju postawy religijnej konieczny jest okres inicjacji — wprowadzenia w głębsze pojmowanie tajemnic wiary. Przygotowanie do I Spowiedzi i Komunii św. nie może zastąpić swoistego wtajemniczenia, jakie jest potrzebne u progu dojrzałości, gdy człowiek osiąga pewną samodzielność myślową i moralną. To wtajemniczenie ma charakter teoretyczno-praktyczny — chyba więcej w nim znaczą przeżycia niż wiadomości. Niestety, często to wtajemniczenie przychodzi późno — albo w ogóle nie następuje, bo brak kontaktu ze środowiskiem religijnym, które mogłoby go udzielić. Zwykle podkreśla się niedostatki wiedzy religijnej u dorosłych, nieznajomość liturgii, niedostępność jej języka itp. Wiedza na pewno jest konieczna, ale nie tak znów trudno sięgnąć po nią, przynajmniej w miastach. Problem tkwi w braku zainteresowania, w poczuciu, że wszystkie te rzeczy są obce, nie dla mnie, zawiłe, zbędne... Trzeba więc także — a może przede wszystkim — troszczyć się o tworzenie warunków, w których ludziom łatwiej byłoby *przeżyć* dane prawdy religijne, a nie tylko *dowiedzieć się* o nich.

Nowoczesna katechetyka kładzie wielki nacisk na problem przeżyć religijnych dzieci — nauczanie religii ma być raczej wychowaniem religijnym a nie teoretycznym studium. To samo dotyczy dorosłych, z tym że w tym wypadku chodzi o samowychowanie. Człowiek dorosły sem pracuje nad sobą, ale i on potrzebuje bodźców, potrzebuje pomocy — środowiska religijnego, atmosfery, okazji do zapoznania się z odpowiednią literaturą, kontaktów przyjacielskich z ludźmi, którzy mogą służyć dobrą radą... Tego wszystkiego dotkliwie brak. Można przejść przez życie prawie nie wiedząc, czym jest religia, prawie nie znając modlitwy poza dziecinnym pacierzem.

Ale wróćmy do konkretów.

Wielu uczestników ankiety żywi głęboką wdzięczność dla swoich rodziców za to, że słowem i przykładem dali podstawy dla ich życia religijnego. Wspominają domową naukę pacierza, wspólne modlitwy — ze wzruszeniem, ale czasem z żalem, że nie nauczono ich czegoś więcej, że nikt nie miał odwagi lub umiejętności sięgnąć bardziej w głąb, że nauka była powierzchowna, czysto pamięciowa. To bardzo znamienne, że mało kto przypomina sobie rozmowę z rodzicami, która pokazała mu szanse osobistego kontaktu z Bogiem, możliwość modlenia się własnymi słowami, czy w ogóle bez słów. Dzieci czasem do tego dochodzą, ale raczej spontanicznie, pod wpływem okoliczności.

Gdy skończyłem dziesięć lat, zacząłem naukę w gimnazjum. Znalazłem się wśród obcych ludzi, a do domu wracałem tylko na święta i na wakacje. Po raz pierwszy dziecko zetknęło się z obojętnością, skrajnym egoizmem a niejednokrotnie zepsuciem lub wręcz wrogością (obca szkoła, o tendencjach jawnie rusyfikacyjnych) otoczenia. Zanim rozwinęły się moje własne zdolności do samoobrony i walki, ratowałem się zamknięciem się w skorupce samotności i wspomnieniami. W tych wspomnieniach dom unosił się jak bezpieczna przystań niezamąconej szczęśliwości a codzienny pacierz należał do niej. Wystarczyło to, by wytrwać przy nim — mimo kpin złych czy tylko głupich kolegów. Bo te kpiny wychodziły z wrogiego świata, wobec którego trzeba było zaciąć zęby i nie ustąpić nawet na cal. Jeśli pamiętam dobrze, nie było jeszcze głębszego, choćby tylko uczuciowego, stosunku do modlitwy, lecz odmawianie pacierza nabierało jakiejś nowej wartości: stało się ogniwem łańcucha łączącego z kochanymi istotami, które o tym czasie modliły się również.
(*Ank. 195, mężczyzna, lat 65, wykszt. wyższe, małe miasto*)

Nauczono mnie modlitwy we wczesnym dzieciństwie. Składało się na nią „Ojcze nasz", „Zdrowaś Maryjo", „Wierzę w Boga" i Dziesięcioro Przykazań i pilnowano, abym codziennie, rano i wieczorem je odmawiał. Robiłem to raczej mechanicznie. Dziś, wracając do domu na wakacje, również klękam do modlitwy, jednak nie z wewnętrznej potrzeby, a nawet nie z poczucia obowiązku, lecz by nie sprawiać przykrości matce i nie narażać się na przypomnienie z jej strony w tym względzie. Mieszkając w Domu Studenckim nie klękam do modlitwy. Nie klękają również moi koledzy, choć wiemy o sobie, że jesteśmy katolikami i przed sobą deklarujemy się, że chcemy być katolikami praktykującymi. Czy jednak nie modlimy się leżąc w łóżku lub siedząc przy stoliku, nie wiem. Ja czasem tak robię. Uważam, że modlitwa powinna być moją osobistą rozmową z Bogiem. Nie musi ograniczać się do powtarzania wyznaczonych modlitw i być powtarzana w ściśle określonych okresach czasu.
(*Ank. 369, student, lat 22*)

Modlitwy nauczyli mnie dziadkowie. Była to jednak modlitwa tradycyjna, kazano mi się po prostu tak modlić. Była to dla mnie zwykła formalność. Wyklepywałam więc „Ojcze nasz", „Zdrowaś", „Wierzę" i 10 przykazań. Nie przypuszczałem, że modlitwa może być czymś, co się przeżywa i czymś, co uczy działania i życia. Nikt mi nigdy tego nie mówił. Wszystko więc kończyło się na wykonaniu „pańszczyzny".
(*Ank. 329, nauczycielka, lat 26, duże miasto*)

Kiedyś w dzieciństwie uczyła nas (mam brata) Mama słów modlitwy: „Ojcze nasz", „Zdrowaś" i Skład Apostolski. Rezultat był taki, że mówiłam — „Bądź Wola Twoja jako w niebie, ptaki na ziemi..." Te „ptaki" były jakoś zrozumiałe. Chociaż odmawiałam głośno, nikt jakoś nie zwracał uwagi. Takie „klepanie" niezrozumiałych pacierzy często mnie zniechęcało, bo po co? i do kogo? do wyblakłego obrazka nad oknem? W ogóle Bóg był Istotą nieznaną (słyszałam nieraz, że niekoniecznie trzeba chodzić w niedzielę do kościoła, żeby się pomodlić, chociaż się chodziło: że Bóg jest wszędzie obecny, to można pomodlić się w domu. Ale ja tego nie widziałam, żeby liczono się z obecnością Bożą, żeby starsi klękali do pacierza, a wspólna modlitwa była nie do pomyślenia). Pacierz stał się ciężkim obowiązkiem zwłaszcza rano. Był egzekwowany pasem albo groźbą niedostania śniadania. Zacinało

mnie to tylko w uporze (nie bez znaczenia było tu pewnie lenistwo wątłego organizmu). Może też i dziecięca logika wyczuwała, że modlitwa a śniadanie to coś innego, i na innej płaszczyźnie, że nie może być wymuszona groźbą głodnego żołądka.

Pierwsza Komunia minęła bez echa (nie byłam dobrze przygotowana, chociaż ksiądz zrobił wszystko), bo nie byłam lepsza ani gorsza od dzieci w tym wieku. Jedno zdarzenie tylko zapamiętałam. Miałam już chyba ze 13 lat. Rodzice musieli wyjechać na jeden czy dwa dni. Pozostaliśmy wraz z młodszym bratem pod opieką krewnej, która przyszła z nami przenocować. I trochę szorstkie pytanie: — Jak wy się modlicie? Uklękła razem z nami na środku pokoju i razem z nami odmówiła głośno cały pacierz. Niezapomniane przeżycie, że ktoś dorosły...!

(*Ank. 239, kobieta, lat 35, wykszt. średnie, małe miasto*)

Pierwsza zapamiętana modlitwa to pacierz mówiony za kimś starszym w domu i na końcu pacierza codzienna modlitwa za zdrowie ciężko chorującego od roku ojca. Matka była osobą wierzącą, ojciec chyba także, ale byli tak zapracowani, że niewiele mieli czasu na praktyki religijne. Może stąd wypływał brak jakiegokolwiek przymusu, nie tylko nie było wspólnych modlitw, ale nawet nie kontrolowało się starszych dzieci, czy odmówiony był pacierz poranny i wieczorny. O Bogu niewiele się mówiło, tyle tylko, że wymagał uczciwości i dokładnego spełniania obowiązków. To dał dom. Gdy dzieci dorastały, dalszym wychowaniem religijnym zajmowała się szkoła. Może mnie pamięć myli, ale według katechetów, przez których ręce przeszłam, Bóg tak jak w domowych pouczeniach, był wyrocznią, sędzią, surowym sędzią, a nie miłością — stąd niemal do ostatnich lat modlitwa była zawsze prośbą, tym żarliwszą, im większe czyhało niebezpieczeństwo. Owszem, były przebłyski dziękczynienia, ale to dawała przyroda.

(*Ank. 388, kobieta, lat 46, wykszt. średnie, osada fabryczna*)

Pamiętam, gdy, jako ośmioletnie dziecko, wysłana przez chorą Matkę w mroźny wieczór po chleb „na kredyt" z oporem i nieśmiałością biegłam uliczką do sklepiku i nagle, na powierzchni grubej warstwy śniegu w świetle księżyca, zasrebrzył się przede mną mały pieniążek. Oczom nie wierzyłam. Uklękłam i wydrapałam 10 kopiejek, kwotę aż nadto dużą, aby nabyć bochenek chleba. W porywie wdzięczności wyrwało mi się: ,Boże mój. Bożyczku kochany, jakiś Ty dobry! „żydówka" nie będzie się krzywiła, że Mamusia jeszcze nie oddała poprzedniego długu. Myślę, że to była najszczersza modlitwa w moim życiu.

Potem różnie potoczyły się dzieje mojej modlitwy. Upomnienia Matki: „Wstawaj, bo nie zdążysz zmówić pacierza przed pójściem do szkoły", albo: „Nie rozsypiaj się, mów pacierz, myj się" itd. — to były prawie konieczne bodźce do spełnienia obowiązku pacierza porannego lub wieczornego.

(*Ank. 132, nauczycielka, lat 73, wykszt. wyższe*)

...Już nie pamiętam, kto mnie nauczył modlić się, w każdym razie najbliżsi w rodzinnym domu, gdzie modlono się dużo i często. Pamiętam jedynie, że w dzieciństwie te długie, wspólne modlitwy, rozmyślania itd. napawały mnie okropnym wstrętem, buntowałam się gwałtownie i jawnie przeciw obcym psychice dziecka gwałtom. Nie pamiętam, aby modlitwa sprawiała mi radość czy była wewnętrzną

potrzebą. Była najczęściej przymusem, czynnością tradycyjną. Tak było aż do momentu rozwinięcia własnego życia wewnętrznego, gdzieś do lat 13. Proces ten nastąpił zupełnie niespostrzeżenie i dziś pewna jestem, że źródła jego należy szukać właśnie w tym twardym, że aż nudnym, religijnym wychowaniu domowym.

(*Ank. 176, kobieta, lat 35, wykszt. wyższe, duże miasto*)

...Rodzice i rodzeństwo, wszyscy razem wieczorem, przed udaniem się do łóżek, klękaliśmy, odmawiając wspólnie „Ojcze Nasz", po czym Ojciec głośno, a reszta rodziny cicho za nim powtarzała prostymi słowami podziękowanie Bogu za miniony dzień, za wszystkie Jego łaski, oraz prośbę o opiekę i błogosławieństwo na dalsze życie. Były to proste, słowa, szczere, tak naprawdę z serca płynące. Był to bezpośredni kontakt z Bogiem.

Rodzice nauczyli mnie nie tylko słów modlitwy, ale zrozumienia jej treści.

(*Ank. 34, „Zeta", lat 34, wykszt. średnie, duże miasto*)

Problem uczestnictwa we Mszy świętej przedstawiał się podobnie jak sprawa osobistej modlitwy w domu. Owszem, zabierano na ogół dzieci do Kościoła, ale sam fakt doprowadzenia ich na miejsce miał wystarczyć. A w kościele nikt się małymi dziećmi specjalnie nie zajmował.

Modlitwy nauczyła mnie Matka, ale tego już nie pamiętam — pamiętam tylko jedyny raz, kiedy uczyła mnie, jak się mam modlić podczas Mszy św. Niewiele skorzystałam z tej nauki. Chodziłam zwykle na sumę, podczas której myślałam, co Mama gotuje na obiad, i że niedługo już suma się skończy.

Dopiero nauka przygotowawcza do pierwszej Spowiedzi i Komunii św. obudziła pewne zainteresowanie modlitwą. Zwykle po nauce szłam sama, a najczęściej z inną koleżanką do kościoła i modliłam się z książeczki odmawiając litanie czy inne modlitwy, lub odprawiałam drogę krzyżową.

W dzień pierwszej Komunii św. ksiądz prosił, by nie przynosić książeczki do nabożeństwa, ale sam wzbudzał akt wiary, nadziei, miłości i skruchy a myśmy za nim powtarzały. Była to moja pierwsza modlitwa, jaka później częściej miała miejsce, pozostała ona w pamięci jako mój pierwszy, bardziej świadomy kontakt z Bogiem.

(*Ank. 395, kobieta, lat 39, wykszt. średnie*)

O tym, jak się modliłam w dzieciństwie, niewiele mogę powiedzieć. Odmawiałam rano i wieczór wyuczony pacierz żałując, że nie jest to pacierz wspólny razem z rodzicami. W naszej rodzinie nie można było tego dobrego zwyczaju wprowadzić. W niedzielę byłam obecna na Mszy św. i pewnie niewiele rozumiałam z tego, co się działo na ołtarzu. Za wyjątkiem pierwszej Komunii św., kiedy uwierzyłam mocno w obecność żywego Boga w opłatku, nie pamiętam żadnego głębszego przeżycia. O ile sobie przypominam, nie słyszałam w tym okresie żadnego dobrego kazania na temat Mszy św.

(*Ank. 267, „Teresa", lat 25, wykszt. średnie, duże miasto*)

Od dzieciństwa miałam wpojony przez Matkę obowiązek uczestniczenia we Mszy św. niedzielnej. To była żelazna reguła, bo inaczej ciężki grzech. A tego bardzo się bałam. Jak wtedy uczestniczyłam? A więc śpiew, jakieś modlitwy z książeczki i to wszystko. A ja byłam bardzo ciekawa, co ksiądz robi przy ołtarzu. A tego mi nikt nie wyjaśnił. Dopiero później na rekolekcjach zamkniętych wyjaśniono mi głębsze znaczenie Mszy św. Zachęcono do uczestniczenia z mszalikiem w ręku. I odtąd moje życie religijne pogłębiło się. Mogę powiedzieć, że pogłębiła je codzienna Msza św. i Komunia św. Z początku obawiałam się, że wpadnę w rutynę. Ale nie — po czterech latach stwierdzam z radością, że każda Msza św. połączona z Komunią jest dla mnie przeżyciem. Jest dla mnie siłą w codziennym szarym życiu.
(*Ank. 191, „Stenia", lat 37, wykszt. podst. małe miasto*)

Wtajemniczenie w modlitwę wewnętrzną i zrozumienie Mszy św. było niemal bez wyjątku dziełem rekolekcjonistów i duszpasterzy akademickich — rzadziej katechetów. Pewną rolę odegrali także przyjaciele i koledzy — aktywni katolicy świeccy. Na ostatnim miejscu — niestety — znalazło się duszpasterstwo ściśle parafialne, może dlatego, że tu najbardziej brak tradycji osobistych kontaktów.

Tak było. Czy sytuacja się zmienia?

O ile można stwierdzić na podstawie tej ankiety — chyba tak.

1° Uczestnicy — chociażby *implicite* — dają wyraz swemu przekonaniu, że domowe wychowanie religijne musi dać dzieciom silne i głębokie przeżycia religijne, że rodzice powinni uczyć dzieci rozmowy z Bogiem. Niektórzy pracują nad tym w swoich rodzinach, opisują, co robią, snują projekty na przyszłość.

Martwię się, gdy nie umiem utrzymać modlitwy wspólnej z dziećmi (mąż jest niepraktykujący). Młodsze modlą się ze mną, ale starsze wolą swój dłuższy pacierz odmówić same. Twierdzą, że lepiej się skupiają, ale znów za często zapominają... nieraz, gdy widzę, że się modlą, klękam w drugim pokoju i proszę Boga, żeby był z nimi naprawdę.
(*Ank. 404, kobieta, lat 39, wykszt. średnie, małe miasto*)

Czy uczono nas modlitwy? Na pewno matka jako pierwszy nauczyciel każdego uczyła odmawiania modlitw — uczył i katecheta — ale czy ta nauka była na poziomie nauki wierszyka ot chociażby „Chory kotek"? Czy dziecko z takim samym uczuciem i rozeznaniem modli się jak deklamuje wierszyk? Czy zwracamy na to uwagę i dopomagamy w tym dziecku?
(*Ank. 382, mężczyzna, małe miasto*)

...uwaga na temat uczenia modlitwy zwłaszcza dzieci i młodzieży: należałoby może raczej tłumaczyć istotę modlitwy, wdrażać do podejmowania płynących z religijności konsekwencji w życiu i postępowaniu, niż kłaść nacisk na formy modlitwy i uprawianie tzw. „pobożnych praktyk". Chodzi mi o to, aby tradycyjne formy, przyzwyczajenia, automatyzmy nie utrudniały rozwoju ducha modlitwy. Walną pomoc w tym rozwijaniu widziałabym w przystępnym wprowadzaniu w liturgię i przekonywaniu o wadze i znaczeniu Mszy św.
(*Ank. 187, prac. naukowy, lat 43, duże miasto*)

Nie tylko kościół, ale i rodzice — a przede wszystkim rodzice — powinni wychowywać dzieci i uczyć je religii. Ale skąd rodzice to mają umieć? Spotykam się nieraz z pytaniami syna, na które nie jestem w stanie odpowiedzieć, jak np. co stanie się z ludźmi, którzy pomarli nie słysząc o prawdziwej wierze chrześcijańskiej? Jak to naprawdę będzie wyglądał Sąd Ostateczny?... Co to jest czyściec i wiele, wiele innych. Podobnie jak ja, wielu rodziców nie jest w stanie odpowiedzieć na te pytania. Moim zdaniem koniecznym byłoby przynajmniej tam, gdzie to jest możliwe, zorganizować jakieś wieczory dyskusyjne, coś w rodzaju nauki religii dla dorosłych. Ja miałam dość mądrych, choć nie wykształconych rodziców, ale nie wszyscy tym się mogą pochwalić. Mnie przynajmniej nauczono modlić się szczerze, ale większość ze środowiska, z którego pochodzę (wiejskiego), umie tylko „klepać pacierze" a to stanowczo za mało do życia i wychowania dzieci. (*Ank. 34, „Zeta", lat 34, wykszt. średnie, duże miasto*)

Najważniejsze jest, żeby od początku Pan Bóg był Osobą, do której razem z dzieckiem kierujemy jego paciorek, żeby nie przysłaniał Go ani Anioł Stróż ani Matka Boża. Dlatego najpierw trzeba uczyć dzieci odmawiać, „Chwała Ojcu", a potem, „Aniele Boży", paciorek najpierw króciutki, potem dłuższy, kierować do Boga przy krótkich wizytach w kościele (np. z okazji spaceru). Chodzić przede wszystkim przed główny ołtarz pokazywać złoty domek, w którym Pan Bóg czeka na ludzi, a obrazy i figury świętych zostawić na później. Dla stworzenia osobistego kontaktu z Bogiem zaczynamy paciorek dziecka od kilku jego zdań „własnych". U rocznego dziecka to może wyglądać np. tak: Matka trzymając dziecko na kolanach siada w miejscu, gdzie normalnie rodzina się modli. Mówi do dziecka: „pokaż, gdzie Bozia", „złóż rączki", może pochwalić i pogłaskać dziecko, jeśli mu się to udało, potem prowadzi dziecku rączki do znaku Krzyża św. i mówi np. „Kochana Boziu! proszę spojrzeć na Pawełka, Pawełek chce Bozi powiedzieć dobranoc. Dobranoc, kochana Boziu, »Chwała Ojcu...« Dziękuję Bozi za dzisiejszy dzionek i proszę o szczęśliwą nockę. Amen." I znowu znak Krzyża św. I nie przejmujmy się, jeżeli dziecko czasem wyrywa się nam przy tym, bo właśnie coś innego je zainteresowało. niech sobie spokojnie pobryka (jeżeli jest starsze rodzeństwo, to zwykle asystuje samorzutnie maluchowi przy jego pacierzu).

Wraz z rozwojem dziecka rozrasta się stopniowo jego modlitwa. Część pierwsza „dowolna", zawiera kilka prostych zdań na temat przeżyć dnia i „aktualności", tu też włącza się prośby i podziękowania. Dziecko rozwijając się, bierze coraz aktywniejszy udział w swojej modlitwie. samo już klęczy, część „dowolna" zaczyna stopniowo obejmować sprawozdanie z dnia połączone z „rachunkiem sumienia" (przypomina się co się zbroiło w ciągu dnia, i za to żałuje). Gdy dziecko ma sześć, siedem, osiem lat i przechodzi stopniowo pod wpływ nauczania Kościoła, bierze udział we Mszy św. i nabożeństwach dla przedszkolaków, potem dla dzieci szkolnych, zaczyna chodzić na naukę religii, wtedy rola matki zmienia się, staje się coraz bardziej dyskretna. Teraz matka powinna nastawiać się coraz bardziej na dawanie dziecku dobrego przykładu własną modlitwą, a przede wszystkim własną postawą życiową, bo to właśnie może mieć coraz większy wpływ na kształtowanie się osobistego kontaktu dziecka z Bogiem — czyli na jego modlitwę. Tyle rozważań teoretycznych na temat stanu idealnego. W praktyce dobrze jest, jeżeli to udaje się chociaż w części, jeżeli dziecko nigdy nie broni się

przed klękaniem do pacierza i jeżeli chociaż od czasu do czasu uda się wszystko tak, jak w marzeniach.
(*Ank. 406, kobieta, lat 38, wykszt. wyższe, małe miasto*)

Sprawa wychowania do modlitwy jest ogromnie ważna i wypadnie powrócić do niej osobno. Być może podejmiemy w tej czy innej formie myśl jednej z uczestniczek ankiety, aby zorganizować nową ankietę na ten temat.

2° Liczne ankiety zawierają wypowiedzi na temat komentarzy i objaśnień Mszy św. prowadzonych przez księży. Ta praktyka staje się coraz powszechniejsza i gdy chodzi o dzieci na ogół oceniana jest pozytywnie. Młodsi uczestnicy ankiety wspominają z wdzięcznością Msze szkolne i pomoc katechetów, ofiarowane przez nich mszaliki.

Dopiero w szkole średniej, prowadzonej przez siostry zakonne, zaczęłam interesować się liturgią i angażować się w życie Kościoła. Tutaj nabierał dla mnie barw cały rok liturgiczny, tu ukazywano mi sens świąt i znaczenie obrzędów. Na lekcjach religii zdobywałam wiedzę o Mszy św., uczyłam się modlitwy, pojmowałam powoli wartość ofiary i wyrzeczenia. Zaczęłam częściej uczestniczyć we Mszy św. Starałam się nie przychodzić z pustymi rękami. Mizerne to były dary (porządnie odrobione lekcje, pomoc koleżankom, post, cierpliwie znoszona choroba, nieudana praca klasowa, czasem po prostu własna nędza, niechęć do kogoś), ale ufam, że Pan Bóg nie wzgardził nimi. Pamiętam szczególnie jedną Mszę św., gdy podczas ofiarowania każda z nas składała na patenie białą hostię, symbolizującą jej własny dar, a potem kapłan te hostię konsekrował i dawał nam do Komunii św.

Starałam się na każdej Mszy św. przyjmować Komunię św. Zrozumiałam, co to znaczy opuścić Mszę św., że to to samo co przejść obojętnie obok Krzyża, na którym przecież za mnie kona Chrystus i za moje grzechy chciał cierpieć i z miłości do człowieka ponawia co dzień swoją ofiarę na tylu ołtarzach świata. Zlekceważenie Mszy św. — to szalony brak miłości z mojej strony.
(*Ank. 267, „Teresa", lat 25, wykszt. średnie, duże miasto*)

Pierwszej modlitwy nauczyła mnie matka. Była to modlitwa dobra dla dziecka, niewystarczająca jednak dla dorastającej dziewczynki. Dalsza nauka religii przy parafii też niewiele więcej dała, uczyli mnie różni księża w różny sposób, lecz żaden z nich, mimo najlepszych chęci (w które absolutnie nie wątpię), nie miał tego tak potrzebnego daru przekazywania innym swoich wiadomości i przekonań. Tak było do 16-tego roku życia. Wtedy to zaczął mnie uczyć ksiądz prefekt, który był nie tylko urodzonym pedagogiem, ale przede wszystkim prawdziwym kapłanem. Słuchając jego wykładów po prostu wyczuwało się, że każdy omawiany problem głęboko przemyślał i przeżył; każde jego słowo świadczyło o tym, że jest mocno przekonany o słuszności tego, czego nas naucza. O sprawach wiary w ogóle, a o modlitwie w szczególności mówił tak rzeczowo, a przy tym pięknie i z takim przekonaniem, że słuchaliśmy go z zapartym tchem. Wykłady te zmuszały nie tylko do uwagi i myślenia, ale i przede wszystkim do czynu. Wyjątkową sztuką było, zdaje mi się, to, że nie uczono nas jakichś nowych formuł modli-

tewnych, ale postawy modlitewnej we wszystkich okolicznościach życia. Lekcje te budziły w nas potrzebę modlitwy, i to modlitwy m o j e j, czyli oddającej mój stosunek do Boga Stwórcy.
(*Ank. 290, „Ela", lat 27, wykszt. średnie, duże miasto*)

Z pozytywnych zmian trzeba się cieszyć, ale to wszystko jeszcze o wiele za mało. A więc co robić? C z e g o o c z e k u j ą l u d z i e m o d l ą c y s i ę o d s w y c h d u s z p a s t e r z y — i o d s i e b i e n a w z a j e m? Ankieta zawiera wiele szczegółowych postulatów i projektów. Oczywiście, dotyczą one raczej duszpasterstwa dorosłych. Postaramy się streścić je tutaj, ograniczając się do najważniejszych lub najczęściej powtarzających się w wypowiedziach ankietowych.

2. POSTULATY I PROJEKTY

ORGANIZACJA MSZY ŚWIĘTEJ

Z natury rzeczy świeccy niewiele mogą w tej kwestii zdziałać sami i dlatego w ankiecie brak postulatów pod własnym adresem — jednak cytowane teksty świadczą, że inicjatywa duszpasterzy będzie chętnie podjęta i to wtedy, gdy będzie śmiała. Jest gotowość przyjęcia rzeczy nowych, byleby były zrozumiałe i rzeczywiście skierowane ku modlitwie.

A oto wysuwane obecnie konkretne życzenia:

1. Ludzie dorośli bardzo nie lubią komenderowania. Stąd niemal jednogłośny protest przeciw poleceniom, wyjaśnieniom i komentarzom wygłaszanym z ambony p o d c z a s Mszy św. nie przeznaczonej dla dzieci. Ostatecznie może być jedna taka Msza — dla tych, co lubią i jeszcze nie umieją posługiwać się mszalikiem. Innym odbiera to szanse skupienia, a właściwie nic nie daje w zamian. Komentowanie Mszy trzeba jednak odróżnić od prowadzenia modlitwy — które czasem bywa dobre, ale musi być bardzo dyskretne.

Moim zdaniem niedopuszczalne są jakiekolwiek komentarze z ambony czy innego miejsca kościoła w czasie Mszy św. Nawet dzieciom nie należy tłumaczyć, tylko modlić się razem z nimi słowami kapłana. Tłumaczyć można i trzeba na nauce religii. Już można odmawiać głośno i Spowiedź Powszechną i Wierzę, i *Sanctus, Benedictus*, „Ojcze nasz", „Panie, nie jestem godzien".
(*Ank. 360 nauczycielka, lat 50, osiedle podmiejskie*)

Wdzięczny też byłem księżom, że wystrzegali się zbytniego dyrygowania z ambony czy od balasek i ciągłych komentarzy — jakie słyszy się w wielu kościołach w mieście. Przyznam się, że tego nie lubię, bo wydaje mi się wówczas, że to jest dopiero próbna Msza, a dopiero po niej nastąpi autentyczna Msza św.
(*Ank. 230, urzędnik, lat 40, duże miasto*)

Mszy św. recytowanych raczej nie lubię, może nie tyle zresztą recytacji ile komentarzy! Ten komentarz zbyt często jest komendą z ambony. Żeby księża wiedzieli, jak ta komenda działa! Głos ich wciska się w uszy, w mózg, w serce, denerwuje, czasem nawet złości! Nigdzie nie ma spokoju! Wszędzie megafony, wrzask, świdrowanie wnętrza, w kościele chciałoby się zażyć błogiej ciszy, utonąć w skupieniu... nie pozwala komenda. Myślę, że niejedno kazanie zamiast na filozofowanie czy „przykłady" można by poświęcić na dobry wykład o liturgii i znaczeniu Mszy świętej. A w czasie Mszy św. nie z ambony, lecz z chóru dyskretnie zaczynać wspólne modlitwy, których teksty winny być rozłożone na ławkach. W ten sposób „lud" sam się włączyłby w modły i odpowiedzi kapłanowi, a więc uczestniczyłby w sposób łatwy i nie zmuszający do posłuchu. Z czasem każdy znajdzie moment na własną modlitwę i na wspólną, zżyje się z „rytmem" i włączy w sposób naturalny w uczestniczenie we Mszy świętej. Tłumaczenie, nawet najlepsze, czynności księdza przy ołtarzu w czasie Mszy świętej jest jakby profanacją, denerwuje nieznośnie tych którzy się modlą, a nie pomaga tym, którzy się gapią, po nich to i tak „spływa", bo ich myśli krążą gdzie indziej.
(*Ank. 175, prac. umysłowy, lat 55, duże miasto*)

2. Z podobnych względów duża część uczestników ankiety wypowiada się przeciw recytowaniu modlitw na głos — więcej jest jednak zwolenników recytacji, ale dobrej, przemyślanej, nie mechanicznej. Daje ona poczucie wspólnoty i jest jakby naturalną reakcją na wezwania do modlitwy zawarte w tekstach mszalnych.

Lubię Mszę św. recytowaną. Nie umiem recytować, bo bardzo rzadko mam okazję uczestniczyć w takiej Mszy św. Ale w czasie takiej modlitwy czuję wspólnotę Chrystusa i nas modlących się. Zresztą na Mszy św. jest zawsze wspólna modlitwa.
(*Ank. 320, kobieta, wykszt. wyższe, duże miasto*)

Uczestniczenie we Mszy Św. ułatwia mi bardzo wspólna recytacja łacińska i wyraźne, głośne wymawianie przez kapłana tekstów zmiennych. Recytacja jednak musi nie być sztuczna, nie na „pokaz", która pani przekrzyczy którą panią — jak to się zdarza. Gdy czuje się, że ludzie rozumieją, co mówią i dlaczego to mówią — i modlą się wspólnie — uczestniczenie jest ogromnie ułatwione. Lubię, gdy kapłan jest przodem zwrócony do ludzi. Bardzo lubię również, gdy są śpiewane w niektórych momentach psalmy (na wzór francuskiego układu Gellinau). Lubię, gdy ksiądz konsekruje te hostie, które następnie rozdaje w czasie Komunii św. Ułatwia mi więc uczestniczenie we Mszy Św. wszystko to, co stwarza poczucie wspólnoty we wspólnej modlitwie, wspólnej — nie tylko z innymi ludźmi, ale z kapłanem.

Również lubię niedzielną Mszę Św. w kościele parafialnym, gdy się wspólnie śpiewa — o ile pieśni są dobrane odpowiednio.
(*Ank. 390, psycholog, lat 43, duże miasto*)

Odpowiadają mi recytowane Msze Św., bo jakoś uświadamiam sobie bardziej, że wszyscy „jedno" jesteśmy członkami Mistycznego Ciała Chrystusa w zasięgu Jego działania, wkorzenieni w Chrystusa w jedności wiary, stanowimy Ciało Mistyczne. Naszą ofiarę włączamy do daru miłości Boga w Jego uwielbienie, dziękczynienie i modlitwę odku-

pieńczą, łączymy się z Chrystusem Ukrzyżowanym zbawiającym świat, niejako upodabniamy czy przekształcamy się w Jezusa Chrystusa.
(*Ank. 256, księgowa, lat 43, wykszt. średnie, duże miasto*)

Pragnęłabym, żeby jak najprędzej Msza św. była odprawiana w języku narodowym i żeby wspólnie można było się modlić, wszyscy słowami kapłana ze zrozumieniem. Można by wprowadzić na razie w niektórych kościołach, na pewno cieszyłyby się takie nabożeństwa większą frekwencją i odnoszono by z nich większą korzyść. Nie byłoby ludzi stojących bezmyślnie i nudzących się.
(*Ank. 360, nauczycielka, lat 50, osiedle podmiejskie*)

Koledzy, którzy w czasie tego pisania są w pokoju, podpowiadają mi, abym napisał to, nad czym już nie jeden raz dyskutowaliśmy, i śmiało sformułował wnioski, do jakich wspólnie doszliśmy: Czy nie można by ułożyć jakiejś specjalnej modlitwy, którą kapłan wspólnie z wiernymi odmawialiby głośno jako przygotowanie wiernych do wysłuchania Mszy św.? Niechby to było chociażby tylko w niedzielę, gdy jest więcej ludzi w kościele. Następnie można by głośno odmawiać Spowiedź Powszechną, *Gloria* w języku polskim, „Wierzę w Boga" i „Ojcze nasz". Po zakończeniu zaś Mszy św. znów wspólnie modlitwa dziękczynna i chociażby pieśń: „Nie rzucim, Chryste"... lub inna. Uważamy, że modlitwy te dałyby nam pełniejsze uczestnictwo we Mszy św., zwłaszcza przy głośnym odmawianiu ich przez ogół wiernych. Dla chętnych na modlitwy z książeczki jeszcze by czasu starczyło, jak również na wspólny śpiew. Gdyby się dało to przeprowadzić, jako nasz polski wkład w dzieło soborowe? Może i ten sposób uczestniczenia we Mszy św. nie byłby najlepszy, ale bez porównania lepszy od dzisiejszego stania, ziewania i nudzenia się. No, i czekania na szybszy koniec.
(*Ank. 369, student, lat 22*)

Przez długi okres życia pielęgnowałam uczestnictwo we Mszy św., lecz nie było to to, czego doczekałam się teraz i o tym najbardziej chciałam nadmienić. Już drugi rok dobiega końca, jak mogę brać udział codziennie we Mszy św. recytowanej, wspólnej naprawdę z Mszalikiem na codzień. Teraz dopiero mogę naprawdę we Mszy św. uczestniczyć co dzień z całym Kościołem św. Kapłan objaśnia codziennie cechy świętego, łaski Boże i nawiązuje do codziennego naszego życia. Krótko, zwięźle, trafnie (5—7 minut mówi). W święta i niedziele ministrant głośno czyta części zmienne Mszy św. wszystkie. Wpleciona też jest w to gra organowa — śpiew krótki, stosowny do treści modlitw tego dnia w mszale. Kazanie niedzielne też jest. Dla mnie to jest doskonała modlitwa. Kapłan wyjaśnia przy okazji części Mszy św. uczestnictwo nasze w niej. Naprawdę wydaje mi się wyczerpane wszystko, co najlepsze na ziemi, w obcowaniu z Bogiem. Gdy ministrant w niedzielę czyta głośno części zmienne Mszy św., „przeżywam" je bardziej niż z cichego swego czytania z książeczki. Z jakimś pełniejszym, pełnym brzmieniem wkrada się ta treść do duszy. Sama niezdolna jestem zawsze w cichości zaakcentować sens tak mocno, jak odbieram go głośno, wspólnie (owszem, też, ale na innej mocno indywidualnej modlitwie, na wyjątkowych spotkaniach z Bogiem — „za łaską Jego"). Na czytaniu ministranta jest nieraz wyjątkowo cicho, aż czuje się natężenie słuchu, uwagi wszystkich i odbiera się jakoby od razu bardzo szeroko — rodzinnie, i słowa są nowe, bieżąco aktualne...
(*Ank. 273, kobieta, lat 39, wykszt. średnie, duże miasto*)

3. Samodzielne i naprawdę owocne korzystanie z mszału nie jest łatwe. Teksty polskie nie zawsze są zrozumiałe. Ale nie tylko w tym leży trudność. Uczestnicy ankiety, w tym także ludzie z wyższym wykształceniem i znający dobrze łacinę, skarżą się, że rzadko kiedy mogą nadążyć za kapłanem odprawiającym Mszę św. Takich głosów jest bardzo dużo.

Nigdy nie zapomnę Mszy św. odprawianych na Boże Narodzenie przez Ojca świętego Piusa XII i Jana XXIII transmitowanych przez radio watykańskie. Msze święte czytane — a trwały prawie godzinę każda. Każde słowo wypowiedziane przez Ojców św. było z całą pobożnością i ze spokojem wyraźnie wypowiedziane. Powtarzałem te słowa i przeżywałem w najwyższym uniesieniu bezkrwawą ofiarę odprawianą przez Namiestnika Chrystusowego.

A u nas? Czy podąży się za kapłanem w odprawianiu modlitw z mszalika? Gdzieś tam „połykając" całe ustępy — bezmyślnie klepiąc — aby tylko nadążyć za kapłanem. Po co ten pośpiech? Pośpiech niesłychanie szkodliwy — bo uczący nas lekceważenia — odbębnienia — ale nie modlitwy — rozmowy z Ojcem, który jest w niebiesiech...

Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł modlić się na Mszy św. tak odprawianej, jak odprawiali ją Pius XII i Jan XXIII. Szukałem takich Mszy świętych latami i we wszystkich kościołach — lecz, niestety, dotychczas nie znalazłem. O takie Msze św. proszę.

(*Ank. 382, mężczyzna, małe miasto*)

Mszę św. opuszczam jedynie wyjątkowo. Z książeczki modlić się nie lubię, po prostu dlatego, że nie lubię modlitw stereotypowych. Wprawdzie mam mszalik, ale i z tym kłopot, bo chociaż znam nawet łacinę, to jednak w żaden sposób za księdzem nadążyć nie potrafię. Chciałbym znać sekret, jak księża do takiej wprawy doszli.

(*Ank. 369, student, lat 22*)

Główne moje ćwiczenie podczas każdej Mszy (z małymi wyjątkami) polega na umiejętnym dopędzaniu kapłana (doszłam już do pewnej wprawy — ale z jaką szkodą). Cała treść i przeżycie ofiary zostają pominięte, gdyż przed oczyma mam same prawie migawki i myśli nie mogę zatrzymać na poszczególnych częściach. Wg mnie całe misterium odbywa się za prędko... Cierpię z tego powodu. Te okoliczności zmuszają mnie do tego, że podczas Mszy św. staję się widzem i słuchaczem, a nie uczestnikiem.

Z tymi kłopotami zwróciłam się raz do pewngo przełożonego zakonnego, ale w odpowiedzi starano mi się dowieść, że moje uwagi są nieuzasadnione. Nie bardzo mogę się z tym pogodzić, bo widzę szaloną różnicę, jaka zachodzi, gdy znajduję się na Mszy odprawianej w zwolnionym tempie. Zdarza mi się nieraz przyjść na Mszę zupełnie nieusposobnioną, po której, jeśli mam wtedy szczęście trafić na kapłana nie spieszącego się przy ołtarzu, wychodzę „nawrócona". I na odwrót, mogę mieć nie wiem jakie natchnienie do modlitwy — jeśli to będzie Msza migawkowa, będę zawsze poszkodowana. Modlitwa taka staje się dla mnie „literą". ...Powiedziano mi jeszcze, że do jednostki nie można się stosować, skoro nikt się nie skarży. Ale pod tym względem jednostką nie jestem. Znam ludzi praktykujących i stojących z dala od kościoła, których rażą te „wyścigi" w rzeczach najświętszych.

(*Ank. 350, pielęgniarka, lat 38, duże miasto*)

Największą bolączką odnośnie Mszy św. to sposób odprawiania jej. Uważam, że Msza św. jest właściwie odprawiana wtedy, jeżeli z postawy i zachowania kapłana niedwuznacznie wynika, że na ołtarzu jest Bóg, a w kościele są wierni, którzy uczestniczą w tej Mszy św. Niestety, bardzo często bywa np. tak: widać bardzo wyraźnie, że jest kapłan (i to w centrum zainteresowania); przy dużej dozie dobrych chęci i żywej wyobraźni można się domyślać, że jest Pan Bóg, a wiernych w ogóle nie ma. Jeżeli ktoś chodzi do kościoła tylko dlatego, że „wypada", z pewnością nawet nie zwraca na to uwagi; kto jednak modlitwę traktuje poważnie, tak że jest ona dlań (słowami ojca Malachiasza) „kwestią potrzeby wewnętrznej", czuje się niemile dotknięty takim sposobem odprawiania Mszy św., który lekceważy nie tylko wiernych obecnych w kościele, ale w pewnym stopniu nawet Pana Boga. Czy nie byłoby dobrze, by każdy ksiądz pamiętał, że Msza św., którą odprawia, nie jest tylko jego sprawą osobistą, ale że jest czynnością Kościoła, a ofiarą samego Chrystusa, a więc musi być odprawiona pobożnie, pokornie, a przede wszystkim z wiarą? Tak trudno dopatrzyć się prawdziwej, głębokiej wiary u kapłana, który w ciągu 25 minut odprawia (albo raczej „odstawia") Mszę św. śpiewaną z kazaniem.

(*Ank. 290, „Ela", lat 27, wykszt. średnie, duże miasto*)

Przeszkody w przeżywaniu uczestnictwa we Mszy św: pośpieszne, niedbałe odprawianie jej (co częściej zdarza się w centralnych województwach niż na Śląsku); niewyraźne „aby zbyć" odmawianie modlitw po Mszy św. roztargnienie ministrantów i lekceważący ich stosunek do służby ołtarza, co obserwuje się coraz częściej.

(*Ank. 207. kobieta, lat 56, wykszt. wyższe, duże miasto*)

4. Sprawa udostępnienia Mszy św. także nie wszędzie jest rozwiązana należycie. Nie zawsze godziny odpowiadają potrzebom terenu itp. Trzeba brać przy tym pod uwagę nie tylko potrzeby stałych mieszkańców. Osobny problem to dni świąt kościelnych, które nie są dniami wolnymi od pracy.

...Jeśli proboszczom (zwłaszcza zakonnikom) zależy, aby wierni wysłuchali Mszy św. w dzień pracy — niechże nie urządzają wieczorem długich, uroczystych, śpiewanych z procesjami, z wystawieniem Mszy św. Trzeba się liczyć, że przychodzą na nie ludzie zmęczeni całodzienną pracą, często bez obiadu, muszą stać (bo babuszki i panie, które były i siedziały na rannych Mszach św. wieczorem też okupują wszystkie ławki) i długa Msza św. mija się z celem — zamiast skupienia i modlitwy jest irytacja ze zmęczenia, że tak długo i takie długie kazanie.

(*Ank. 324, kobieta, lat 41, wykszt. średnie, duże miasto*)

5. Problem śpiewu. Niemal wszyscy narzekają na śpiew w kościele — niezależnie od tego, czy sami lubią śpiewać czy nie. Oto typowe głosy w tej sprawie.

Uznaję potęgę wspólnej modlitwy, nie lubię jedynie śpiewów w kościele, choć doceniam ich „społeczną" niejako rolę, ich „atrakcję" dla tych, którzy lubią śpiewać. Gdy ksiądz proboszcz z ambony nawołuje

do śpiewu, a ja modlę się z mszału, zawsze mam poczucie, że się wyłączam ze społeczności parafialnej, ale bardziej mi odpowiada osobiste uczestnictwo w ofierze Mszy św.
(Ank. 58, kobieta, lat 62, wykszt. średnie, małe miasto)

...Dla mnie prawdziwą torturą jest uczestniczenie we Mszy św., w czasie której ogół wiernych śpiewa pieśni nie mające nic wspólnego z tym, co się dzieje na ołtarzu. Zupełnie niewłaściwe wydaje mi się łączenie nabożeństwa majowego lub czerwcowego z Mszą św., podczas której śpiewa się litanie (niestety, ten zwyczaj wprowadzili u siebie księża jezuici). Mam wrażenie, że dużą odpowiedzialność za to, że część wiernych przychodzi do kościoła i stoi ze znudzonymi twarzami, ponosi duchowieństwo, które może za mało wprowadzało dawniej wiernych do pełnego uczestnictwa w obrzędach liturgicznych. Chyba między innymi organista uzgadnia z księdzem, jakie pieśni będą śpiewane w czasie Mszy św.
(Ank. 289, kobieta, lat 46, wykszt. wyższe, duże miasto)

Tutaj muszę poruszyć sprawę śpiewu w kościele, która nieraz była omawiana na łamach „Tygodnika". Czuję, że w tej sprawie jestem w mniejszości, bo ludzie na ogół lubią śpiewać w kościele, a księża do tego bardzo zachęcają. Tu jest właśnie coś, co wydaje mi się sprzeczne z wymaganiami, jakie stawiamy każdemu katolikowi, który ma naprawdę brać udział we Mszy św... Tylko pieśni przy wystawieniu Najświętszego Sakramentu są dla mnie czymś zupełnie nie zewnętrznym, łączą się z najgłębszym pragnieniem uwielbienia Boga. „U drzwi Twoich" jest chyba najpiękniejszą, najbardziej wzruszającą pieśnią kościelną, jaką znam i śpiewam ją zawsze tak, jakbym sama była autorem tak słów, jak i muzyki.
(Ank. 79, kobieta, lat 65, osiedle podm.)

Należy bezwzględnie wykluczyć w czasie Mszy św. śpiewy nie wiążące się treścią z tekstem Ofiary w danej chwili. Jakie to okropne wrażenie, gdy kilka staruszek „śpiewa" różne pieśni, a organista usiłuje je zmusić do głośniejszego śpiewania organami puszczonymi na cały głos. W ogóle organy jak i głos organisty w czasie cichej Mszy św., szczególnie, powinny być dyskretnym towarzyszem. W niektórych kościołach organista goni pieśń za pieśnią dosłownie bez chwili wytchnienia.
(Ank. 360, nauczycielka, lat 50, osiedle podm.)

Może najtrudniej modlić się na Mszy św. Tak trudno o skupienie. Zamykam oczy, żeby nie widzieć ołtarza, gdzie wszystko przyczynia się do rozpraszania: kwiaty, światła, dekoracje, aniołki, malowidła. Podobają mi się ołtarze oglądane na reprodukcjach w nowobudowanych kościołach. Tylko Chrystus i my ludzie. Tylko On i tylko na Nim zatrzymują się nasze oczy, nasza myśl. A chyba najwięcej rozprasza, przeszkadza i często uniemożliwia skupienie i modlitwę zarówno z książeczki jak i modlitwę myślną śpiew. Wiem, że tak być nie powinno, ale wielu obecnych na Mszy św. przeżywa te trudności. Wyjątek stanowią 2—3 pieśni śpiewane przez wszystkich. Natomiast intonowane i śpiewane przez cały czas i śpiewane gorzej lub lepiej mniej znane przez zebranych pieśni w czasie Mszy św. powodują w efekcie niemożność zmówienia choćby „Ojcze nasz" lub „Zdrowaś". Zaczynam kilkakroć te modlitwy i często skończyć nie mogę.
(Ank. 371 kobieta-lekarz, lat 66, małe miasto)

Organy, śpiewy, muzyka raczej mi przeszkadzają. Najgorsze jest jednak, jeśli na cichej Mszy św. kilka starych babć z własnej inicjatywy, bez organów, zacznie śpiewać; wtedy tylko wyć i uciekać. (*Ank. 62, kobieta, lat 53, wykszt. wyższe, duże miasto*)

Na wiosnę 1939 r. w ówczesnym naszym kościele parafialnym odbyły się misje dla inteligencji. Misjonarz, kapłan z prawdziwego zdarzenia, a nie „urzędnik Kościoła" — Kościół przede wszystkim jest jedyną instytucją, która nie znosi i nie powinna mieć urzędasów, a wymaga i potrzebuje Apostołów — m. in. wytłumaczył nam, czym jest Msza, którą stale i to słusznie nazywał „Najświętszą Ofiarą", i jak należy w Niej uczestniczyć, a nie „być obecnym". Jako pomoc do tego zachęcił nas do używania mszalika. Od tego czasu stale używam mszalika, który mi w pewnym stopniu pomaga w uczestniczeniu w Najświętszej Ofierze, podczas której mam albo staram się mieć przed oczami obraz albo wizję Golgoty. Dlatego tak bardzo, tak strasznie bardzo nie tylko przeszkadza, ale nawet najbardziej razi śpiew i wszelka muzyka. Dla nas dorosłych, przynajmniej dla tych, którzy chcą i usiłują świadomie i uważnie uczestniczyć we Mszy św. jest to dodatkowe utrudnienie, dodatkowa przeszkoda. Przecież na ołtarzu, choć w sposób bezkrwawy, powtarza się jednak Ofiara Krzyża. A my? My sobie śpiewamy, „muzykujemy" „A muzyczka tyrli, tyrli"... Wygląda to na to, że my się cieszymy z tego, że znalazł się Ktoś, Kto za nas nie tylko wówczas, ale stale się ofiaruje, a my nie tylko, że nie chcemy, nie zadajemy sobie żadnego trudu, aby w tej Ofierze uczestniczyć, ale staramy się sobie Ją jakoś uprzyjemnić.

6. Byłoby bardzo źle, gdyby te uwagi krytyczne miały zniechęcić duszpasterzy do pracy nad udostępnianiem treści i sensu liturgii — czy nad poprawą śpiewu w kościele. Wypowiedzi uczestników ankiety zdają się przynosić sugestie sprzeczne: jedni chcą, żeby było tak — drudzy całkiem odwrotnie. Ale gdy zastanowić się głębiej, okazuje się, że zasadnicze tendencje są zbieżne: wyraźny zwrot ku wewnętrznemu przeżywaniu religii, któremu wszystko powinno sprzyjać — muzyka i cisza, śpiew i recytacje, kazania, urządzenie wnętrza kościoła itp. Wszystko jest potrzebne — chodzi tylko o metodę. Trzeba, jak się zdaje, położyć większy nacisk na to, co prowadzi w głąb. Wierni muszą najpierw odkryć Mszę świętą — ona musi zająć właściwe miejsce w ich życiu — a wtedy opanowanie form uczestnictwa będzie sprawą prostą.

Ankieta wskazuje, jak wiele w tej istotnej sprawie znaczy lektura — stale też powtarzają się apele o dobre kazania o Mszy świętej. Ale to wszystko za mało. Praktyczną drogą do wtajemniczenia w istotę Mszy mogłoby być także propagowanie i organizowanie wspólnych Mszy św. przy różnych okazjach — Mszy łączących ludzi, którzy z tych czy innych racji są sobie bliscy: np. Msza dla rodziców dzieci, które razem przystąpią do pierwszej Komunii św., dla mieszkańców nowo oddanego do użytku domu, Msza dla solenizantów danego dnia i ich przyjaciół. Trzeba, aby ludzie raz znaleźli się bliżej ołtarza i ze świadomością, że to dla nich

i z nimi. W miejscowościach wczasowych i ośrodkach leczniczych można by organizować prawdziwe kursy liturgiczne korzystając z obecności ludzi, którzy mają czas i szukają jakiejś wspólnoty. Oto przykłady, ile może dać podobna inicjatywa.

Jeśli chodzi o Mszę św., żałuję, że tak niedawno, przed kilku dosłownie laty, zrozumiałam, że Msza św. to najdoskonalsza modlitwa. Były lata, że nie uczęszczałam na Mszę św. Dlaczego dziś nie ma kazań na temat Mszy św., jej części, jej treści.
(Ank. 360, nauczycielka, lat 50, osiedle podm.)

...Jestem o tyle w dobrej sytuacji, że rozumiem Mszę św., wiem, co się dzieje i po co.
To już zasługa naszych duszpasterzy akademickich. Studenckie codzienne „siódemki" nie są jakieś oderwane od życia, tkwią właśnie w najżywszym jego nurcie, są proste i zrozumiałe i po prostu potrzebne nam. Tu nie ma kapłana w roli aktora, my nie jesteśmy widzami — tutaj „odprawiamy" wspólnie tę Mszę św. Stąd rano rozchodzą się studenci na zajęcia, tu znowu przychodzą następnego dnia, by wspólnie się modlić, by czuć tę wielką jedność, by zaczerpnąć sił na cały długi dzień.
Tych kilka uwag może przyda się komuś, może pozwoli uczynić Mszę św. bardziej zrozumiałą dla ludzi. Kaplica akademicka jest bardzo prosta, prawie surowa; nic nie rozprasza uwagi skupionej na stole ofiarnym, stojącym pośrodku, otoczonym zwyczajem dawnych chrześcijan przez studentów. Jesteśmy r a z e m. Dobrze to czujemy, kiedy w czasie *Memento* z różnych stron kaplicy padają słowa intencji — módlmy się za kapłanów, za pomyślne zdanie egzaminów, prośmy o zdrowie dla koleżanki. Modlimy się o aktualne sprawy każdego z nas, modlimy się wspólnie, dzieląc się swymi kłopotami, dziękując Bogu.
Msza św. jest recytowana, części zmienne czytane po polsku przez lektora.
Podkreśleniem tej więzi, jedności naszej jest podanie sobie rąk i otoczenie zwartym kołem ołtarza na słowa kapłana: *Pax Domini* przed *Agnus Dei*. Łączymy się w pokoju, łączymy się z Bogiem, bo przecież przyjmujemy Ciało Chrystusa. Hostie składamy sami w czasie Ofiarowania. Po kolei każdy bierze hostię i niesie ją do ołtarza, by złożyć na patenie trzymanej przez kapłana. Wraz z nią ofiarujemy Bogu nasze troski, kłopoty, także radości i osiągnięcia, nasze walki. To wszystko dla Niego.
Taka Msza św. pozostawia coś, co nie pozwala nam na dobre odejść. Coś ciągnie do tej wspólnej modlitwy, do włączenia się w krąg otaczający ołtarz.
Nie chcemy pozostawać na uboczu, chcemy być razem i tak blisko Boga, który jest tutaj wśród nas, a nie żeby wszystko rozgrywało się na niedostępnych stopniach ołtarza. I ja często tęsknię za tymi „siódemkami", wstaję więc rano i pędzę do kościoła. Czasem pomaga — wiem, że to zależy ode mnie — byle tylko chcieć, chcieć się modlić.
(Ank. 283, studentka, lat 22, duże miasto)

W kaplicy szpitalnej nauczyłam się także pełnego uczestnictwa we Mszy św. Pierwszy raz w życiu byłam tak blisko ołtarza, że mogłam usłyszeć każde słowo wymawiane przez kapłana. Mogłam wtedy zapomnieć nawet o swoim cierpieniu, czułam całkowite oderwanie się od wszystkich spraw i byłam tak blisko Jezusa, który przychodził do mnie

w Komunii św. Tam właśnie tekst każdej Mszy św. stawał się zrozumiały, stawał się moją własną modlitwą zwróconą do Boga. Korzystałam wtedy z mszalika, który zresztą nie był dla mnie nowością, bo od 15 roku życia używałam go jako książeczki do nabożeństwa (prefekt gimnazjalny zarządził zaopatrzenie się w mszaliki opracowane przez ks. Tworkowskiego). Dlaczego dopiero teraz zrozumiałam Mszę św.? Czy poprzednie, prawie bezmyślne, odczytywanie tekstów liturgicznych było całkiem bez pożytku? Nie wiem tego tak, jak nie wiem, dlaczego Bóg taką, a nie inną drogą zechciał mnie poprowadzić?

(Ank. 199, kobieta, lat 40, wykszt. średnie, małe miasto)

Wspólna modlitwa — to chyba moja największa i jedyna tęsknota serca. Nigdy nie czuję się bardziej szczęśliwa, jak wówczas gdy mogę wspólnie się modlić. Ale to naprawdę wspólnie, tzn. że nasze pragnienia idą w tym samym kierunku, że są jednomyślne, że podobają się Bogu, że łączy nas jedna wspólna idea i jej ukochanie lub tęsknota za jej ukochaniem. Z doświadczenia wiem, że to bardzo dobrze odczuwa się w małej grupie, podobnie też bywa i na rekolekcjach, gdy dobrane jest grono. W dużych społecznych grupach, jak np. w parafii, wytworzyć się może też podobny charakter wspólnoty, gdy zwiąże całość wspólna sprawa obchodząca wszystkich bez wyjątku lub przynajmniej znaczną większość. Jednak tego brak, pomimo wspólnej ofiary i wspólnej obecności podczas niej wielu osób i nawet wspólnie odmawianych modlitw.

Za mało uświadamiam sobie jeszcze społeczny charakter liturgii, ale mam pojęcie o jej doniosłości i poza Mszą św. cenię sobie modlitwy liturgiczne, jak np. Kompletę czy Prymę czy inne godziny kanonicznych modlitw.

Bardziej jest potrzebna nauka i przekonanie o niezmiernie ważnej prawdzie, czym jest Kościół i każdy z nas. Chodzi tu o prawdę o Mistycznym Ciele Chrystusa. Prawda ta dopiero rzuca właściwe światło na współzależność poszczególnych członków jednego złożonego organizmu, jakim jest Kościół, i związek nasz z Głową tego organizmu czyli Chrystusem. Pomimo że słyszałem na ten temat głoszone rekolekcje, to, niestety, są to zbyt świeże odkrycia tajemniczych działań, by je móc z miejsca przyswoić, tak są zdumiewające i zaskakujące. Dlatego tak bardzo potrzeba często do tych prawd powracać, by móc zacząć nimi żyć na codzień.

(Ank. 317, kobieta, lat 39, wykszt. średnie, małe miasto)

Przed Mszą św. dobrze byłoby przypomnieć obecnym, w jakiej intencji jest odprawiana. Po Mszy św. nawiązać modlitwy do bieżących spraw. Kościół to czasem czyni, ale o wiele za mało. Np. dzisiejsze modlitwy, prace, sprawy, cierpienia ofiarujemy za tych, co dzisiaj zdają egzaminy, za tych, co wyjeżdżają na urlopy, by je spędzili z korzyścią dla ducha i ciała, za tych, co przystępują do żniwa.

(Ank. 107, kobieta, lat 53, wykszt. średnie, małe miasto)

W parafii powinno się położyć nacisk na uprzystępnienie zrozumienia tego, co ma być ośrodkiem odnowy życia Bożego. Jeżeli pominiemy to, co najważniejsze, to jakim sposobem możemy doprowadzić do lepszego stanu moralnego nasze parafie? Tymczasem mówi się ciągle o grzechu śmiertelnym z powodu opuszczenia Mszy św., a nie podkreśla się, a przynajmniej nie z głównym naciskiem, strony pozytywnej uczestniczenia we Mszy św. O wielkich łaskach, o tajemnicy Miłości Boga-Człowieka. Czy nie przydałyby się teksty liturgiczne na niedzielę umieszczane w gablotkach przy kościele z odpowiednimi komentarzami. Wiem, że to

już daje się spotykać w niektórych parafiach. W naszej, niestety, od najdawniejszych lat, tego się nie widzi. Zwykle podziwiając w innych parafiach bogate ilustracje i opisy ściany żałuję, że u nas świecą pustkami. Prawda, że nie ma komu się tym zająć, bo to bardzo pracochłonne. Uważam za konieczne dokształcanie się w znajomości liturgii. Czy nie byłyby dobre konkursy (wszędzie ich pełno, dlaczego nie miałyby być w kościele) na terenie danej parafii. Czy po prostu nie byłoby wskazane urządzić lekcji pokazowej dla całej parafii na temat Ofiary Mszy św., i to nie jednej, zamiast jakichś kazań stanowych. Sama chętnie chciałabym być na takiej lekcji.

Dopóki nie będzie widocznej troski w przekazywaniu i pogłębianiu świadomości wiernych, dopóty nie można spodziewać się zmiany dotychczasowej sytuacji, co do której chyba nie ma złudzeń, iż daleka jest przynajmniej od zadowalającego stanu. Bardzo mi zależy, aby jednak wszczęto żywy ruch liturgiczny, jaki zaleca bardzo gorąco o. Parsch. Bo nawet duża frekwencja na Mszy św. nigdyby mnie nie cieszyła na miejscu proboszcza danej parafii. Ilość to bardzo zwodnicza rzecz, która nigdy nie pokrywa się z wartością. Trzeba, uważam, stawiać na jednostki wartościowe, bo na takie tylko można liczyć. Czy nie dałoby się z większym powodzeniem zacząć od urabiania elity, która byłaby tym zaczynem zdolnym zakwasić całą parafię? Czy rzeczywiście proboszczowie zawsze mają rację w przypisywaniu złego tylko parafianom, wyrzekając na ich obojętność, spóźnianie się do kościoła, stanie i gapienie się lub po prostu wystawanie poza Kościołem niby uczestnicząc we Mszy św.?

(Ank. 317, kobieta, lat 39, wykszt. średnie)

PODRĘCZNIKI MODLITWY

Dla współczesnego katolika książką najbardziej podstawową stał się mszalik, względnie mszał rozbudowany o pewne elementy brewiarza. Wiele ankiet opisuje „drogę do mszału" i wielkie znaczenie zetknięcia z nimi i w ogóle z tekstami liturgicznymi.

Gdy myślą przebiegam dzieje mojego życia religijnego, to widzę — nie mówiąc o okresie dzieciństwa, gdy mi się dłużyła obecność na Mszy św. — że i później brałam w niej bierny udział a tylko w chwili Podniesienia oddawałam hołd Chrystusowi Panu. Dopiero gdy należąc do sodalicji miałam przygotować referat o Mszy św. i w tym celu przeczytałam kilka rozpraw na ten temat, zrozumiałam jej wartość. Zaczęłam się posługiwać mszałem, oczarowała mię piękność modlitw Kościoła. Uważam, że ten temat powinien być częściej tematem kazań czy artykułów w czasopismach katolickich, że powinno się znaleźć środki, by udostępnić szarym masom korzystanie z mszału przez obniżenie jego ceny i wydawania go w większym nakładzie, a dalej że pieśni religijne śpiewane w czasie Mszy św. powinny się myślowo łączyć z tym, co się dzieje na ołtarzu.

(Ank. 209, kobieta, lat 79, emeryt, prof. lic., duże miasto)

Moja mama (67 lat) też korzysta z mszalika na codzień i nie może sobie wytłumaczyć, jak można takiej modlitwy mocno nie polecać?

(Ank. 273, kobieta, lat 39, duże miasto)

Przeczytałam *Żywot Pana Jezusa* (autora nie pamiętam), a później wśród znajomych szukałam czegoś więcej. Dostałam wtedy od pewnego księdza *Rozmyślania o Ewangelii* ks. bpa Prohaszki, które dostarczyły mi niezbędnych wiadomości do zapoczątkowania życia wewnętrznego. Otrzymałam również mszalik. Zdawało mi się wówczas, że zdobyłam cały świat. Na każdy bowiem dzień miałam gotowe rozmyślanie. Wszystkie lekcje były naprawdę lekcjami moralności chrześcijańskiej, a każda ewangelia podciągała w miłości ku Chrystusowi.

(Ank. 148, kobieta, lat 50, wykszt. średnie, duże miasto)

Zbliżenie się do modlitwy było raczej przypadkowe: zamiana w dzieciństwie z siostrą (starszą o 9 lat) na książeczki — moja miała maleńki format, ta, którą sprowadził jej prefekt — duży. Lecz w książeczce tej było tłumaczenie całości stałych modlitw ze Mszy św. To było moje pierwsze zetknięcie się z modlitwą liturgiczną, która mnie, mogę to powiedzieć szczerze, urzekła.

(Ank. 403, mężczyzna, lat 45, prac. naukowy, duże miasto)

Mój pierwszy mszał benedyktyński, zawierający objaśnienia dogmatyczne, historyczne i liturgiczne, dostałam przed 38 laty od naszego moderatora sodalicji mariańskiej słuchaczek pewnego uniwersytetu w Polsce. Powoli uczyłam się i nauczyłam się używać go, rozumieć Mszę św. Od tego czasu nie umiem „uczestniczyć" we Mszy św. bez mszału. Jestem co dzień na Mszy św., a poprzedniego dnia zapoznaję się z tekstami zmiennymi i rozważam je krótko, przygotowując się w ten sposób do Mszy św. następnego dnia. Nie powiem, mimo powyższego, że weszłam już w ducha Przenajświętszej Ofiary. Mam duże trudności, nie „przeżywam" misterium tak, jak bym chciała i powinna, ale staram się, o ile potrafię wnikać w nie.

Ank. 274, em. nauczycielka, lat 78, wykszt. wyższe, duże miasto)

Mając mszalik zaczęłam w pełni korzystać z modlitwy liturgicznej, mimo że nie miałam specjalnego przygotowania. Bardzo chętnie modliłam się także tekstami niektórych psalmów. Lubiłam też odmawiać po Mszy św. i Komunii św. *Magnificat* oraz *Te Deum*. W pewnym okresie przeżyłam w szczególny sposób tekst modlitwy „Ojcze nasz". Oprócz tego wielkie znaczenie i rolę w rozwoju mojego życia wewnętrznego miały teksty Ewangelii.

Największy wpływ na rozwój mojego życia modlitwy miały trzy rzeczy: Msza św. z Komunią św., życie słowami Ewangelii i książki religijne. Ale niezbędnymi czynnikami, które tamte rzeczy czyniły owocnymi, były: asceza wewnętrzna i pewna zewnętrzna troska o skupienie, korzystanie z samotności oraz staranie, by żyć wiarą, nadzieją, miłością i miłością bliźniego. Jeszcze jednym czynnikiem działającym na mnie w pewnych okresach było duszpasterstwo (nie indywidualne) w mojej parafii.

(Ank. 395, kobieta, lat 39, wykszt. średnie)

Msza św. i Komunia św. były głównym czynnikiem rozwijającym moje życie wewnętrzne, życie modlitwy. Oprócz tego doniosłą rolę odegrały książki traktujące o życiu wewnętrznym oraz czasopisma.

Za pierwsze zarobione pieniądze w 1948 r. kupiłam sobie mszalik i Pismo św. Już przedtem korzystałam z książeczki, w której było kilka tekstów mszalnych, oraz z książki z wybranymi tekstami z Ewangelii.

(Ank. 395, kobieta, lat 39, wykszt. średnie)

Wiele modlitw mszalnych już naprawdę „przeżywam", ale jeszcze nie wszystkie. Aż dziwnie aktualne w moim życiu duchowym wydają mi się często myśli zawarte w introicie. Nauczyłam się modlić o sprawy bieżące, „na dziś" — nie rezygnuję oczywiście z planowania na przyszłość, ale i nie drżę o tę przyszłość ponad miarę.
(Ank. 404, kobieta, lat 39, wykszt. średnie, małe miasto)

Nowy mszał — owoc Soboru — będzie mógł odegrać jeszcze większą rolę dzięki wzbogaceniu i urozmaiceniu tekstów zmiennych (przede wszystkim większa ilość tekstów Nowego Testamentu, przejście na cykl kilkuletni). Obok mszału — Pismo święte. 61 osób przyznaje, że dość systematycznie czyta Ewangelię lub w ogóle Nowy Testament. Ze Starego Testamentu znane są przede wszystkim psalmy (98 osób). Niektóre fragmenty psalmów budzą jednak zastrzeżenia i wątpliwości. Wydaje się też, że niewiele osób naprawdę zna księgę psalmów w całości — raczej chcieliby ją znać, bo fragmenty, jakie dotarły do nich, znalazły miejsce w osobistej modlitwie.

Niektóre psalmy dają pełnię głębokiego przeżycia i często do nich wracam np. „O, Ty, Przedwieczny, który lat tysiące...", „Czuję Twą wielkość, wieczność jej strażą...", ps. 8. „Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże...", ps. 102 „Błogosław, duszo moja, Panu", ps. 129 „Z głębokości wołam...", „Kto się w opiekę...".
(Ank. 207, kobieta, lat 56, wykszt. wyższe, duże miasto)

Muszę przyznać, że niektóre z psalmów dziwnie mnie rażą i „odrzucają" od siebie ale są to przeważnie te, w których jest mowa o zemście, o nienawiści do nieprzyjaciół, natomiast większość psalmów posiada urzekającą głębię myśli i uczuć i zdaje się być bardzo aktualna dla potrzeb duszy dzisiejszego człowieka. Dla krótkości przytoczę liczby tylko niektórych: np. Ps. 27, 29, 30, 31, 33, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 45, 50, 53, 54, 55, 61, 62, 64, 65, 68, 70 itd.
(Ank. 129, prawnik, lat 52, wielkie miasto)

Psalmy — uważam je nie tylko za zabytek literatury, lecz odnajduję w nich problemy mogące mieć zastosowanie we współczesności. Muszę jednak przyznać, że sporo czasu upłynęło, nim je zrozumiałam — przy zastosowaniu przenośni. Usiłując przyjąć dosłownie treść niektórych wierszy nie mogłam się z nimi pogodzić. Utożsamiałam zwykle słowa: nieprzyjaciel, wróg z postawą człowieka i dlatego nie mogłam pogodzić z treścią słów Chrystusa: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze".
(Ank. 295, lekarz, lat 37, duże miasto)

Pismo święte jest na ogół dostępne. Gorzej z mszałem — tu widać potrzebę dużej akcji wydawniczej, przemyślanej i przygotowanej. Ankieta wskazuje między innymi, że bardzo potrzebny jest mszał o pełnej zawartości tekstów liturgicznych, ale niewielkiego formatu i wagi. Rozwiązaniem byłby chyba podział mszału na kilka osobnych tomików.

Ale mszał i Pismo święte to jeszcze nie wszystko. Za mało wciąż jest dobrych polskich książek religijnych typu *Rozważań* księdza bpa Pietraszki, czy *Listów do przyjaciela* Gołubiewa. Te dwie książki najczęściej, obok Mertona, są wymieniane w ankiecie.

Najczęściej naszym pierwszym zetknięciem się z modlitwą jest nauka „Ojcze Nasz", „Zdrowaś Maryjo" i „Wierzę w Boga"... Moje odkrycia zaczęły się chyba od przeczytania *Listów do Przyjaciela* Gołubiewa. Ta niewielka książeczka ukazała mi odmawiane już tysiące razy „Ojcze nasz" w nowym świetle, jako modlitwę przebogatą, mimo swej zwięzłości i prostoty. Lektura *Listów do Przyjaciela* unaoczniła mi, że słowa modlitwy są właściwie tylko mniej lub więcej doskonałą formą, a od nas zależy, czym tę formę wypełnimy.
(Ank. 142, mężczyzna, lat 25, wykszt. wyższe, duże miasto)

Całkowicie brak czegoś pośredniego między książką do czytania a modlitewnikiem. Tę rolę pełni niemal wyłącznie *Naśladowanie*. Tradycyjne książeczki do nabożeństwa nie odpowiadają większości uczestników ankiety. Nie oznacza to całkowitej pogardy dla książeczek. Poza liturgią lepiej jest modlić się własnymi słowami lub bez słów — ale czasem myśl potrzebuje oparcia, cudze słowa można uczynić swoimi. A więc przydałby się jakiś „dzisiejszy" modlitewnik. Różne projekty wysuwane w ankietach składają się na swego rodzaju „Florilegium", gdzie obok wyboru psalmów i pozamszalnych tekstów liturgicznych znalazły się modlitwy różnych świętych (z dodatkiem informacji o autorach), rozważania różańcowe i inne teksty Jana XXIII, najpiękniejsze wyjątki z dzieł pisarzy religijnych, a nawet utwory poetyckie takie jak litania do Najświętszej Maryi Panny Norwida. Niektórzy uczestnicy ankiety nadesłali teksty swoich własnych modlitw i inne, jakie chcieliby znaleźć w modlitewniku przyszłości.

...Po raz pierwszy zaczęłam rozmawiać z Bogiem tak po prostu, serdecznie, mając kilkanaście lat, gdy trafiłam w jakiejś książeczce na modlitwę po Komunii św. zaczynającą się od słów: (głos P. Jezusa) „Mów do mnie jak do swego najlepszego przyjaciela, po prostu, szczerze, poufnie, bez dobierania słów. bez zastrzeżeń, bez obawy...". To było tak sugestywne, że modlitwa popłynęła jakimś gorącym, wartkim strumieniem. Stała się po prostu serdeczną rozmową z najlepszym przyjacielem. Jeszcze teraz gdy po Komunii św. czuję pustkę i oschłość, gdy nie mogę wykrzesać paru zdań „od siebie" — przypomnienie tej modlitwy pomaga mi nawiązać kontakt z Panem Jezusem.
(Ank. 214, „Anna", lat 36, wykszt. wyższe, małe miasto)

Modlitwa z książeczek: Nie znoszę. Są słodkawe lub rymy niemiłe, lub staroświeckie, rachunki sumienia — same negatywy, jakby człowiek tylko miał unikać zła, a nie miał obowiązku robić czegoś dobrego (kiedyś „Znak" wydrukował rachunek sumienia, zdaje się przedruk z francuskich pism, to rozumiem; dlaczego nie stosuje się tego w naszych książeczkach?).
(Ank. 324, kobieta, lat 41, wykszt. średnie, duże miasto)

W modlitwach „z książeczki", przeszkadzają mi zwłaszcza te wszystkie stare zwroty, metafory itd., np. w rodzaju: „Olej, który spływa na brodę proroka", „szkarłat, który sama farbowała i przechowywała" itp. Szczególnie silne sprzeciwy wywołują takie np. „rady praktyczne", ażeby „adorację odprawiać w salonie, przed intronizowanym obrazem Serca Jezusowego, przybranym kwiatami" i „dobrze będzie trzymać w ręku Krucyfiks i przyciskać go z miłością do serca" (cytaty powyższe są wyjęte z wydawnictwa O. Mateo w Paryżu: *Godzina Święta Wynagradzająca*). Gdy Bóg przy moim nawróceniu powalił mnie dosłownie na ziemię, odtąd modląc się zawsze w duchu leżę twarzą w prochu przed Majestatem Bożym; zresztą gdy odczuwam potrzebę tego i jestem sam w domu, potrafię się modlić leżąc krzyżem, ale takie zalecone zewnętrzne formy uważam za naiwne, za teatralne, a zatem niegodne postawy chrześcijanina wobec Boga. Nie forma, a treść i zaangażowanie intelektu decyduje o modlitwie... Wszystkie modlitwy z „książeczki", z wyjątkiem większości modlitw mszalnych „stałych", wzbudzają we mnie jak największe opory. Mało tego, są dla mnie niezrozumiałe w tym znaczeniu, że są powtarzaniem cudzych myśli a nawet słów, przeto „jeżą" mnie a przez to, że nie potrafię się skupić (przy powtarzaniu cudzych myśli i słów), jestem roztargniony, denerwują mnie. W najlepszym wypadku *lassen mich ganz kalt*, jak mówi Niemiec.
(Ank. 321 mężczyzna, lat 65, wykszt. wyższe)

Myślę o sobie, że nie umiem się modlić. Dlatego tak myślę i dlatego nie umiem, ponieważ do dziś nie wiem, jak należy się dobrze modlić. Podczas Mszy nie modlę się z książeczki. Modlitwy w niej zawarte są zbyt pompatyczne — jeśli tak można powiedzieć. Ja tyle dać nie mogę Panu Bogu, ile te modlitwy deklarują.
(Ank. 401, kobieta, lat 42, wykszt. średnie, duże miasto)

Nie przepadam za modlitwami z książeczek. Nie znam modlitewnika wydanego przez „Znak", czego bardzo żałuję. Ciekawa jestem, jakie zawiera modlitwy. Mnie na przykład odpowiadałyby bardziej proste, a nie barokowe lub dziecinnie słodkie, jakie się najczęściej spotyka. Niechby przy każdej podany był autor i kilka o nim słów i aby to były modlitwy niekoniecznie świętych, ale i świeckich, może nawet nam współczesnych ludzi. Ot, takie w rodzaju podanej przez ojca Malachiasza — modlitwy Tomasza More. Jest bardzo ludzka.
(Ank. 388, kobieta, lat 46, wykszt. średnie, osada fabryczna)

...Antologia poezji religijnej odpowiednio ułożona, z właściwie dobranymi utworami mogłaby się stać pięknym modlitewnikiem. Do tej antologii włączyłbym piękną modlitwę (przynajmniej we fragmentach) na święto zesłania Ducha św., napisaną przez ojca Malachiasza i ogłoszoną w „Tygodniku Powszechnym", w numerze 22(749) z dnia 2. VI. 1963. Jest to jedna z najpiękniejszych modlitw o niezwykle głębokiej treści, jaką dotychczas (modlitwę) czytałem.
(Ank. 308, nauczyciel, wykszt. wyższe, duże miasto)

KAZANIA

Wspomnieliśmy już o fakcie, że zdaniem uczestników ankiety kazania za mało są wykorzystywane jako narzędzia wtajemniczenia w Mszę św. i w ogóle w liturgię. Za mało też mówi się o modlitwie — o tym, co można by określić jako jej „technikę" czy „me-

tody", choć określenia nie są najlepsze. Nadmierne przywiązanie do określonych metod i w ogóle metod nie jest dobre — ale ludzie szukający własnej drogi do Boga muszą od czegoś zacząć, potrzebują wskazówek (dowodem, jak bardzo potrzebne są wyjaśnienia, na czym polega istota modlitwy, mogą być dość powszechnie odczuwane kłopoty z różańcem. O różańcu mówi się w kazaniach bardzo dużo — ale okazuje się, że widocznie nie to, co potrzeba. Tajemnice różańca wszyscy znają — problem jest postawa duchowa i technika właśnie tej modlitwy).

Myślę, że za mało z ambon uczy się tego, czym jest modlitwa, jak się modlić. Czy taka ankieta nie mogłaby być omówiona przez księży, a pytania wywieszone na tablicach, wtedy większa ilość ludzi wzięłaby w tym udział, musiałaby się zastanowić nad swoim sposobem modlenia się. Byłoby to pewnym urozmaiceniem form wychowania religijnego, bo i to jest ważne, nawet w dziedzinie religijnej, żeby wprowadzać możliwie różne formy, „bo człowiek jest tylko człowiekiem". Czy nie należałoby z ambon polecać wiernym do przeczytania, np. przy kazaniu o modlitwie — *Listy do Przyjaciela* Gołubiewa. Mnie się wydaje, że to powinien każdy przeczytać. Mnie się wydaje, że należałoby z ambon nawet omawiać niektóre książki, pisma, artykuły, tak więcej prosto...
(Ank 360, nauczycielka, lat 50, osiedle podm.)

Uczestnicy ankiety lojalnie przyznają, że w każdym kazaniu można znaleźć coś, co posłuży modlitwie, i mają sobie za złe zbytnie krytykanctwo. Ale problem jest realny, a nie sztucznie rozdmuchany. Duża część uczestników Mszy św. niedzielnej daremnie oczekuje od kaznodziei pomocy w modlitwie — poddania myśli prowadzących do osobistego dialogu z Bogiem. Nie chodzi tu o jakieś uczuciowe rozkołysanie, o apele do gremialnego padania na kolana, lecz o spokojne i głębokie rozważanie — aktualne, na czasie, związane z Ewangelią i w ogóle całością Mszy św. Niektórzy uczestnicy ankiety chwalą sobie także kazania typu informacyjno-wykładowego, byle nie za długie (ale ich miejsce widzą raczej poza Mszą św.).

Najchętniej chodzę do kościoła wcześnie rano na Mszę św. cichą, bez organów, a jeżeli można, to i bez kazania. Bynajmniej nie uważam, że tak dobrze znam wszystkie problemy wiary, by nikt mnie już niczego nie mógł nauczyć. Wręcz przeciwnie, skwapliwie korzystam z każdej okazji, by dowiedzieć się czegoś nowego, pozwalającego mi pogłębić moją wiarę i wzbogacić wiadomości zarówno teoretyczne jak i praktyczne. Jeżeli jednak ksiądz głosi kazania tylko dlatego, że taki jest zwyczaj, że „wypada" coś powiedzieć (i to często z zapałem i wytrwałością tym większą, im mniej ma do powiedzenia), wtedy ten czas uważam naprawdę za stracony. Myślę, że kazania powinny nas w jakiś sposób wewnętrznie mobilizować do życia zgodnego z nauką Chrystusa, a, niestety, zbyt często nie tylko nas denerwują i nerwowo rozstrajają, ale

dezorientują i wprost zniechęcają do uczestnictwa w tych świętych czynnościach Kościoła.
(Ank. 290, „Ela", lat 27, wykszt. średnie, duże miasto)

Przeszkadzają także, wytrącając z równowagi, niektóre kazania, ale to już inny problem (na marginesie tylko: bardzo prosimy, aby do nas nie tyle przemawiać ,ile mówić; mówić krótko, prosto, zwyczajnie i przedstawiać istotę rzeczy. Bardzo potrzebujemy rzetelnej wiedzy religijnej, a tak mało czasu na jej zdobywanie i pogłębianie, że z każdego zdania kazania chciałoby się wynieść coś wartościowego).
(Ank. 187, prac. naukowy, lat 43, duże miasto)

Niechętnie chodzę na Mszę św. z kazaniem, bardzo trudno jest bowiem trafić na rzeczowo i logicznie skonstruowane kazanie. Szczególnie męcząca jest długość wygłaszanych u nas kazań. Może można by wprowadzić i u nas zwyczaj stosowany w innych krajach, że po 15 minutach zapala się przed księdzem światło a po dalszych 3 minutach rozlega się cichy dzwonek. Przez 15 minut można słuchać nawet kiepskiego kaznodzieję, a ten czas na pewno wystarcza na postawienie tezy, wyjaśnienie jej i wyciągnięcie wniosków.
(Ank. 373 inż. rolnik, lat 39, duże miasto)

C o r o b i ć? Nasuwa się myśl, że trzeba chyba jeszcze usilniej pracować nad wyrobieniem nowego stylu mówienia z ambony. A także przemyśleć na nowo sprawę wykorzystania zdolności i możliwości ludzi świeckich... (wiąże się to na pewno z zagadnieniom diakonatu). Nikt w ankiecie nie wysuwa takiego projektu, ale materiał w niej zgromadzony dowodzi, że świeccy, zwykli szarzy ludzie mieliby coś do przekazania, bo posiadają nieraz głęboką wiedzę duchową, umieją ją zdobywać... Warto więc odwołać się do nich. Niemniej kazanie napisane przez kogoś innego, dostarczone z góry czy z boku jest raczej niedobrym rozwiązaniem. Dziś najchętniej słucha się tych, co mówią od siebie. I szczęśliwie kapłan pełniący magisterium Kościoła może jednocześnie mówić od siebie, więcej: powinien mówić to, co myśli. Ma przecież być żywym pośrednikiem łączącym lud z Bogiem. Tej wysokiej funkcji nie odpowiada rola zdalnie sterowanego głośnika... Nasuwa się jednak inne rozwiązanie: małe, osobiste, prywatne ankiety, podobne do tej, choć nie zawsze anonimowe, bo zwrócone przede wszystkim do swoich, do parafian, współpracowników, przyjaciół. Z takich ankiet mogą wyrastać „kazania na miarę", o c z y m ś i d o k o g o ś, dostosowane do potrzeb konkretnych środowisk.

Wypowiedzi bezimiennych są dobrym źródłem budujących przykładów. Ale nie o to chodzi — i naprawdę nie wolno na wyszukiwaniu przykładów poprzestać. Istotne jest postulowane we wstępie d o s t r z e ż e n i e p r a w d z i w e g o o b r a z u ż y c i a, jego wymiarów, skali, pytań i wymagań, jakie stawia.

opracowała **Halina Bortnowska**

STANISŁAW GRYGIEL

STRUKTURA RZECZYWISTOŚCI A MODLITWA

Moim Rodzicom

MODLITWA znajduje swój fundament w wierze. Podstawy wiary są także jej podstawami. Konsekwentnie jaka wiara — taka i modlitwa. Jeżeli pierwsza będzie zewnętrznym mechanizmem praktyk, to i modlitwa musi być zewnętrznym, mechanicznym „młynkiem" pustych słów. Aby zaistniała możliwość odejścia od tych ostatnich, musi pojawić się w życiu człowieka rzeczywista wiara w Boga, który „s t a n o w i" — konstytuuje — ludzką osobę; musi zaistnieć w człowieku świadome odtworzenie własnego, rzeczywistego porządku ontycznego, to znaczy — człowiek musi dostrzec siebie w całej swojej bytowej prawdzie.

Do wiary „odsyła" człowieka analiza refleksyjna faktu istnienia danej rzeczy. W analizie tej akt intelektu, obejmujący daną rzecz, konkretnie istniejącą, chwyta także coś i n n e g o, czym rzecz nie jest, a co jednak jest konieczne dla jej pojawienia się w świecie. Wydaje się, że ostatecznie akt ten rozgrywa się w fakcie poznawania (analizy refleksyjnej) osoby — istnienia osobowego. Ona bowiem, jako coś najdoskonalszego *in rerum natura*, daje nam przeczucie, jeśli wolno tak powiedzieć, kim musi być Ten inny a nieodzowny dla jej istnienia i wytłumaczenia. Idąc jeszcze dalej, wydaje mi się, że ostatnim, rozstrzygającym aktem intelektu jest ten, w którym człowiek analizuje s i e b i e s a m e g o jako osobę. Człowiek bowiem wypowiadając się o sobie wypowiada się za wiarą lub przeciw niej; mówi, za kogo się ma, „kim się być mieni". Jeśli tak, to im pełniejsze będzie jego istnienie osobowe, tym większa możliwość lepszego poznania, bo i sam akt analizy refleksyjnej będzie wytrawniejszy, i jej przedmiot — jako bytowo pełniejszy — lepiej i wyraźniej będzie mówił o s o b i e a tym samym i o rzeczywistości poza sobą. Naturalna podstawa wiary stanie się silniejsza, a modlitwa — wyraz stosunku do rzeczywistości, z którą bytowo nierozerwalnie wiąże

się nie tylko istnienie osobowe — będzie mogła, zarówno ze względu na podmiot, jak i przedmiot, więcej wyrażać i więcej „mówić".

Każde bowiem słowo[1] wierzący przymierzy do rzeczywistości, którą jest, oraz do tej, z którą niejako pozostaje w unii; puste odrzuci a pozostawi jedynie brzemienne w rzeczywistość. Ostatecznie zostanie mu tylko jedno Słowo, ponieważ tylko Ono zdolne jest wyrazić całą rzeczywistość człowieka, świata oraz tę poza światem, absolutnie inną od niego.

Rzeczywistość i konsekwentnie jej wizja jest tak w sobie zwarta, tak jedna, że wyrażać ją wieloma słowami byłoby co najmniej pomyłką. Dlatego człowiek szuka jednego słowa... Ale musi to być Słowo.

„A modląc się, nie mówcie wiele, jak to czynią poganie, którzy mniemają, że dla wielomówności swojej będą wysłuchani. Nie bądźcież więc do nich podobni" (Mat 6 7—8).

Nastają dni wgłębiánia się w siebie, w ten wzbudzający zdziwienie człowieczy fakt. Znajdują się w nim elementy, które rodzą pokusę ubóstwienia go, czyli uznania za wystarczającą sobie, za nie potrzebująca żadnego „ojca" rzeczywistość. Ulegając tej pokusie człowiek podnosi bunt przeciwko... sobie, właśnie przeciwko temu człowieczemu faktowi, który nie przestaje szukać ontycznego oparcia, aby móc żyć. Na tego rodzaju tożsamość wskazuje nie tyle przemijanie, chociaż i ono odbóstwia człowieka wskazując mu na jego czasowe ograniczenie, ile raczej każdy moment, każde „teraz", w którym człowiek przestaje i na nowo zaczyna istnieć, umiera i na nowo się rodzi, w którym jego byt jest bliski niebytowi i dlatego domaga się ciągłego podtrzymywania „w sobie" — w tym, czym jest najgłębiej. Każde „teraz", nie pozwalające się wyizolować ani oderwać od podłoża, stanowi coś ściśle ograniczonego i oddzielonego od całej reszty. Konsekwentnie i człowiek musi być tylko kimś. Wyraża się bowiem poprzez odcinkowe coś. Ograniczenie nadaje zarazem człowiekowi kształt i pokazuje mu także całe jego ubóstwo, tak wielkie, jak wielka jest rzeczywistość poza nim. Z jednej strony jakby osobno stoi człowiek, z drugiej — cała inna rzeczywistość, zarówno ta inna i równocześnie tak samo ograniczona, jak i ta także inna, lecz nieuchwytna dla żadnego coś, choćby nie wiadomo jak szerokiego i głębokiego. Wówczas człowiek widząc swoją podwójną inność — w stosunku do świata oraz w stosunku do czegoś innego poza światem —

[1] Przez słowo rozumiem tutaj najszerzej pojęte wyrażenie siebie samego. Jest to „wyraz" stworzony przez działanie człowieka, „mówiący" coś o człowieku.

czuje się niemal nicością. Tak właśnie współcześni nazwali tę inność — nicością (pojęcie inności znali już starożytni). I znowu zdziwienie, pokusa i zaplątanie się umysłu tym razem w pozorach nicości! Pokusa ubóstwienia rodzi się na gruncie pozoru Bytu — pokusę rozpaczy rodzi pozór Nicości. Od ubóstwienia i rozpaczy, które zasadniczo wychodzą na jedno, chroni dostrzeżenie prawdziwej, całej rzeczywistości i skłon przed nią taką, jaką ona jest; dostrzeżenie siebie wymagającego czegoś absolutnie innego, czym się nie jest, oraz siebie, który jakoś jednak jest.

„Łzy stały mi się chlebem w nocy i w dzień. Wszystko jest mi pytaniem: »Gdzież jest Bóg twój?«... Zatrwożenie zgnębiło mój umysł i serce, dlatego wspomniały Ciebie. ...Przepaść wzywa przepaść" (Ps 41, tłum. S. G.)

Uwielbienie własnego istnienia albo rozpacz nad nim ustępują miejsca uwielbieniu Istnienia i związanej z nim nadziei. Tworzy się w człowieku jedno widzenie, jeśli można tak powiedzieć, Istnienia w istnieniach i odwrotnie — istnień w Istnieniu. „Jeśli to, co niknie, jest w chwale, daleko bardziej jest w chwale to, co trwa" (2 Kor 3 11). W nowym widzeniu niknące zaczyna trwać. Równocześnie człowiek zamyka się i odcina (w pewnym sensie) od ludzi skupiając swoje oczy na jednym, obejmującym jednak wszystko. Odchodzi we własną samotnię... i wchodzi do świątyni.

„A wstawszy na długo przed brzaskiem wyszedł i oddalił się na miejsce samotne i tam się modlił" (Mk 1 35). „Kiedy się modlić będziesz, wejdź do komory swojej, a zamknąwszy drzwi za sobą, pomódl się do Ojca twego, który jest tam w skrytości" (Mat 6 6).

Po zamknięciu drzwi „przepaść wzywa Przepaść" i Przepaść mówi do przepaści. Pomiędzy nimi nie ma miejsca dla nikogo. Nawet zwracanie się do świętych i do Matki Boga można nazwać modlitwą jedynie przez analogię. Do nich zwracamy się z prośbą o modlitwę, lecz prośba ta nie jest jeszcze modlitwą w ścisłym tego słowa znaczeniu. Stosunek człowieka do Boga jest niepowtarzalny i jedyny w swoim rodzaju. Na nim zawisł cały człowiek w tym, czym jest, oraz w tym, że w ogóle jest. Wszyscy znajdują się w tej samej sytuacji.

Bóg jest jednością, absolutnie prostotą, człowiek jest złożony, lecz jeden akt istnienia scala go w podobieństwo tej jedności. Modlitwa przeto musi być jedna, tak jak byt.

Faktem jest, że na byt (na jego egzystencjalny charakter) zwrócił naszą uwagę Bóg w objawieniu mówiąc nam o stworzeniu świata z niczego, chociaż wydaje się, że człowiek mógł sam o własnych siłach dojść do uświadomienia sobie istnienia. W tym świetle

nabiera szczególnej wymowy prośba· „Panie, naucz nas modlić się!" (Łk 11 1). Odpowiedź padła na miarę boską. I możemy dziś powiedzieć, że Bóg w Starym Testamencie pokazał nam istnienie rzeczywistości, a Bóg-Chrystus w Nowym — stosunek do niej.

„Wy przeto tak się módlcie: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się imię Twoje; przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jak i my odpuściliśmy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego" (Mat 6 9—13).

Nie ma innej modlitwy. Mistyk dostępujący największej łaski, prosta istota szepcząca pacierze w kruchcie kościelnej, każdy, ktokolwiek i kiedykolwiek się modli, powtarza w tej lub innej formie „Ojcze nasz". Każda modlitwa musi być wyrażeniem — różnorodnym jak różnorodni są ludzie — Modlitwy Pańskiej. Bo innej modlitwy nie ma. O niczym innym nie można z Bogiem rozmawiać.

Jest ona ponadto jedna w sobie, ponieważ naczelnym jej i jedynym „tematem" jest wszystko to, co istnieje, a nade wszystko Istnienie, bez którego „nic się nie stało, co się stało" (Jan 1 3). Dlatego też modlitwa ta obejmuje całą rzeczywistość, wszystkie stany bytowe w życiu wszystkich ludzi; obejmuje całą rzeczywistość stosunku świadomego i wolnego kończącego się miłością do Istnienia Osobowego a poprzez Nie do tych istnień, które uczestniczą w Nim szczególnie — do osób. Stosunek do Boga musi sięgać tak daleko i wszędzie tam, gdzie istnieje ontyczna więź pomiędzy nami a Bogiem, więź, która nas s t a n o w i. Czyli w s z ę d z i e. Konsekwentnie stosunek modlitewny musi mieć miejsce także i wobec nas samych oraz wobec innych osób, bo przecież Pan Bóg nie jest kimś stojącym nam naprzeciw, lecz kimś, kto od wewnątrz stanowi naszą osobę. Stanowi także i całą pozostałą rzeczywistość. Im zatem bardziej nabywamy świadomego i właściwego stosunku do rzeczywistości, tym coraz bardziej zbliżamy się do ideału modlitwy. W prawdziwej modlitwie dochodzi do najprawdziwszego odtworzenia porządku ontycznego. Możemy powiedzieć, że im więcej dany stosunek do rzeczywistości jest świadomy, tym więcej jest modlitewny. Absolutne uświadomienie sobie rzeczywistości utożsamia się z absolutnie doskonałą modlitwą. Właściwa prawda, właściwa należna adoracja i miłość!

Z tego powodu modlitwa wiąże się z metafizyką w nierozerwalną całość. Prawdziwa wizja metafizyczna gdzieś w samym swoim centrum, w swoim jądrze musi chyba zawierać wizję Modlitwy Pańskiej. Oczywiście nie obywa się tutaj bez łaski, ale naturalne podstawy do niej mieszczą się w ontycznym porządku konstytuującym człowieka, a metafizyka niczym innym przecież

nie jest, jak tylko wizją rzeczywistości w jej ostatniej ontycznej strukturze, „odsyłającej" do czegoś absolutnie innego, nie potrzebującego już do niczego „odsyłać". Tzw. dowody na istnienie Boga bezpośrednio mówią nam o konkretnych rzeczach, tu i teraz istniejących, a o istnieniu Boga tylko tyle, że musi być jakieś inne (poznanie negatywne) istnienie. Pięć dróg św. Tomasza to raczej wizja wszystkiego, co jest w nas i obok nas, wizja chwytająca swój przedmiot w jego zasadniczym związku z inną od niego rzeczywistością, choć jakoś podobną. Dlatego ściśle mówiąc *quinque viae* stanowią poznanie rzeczy istniejących i składających się na całość zwaną światem, który „wskazuje" na coś całkiem innego, koniecznego a odrębnego od siebie.[2]

Lecz do aktu wiary i modlitwy z nią związanej droga jeszcze daleka, tak daleka, że człowiek sam jej nie przebędzie. Dlaczego? Według naturalnego porządku rzeczy wolitywny stosunek człowieka do przedmiotu jest proporcjonalny do poznania, jakie człowiek uzyskał o nim (w aspekcie jego wartości). Wizja przedmiotu jest niezbędna do poruszenia woli, która winna, aby życie danego człowieka było pełne, zająć odpowiednie stanowisko wobec poznanego. Jeżeli np. widzę tu oto pomarańczę lub swojego kolegę, wola z pomocą li tylko swoich własnych (w niej się mieszczących) sił może lub nawet musi zająć takie czy inne stanowisko. Sprawa jednak nie wygląda już tak prosto, kiedy kazano by mi zająć odpowiedni stosunek do drzewa, które zrodziło pomarańczę, albo do dziadka mojego kolegi. Oni są dla mnie w tej chwili czymś innym, czymś „tajemniczym", „nieobecnym". Musiałbym chcąc zająć wobec nich jakieś stanowisko wzbudzić w sobie odpowiednie akty, przeprowadzić jakieś rozumowania poznawcze, wiążące się ze wspomnianą pomarańczą czy ewentualnie kolegą, aby dopiero po akcie poznania drzewa, dziadka (oczywiście, poprzez ich przedmiotowe uchwycenie) otwarła się droga dla woli, dla jej egzystencjalnego zaangażowania. W każdym bądź jednak razie w chwili trwania aktu wizji pomarańczy ewentualnie kolegi wszystko inne jest dla mnie czymś innym i, jak powiedzieliśmy, „nieobecnym" dla tego aktu.

Rzecz jasna, sprawa w tym wypadku nie przedstawia wielkich trudności. Inność nie jest tak wielka; spowodowała ją jedynie nasza niezdolność ogarnięcia na raz wszystkiego, a nie sam przedmiot.

---

2 Św. Tomasz w *De Veritate*, 22, 2, *ad* 1 mówi, że poznający poznaje Boga we wszystkim, co poznaje. F. C. Copleston w *Aquinas*, (London 1961, Penguin Books, s. 43) nazywa dowody św. Tomasza na istnienie Boga „przedłużeniem refleksji nad rzeczami jako takimi". Por. także E. L. Mascall, *Ten, który jest*, Warszawa 1958, „Pax" oraz *Istnienie i analogia*, Warszawa 1961, „Pax", r. IV.

Zarówno pomarańcza, jak i drzewo czy kolega ewentualnie dziadek jego znajdują się w tych samych granicach bytowych i — konsekwentnie — poznawczych. Tajemniczość drzewa, dla mnie, ujmującego teraz pomarańczę, jest tego rodzaju, że następnym odpowiednim aktem mogę ją bez większych zasadniczych trudności rozszyfrować. Gdyby istniała tylko taka tajemnica, gdyby np. człowiek był tylko dlatego tajemnicą, że istnieją inni ludzie, nie byłoby żadnej tajemnicy. I zawsze w sposób całkiem naturalny (w znaczeniu: o własnych siłach) mógłbym się egzystencjalnie prędzej czy później zaangażować w daną rzeczywistość. „Tajemnica" ta płynie nie z przedmiotu, ale z przestrzenno-czasowego procesu mojego poznania i przez czas zostaje zawsze obalona. .

Bóg jest inny od całego świata, a nie w obrębie świata. Bóg się w nim nie mieści i z tej przyczyny nawet najdłuższy czas nie pomoże naszemu intelektowi. Mając do czynienia z Bogiem, mamy do czynienia z czymś absolutnie bytowo innym i absolutnie „nieobecnym" dla naszego intelektu. Dlatego zawsze będziemy wiedzieli o Nim tylko tyle, że jest inny od wszystkiego, co poznajemy, czyli właściwie nic. Drzewo pomarańczy było dla nas inne tak długo, jak długo było dla nas „nieobecne". Pan Bóg ze swojej istoty, a nie z powodu czasu i przestrzeni (czy indywidualizujących uwarunkowań) jest dla nas taki, jaki jest. O własnych siłach, przy własnym świetle poznać Go możemy jedynie poprzez kategorię inności, to znaczy że nigdy nie będziemy mieć przed sobą Boga jako przedmiotu, posiadającego wyraźne granice. On jest bez granic, nie jest czymś,[3] lecz ni(e)-czym(ś), to znaczy wszystkim. Jest pełnią rzeczywistości, pełnią istnienia. W pełni poznaje i w pełni konsekwentnie jest wolny. W pełni jest i w pełni odtwarza w sobie swój porządek ontyczny. Dla nas to wszystko jest wyłącznie inne, w części bowiem poznajemy i odpowiednio do tego działamy.

Wydaje się, że do uświadomienia sobie tej drugiej inności, dotyczącej moralności istnienia, prowadzi nas nie tylko metafizyka w znaczeniu tomistycznym, lecz także, na płaszczyźnie fenomenologicznej, doświadczenie, w którym dana nam jest osoba i w którym usiłujemy ją chwycić, zarówno naszą własną, jak i tę obok. Doświadczamy jej ustawicznego wymykania się spod naszego „spojrzenia". Ona ustawicznie jest inna, przy czym tutaj słowo „inny"

[3] Mówiąc o Bogu, że nie jest czymś, nie mam na myśli jednego z transcendentaliów — *aliquid*. Chcę jedynie powiedzieć, że Bóg nie jest bytem, któremu granice wyznaczałyby taki tu oto byt, pozwalający na przynajmniej jeszcze jeden Jemu podobny. Można jednak powiedzieć, że Bóg jest jakimś innym czymś (bez granic), którego treść pozostaje dla nas zakryta (właśnie na skutek owej inności). Nie muszę zaznaczać, że dotykamy tutaj analogii bytu.

znaczy coś więcej, niż w wypadku, kiedy doświadczaliśmy, że stołek x jest inny od łóżka czy stołka y. Tutaj inność znaczy tyle samo co nieuprzedmiotowialność, inność od ewentualnych skonkretyzowań przedmiotowych, jakich dokonujemy „na temat" naszej lub drugiej osoby. Fundamentu dla tej inności należy szukać chyba w wolności danego podmiotu poznawanego. Bóg jest absolutnie wolny — a więc absolutnie inny, czyli nieuprzedmiotowialny a zatem i absolutnie tajemniczy. Człowiek „w części" jest wolny, ponieważ ogranicza go jego własna struktura treściowa, wyrażająca się tym, co nazwaliśmy „coś", która także konstytuuje jego istotę. W konsekwencji działanie człowieka oraz skutki tego działania zawsze będą mieć w sobie granice pozwalające na konkretyzacje przedmiotowe. Niemniej jednak najważniejsze w człowieku — on sam jako podmiot — stale będzie „trochę dalej" i „poza tym" dzięki właśnie temu, że jest on osobą, czyli bytem wolnym.

Twierdzenie, że wolność jest jednym z decydujących — jeśli już nie najważniejszym — czynnikiem konstytuującym osobę jako taką, wydaje się daleko sięgające w jej rzeczywistość. Można chyba powiedzieć, iż sięga tak daleko, że nawet prawda służy wolności. Oczywiście, przez prawdę nie rozumiem tutaj rzeczywistości istniejącej niezależnie od myśli. Tak bowiem pojęta prawda jest tą, której człowiek musi służyć — znowu z zastrzeżeniem, że musi ona bytowo być doskonalszą od człowieka, czyli musi to być Osoba większa od ludzkiej. Prawda jednak w znaczeniu wyniku poznania (idee-pojęcia) jest tym, co służy człowiekowi i jego wolności. Poznanie im bardziej jest prawe, tym lepiej spełnia swoją funkcję służebną. Człowiek po to poznaje, aby mógł wolnie odtworzyć w sobie porządek bytowy i w ten sposób siebie zbudować. Wynika stąd, rzecz jasna, że *ex natura* poznanie w działaniu wyprzedza akt wolności, lecz nie wynika, że jest czymś od niego ważniejszym. Owszem, wręcz przeciwnie. Ono jest tym, co pozwala człowiekowi kształtować jego wolność, czyli ostatecznie siebie samego, w sposób prawy. Dlatego w stosunku do „kształtowanego" pełni w całości rolę służebną.

Wolność (wolne działanie) człowieka z kolei ma w sobie odtworzyć porządek bytowy, cały, „nie odsyłający" do niczego poza sobą — co dokonuje się w miłości. Wolność zatem jest dla miłości. W niej się urzeczywistnia. „Wy bowiem, bracia, jesteście pozwani ku wolności, bylebyście tylko tej wolności nie obrócili na podnietę dla ciała, ale na usługę wzajemną przez miłość Ducha" (Gal 5 13).

Stosunek do osoby musi wobec tego zawierać w sobie stosunek do jej bytu jako konkretnie takiego faktu istniejącego

i świadomego oraz — do jej wolności. Idąc po lini pierwszej — istnienia — dochodzimy do Istnienia, które stanowiąc nas zarówno pod względem treści, jak i istnienia, jest naszym Ojcem. Idąc po linii drugiej musimy zaafirmować najistotniejszy element osoby — jej wolność. Stąd „Bądź wola Twoja". Modlitwa Pańska nic więcej nie zawiera w sobie, prócz próśb wiążących się ze skonkretyzowaniami Wolności Boga i naszej stanowionej przez bożą, a często odchodzącej od swoich granic-kształtu i wracającej na nowo „do siebie" — zawsze za sprawą Boga: On człowieka przywraca jemu samemu, On tylko może posadzić człowieka na jego własne miejsce, z którego człowiek był odszedł.

Czy człowiek może się egzystencjalnie zaangażować w coś, co poznał wyłącznie tylko jako inne? Z pewnością nie stoi to w sprzeczności z jego naturalnymi możliwościami. A co więcej, człowiek jest podatny i domaga się zaangażowania w to, do czego „odsyła" go wszystko wprost, bezpośrednio poznane. Niemniej jednak angażuje się tylko w to, co jest dla niego „obecne", co dane mu jest w swoim własnym istnieniu. Jeżeli on sam nie może się „uobecnić" względem danej rzeczywistości, to pozostaje jeszcze jedna możliwość: że dana rzeczywistość sama się „uobecni" względem niego, tak żeby mogło nastąpić potrzebne zaangażowanie. *Fit tamen per fidem Deus praesens affectui, cum voluntarie credens Deo assentiat.*[4] Bóg sam się „uobecnia". Poznanie dokonujące się w akcie wiary (jest to najniedoskonalszy akt poznania, chociaż przedmiot jest najdoskonalszy[5]) umożliwia egzystencjalne zaangażowanie się człowieka (wola idzie za poznaniem). Lecz wiara stanowi ostatecznie łaskę. *Fit tamen... Deus praesens...* On sam się daje „poznać". Swoim przyjacielom.[6] On im pozwala i umożliwia, po spełnieniu przez nich niektórych warunków, uświadomienie sobie całej rzeczywistości i przylgnięcie do niej. Uświadomienie sobie rzeczywistości, przede wszystkim rzeczywistości Boga, wyraża się w tym, co nazywamy modlitwą, a miłość konstytuująca ją, miłość-*charitas,* różni się zasadniczo od miłości zwanej *amor,* gdyż przedmiot jej jest „inny" i nie został poznany w trybie normalnym, w sposób właściwy naszemu intelektowi.[7]

Ponieważ Bóg musi się „uobecnić", czyli dać się jakoś poznać,

---

[4] Św. Tomasz z Akwinu, *Contra Gentes,* III, 40.

[5] *In cognitione autem fidei invenitur operatio intellectus imperfectissima quantum ad id quod est ex parte intellectus, quamvis maxima perfectio inveniatur ex parte obiecti; non enim intellectus capit illud cui assentit credendo. Contra Gentes,* III, 40.

[6] Por. artykuł niżej podpisanego pt. *Człowiek, Bóg i tajemnica* („Znak", nr 108, 1963).

[7] Dlatego, że znajduje się, jak już wspomnieliśmy, poza granicami rzeczywistości proporcjonalnej do naszego intelektu.

aby nastąpiło ze strony człowieka zaangażowanie, to i człowiek, „inny na podobieństwo Boga", w pewnym stopniu także musi się dla drugiego sam „uobecnić" — dla miłości. I to nazwałem kiedyś objawieniem. [8] Chciałbym je nazwać „uprzystępnieniem drugiemu własnej wolności".

Poprzez pryzmat kategorii inności i jej zakorzenienia w naszych bytowych granicach; poprzez świadomą wolność, która znamionuje osobę jako taką i powoduje (przynajmniej fenomenologicznie, dla nas), że ta ostatnia wykracza poza „granice" świata; poprzez siebie i bliźnich, w których dany nam jest Bóg do „poznania" i do umiłowania (o tym niżej); poprzez fakt łaski „uobecniającej" nam Boga musimy mniej lub więcej świadomie spojrzeć na Modlitwę Pańską. Stare słowa nabierają wówczas głębi i rozmiarów nie mieszczących się w „postaci świata".

*

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie" — który jesteś Pełnią istnienia, czyli prawdziwą Osobą (Trójosobą!): który jesteś „tam", gdzie nic nie obumiera, aby żyć: gdzie wszystko już jest i dlatego do niczego już nas nie „odsyłasz". Do Ciebie zwracamy się, ponieważ od Ciebie wszystkośmy wzięli biorąc nasze istnienie osobowe na obraz i podobieństwo Twojego. Dałeś ponadto ludziom „moc, aby się stali synami Bożymi, którzy nie z krwi ani z żądzy ciała, ani też z woli ludzkiej, ale z Boga się narodzili" (Jan 1 12—13). Poprzez nasze istnienie osobowe uczestniczymy w twojej doskonałości, która dla nas stanowi tajemnicę, i dzięki temu sami dla siebie jesteśmy tajemniczy. Jednak tylko Ty sam jesteś święty, bo tylko w Tobie nie ma żadnego braku, więc

„Święć się imię Twoje" — imię, którego nie znamy, ale o którym wiemy, że wyczerpuje wszelką doskonałość. Święć się w nas! Objawiaj się w ludzkim sercu poprzez fakty, bo Twoje imię nie jest zwyczajnym słowem — wiewem głosu — ale faktem. Wierzymy w f a k t — żadnej teorii na Jego temat nie potrafimy zbudować. Teorie obejmują poszczególne „coś". Kapitulują natomiast przed „wszystkim". Żadne ludzkie słowo Cię nie wyrazi: nie jesteś w granicach naszego istnienia. Możemy Cię głosić jedynie tym Słowem, które Ty sam zrodziłeś. Wypowiedziałeś się poprzez Nie („Objawiłem imię Twoje ludziom" — Jan 17 6) oraz poprzez stworzenie stanowiące Jego podobiznę. Człowiek wypowiedzianymi przez siebie słowami otwiera się drugim — słowo jest drogą do drugiego człowieka. Lecz słów tych wypowiadamy i słyszymy wiele. Dlatego i dróg jest wiele. Ty zrodziłeś jedno Słowo i tylko Ono jest Drogą do Ciebie, Prawdą i Życiem wskrzeszającym każdą naszą chwilę istnienia.

---

[8] Por. art. *Człowiek, Bóg i tajemnica*, jw.

Pomiędzy Twoim Słowem a Tobą panuje tak doskonała harmonia, Twoje Słowo wyraża Cię tak adekwatnie, że jesteś z Nim tożsamy a Miłości Waszej nie da się odróżnić ani od Ciebie, ani od Niego. My pielgrzymujemy w dalekim odblasku Twojej harmonii pomiędzy nami a naszym słowem. I marzymy o niej. Zawsze jednak pozostaniemy w jakimś stopniu w niezgodzie ze sobą samym a wskutek tego — w niezgodzie z innymi, ostatecznie z Tobą. Lecz pielgrzymujemy... po drodze zawartej w nakazie: „Bądźcież tedy doskonali, jako i Ojciec wasz niebieski doskonały jest" (Mat 5 48). O harmonię Cię prosimy, o Twoje panowanie!

„Przyjdź królestwo Twoje" — w nas przede wszystkim, między naszą rzeczywistością a jej wyrazem. Reszta jest już prostą konsekwencją. Niech wszystko, co jest, będzie i niech się staje to, co powinno być zarówno tam, gdzie Ty j e s t e ś, jak i tam, gdzie my p r z e m i j a m y, aby b y ć.

„Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi" — Ty bądź! Dla nas samych bądź utwierdzony w swoim istnieniu. I my niech się utwierdzamy w swoim. Pomóż nam przylgnąć do Twojego i do naszego „ukształtowanego" istnienia. Pomóż nam tak uformować nasz wyraz, żeby jak najwięcej odbijała się w nim n a s z a wolność i T w o j a harmonia. Czyli niech my się stajemy tak, jak naszą osobę stanowi Twoja Osoba. Niewłaściwie mówimy, że poddajemy się Twojej woli. Przede wszystkim należy powiedzieć, że poddajemy się swojej własnej ontycznej strukturze, stanowionej przez Ciebie. Urzeczywistniamy siebie, a przez grzech — niszczymy. Uzdrowionemu Chrystus rzekł: „Stałeś się zdrowym, już nie grzesz, aby c i się co gorszego nie zdarzyło" (Jan 5 14). U r z e c z y w i s t n i a m y s i e b i e! Prosimy Cię o łaskę na ten codzienny trud stawania się podobnym Tobie.

„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj" — Prosimy o wszystko, co wspiera nasze siły, nasze l u d z k i e siły a więc duszę i ciało. Ufamy, że stanie się nam, ponieważ skoro już jesteśmy i mamy być, to jakoś należy się nam wszystko, co warunkuje nasze istnienie. Prosimy modląc się. Nie każda bowiem prośba jest modlitwą, a Ty modlitwy wysłuchujesz. „Wszystko, o cokolwiek modląc się prosicie — wierzcie, że otrzymacie, a stanie się wam" (Mk 11 24).

„I odpuść nam nasze winy" — kiedy mimo Twojej łaski przeniesiemy nicość nad istnienie, kiedy nasza wola przylgnie do pustki, a w wyrazie przez nas stworzonym dostrzeżesz nas zdeformowanych. Dostrzeż w nas wówczas najmniejszą iskrę bytu — Twojego odbłysku i dla niego nie żałuj miłości przez miłość do jego rodzicielskiego źródła, czyli do Ciebie samego.

*

Nasuwa się pytanie, co daje człowiekowi podstawę do sądzenia, że istnieje możliwość przebaczenia, oraz co go upoważnia do tego rodzaju prośby? Jeżeli istnieje możliwość nawiązania w nas do „resztek" istnienia — tego aktu, który scala nas w jedność działającą świadomie i wolnie; to istnieje możliwość przebaczenia. Gdyby natomiast człowiek urzeczywistnił w pełni unicestwienie siebie samego, to znaczy, gdyby świadomie przekreślił to wszystko, co stanowi jego osobę wyrzekając się dobra, prawdy, sprawiedliwości (wskutek tego i miłości), a więc tych wartości, które konstytuują jego byt jako osoby — wtedy miałby miejsce grzech niemożliwy do odpuszczenia. „Dlatego powiadam wam: Każdy grzech i bluźnierstwo będzie ludziom odpuszczone, ale bluźnierstwo Ducha nie będzie odpuszczone. I ktobykolwiek wyrzekł słowo przeciw Synowi Człowieczemu, będzie mu odpuszczone, kto by zaś wyrzekł je przeciw Duchowi Świętemu, nie będzie mu odpuszczone ani w tym, ani w przyszłym życiu" (Mat 12 31—32). Wtedy bowiem nie ma komu odpuszczać. Zniszczona została wolność, która jest wyłącznie tam, gdzie jest Duch Pański (por. 2 Kor. 3 17).

Najpierw trzeba odwrócić się od tej *nicości*, która była zamierzona, choć nie mogła być w pełni zrealizowana, a potem dopiero można otrzymać przebaczenie. Człowiek sam musi dostrzec w sobie „resztki" istnienia osobowego i umiłować je tak, by można było siebie odbudować.

Ponieważ zaś życie jego splata się w niemal organiczną całość z życiem innych ludzi, musi umieć i musi chcieć dostrzegać „resztki" istnienia także i w innych ludziach. Dopiero podwójne dostrzeżenie istnienia — w sobie oraz w innych — *upoważnia* człowieka do prośby o uwolnienie go od jego win. Dlatego następne zdanie w Modlitwie Pańskiej stwierdza *już urzeczywistnione* dostrzeżenie istnienia w drugich na miarę dostrzeżenia go w sobie.

Na pytanie, dlaczego w zespół elementów konstytuujących modlitwę wchodzi miłość innych ludzi i jej początek-miara — miłość siebie samego, odpowiedzi należy szukać chyba w samym rdzeniu metafizyki. Metafizyk, jak wiadomo, nie poznaje Boga bezpośrednio (Bóg nigdy nie będzie *przedmiotem* naszego poznania, gdyż znajduje się poza granicami dostępnego nam świata w nas oraz poza nami). Metafizyk posiada jedynie wizję konkretu jako czegoś istniejącego. Konkret ten jawi mu się jako „mówiący" o sobie samym a także (lecz już zupełnie *inaczej*!) o jakimś fakcie poza sobą. Ukazuje bowiem metafizykowi swoją najgłębszą strukturę, w której może on odczytać, że czegoś w niej nie ma, co *musi* być. I tylko tak, w istnieniu związanym z treścią, dany nam jest Bóg, a szczególnie w istnieniu świadomym i wolnym, czyli oso-

bowym, zarówno w naszym własnym, jak i drugich; obydwa bowiem stoją, jeśli wolno tak powiedzieć, przed naszym intelektem. Tylko dzięki naszemu oraz drugich istnieniu Bóg może być „obecny" dla nas wprawdzie jako „inny", lecz bez tego istnienia związanego z treścią, obecnego dla naszego intelektu, nie byłby nawet w ten sposób „obecny". Poznajemy Go jako innego, zatem najpierw intelekt idzie poprzez coś bezpośrednio poznawanego. Jeśli tak, to i wola oraz związana z nią miłość, idące za poznaniem, muszą iść poprzez moment istnienia rzeczy a zwłaszcza osób. Czyli w akcie miłości osoby, jeżeli ma to być pełna miłość (tejże osoby ludzkiej), musi się urzeczywistniać miłość Boga. Miłowana osoba, jako miłowana, „odsyła" naszą miłość do Boga. Co więcej, nie ma innej drogi dla naszej *charitas*, bo tylko tak Bóg dany jest nam do umiłowania, jak dany nam jest do poznania — poprzez innych. Dlatego, rzeczywiście „gdyby kto powiedział, że miłuje Boga, a nienawidziłby swego brata, kłamcą jest. Ten bowiem, kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi" (1 Jan 4 20).

Na tego rodzaju drogę miłości do Boga (tego innego) wskazuje nie tylko metafizyczna refleksja. Wydaje się, że w codziennym doświadczeniu w świecie dostępnym nam bezpośrednio dane nam są podobne przeżycia. Chcąc miłować x poznane nie wprost, miłuję y wprost poznane, w którym, chciałbym rzec, jawi mi się x. Dziadka miłuję w koledze (por. wyżej), Patagończyków — w Polakach. Oczywiście, dziadek, ewentualnie Patagończycy, muszą się „jawić" w koledze czy Polakach jako coś (jako pewna wartość), bez stosunku do czego moje poznanie i „pożądanie" kolegi, ewentualnie Polaków, będzie niepełne a nawet nieprawdziwe. Związek zatem np. kolegi z dziadkiem, powinien być związkiem jakoś zasadniczym.

A cóż dopiero, gdy związek ten jest egzystencjalny, decydujący o bycie lub niebycie!

Akt miłości do drugiego człowieka zawiera w sobie tak wielką tajemnicę, tak wielkie misterium, jak wielką jest Osoba uwielbiona przez nas w umiłowanym człowieku. Tajemnica Boga „spływa" na niego, udziela mu coś ze swojej bytowej doskonałości. Osoba ludzka sama w sobie, wydaje się, jest tajemnicą[9]; przez

[9] Por. jw. Na zarzut, jakobym się cieszył, że istnieje tajemnica, z którą tak ciężko pogodzić się wszelkiego rodzaju logikom, chcącym zmieścić całą rzeczywistość w swoje klasy, muszę odpowiedzieć: Tak, cieszę się. Nie jestem bowiem Absolutem i dlatego mam do wyboru albo absurd, albo tajemnicę. Wybieram ostatnią, ponieważ do niej, a nie do absurdu „odsyła" mnie każda rzecz konkretnie istniejąca. I cieszę się także dlatego, że fakt istnienia człowieka jako tajemnicy świadczy o jego ontycznym pokrewieństwie z Bogiem. Obydwaj są jakoś „nieobecni", poza granicami bytowymi tego świata.

miłość Boga, która poprzez nią przepływa, tajemniczość jej powiększa się, nabiera niejako dwuwymiarowości. Miłując drugiego w całej pełni, to znaczy obejmując jego byt razem z Tym, który go stanowi, ubóstwiam go, tego drugiego, skończonego człowieka. Daję mu możliwość powiększenia swojej doskonałości.

Drugi zawsze istnieje — w przeciwnym wypadku nie byłoby go w ogóle. Dlatego zawsze trzeba go miłować, a nigdy nie wolno nienawidzić. Czyż nie na tym polega przebaczenie? — żeby bardziej miłować to, co jest, niż pamiętać o tym, czego nie ma.

*

„Jak i my odpuściliśmy naszym winowajcom". „I gdy stajecie do modlitwy, odpuście, jeśli co przeciw komu macie, aby i Ojciec wasz, który jest w niebiesiech, odpuścił winy wasze" (Mrk 11 25). „Jeśli tedy poniesiesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostawże tam dar twój przed ołtarzem, a idź pojednać się pierwej z bratem twoim. A potem przyjdziesz i złożysz dar twój" (Mat 5 23—24).

Twarde słowa, lecz miękkim jest tylko to, czego nie ma. Nasza sprawiedliwość musi być miłością. Dochodzić „swego" na drugim można jedynie przez miłość. „Jeśli nie będzie obfitsza sprawiedliwość wasza niż uczonych w Zakonie i faryzeuszów, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego" (Mat 5 20). Uczonemu w Piśmie, rozumiejącemu, że miłość jednego Boga oraz bliźnich więcej znaczy niż całopalenia i ofiary, Chrystus powiedział: „Jesteś bliski Królestwa Bożego" (Mrk 12 34).

Jeśli tak, to kto z nas naprawdę się modli? Kto z nas może się modlić?

„I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego". Są bowiem chwile, w których człowiek chcąc utwierdzić się w swoim bycie — zwiedziony pozorem przenosi nicość nad istnienie. Tak często wydaje mu się, że dopnie swego poprzez ustawiczne zwiększanie swojego stanu posiadania. „Mieć" staje się osią, na którą nawija swoje życie, podczas gdy porządek rzeczy jest właśnie odwrotny. Posiadanie ma służyć istnieniu. Posiadanie ma się „umniejszać", a istnienie — wzrastać. Posiadanie stanowi pozór istnienia[10]. „Baczcie, a wystrzegajcie się wszelkiej chciwości, bowiem niczyje życie nie polega na obfitości tego, co kto ma" (Łk 12 15). „Jeśli kto przychodzi do mnie, a nie ma w nienawiści ojca

10 Posiadanie znaczy tutaj upatrywanie najwyższej wartości (wartości bytowej) w tym wszystkim, co się ma lub co się może mieć. Dlatego miliarder może być równocześnie ubogim. Zresztą zagadnienie nie wymaga większych wyjaśnień.

swego i matki, żony, dzieci, braci i sióstr, a nadto i życia swego, nie może być uczniem moim" (Łk 14 26). „Tak więc każdy z was, który nie wyrzeka się wszystkiego, co ma, nie może być uczniem moim" (Łk 14 33). Słowa te następują bezpośrednio po przypowieści o zaproszonych na gody, od których zaproszeni wymawiali się żoną, wołami, polem itd. Rozgniewany Pan kazał słudze wprowadzić na ucztę ubogich (Łk 14 21).

„Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie" (Mat 5 3) — mówi pierwsze Błogosławieństwo. A ostatnie podobnie: „Błogosławieni, którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie" (Mat 5 10). Tylko ubodzy w duchu cierpią dla sprawiedliwości..., która jest obfitsza od sprawiedliwości faryzeuszów. Tylko ubodzy w duchu nie wymawiali się żoną, wołami ani polem. Tylko oni byli sobą, to znaczy tylko oni byli wolni. I widać tylko oni mają prawo do słów: „Przyjdź Królestwo Twoje!".

Wyraz naszej ku Bogu miłości tworzy modlitwę. Nasz wyraz jest zawsze konkretny, uchwytny bezpośrednio. Jest słowem. Nasze słowa nie wyjdą nigdy poza granice naszego istnienia. Dlatego Bóg wszedł w stworzony przez siebie świat poprzez ludzką naturę jakby przez bramę... Dał nam Słowo swoje, które stało się Ciałem, abyśmy mogli się zwracać do Niego. Zniżył się do nas, skoro my nie mogliśmy sami się podnieść do Niego. „Na tym polega miłość, że nie my umiłowaliśmy Boga, ale On umiłował nas i zesłał Syna swojego" (1 Jan 4 10). W słowach tych, wydaje się, tkwi jeszcze inna prawda, na którą wskazuje także metafizyka. Zgodzimy się, że pozostajemy w innym stosunku do bliźnich, a w innym do Boga. Bliźnim możemy *coś dać* (np. siebie samych w miłości), a oni *mogą* to przyjąć, ponieważ nie stanowią pełni bytowej (nie są *wszystkim*). Bogu natomiast niczego nie brakuje. Bóg ściśle rzecz biorąc może jedynie dawać. Więc miłość do Boga utożsamia się z *przyjęciem* od Niego daru. Właśnie „na tym polega miłość, że nie my..." Dokonuje się ona w fakcie, w którym człowiek-Słowo stał się bramą dla Boga prowadzącą do stworzenia i z kolei Bóg „uczłowieczony" stał się bramą dla człowieka prowadzącą do Boga. „Jam jest bramą... Nikt nie przychodzi do Ojca jeno przeze mnie" (Jan 10 7; 14 6). W tej bramie następuje spotkanie się człowieka z Bogiem, syna z Ojcem. Bóg wychodził przez Nią na spotkanie syna, który „zabrawszy wszystko, odjechał w daleką krainę" (Łk 15 13), i pewnego dnia dostrzegł go wracającego i szukającego wejścia. Dostrzegają się wzajemnie tyle razy! w tym miejscu świętym, czystym i samotnym — w Słowie. W Nim razem się wzruszają całym swoim jestestwem: Boga i człowieka. Wytwarza

się wówczas jakby atmosfera niewyrażalna żadnym ludzkim słowem, a jeśli już trzeba ją ludzkim językiem uzewnętrznić, można tego dokonać wyłącznie językiem „Ojcze nasz".

Kiedy człowiek wróci „stamtąd" (czy można wrócić z atmosfery, w której się żyje, którą się nawet jest?), nie potrafi już mówić o czymś innym. Gdyby nawet mówił, mówiłby tylko pozornie o czymś innym, ponieważ „wracający stamtąd" nie mówią słów zbędnych. We wszystkim, co mówią, zaszczepiony im w serce Duch Jego Syna woła: Abba, Ojcze! (por. Gal 4 6).

Powyższe refleksje nie mają pretensji do dojrzałej w pełni koncepcji modlitwy. Są raczej szkicem fragmentarycznym, który być może kiedyś wypełni się, powiąże i bardziej całościowo pokaże miejsce modlitwy w życiu osoby — w bytowym porządku rzeczy. Jak można było, sądzę, dostrzec, analiza szła drogą: istnienie osobowe stanowi odtworzenie świadome i wolne egzystencjalnego porządku ontycznego. Na płaszczyźnie czysto przyrodzonej jest odtworzeniem porządku danego nam bezpośrednio. W nim już jednak (w jego bytowej strukturze) dany nam jest także moment „odsyłający" intelekt i wolę do rzeczywistości innej, „nieobecnej". Znaczy to, że w naturze rzeczy „obecnych", danych nam bezpośrednio, zawiera się podstawa pod coś więcej niż przyrodzone...

Przez łaskę Bóg nam się sam „uobecnia". I teraz dopiero, po zniżeniu się Boga, możemy świadomie i wolnie odtworzyć cały egzystencjalny porządek ontyczny, nie „odsyłający" do niczego poza sobą. Dopiero w tym odtworzeniu rzeczywistości urzeczywistnia się pełnia istnienia osobowego. Cała prawda i pełna miłość całego dobra. To właśnie jest modlitwą. Uchwyciły ją słowa Modlitwy Pańskiej.

Stanisław Grygiel

JAN PROKOP

LATO 1963

Żyjemy w bezpieczeństwie rzeczy, w sprawdzalnym, kontrolowanym przez nas świecie. Taka jest ulica, która zaprowadzi do domu, mur, którego dotykamy, ręka posłuszna i własna. Ufamy rzeczom, że nie zawiodą, ufamy że powtórzy się znany cykl przyczyn i skutków, znany cykl godzin i dni. Jak w ten bezwyjątkowy, regularny tok zdarzeń, w ten bezpieczny, własnymi rękami wydrążony świat wprowadzić niezwykłość, baśniowe nieprawdopodobieństwo takich historii jak wstań weź łoże swoje i chodź, *jak* nie umarła dzieweczka, ale śpi, *czy to, że Bóg umiera na krzyżu za panowania któregoś tam cesarza w odległej i biednej prowincji imperium. Uwierzenie w Atyllę, w bitwę pod Kannami, w państwo Timbuktu leży w granicach naszych możliwości, nie łamie, nie wywraca naszego świata. Wierzymy w rzeczy niezwykłe, w kataklizmy, klęski żywiołowe, gdyż nie dotykają nas bezpośrednio, nie wymagają zmian w postępowaniu, przebudowy naszego świata. Skoro już godzimy się na tamte sprawy z Golgotą i Zmartwychwstaniem, to usuwamy je także w daleką przeszłość, nieaktualną, niestyczną z nami. W takiej perspektywie fakty mieszają się z baśnią: Upadek cesarstwa rzymskiego, mit o Persefonie, cudowne uciszenie burzy, wszystko to jednakowo odległe, obojętne, nierzeczywiste.*

Jakiej katastrofy, codziennie wracającej katastrofy trzeba, żeby Tobie, Boże, uwierzyć.

Szymon Cyrenejczyk

Dziecko kocha Pana stworzenia w rzeczach. Cierpienia przeżywa na niby, w innych, we współczuciu, w opowieściach. Potem rzeczy okazują się zbyt ciasne, aby pomieścić światło, które w nich świeci. Czas porzucić obrazki, szkiełka, zabawy w Indian. U tego progu zatrzymuje się wielu chrześcijan. Czuje, że dojrzałość zdobyliby lub odzyskali pod ciężarem: choroby, klęski, upokorzenia — przyjętych i znoszonych. To przyjęcie jest ponad ludzkie siły. Ale niezapełnione miejsce musi być czymś zajęte: stąd imaginacja,

poezja, fikcyjne przeżywanie ponad rzeczywistą udręką. Taka namiastka krzyża wystrugana własnymi rękami dolega zjadliwie, ale nie przywraca równowagi i zostawia we własnej samotności. Więc drżą w niepewności rzeczy dotykalnych i obcych, posiadanych i wrogich. Czas działa przeciw nim gryząc brzegi ich samotnej wyspy. To nie jest świadome bałwochwalstwo, ponieważ szukają w rzeczach blasku zmartwychwstania: sprawą ludzką jest szukać bezpieczeństwa rzeczy, tak jak sprawą ludzką jest ucztować z Oblubieńcem i zasypiać w Ogrodzie Oliwnym i uciekać w czas próby. Aż wydarzy się to: spotkali człowieka z Cyreny imieniem Szymon, tego przymusili, aby niósł krzyż jego. *Krzyż przymuszony mogliby zmienić w znak ocalenia. Któż nie płacze przed tą decyzją.*

Uczniowie z Emaus

Uczniowie idący do Emaus pod wrażeniem klęski Proroka, któremu zaufali, przyjęli z Jego słów część najłatwiejszą do przyjęcia: a myśmy myśleli, że on wybawi Izraela. *Tak samo najłatwiej jest przyjąć cud w Kanie galilejskiej, tryumfalny wjazd do Jerozolimy, wskrzeszenie Łazarza, rozmnożenie chleba. Zwykle wybieramy to, co nam najbliższe zostawiając resztę w półcieniu, na pograniczu wiary i niewiary, resztę nie odrzuconą wprawdzie, ale i nie w pełni własną. Do siebie odnosimy:* aniołowie na rękach nosić cię będą, abyś snać nie zranił o kamień stopy swojej *i omijamy księgę Hioba, jak gdyby była nie dla nas pisana, jak gdybyśmy mogli ominąć, uchylić się, uciec przed którymkolwiek słowem Pisma od* wielkie rzeczy uczynił mi Pan *aż po* Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił.

Lato 63

Co trzecie słowo niezrozumiałe, nieme, co piąte nie do przyjęcia, nie do wypełnienia. Czemu dałeś uszy, abyśmy nie słyszeli, oczy, abyśmy nie widzieli. Ręce, abyśmy nie czynili.

Domine virtutum. *Boże mocny, Boże groźny, Boże miłosierny, Boże wierny, Boże umęczony,* suavis et mitis.

Pozorna łatwość modlitwy: łatwość podnoszenia pustych rąk.

Łatwa życzliwość. Łatwa pamięć o żywych i umarłych na schodach, w poczekalni, w autobusie jak tabliczka na drzwiach „dowód miłosierdzia zwalniający od dawania jałmużny".

Et tu Domine Deus miserator et misericors, patiens et multae misericordiae, et verax.

Jakim językiem, jakim milczeniem.

Nie możesz zapomnieć o sobie bez złości, bez urazy, bez samoudręczenia. Taka pogarda jest formą pychy. Bądź cierpliwy, wyro-

zumiały dla siebie jak dla niemądrego dziecka. Nie jesteś tak ważny, jak myślisz. Jesteś nieskończenie ważniejszy. Bóg czeka na ciebie z ucztą przepasawszy się, aby ci służyć.

Im bardziej troszczę się o siebie, tym mniej pozwalam Bogu troszczyć się o *mnie.*

Jakim językiem, jakim milczeniem znaleźć Cię, nie stracić Cię, Krzaku Ognisty, Gołębico.

Quoniam tu Domine suavis et mitis.

Hiob: Gdzie podziała się moja nadzieja? Kto sprawi, aby słowa te były zapisane. Aby były wyryte w kamieniu. Rzekłem zgniliznie: jesteś ojcem moim, a robactwu: jesteś siostrą moją.

I jeszcze: Pozwól mi zapłakać, zanim odejdę, bez nadziei powrotu, do ziemi ciemności, zakrytej ramieniem śmierci, do ziemi płaczu i ciemności, gdzie mieszka cień śmierci, gdzie rządzi nieład i największa udręka (*z liturgii* pro defunctis). *Nie chcesz bowiem rozpaczy bez nadziei i nadziei bez rozpaczy* quoniam tu Domine suavis et mitis

et multae misericordiae omnibus invocantibus te.

Wielka pociecha, największa w staroświeckiej modlitewce: wodo z boku Chrystusowego obmyj mnie, krwi Chrystusowa napój mnie. *Także zapiski sługi bożego Jana, papieża. Żadnych głębin, żadnych intelektualnych olśnień: nabożeństwo do świętych, parafialnych świętych, do* Madonna della Fiducia, *naszej Pani Ufności. Tam też* sorella morte *(za św. Franciszkiem) i Bóg,* il mio tutto *(z tegoż).* W Fioretti *historia św. Ludwika, który przybył do Perugii, do brata Egidiusza. Spotkali się u furty klasztornej, objęli ramionami i rozeszli bez słowa: nauka milczenia najniemożliwsza do przyjęcia dla twórcy hałasu, dla układacza słów.*

Wbiec w otwierającą się głębokość i wiedzieć, że czyjaś ręka podtrzyma, wyprowadzi: taka jest nadzieja.

na pewno nie upadłeś tak nisko jak twoja rozpacz mówi ci, że upadłeś.

Wiara najżywsza na pograniczu niewiary.

Każda prawda na nowo kwestionowana i na nowo darowana.

Abyś Boga nie zamknął w swoim alkierzyku, abyś pozwolił Mu wypowiedzieć się w tobie przez narodziny, życie ukryte, czas nauczania, czas męki, aż po radość pełnego połączenia, radość niebieskiej Jeruzalem.

Jan Prokop

O FILOZOFII ŚREDNIOWIECZNEJ

Przegląd książek z zakresu filozofii średniowiecznej, jakie ukazały się u nas w ciągu ubiegłego roku, wypada rozpocząć od obszernego podręcznika Böhnera — Gilsona, *Historia filozofii chrześcijańskiej.*[1] Pierwsze wydanie tej książki — w oryginale niemieckim — wyszło w roku 1937, drugie, na którym oparto jej polski przekład, w roku 1954. W swoim czasie należała ona niewątpliwie do najlepszych podręczników z zakresu filozofii chrześcjańskiej okresu średniowiecza (jej wartość podkreślał m. in. tak znakomity znawca tego okresu, jak ks. Konstanty Michalski), nie ulega jednak wątpliwości, że w chwili obecnej została już ona zdystansowana przez opracowania inne, uwzględniające nowszy stan badań, jak choćby najlepsza pod tym względem *History of the Christian Philosophy in the Middle Ages* napisana przez samego Gilsona. Do uzasadnienia tej tezy przejdziemy w dalszym ciągu recenzji.

Geneza omawianej książki jest następująca. Gilson udostępnił Ph. Böhnerowi, późniejszemu autorowi znakomitego dzieła poświęconego logice średniowiecznej (*Mediaeval Logic. An Outline of its Development from 1250 to c. 1400,* Manchester 1951) notatki do swych wykładów, które stały się w dużym stopniu podstawą dla pracy samego już Böhnera. Nie trzymał się on ich niewolniczo, dodając zarówno własne interpretacje jak i uzupełniając materiały Gilsona. A w wydaniu drugim odszedł od interpretacji Gilsonowskiej jeszcze bardziej niż w pierwszym: *Przy pierwszym wydaniu* — pisze w przedmowie — *rozporządzałem obfitym materiałem z wykładów profesora Gilsona, chociaż materiałem tym nie czułem się bezwarunkowo związany. W wydaniu drugim jeszcze bardziej oderwałem się od tego podłoża, a częściowo także od poglądów mistrza, który zresztą nigdy mi tej swobody i samodzielności nie kwestionował.* Tak więc mamy podstawy, by twierdzić, że książka, ukazująca się w dalszym ciągu pod firmą dwóch autorów, jest już w swym kolejnym wydaniu dziełem właściwie jednego z nich, mianowicie Böhnera — i on też ponosi za nią autorską odpowiedzialność. Dla samej książki — i jej wartości — jest to dobrze i źle równocześnie. Dobrze, bo mamy w ręku rzecz w gruncie rzeczy samo-

---

[1] Philoteus Böhner, Etienne Gilson, *Historia filozofii chrześcijańskiej. Od Justyna do Mikołaja Kuzańczyka.* Przełożył Stanisław Stomma. Warszawa 1962, Instytut Wydawniczy „Pax", s. 652, zł 150.

dzielną, różną od analogicznych prac samego Gilsona, źle natomiast, bo Böhner nie zrewidował swych poglądów na szereg kwestii, w odniesieniu do których sam Gilson rzucił zupełnie nowe, niekiedy rewelacyjnie nowe światło.

Ale najpierw przyjrzyjmy się zaletom książki. Przede wszystkim więc jej obszerność. Chodzi tu zarówno o wybór przedstawionych filozofów, nie pomijający także niektórych „mniejszych", jak i ich bardzo wyczerpującą charakterystykę. Poszczególne rozdziały są duże, niekiedy zajmują kilkadziesiąt stron, a autor stara się nie pominąć żadnej istotnej dziedziny zainteresowań kolejno omawianego myśliciela. Zaleta druga: oparcie wszystkich wywodów na gruntownej analizie tekstów, którymi gęsto przetkany jest tok wykładu. Pod tym względem książka ta ma niewiele sobie równych w literaturze historyczno-filozoficznej. Poza tym sam wykład niejednokrotnie stanowi umiejętne streszczenie odpowiednich tekstów — dopiero potem następuje interpretacja i ocena. Bardzo dobre są także syntetyczne noty biograficzne. Wreszcie każdy rozdział książki zaopatrzony jest jakimś fragmentem pism omawianego właśnie autora, przy czym fragment ten podany jest w oryginale i w przekładzie. I jeśli niekiedy nie jest jasne, dlaczego Böhner wybrał taki a nie inny tekst, to trzeba przecież się zgodzić, że w każdym wypadku daje on próbkę stylu danego filozofa i pozwala, choć w bardzo cząstkowy sposób, na bezpośrednie zetknięcie się z jego oryginalnymi sformułowaniami.

Poza tym: wykład jest jasny, podział materiału przeprowadzony bezbłędnie i zawsze zgodnie z „zawartością" omawianej doktryny. W wielu wypadkach Böhner umie pokazać węzłowe punkty danej teorii i dotrzeć do jej istotnych założeń. To właśnie, obok wspomnianego ugruntowania wykładu w tekstach sprawia, że możemy mieć pełne zaufanie do jego referatu i interpretacji — przynajmniej tak daleko, jak sięga właśnie referat i interpretacja.

Przejdźmy z kolei do minusów książki. Nosi ona tytuł: Historia filozofii c h r z e ś c i j a ń s k i e j. Niestety, ten ostatni termin spowodował wyznaczenie ostrej granicy, poza którą znalazły się wszelkie doktryny niechrześcijańskie średniowiecza. Można, oczywiście, bronić tak zakreślonej granicy. Ale jeśli się pamięta, jak wiele myśl chrześcijańska średniowiecza zawdzięcza filozofii arabskiej i żydowskiej, jeśli się zważy, że bez nich jest pod wieloma względami po prostu historycznie niezrozumiała (nawet w jej czysto „zewnętrznych" perypetiach, związanych np. z zakazem czytania i komentowania pism Arystotelesa czy z potępianiem tez, opierających się na niektórych założeniach arystotelesowskich i ich arabskich interpretacjach), wówczas musi co najmniej dziwić prawie całkowite pominięcie tych doktryn w wykładzie. Odbija się to, oczywiście, na przedstawieniu poglądów tych autorów, którzy zajmowali jakieś stanowisko — pozytywne czy negatywne —

w stosunku do komentatorów arabskich i utrudnia zrozumienie ich własnych poglądów, a przynajmniej akcentów, czy nawet przeakcentowań, jakie niejednokrotnie czuli się zmuszeni poczynić. Ale, co gorsze, cezura chrześcijańskości kazała pominąć Böhnerowi chrześcijańskich myślicieli nieortodoksyjnych, takich jak Dawid z Dinant czy Siger z Brabantu, z których żaden nie doczekał się nie tylko osobnego rozdziału, ale nawet osobnego paragrafu. Dlatego właśnie książka Böhnera grzeszy tak trudną do wytłumaczenia jednostronnością: ograniczona do ortodoksyjnej filozofii chrześcijańskiej w średniowieczu, pozbawia ją właściwego historycznego otoczenia, odziera z relacji, w jakich pozostawała wobec innych doktryn i oddala możliwość pełnego zrozumienia genezy wielu koncepcji, które znalazły w niej wyraz. Dodajmy, że tego rodzaju opuszczeń nie ma w książkach Gilsona: w jego angielskiej historii filozofii średniowiecznej, której tytuł także głosi, iż chodzi o filozofię chrześcjańską, cała część piąta książki poświęcona jest filozofii arabskiej i żydowskiej, przy czym pierwszy rozdział części następnej zajmuje się osobno wpływem myśli grecko-arabskiej na myśl Zachodu. Specjalny rozdział poświęcony jest także awerroizmowi łacińskiemu (gdzie szczegółowo omówiony jest m. in. Siger z Brabantu), przedtem dostatecznie przedstawiona została doktryna Dawida z Dinant. Pod tym więc względem książka Böhnera niekorzystnie odbija od analogicznych dzieł jego mistrza.

Ale nie tylko pod tym. Mimo podkreślonego uprzednio wiernego referatu omawianych autorów, znajdujemy tu i ówdzie dość zasadnicze pominięcia. Tak na przykład nie ma żadnej wzmianki o immaterializmie Grzegorza z Nyssy, nie ma też ani jednego słowa na temat teorii bytu u Tomasza z Akwinu. Tu dochodzimy do trzeciej sprawy, budzącej bodaj największe wątpliwości, mianowicie do ocen, które znajdują się na końcu każdego rozdziału poświęconego omawianemu w nim filozofowi. Nie chodzi tu o ich lapidarność, która niejednokrotnie budzić musi wątpliwości co do możliwości „załatwienia się" z jakimś systemem w tak krótkich słowach. Nie chodzi nawet o ich tendencję „ustawiającą" z punktu widzenia myśli ortodoksyjnej, co z kolei wywołać może pewien niesmak w bardziej „obiektywistycznie" nastawionym czytelniku, czy, co gorsza, z punktu widzenia ... zakonnego partykularyzmu (Böhner jest franciszkaninem) — por. dla przykładu: *Jak się zdaje, znaczenie Aleksandra przede wszystkim* (podkr. moje — W. S.) *na tym polega, że zdobył on dla zakonu św. Franciszka katedrę na Uniwersytecie Paryskim* (!). Chodzi przede wszystkim o to, że oceny te są czasem fałszywe. Szczególnie jaskrawe pod tym względem jest to, co Böhner pisze na temat św. Tomasza z Akwinu: *Nie oryginalność, ale śmiałość i zwartość konstrukcji wyróżnia św. Tomasza spośród scholastyków. Św. Albert Wielki przewyższał go wszechstronnością*

wiedzy, św. Bonawentura — żarliwością i głębią uczuć, Duns Szkot — ścisłością logiczną, ale nad nimi wszystkimi górował św. Tomasz sztuką dydaktycznego stylu, a także jako mistrz i klasyk syntezy niezwykłej klarowności (s. 524). A więc ocena wyłącznie „zewnętrzna", od strony walorów formalnych i dydaktycznych. Ani słowa o jedynej — na dobrą sprawę — dojrzałej syntezie arystotelizmu i myśli chrześcijańskiej, ani słowa o bodaj najdojrzalszym rozwiązaniu zagadnienia stosunku rozumu i wiary. I wreszcie, co najważniejsze, ani słowa o Tomaszu jako metafizyku, o jego oryginalności w stworzeniu rewolucyjnej koncepcji bytu, tak rewolucyjnej, że niemożliwej do zrozumienia przez jemu współczesnych. Odkrycie tych spraw przez Gilsona, potwierdzone i przejęte przez wszystkich bodaj poważnych znawców Tomasza i średniowiecza, nie zostało dostrzeżone przez autora książki, firmowanej także przez Gilsona! Böhner wolał zatrzymać się na dawnych, dziś już po trochu „przedpotopowych" interpretacjach filozofii Tomasza. Dlaczego? Jakiś złośliwiec mógłby przypuszczać, że i tu zagrały dawne animozje franciszkańsko-dominikańskie...

Jak więc ostatecznie ustosunkować się do tej książki, tak bardzo nierównej? Wydaje się, że mimo wszystkich jej wad, pozostaje ona bezsprzecznie cennym podręcznikiem, wiernie i źródłowo zdającym sprawę z tego, co referuje. Ale, by uzyskać pełny obraz nawet tylko chrześcijańskiej filozofii średniowiecza, wypadnie sięgnąć do innych jeszcze źródeł i opracowań. Lepiej też nie sugerować się zbytnio ocenami, które w tej książce się znajdują. Jednym słowem: dobrze, że ją wydano, ale szkoda, że zamiast niej nie przetłumaczono *History of Christian Philosophy in the Middle Ages* samego Gilsona.

*

Niewielka książka J. Piepera (autora znanego już czytelnikom „Znaku" z pięknego i bardzo odkrywczego studium pt. *Prawda i niepoznawalność u św. Tomasza* — nr 89, listopad 1961) — *Scholastyka, Postacie i zagadnienia filozofii średniowiecznej* [2], poświęcona jest właściwie jednemu, ale bardzo ważkiemu problemowi — sprawie średniowiecznych koncepcji dotyczących stosunku rozumu do wiary. Problem ten pojawił się w myśli chrześcijańskiej bardzo wcześnie, na dobrą sprawę już w Listach św. Pawła, przewijał się przez cały okres Patrystyki, był dyskutowany zwłaszcza przez św. Augustyna. Ale sformułowania, które miało przejść do dalszej myśli scholastycznej, doczekał się dopiero u Boecjusza. Posiada ono postać postulatu, czy nakazu, który, rzucony w przyszłość, miał zostać podjęty przez bodaj wszystkich

---

[2] Josef Pieper, *Scholastyka. Postacie i zagadnienia filozofii średniowiecznej*. Przełożył Tadeusz Brzostkowski. Warszawa 1963, Instytut Wydawniczy „Pax", s. 192, zł 30.

wiedzy, św. Bonawentura — żarliwością i głębią uczuć, Duns Szkot — ścisłością logiczną, ale nad nimi wszystkimi górował św. Tomasz sztuką dydaktycznego stylu, a także jako mistrz i klasyk syntezy niezwykłej klarowności (s. 524). A więc ocena wyłącznie „zewnętrzna", od strony walorów formalnych i dydaktycznych. Ani słowa o jedynej — na dobrą sprawę — dojrzałej syntezie arystotelizmu i myśli chrześcijańskiej, ani słowa o bodaj najdojrzalszym rozwiązaniu zagadnienia stosunku rozumu i wiary. I wreszcie, co najważniejsze, ani słowa o Tomaszu jako metafizyku, o jego oryginalności w stworzeniu rewolucyjnej koncepcji bytu, tak rewolucyjnej, że niemożliwej do zrozumienia przez jemu współczesnych. Odkrycie tych spraw przez Gilsona, potwierdzone i przejęte przez wszystkich bodaj poważnych znawców Tomasza i średniowiecza, nie zostało dostrzeżone przez autora książki, firmowanej także przez Gilsona! Böhner wolał zatrzymać się na dawnych, dziś już po trochu „przedpotopowych" interpretacjach filozofii Tomasza. Dlaczego? Jakiś złośliwiec mógłby przypuszczać, że i tu zagrały dawne animozje franciszkańsko-dominikańskie...

Jak więc ostatecznie ustosunkować się do tej książki, tak bardzo nierównej? Wydaje się, że mimo wszystkich jej wad, pozostaje ona bezsprzecznie cennym podręcznikiem, wiernie i źródłowo zdającym sprawę z tego, co referuje. Ale, by uzyskać pełny obraz nawet tylko chrześcijańskiej filozofii średniowiecza, wypadnie sięgnąć do innych jeszcze źródeł i opracowań. Lepiej też nie sugerować się zbytnio ocenami, które w tej książce się znajdują. Jednym słowem: dobrze, że ją wydano, ale szkoda, że zamiast niej nie przetłumaczono *History of Christian Philosophy in the Middle Ages* samego Gilsona.

*

Niewielka książka J. Piepera (autora znanego już czytelnikom „Znaku" z pięknego i bardzo odkrywczego studium pt. *Prawda i niepoznawalność u św. Tomasza* — nr 89, listopad 1961) — *Scholastyka, Postacie i zagadnienia filozofii średniowiecznej*[2], poświęcona jest właściwie jednemu, ale bardzo ważkiemu problemowi — sprawie średniowiecznych koncepcji dotyczących stosunku rozumu do wiary. Problem ten pojawił się w myśli chrześcijańskiej bardzo wcześnie, na dobrą sprawę już w Listach św. Pawła, przewijał się przez cały okres Patrystyki, był dyskutowany zwłaszcza przez św. Augustyna. Ale sformułowania, które miało przejść do dalszej myśli scholastycznej, doczekał się dopiero u Boecjusza. Posiada ono postać postulatu, czy nakazu, który, rzucony w przyszłość, miał zostać podjęty przez bodaj wszystkich

---

2 Josef Pieper, *Scholastyka. Postacie i zagadnienia filozofii średniowiecznej*. Przełożył Tadeusz Brzostkowski. Warszawa 1963, Instytut Wydawniczy „Pax", s. 192, zł 30.

średniowiecznych myślicieli — i różnych doczekać się rozwiązań. Sam Boecjusz wyraził go w zakończeniu listu pisanego do późniejszego papieża Jana I: *fidem, si poteris, rationemque coniunge* — „połącz, jeśli możesz, wiarę i rozum". Teza Piepera, którą przeprowadza w oparciu o analizę poglądów z różnych okresów średniowiecza, jest dość zaskakująca: rozwiązania problemu właściwie nie dał nikt. Wprawdzie w systemach św. Bonawentury i św. Tomasza „wybuchowość" połączenia wiary i rozumu doprowadzona została do *„pewnej kontrapunktycznie spojonej jedności napięcia"* (por. s. 34), co wyznaczyło zresztą krótki moment szczytu scholastyki, to przecież nawet i to, nie w pełni zadowalające rozwiązanie, nie przetrwało długo i ustąpiło miejsca czysto negatywnej odpowiedzi Ockhama, wedle której rozum i wiara to dwie, całkowicie różne sprawy.

Ale zanim doszło do tego rozstrzygnięcia — i zanim, wcześniej, doszło do szczytowego, pełnego napięcia rozwiązania w duchu Bonawentury i Tomasza, miał się dokonać długi ciąg prób — pozornych sukcesów i nie-pozornych niepowodzeń, oscylujących między Scyllą nieograniczonego racjonalizmu, a Charybdą całkowitej niepoznawalności i tajemnicy. Do pierwszej z nich zbliżał się w swych rozwiązaniach Anzelm z Canterbury, do drugiej autor mistycznych traktatów, kryjący się pod nazwiskiem Dionizego Areopagity. A duch jego teorii tak silnie oddziałał na całe średniowiecze, że poza Anzelmem nie było już żadnego autora, który by w jakimś stopniu nie poddał się jego wpływowi — i w konsekwencji nie rezerwował większego lub mniejszego marginesu na tajemnicę w dziedzinie spraw boskich. Przemożnemu autorytetowi Areopagity oparł się tylko Anzelm. Pasjonujące jest śledzenie jego wysiłków, by wszystkie prawdy wiary nie tylko wyjaśnić rozumowo (*fides quaerens intellectum*), ale i pokazać ich racjonalną konieczność. Znakomicie przedstawił to Pieper w czwartym rozdziale swej książki. Rozwiązanie Anzelma nie zadowoliło jednak średniowiecza, które, mimo wszystko, czuło się zmuszone do kapitulacji przed tajemnicą. I to kapitulacji pod pewnym względem absolutnej — nie „tymczasowej", na którą godził się i Anzelm, tłumacząc, że trzeba tak uczynić, skoro „na razie" nie mamy lepszych racji rozumowych. Teraz będzie chodziło o to, by stwierdzić, jak daleko sięga granica zrozumienia. Doprowadzi to do wewnątrzdoktrynalnych napięć, widocznych już zresztą u samego nawet Anzelma. Bo co naprawdę u niego jest pierwsze: wiara czy rozum? Logika — czy autorytet Augustyna? *Nie poszukuję* — pisze w *Proslogionie* — *zrozumienia, żeby wierzyć, ale wierzę, żeby zdobyć zrozumienie. Albowiem wierzę także w to, że nie mógłbym zdobyć zrozumienia, gdybym nie wierzył.* Ale czy pojęcie wierzenia jest tu jedno? Czy w jednym i drugim użyciu słowa „wierzę" nie chodzi o dwie różne sprawy — o przekonanie z jednej, a o wiarę w sensie

religijnym z drugiej strony? Zasygnalizujmy tylko te pytania na marginesie książki Piepera; nad ich rozwiązaniem niech biedzą się specjaliści.

Napięcie między rozumem a wiarą stanie się jednym z powodów konfliktu, jaki miał zaistnieć już nie między teoriami, ale między czołowymi postaciami XII wieku — Abelardem i św. Bernardem z Clairvaux. Pierwszy — logik i racjonalista, bliższy jest niewątpliwie rozwiązaniu Anzelma niż Dionizego, do którego natomiast zbliżał się Bernard. Abelard, broniąc siły naturalnego rozumu w najbardziej elementarnych sprawach wiary, argumentował, że w gruncie rzeczy wszyscy wybitni filozofowie pogańscy byli właściwie chrześcijanami. Bernard replikował: *Czyniąc Platona chrześcijaninem, dowodzisz tylko tego, że sam jesteś poganinem.* Ale i jemu bliski był anzelmiański postulat wiary poszukującej zrozumienia. Tyle tylko, że na tym miała się wyczerpywać rola samego rozumu i rozumienia: jeśli oddali się on od tej podstawowej funkcji — tłumaczącej i służebnej, stanie się narzędziem czczej ciekawości i próżności.

Przychodzą następne próby, związane z nazwiskami Jana z Salisbury, Hugona ze św. Wiktora, Alberta Wielkiego. Pomijamy je w naszym sprawozdaniu, by uzyskać więcej miejsca na przedstawienie rozwiązania św. Tomasza, do którego Pieper przywiązuje tak wielką wagę. A rezygnując z własnego wyrażenia jego interpretacji, oddamy głos samemu Pieperowi. Trudno zresztą o sformułowanie bardziej wnikliwe i bardziej precyzyjne:

Prawda oznacza oczywistość i objawienie się rzeczywistych przedmiotów. A zatem prawda jest czymś drugim, znajdującym się na dalszym miejscu. Prawda nie istnieje tylko dla samej siebie. Tym pierwszym, co się zawsze przed nią znajduje, są rzeczy istniejące, rzeczywistość. Poznanie prawdy przeto nie zmierza w rezultacie do „prawdy", lecz, ściśle biorąc, do tego, żeby uzyskać obraz rzeczywistości. Jeżeli w dalszym ciągu odróżniamy „prawdę wiary" od „prawdy rozumowej", to znaczy to, że z jednej strony istnieją rzeczy, które dostrzegamy tylko wierząc w Objawienie Boże, a z drugiej strony są rzeczy, które są poznawalne dla naturalnego poznania. Jeżeli nawet mówi się o „wierze" i „wiedzy", to na przekór temu, co jest powiedziane dosłownie, nie ma się na myśli dwóch różnych aktów czy sposobów zachowania się ludzkiego rozumu, ale dwie dziedziny rzeczywistości, których dotykamy, w coś wierząc lub o czymś wiedząc.

„Połączenie wiary i wiedzy" oznacza więc zasadniczo, że te dwie dziedziny rzeczywistości razem ujmuje się myślowo — z jednej strony całokształt rzeczy stworzonych, które dają się widzieć w poznaniu naturalnym (co jeszcze nie znaczy, że je kiedyś pojmiemy); z drugiej strony rzeczywistość udostępnioną nam w objawiającym słowie Bożym,

to znaczy w wierze. Rrzeczywistość tę można oznaczyć przede wszystkim za pomocą symbolów „Trójca" i „Wcielenie". Rozumiane w ten sposób zadanie połączenia wiary i wiedzy zawiera w sobie jednak wymaganie, które jest skierowane nie tylko pod adresem rozumowego myślenia; o tyle więc wyrażenie „razem ujmować myślowo" wymaga pewnej poprawki. Jesteśmy raczej wezwani do zdziałania czegoś, co, będąc bliżej jądra osobowości niż myślenie, samo stanowi duchowe wypełnienie egzystencji (s. 117—118).

I dalej: *Wyjaśnia on* (mianowicie Tomasz) *dwa zagadnienia: po pierwsze — zwrócenie się człowieka do świata we wszystkich jego dziedzinach jest postawą nie tylko uprawnioną teologicznie, lecz i wymaganą; po drugie — sama teologia może się rozwijać tylko na szerokim horyzoncie całej rzeczywistości, z której ani jeden element nie może być wyłączony z rozważania. Można tu powtórzyć skrócone sformułowanie użyte gdzie indziej: „świat oparty na fundamencie teologii i otwarta dla świata teologia"* (s. 118).

To jest właśnie ów szczyt, owo kontrapunktyczne napięcie, do którego doszła, w rozwiązaniu sprawy stosunku rozumu do wiary, filozoficzna myśl dojrzałego średniowiecza. Nie utrzymało się ono długo. Oto w roku 1277, którego znaczenie dla dziejów myśli średniowiecznej docenia się dziś o wiele bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, doszło do słynnego potępienia tez filozoficzno-teologicznych, dokonanego w Paryżu przez biskupa Tempier, a powtórzonego wkrótce potem przez arcybiskupa Canterbury — Roberta Kildwarby. Między tymi tezami znalazło się, jak wiadomo, wiele sformułowań Tomasza z Akwinu. Ale — jak stwierdza Pieper — ważność tego wydarzenia przedstawia się w całej rozciągłości dopiero wówczas, gdy zwróci się uwagę na związek potępiającego dekretu z tym, co działo się w myśli filozoficzno-teologicznej wieków wcześniejszych, a zwłaszcza z konsekwencjami, wynikającymi z postulatów i rozwiązań kwestii stosunku rozumu do wiary u takich myślicieli, jak Boecjusz, Anzelm z Canterbury i Abelard. Rzecz w tym, że przeakcentowanie roli *rationes necessariae* — koniecznych powodów, przy pomocy których starano się wyjaśnić „logikę" Objawienia, doprowadziło do deterministycznych koncepcji twórczej działalności Boga, ograniczających tym samym jego absolutną wolność. *Bóg musi i nie może czynić niczego innego, jak tylko coś ściśle określonego, a mianowicie najbardziej rozumnego w danym momencie, czego racjonalność może być udostępniona rozumowi (wierzącego) człowieka...* (s. 137). Takie sformułowanie nie znajduje się u Anzelma ani u nikogo z „racjonalistów" — ale dzielił je od nich tylko krok. A sens tego sformułowania leżał właśnie u podstaw wielu z potępionych w roku 1277 tez. Jako reakcja przeciw idei „racjonalistycznego determinizmu", któremu uległ i św. Anzelm i — w o wiele większym

stopniu — skrajny arystotelizm kręgu Sigera z Brabantu, pojawiła się nowa idea, przedstawiona wyraźnie przez Jana Dunsa Szkota — idea wolności. Ona właśnie, obok działającego od dawna „ostrzeżenia" w postaci teologii negatywnej Pseudo Dionizego, miała wycisnąć zasadnicze piętno na ostatnim okresie filozofii scholastycznej, który po Szkocie wyda — z jednej strony — Ockhama, z drugiej zaś mistykę Mikołaja z Kuzy. Margines wiary i tajemnicy powiększy się w stosunku do stanu, w jakim znalazł się u Tomasza z Akwinu. Kontrapunkt *fides* i *ratio* przerodzi się w ich całkowitą dysharmonię.

Na tym można chyba zakończyć tę niedokładną próbę przedstawienia głównej idei książki Piepera. Ale warto może dodać, że sam problem stosunku rozumu i wiary jest dla autora problemem aktualnym i dziś. Rozwiązania średniowieczne są tylko pewnym wzorcem, którego nie można pominąć w tej sprawie, ale który nie udziela dyspensy od przemyślenia jej na nowo. Rzecz charakterystyczna, gdy Pieper mówi o ważności i aktualności tego zagadnienia dla nas, wspomina na zakończenie o próbie jego rozwiązania podjętej przez Pierre Teilharda de Chardin.

*

Niełatwo przystąpić do omówienia, a tym bardziej do sprawiedliwej oceny tego rodzaju książki, jak wydany pod koniec ubiegłego roku *Zarys historii filozofii średniowiecznej*[3] Władysława Heinricha (1868—1957) długoletniego kierownika katedry psychologii eksperymentalnej i profesora historii filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim. O pracy tej, wydanej po raz pierwszy w roku 1930, ale opracowywanej wiele lat wcześniej (być może jeszcze przed pierwszą wojną światową), można by z góry — i bez większego ryzyka — powiedzieć, że jest już na pewno przestarzała. Badania nad myślą średniowieczną poszły w ostatnich latach tak daleko naprzód (znamienne i bardzo pouczające jest na przykład porównanie objętości tomu poświęconego filozofii średniowiecznej w kolejnych wydaniach słynnej historii filozofii Ueberwega!), odkryto tyle nowych źródeł i dokonano tak wielu nowych naświetleń i interpretacji, że książka, która nie mogła ich uwzględnić, dziś może okazać się zupełnie nieprzydatna. A jednak — w wypadku *Zarysu* tak się nie stało. Nie znaczy to oczywiście, by mógł on stanąć dzisiaj w równym rzędzie z opracowaniami dysponującymi nowymi materiałami i nowymi interpretacjami. Mimo to jednak pozostał książką wartościową i pożyteczną z uwagi na rzetelność i obiektywność podejścia

[3] Władysław Heinrich, *Zarys historii filozofii średniowiecznej*. Wstępem opatrzył Jan Legowicz. Do druku przygotował Władysław Seńko. Warszawa 1963, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 324, zł 32.

do omawianych w niej spraw. Wydaje się nawet, że pod tym właśnie względem stanowić ona może znakomity przykład „opłacalności" takiego podejścia. Postawa obiektywna badacza, starającego się oprzeć swe sądy na rzetelnie zbadanym materiale, budzi szacunek i zachowuje swój walor nawet wówczas, gdy sam ten materiał okaże się z biegiem czasu niewystarczający. Wiemy z doświadczenia, jak bardzo zmieniają się oceny — i jak się dewaluują. Gdyby książka Heinricha była pracą programowo „ustawiającą", prawdopodobnie stałaby się dziś zupełnie nieprzydatną, bo po prostu fałszywą. Tymczasem pozostała książką prawdziwą: obraz filozofii średniowiecznej, jaki przedstawia, jest nieadekwatny, ale nie jest fałszywy. Wychodząc z tego, co w niej jest, można by ją uzupełniać, bez potrzeby dokonywanie zasadniczych zmian w jej dotychczasowej treści. Tę wysoką wartość zawdzięcza ona także i temu, że — poza wspomnianym już obiektywizmem, poza widoczną chęcią wiernego i rzetelnego przedstawienia rozwoju filozofii średniowiecznej — oparta jest w dużej mierze na oryginalnych tekstach oraz na znajomości najlepszych w swoim czasie prac poświęconych filozoficznej myśli średniowiecza. Trudno oczywiście stwierdzić, czy wszystkie rozdziały są w równym stopniu ugruntowane w tekstach, wydaje się jednak, że autor czytał na pewno Augustyna, Szkota Eriugenę, Abelarda, Bonawenturę, Rogera Bacona, Tomasza z Akwinu. Podkreślić też trzeba, że starał się nie ominąć żadnego ważniejszego autora i żadnego kierunku filozoficznego; stąd na przykład mamy tu nie tylko wykład filozofii arabskiej, ale i — bodaj jedyny w naszej historyczno-filozoficznej literaturze — żydowskiej kabały. To są wielkie plusy, jeśli się zważy, że praca Heinricha była na naszym gruncie pionierska, nie mówiąc już o tym, że do chwili obecnej pozostała jedyną książką polską poświęconą w całości filozofii średniowiecznej. Pamiętając także o czasie jej powstania, czasie, który wcale nie sprzyjał podejmowaniu badań nad średniowieczem (zresztą, uprzedzenia wobec myśli tego okresu trwają w wielu kręgach do dziś!), podziwiać trzeba niezwykle pozytywną ocenę, jaką W. Heinrich wystawił filozofii średniowiecznej. A także, że z taką jasnością dostrzegł ciągłość filozoficznej myśli europejskiej, dla której średniowiecze było okresem równie ważnym i płodnym jak inne.

W wydaniu obecnym książka Heinricha została zaopatrzona w uzupełniające przypisy, podające niezbędne dane, o których sam autor nie mógł jeszcze wiedzieć. Przypisy te są dziełem redaktora książki — Władysława Seńki. Poprawiono także błędy, które z winy korekty zakradły się do pierwszego wydania. W tej uzupełnionej postaci *Zarys historii filozofii średniowiecznej* odda na pewno dobrą przysługę. To też dobrze, że „ocalono go od zapomnienia".

Władysław Stróżewski

ZAPISKI NA MARGINESACH

JAK wiadomo (albo i nie, bo polska prasa codzienna informuje nawet i o tych sprawach w sposób wyjątkowo niechlujny) znaleziono człowieka, który aresztował Annę Frank i jej rodzinę. Nazywa się Karl Silberbauer, pracował w *Judenreferat* (czyli w resorcie Eichmanna) pod bezpośrednimi rozkazami pułkownika SS, Willi Lagesa. Przed Anschlussem był w policji austriackiej, następnie wcielono go do policji niemieckiej; został wówczas członkiem partii hitlerowskiej. Po wojnie wrócił na posadę w policji austriackiej z tym samym stopniem, który miał w roku 1938. Wysłużony ten i z pewnością obowiązkowy pracownik udzielił wywiadu austriackiemu dziennikowi „Kurier": — *Ogromnie mi przykro z powodu tej całej sprawy* — oznajmił. — *Ludzie, których tam* (na strychu) *znalazłem, nie zostawili mi żadnego specjalnego wrażenia. Żebym tego dnia nie był na służbie, i gdyby informacje holenderskiego informatora trafiły do kolegi a nie do mnie, dzieje Anny Frank wcale by mnie nie zainteresowały. Ale po wojnie tak rozdęto tę historię, że w końcu cały kram spadł na mnie. Pamiętam, był słoneczny dzień, w roku 1944, kiedy dostałem wiadomość, że na Prinsengracht ukrywają się Żydzi. Wziąłem ze sobą ośmiu członków SD, Holendrów. W domu czekał na nas ten człowiek: bez słowa wskazał kciukiem sufit. Na górze znaleźliśmy kilka osób, stojących wokół radioodbiornika, najwyraźniej zdziwionych naszym widokiem. Moi ludzie przeszukali pokoje... Powiedzieliśmy tamtym, żeby wzięli trochę rzeczy... Spytałem pana Franka, jak długo tu siedzą na strychu. Powiedział, że dwadzieścia pięć miesięcy. Nie uwierzyłem. Zawołał którąś dziewczynę — pewno Annę — żeby stanęła pod futryną drzwi. Były tam kreski ołówkiem, które oznaczały jej wzrost: widać było, jak przez ten czas wyrosła. Była bardzo ładna. Powiedziałem do pana Franka: „Ma pan ładne córki, co?" ...Więcej ich nie widziałem. Nie wiem, gdzie ich zabrali... Dosyć nas teraz zdziwiło, że dziennik Anny Frank wspomina o Żydach, których stracono w komorach gazowych. Skąd się dziewczyna mogła dowiedzieć o tej tajemnicy?... A w ogóle czy zdajecie sobie sprawę, jaka mi się krzywda dzieje? Musiałem oddać rewolwer i kartę policyjną, muszę płacić za bilet w tramwaju. Wyobrażacie sobie, jak na mnie teraz patrzy konduktor?*

I druga, nieco podobna wypowiedź na procesie SSmanów z Oświęcimia, który toczy się obecnie we Frankfurcie nad Menem. Ci panowie zasiadają w fotelach sali posiedzeń frankfurckiego ratusza (w niej bowiem toczy się proces), część odpowiada z wolnej stopy. Wśród różnych pięknych zeznań wyróżnia się stwierdzenie Bogera, który w Oświęcimu zyskał sobie przezwisko *Folter Boger* (Boger oprawca). Powiada Boger, że istniała naturalna ciągłość między *Hitlerjugend*, organizacjami pracy, SA i SS — *Przeszedłem w mej karierze całą tę*

drogę i jestem z tego dumny, mówi Boger. — *Jestem żołnierzem, tak jak inni... Byłem odpowiedzialny za próby ucieczki z obozu, a z Oświęcimia uciekło stosunkowo najmniej ludzi.* To się nazywa poczucie spełnionego obowiązku.

*

Dziwna to powieść, *Powrót do źródeł czasu* Alejo Carpentier, znakomitego pisarza kubańskiego. Wiele mądrych rzeczy napisała o niej Zofia Starowieyska-Morstinowa w „Tygodniku", ja bym chciał tu na marginesie, od innej trochę strony. Książka moim zdaniem zaczyna się genialnie: skrótowy, chaotyczny, znużony opis cywilizacji urbanistycznej, wysysającej, odgradzającej człowieka od życia tysiącem przedmiotów, funkcji, *ready made* poglądów i urządzeń (niby wszystko to zostało niezliczoną ilość razy powiedziane, ale rzadko tak sugestywnie) — i raptowny kontrast, kąpiel młodości, pulsowanie żywej krwi w absurdalnej stolicy południowoamerykańskiej: do tego miejsca mamy arcydzieło. Lecz wkrótce następuje coraz głębsze zanurzanie się w dżunglę, cofanie się w czasie, przy tym romans z kobietą pierwotną jak żywioł itd: rzecz jakoś blednie, pospolicieje (choć i tu są karty gęste od poezji), narrator niby kocha łono natury, ale jest kulturą obciążony aż nieznośnie i trochę się popisuje swoimi reminiscencjami muzealnymi tudzież łaciną, niestety wciąż cytowaną wadliwie (co czytelnikowi odbiera chwilami zaufanie do głębi tej kultury). Wnioski z tego wszystkiego płyną dość banalne, spotyka się je nierzadko u modnych antropologów i socjologów. Dopiero kiedy narrator wraca między te obrzydłe bary i drapacze północnoamerykańskie, odnajdujemy w pełni nerw wielkiego pisarza. Może do tego braku zaufania, do poczucia czytelnika, że autor mógł owo łono przyrody — naszpikowane Boschem i łaciną — wydumać a właściwie po łebkach wyczytać, nie zaś przeżyć, przyczynia się przekład, który zbyt często babrze się w powolnej lawinie języka Carpentiera jak początkujący narciarz w mokrym śniegu. Nie umiem po hiszpańsku, ale domyślam się, że np. *prezyduje wielka trzoda węży* znaczy to „przewodzi wielkie stado węży", że *genialne połączenie Borominiego* może np. znaczyć „genialna synteza Borrominiego", że niezliczone czasy przeszłe mają być w istocie czasami teraźniejszymi: *nikt nie wie, co się znajdowało za tymi górami* powinno być „znajduje", *pomyśleli, że jestem właśnie tym, którego szukali* powinno być „szukają" itd., itp. Domyślam się też, że handel indulgencjami to handel odpustami, że pszczoła, która *pracuje w kawernach* nie jest bakcylem gruźlicy, że porównywanie drzew i skał do pilastrów ma w istocie być ich porównywaniem do kolumn itd., itp. Najbardziej jednakże wysilona intuicja nie zdoła mi podszepnąć, dlaczego Indianie w hamakach *śpią, c u d z o ł o ż ą i płodzą dzieci* (podkr. moje), co to są *nogi zakończone strusimi kopytkami* i czy naprawdę trzeba tak pisać po polsku: *...rzeczy, które*

właśnie tego, który je określił... brr! Tłumaczka pewno się następnym razem poprawi, ale co robił — do diabła starego — redaktor książki?

Mniejsza jednak z tym, ważniejszych spraw byłbym ciekaw. Chciałbym, żeby mnie ktoś objaśnił, jaka jest właściwie różnica między Rosario z książki Carpentiera a Warszulką z książki Weyssenhoffa? Jak jest różnica między ucieczką „do źródeł czasu", a ucieczką Thoreau do Walden Pond albo Melville'a na Markizy albo Gauguina... itd? Wcale mi nie chodzi o „literaturoznawstwo porównawcze" czy coś w tym rodzaju, tylko pragnąłbym się dowiedzieć, jak i dlaczego trwa (czy od czasu Russa?), jak się zmienia i jak się rozmaicie ucieleśnia niechęć, lęk i groza różnych ludzi, różnych środowisk i różnych pokoleń wobec cywilizacji? Zastanawiam się też, czy słusznie i dlaczego taki zachwyt budzi we mnie opis psychicznej alienacji jednostki w wielkim mieście i jej przerażenia wobec natury, a chłodno reaguję na opis surowej, puszczańskiej idylli (z wyjątkiem tych miejsc, gdzie puszcza opisana jest z przerażeniem)? Autor sam to chyba po części wyjaśnia, w pięknym i niewesołym zakończeniu dochodząc do wniosku, że człowiek cywilizowany odciął się raz na zawsze od możliwości przeżywania takiej idylli: zapewne więc i od możliwości wczucia się w nią równie mocno, jak się wczuwa w cywilizację? No dobrze, ale po pierwsze: człowiek pierwotny swej idylli nie odczuwa j a k o idylli (podobnie jak rolnik na kłębiące się chmury nie patrzy okiem poety), a człowiek cywilizowany, jak o tym była przed chwilą mowa, może o niej tylko marzyć: czy z tego nie wynika, że idylla w ogóle nie istnieje? Po drugie, czy sąd Carpentiera o dzisiejszej cywilizacji, a właściwie nad dzisiejszą cywilizacją, nie jest tak jednostronny, że w końcu płaski — a w takim razie może najlepsze nie są wcale partie urbanistyczne, tylko właśnie te, z których wynika, że idylla nie istnieje? Coś mi się tu zamytłało, więc jeszcze tylko na zakończenie dla użytku tych, co książki nie czytali, bardzo pouczający cytat z niej o nabożeństwie w USA, widzianym antropologicznie (choć narrator książki — a także jej autor — to nie antropolog, tylko kompozytor i muzykolog. Przy tym człowiek bynajmniej nie religijny):

Przechodzę obok kościoła w pachnącym kadzidłem półmroku, dźwięk organów zachęca mnie do wejścia. Liturgiczne melodie wznoszą głębokie echo pod sklepieniem kruchty. Patrzę na zwrócone ku ołtarzowi twarze w żółtym blasku świec; nikt spośród tych, których religijny zapał zgromadził tu dla wysłuchania tego nocnego nabożeństwa, nie rozumie, co mówi ksiądz. Piękno tej prozy jest im obce. Teraz, gdy usunięto łacinę ze szkół jako przedmiot niepotrzebny, to, co widzę tutaj, jest przedstawieniem, coraz mniej rozumianym teatrem. Między ołtarzem a wiernymi co roku pogłębia się przepaść wypełniona słowami bez życia. Słychać wznoszący się śpiew gregoriański: Iustus ut palma florebit. Sicut cedrus Libani multiplicabitur. Plantatus in domo Domini. In atris

domus Dei nostri. Z *niezrozumiałością tekstu łączy się dla obecnych niezrozumiałość muzyki, która przestała być muzyką dla większości ludzi: jest to śpiew, który się słyszy, ale się go nie słucha, tak samo jak słyszy się, nie słuchając, martwy język, który mu towarzyszy. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo mężczyźni i kobiety zgromadzeni tutaj obcy są temu, co im się mówi i śpiewa w nieznanym języku, i spostrzegam, że nieświadomość, z jaką asystują przy misterium, charakteryzuje wszystko, co robią. Tutaj, kiedy się żenią, wymieniają obrączki, płacą „zadatek", dostają garściami ryżu w głowę, nie znając tysiącletniej symbolicznej wartości własnych gestów. Szukają ziarna bobu w placku upieczonym na Trzech Króli, przynoszą migdały podczas chrztu, zdobią choinkę świeczkami i girlandami nie wiedząc, co znaczy ziarnko bobu ani migdał, ani ubrane drzewko. Mają za punkt honoru zachowywać tradycje, których pochodzenie jest zapomniane, które z biegiem czasu ograniczają się do automatyzmu odruchu zbiorowego, do zbierania przedmiotów nieznanego użytku, pokrytych napisami, które przestały mówić od czterdziestu stuleci.*

*

Bardzo mądry, coraz mądrzejszy historyk i krytyk literatury, Pierre-Henri Simon (jakże zyskała rubryka literacka „Monde'u", odkąd ją objął po przezacnym i przenudnym Henriocie *de l'Académie Française*), uważa, że Prix Médicis znacznie bardziej niż panu Jarlot należało się panu Hallier za *Aventures d'une jeune fille*. Nie wiem, jak pisze p. Hallier, ale że to człowiek bystry wynika niedwuznacznie z listu, jaki skierował do Pierre-Henri Simona: *„Zanim zabrałem się do pracy prześladowała mnie myśl, że powieściopisarze zamykają się coraz bardziej w materii jakby danej z góry (coraz bardziej miażdżący ciężar całej naszej kultury), w której wielkie sytuacje psychologiczne, mityczne itd. dawno już straciły swój blask, pierwotną swoją świeżość. Ze swej strony czytelnik, pobudzany przez wzruszenia już znane, już wypróbowane w innych powieściach, chce nieustannie odnajdywać te same wzruszenia i — niczym pies Pawłowa — ślini się w chwili przewidywalnego pobudzenia jego wrażliwości. Zabawiałem się nawet spisywaniem jakby listy fałszywych obrazów uprzywilejowanych, które występują w najrozmaitszych powieściach i wywołują zawsze ten sam mniej więcej skutek"... P. Hallier tłumaczy dalej* (dodaje Simon), *że powieść swoją obmyślił tak, by „wszystko, co jest automatycznie przewidywalne odkąd istnieje powieść, zostało poddane krytycznej próbie": chciał, by obrazowanie klasyczne, barokowe, romantyczne, by fantastyka powieści przygodowych czy przyszłościowych, by wielkie mity (jak np. mit Tristana i Izoldy) odnowiły się przez ich przeniesienie w środowisko, transcendujące zwykłą rzeczywistość. Środowisko stworzone przez sen, czy dowolnie skonstruowane w umyśle?...*

Sądzę, że Hallier poruszył w swoim liście kluczowy problem dzisiej-

szego artysty, nie tylko powieściopisarza: z jednej strony przygniatający naszą wyobraźnię ładunek niezliczonych *musées imaginaires* współczesnej kultury (w plastyce dzięki taniej reprodukcji, książkom o sztuce, międzynarodowym wystawom objazdowym itd., w muzyce dzięki radiu i płytom, w powieści dzięki przekładom, tanim wydaniom, filmom i audycjom opartym na powieściach, digestom itd.), z drugiej strony skłonność odbiorcy do szukania odruchów warunkowych i do wysokiego oceniania dzieł, które wywołują takie odruchy. Odbiorcy zaś wyrafinowani wysoko oceniają dzieła, które się odruchom warunkowym sprzeciwiają: jedno kryterium chyba warte drugiego.

*

Zapisywałem tu niedawno cytat z przedmowy Aragona do książki czołowego francuskiego teoretyka marksizmu, Rogera Garaudy, *D'un réalisme sans rivages*. Teraz dwa cytaty z tekstu książki: *Byłoby absurdem wnioskowanie o koncepcji świata jakiegoś człowieka z jego sytuacji klasowej*. Pamiętacie może, kochani koledzy poloniści, jakeśmy się wykłócali o tę właśnie sprawę na zjazdach w Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Warszawie w latach jeszcze czterdziestych dwudziestego wieku? I drugi cytat: Garaudy powiada, że realista całą gębą nie powinien interesować się biernie pospolitym a s p e k t e m rzeczy, powinien interesować go ich p r o s p e k t, czyli rzeczywistość oglądana racjonalnie i twórczo. Zamiast zastanego porządku świata, symbole będące przeczuciem tego, czym świat zostanie w przyszłości: oto prawdziwy realizm, *twórca mitów, realizm epiczny, prometejski*. Bardzo to przypomina Proudhona, który zajmował się m. in. estetyką i miał — jak wiadomo — znaczny wpływ na Courbeta. I któremu Marks poświęcił swoją *Nędzę filozofii*.

*

W ostatnim, równie świetnym jak inne roczniku „Estetyki", czytamy na ostatniej stronie notę od redakcji tej treści: *W swych czterech tomach, które ukazały się od roku 1960 do 1963, „Estetyka" ogłosiła 13 rozpraw z zakresu estetyki ogólnej, 11 z zakresu ogólnej teorii sztuki, 11 z teorii sztuk plastycznych, 3 z teorii literatury, 3 z teorii muzyki, 3 z teorii teatru, 15 rozpraw z historii estetyki i teorii sztuki. Ponadto w specjalnych artykułach przedstawiła w tych tomach współczesne prądy w estetyce francuskiej, radzieckiej, amerykańskiej, angielskiej, jugosłowiańskiej, podała charakterystyki wybitnych współczesnych estetyków, informacje o odbywających się w tym czasie kongresach estetycznych, recenzje z polskich i obcych książek z zakresu estetyki. Zabierali w niej głos i przedstawiali wyniki swej pracy i swe poglądy przedstawiciele wszystkich estetycznych ośrodków polskich, najwięcej Warszawy, ale także Krakowa (7 rozpraw), Łodzi, Torunia, Wrocławia, Lublina, również polscy estetycy zamieszkali na obczyźnie (3), a także cudzoziemcy (3). Przedstawiony obraz studiów i poglądów w Polsce w zakresie este-*

tyki i teorii sztuki oraz informacje o prądach estetycznych na obczyźnie stanowi zamkniętą całość; na tym zamykamy publikację „Estetyki". Rocznik IV jest jej rocznikiem ostatnim.

W tymże tomie znajdujemy notę podpisaną W. T., zapewne pióra redaktora naczelnego „Estetyki" Władysława Tatarkiewicza, o nowym czasopiśmie poświęconym estetyce. Dowiadujemy się z tej noty, że przed I wojną światową wychodziło jedno tylko (niemieckie) pismo specjalnie poświęcone estetyce, ostatnio zaś pism takich było siedem: amerykańskie, francuskie, niemieckie, włoskie, radzieckie, angielskie i polskie, czyli właśnie „Estetyka". *Obecnie przybyło ósme specjalne pismo estetyczne, mianowicie grecka „Chronika Aisthetikes", której pierwszy tom ukazał się z datą 1962.*

„Estetyka" ukazywała się w nakładzie tysiąca egzemplarzy.

*

Geoffrey Bibby, dawniej wykładowca języków wschodnich w Cambridge, obecnie pracownik duńskiego muzeum prehistorycznego w Aarhus, kieruje wykopkami archeologicznymi na Bliskim Wschodzie i pisze książki. Jedna z nich nosi tytuł *The Testimony of the Spade*, „Świadectwo łopaty", i wydana została przez Collinsa w roku 1957, a ponownie w taniej, masowej, *paperback* postaci przez Fontana Library w roku 1962. Szalenie ciekawa to jest książka, tym bardziej, że w jej części czwartej znajdujemy rozdział pt. *Biskupin*. Oto jak się ten rozdział kończy:

Biskupin jest dziś w Europie najbardziej imponującym świadectwem życia zwykłych ludzi dwadzieścia pięć wieków temu. To dobrze położone, dobrze zaplanowane, wygodne miasteczko winno nam przypominać, byśmy nie zawierzali zbyt ślepo historykom i kronikarzom Grecji i Rzymu. Jest rzeczą pouczającą stanąć w zrekonstruowanym, drewnianym domu mieszkalnym Biskupina i przypomnieć sobie, jak Tacyt odmalował biednych dzikusów ze wschodnich lasów, ledwie okrytych krótkim płaszczem i kurczących się nad nędznym ogienkiem z wyschłego błota. Zapewne Tacyt nigdy nie doświadczył przytulnego żaru paleniska. Nawet tysiąc lat później, kiedy „grody" całymi setkami rozsiadły się na intensywnie uprawianych równinach północnej Polski, bizantyjski cesarz Maurycy opisywał Słowian, jako lud bytujący na polankach, pracowicie wydartych olbrzymim puszczom. To Grecy w swej arogancji nazywali „barbarzyńcami" ludy żyjące w cywilizacji innej niż grecka, a Rzymianie — odziedziczywszy to pojęcie — uważali zawsze, że płynna granica Imperium stanowi linię, oddzielającą wykwintną cywilizację od prymitywnej dziczy. Lecz jeśli cywilizacja oznacza — zgodnie z etymologią tego słowa — sztukę życia w mieście, w takim razie mieszkańcy Biskupina z epoki żelaza byli niewątpliwie cywilizowani. A praca Kostrzewskiego i Rajewskiego w Biskupinie odda jeszcze większe usługi, niż się obaj spodziewali — jeśli z podręczników historii na całym świecie

potrafi wygnać pogląd na prehistoryczną Europę północną i wschodnią jako na obszar dziki, który nie dostąpił szczęścia wpływów cywilizacyjnych Imperium rzymskiego.

*

Na wystawie wzornictwa przemysłowego Wielkiej Brytanii w krakowskim Pałacu Sztuki. Konferencja prasowa, potem długie rozmowy z Anglikami, zwłaszcza z jednym projektantem, człekiem młodym, bystrym, wesołym, zażywnym, z czarną brodą. Podziwiam w skrytości ducha powolną angielską metodę *error and trial* — prób i błędów — która i na terenie wzornictwa święci triumfy. Widzę jednak, że mimo wiadomej pychy synów zimnego Albionu mój brodacz wcale pyszny nie jest, przeciwnie, powiada: „Ale u was można z pewnością mnóstwo tych kwestii załatwić jedną decyzją centralnej instancji planującej, bez długich korowodów biurokratycznych...". Patrzę podejrzliwie, czy nie kpi, ale jednak nie. Rozmawiamy potem o publiczności i tzw. chodliwości sensownie zaprojektowanego produktu (u nas stała obrona koszmarnych, pseudoczeczotkowomahoniowych szaf na wysoki połysk: „bo to chodliwe"). Anglik powiada, że łatwo przekonać nabywców, pod warunkiem, by towar dzisiejszy był niemniej solidny od towaru (np. mebla) dawnego. Czasem wystarczy szkaradny fornir dębowy, żeby się odbiorcy kojarzyło z solidnością — ale to naturalnie nie jest wyjście, tylko lipa. Wyjście, to *error and trial*: świeżo wyprodukowany wzór mebla wstawia się na osiemnaście miesięcy do zwykłego mieszkania celem zwykłego użytkowania. Potem bada się, gdzie się co ułamało, jak wycierają się obicia, czy wygodnie było siedzieć na tych krzesłach przy jedzeniu, przy pracy itd. — dopiero po takiej próbie rzecz idzie do seryjnej produkcji.

Ale Brytyjska Rada Wzornictwa Przemysłowego (założona w roku 1944) ani sama nie projektuje, ani nie handluje. Chce być pośrednikiem w trójkącie: producent—projektodawca—nabywca. Nie dąży do eliminacji wzorów złych (zresztą nie ma ona żadnej egzekutywy), działa tylko pozytywnie: chce przyczynić się do doskonalenia wzornictwa przez dobrą radę i propagandę. Jest instytucją państwową, roczny jej budżet z dotacji wynosi ćwierć miliona funtów, prawie drugie tyle przynoszą dochody z wystaw i innych świadczeń dla przemysłu. Oczywiście te cyfry nie obejmują niewymiernych dochodów z eksportu, które wpływają dzięki działalności Rady.

Obok Rady działa Ośrodek Wzornictwa, założony w roku 1956, a także Rejestr Projektodawców i Spis Wzorów. Na koniec miesięcznik, „Design", abonowany przez 17 tysięcy producentów w Anglii oraz znaczną ich ilość w 80 innych krajach.

Piszę to wszystko ku przestrodze i nauce, bo naprawdę jest z czego brać przykład. Jeśli niniejsze informacje przeczytać pod tym kątem, okaże się natychmiast, że wcale nie są nudne. Więc jeszcze rzecz najważniejsza: jak funkcjonuje Rada z przyległościami?

Rada pośredniczy, to znaczy, że kontaktuje zgłaszającego się do niej producenta z zarejestrowanym u niej projektantem, bardzo się ciesząc jeśli następnie ten kontakt utrzyma się bez jej pomocy. Ma w Rejestrze około dwóch tysięcy projektantów, dokładnie przebadanych — oczywiście za rejestrację nic nie płacą. Większość spośród 600 kontaktów rocznie, jakie umożliwia Rada, kończy się zamówieniem.

Każdy towar, już produkowany, który znajduje uznanie w oczach Rady (jej komisja selekcyjna zbiera się dwa razy na tydzień), dostaje się do Spisu Wzorów. Zawiera on fotografie lub próbki 10 tysięcy produktów. Kopie Spisu (każdy może je obejrzeć) znajdują się w pięciu brytyjskich miastach. Siedemset sklepów otrzymuje na własną prośbę wykazy produktów, nowoprzyjętych do Spisu.

Ośrodek Wzornictwa jest przede wszystkim stałą wystawą zaakceptowanych przez Radę produktów przemysłowych. Wystawia się rocznie 3 tysiące eksponatów (tysiąc na raz), wystawę zwiedza dziennie przeciętnie 2400 osób (słownie dwa tysiące czterysta). Jest wśród nich nieco więcej mężczyzn niż kobiet. 70 procent zwiedzających ma poniżej 45 lat. Przeciętnie 200 handlowców zagranicznych tygodniowo zwiedza Ośrodek. Urządzał on wystawy w dziesięciu miastach brytyjskich (oraz mniejsze wystawki w wielu sklepach na prowincji) i na całym świecie: tylko w ciągu 1962 roku w Helsinkach, Johannesburgu, Sztokholmie, Barcelonie, Tokio i Osaka.

Rzecz ważna: w 1959 roku wprowadzono plakietkę z napisem: „Wybrane przez Ośrodek Wzornictwa, Londyn". Sprzedaje się ja producentom do przymocowania na wyrobach przed ich wypuszczeniem z fabryki. Dotychczas sprzedano trzydzieści milionów takich zachęcających plakietek.

Informacja przedostatnia: Rada Wzornictwa wyprodukowała szereg filmów, prowadzi szereg prelekcji w szkołach i kursy dla projektantów (w tym wycieczki zagranicę).

Informacja ostatnia, to same wzory. Jednym z olbrzymich ich uroków, to że nie są to wzory, lecz towary, które można dostać w sklepie: nóż do chleba, umywalka, telefon. Pozostałe uroki, zwłaszcza prostotę i solidność, mogły ocenić tłumy zwiedzających w Warszawie i w Krakowie.

*

Ostatni pucz iracki (z listopada) który wyniósł marszałka Arefa, kierowany był — technicznie rzecz biorąc — przez tych samych dokładnie panów, którzy kierowali poprzednim, baasistowskim puczem (z lutego) w tymże kraju. Gubernator wojskowy pod rządami partii Baas, generał Raszyd Mosleh, i ówczesny szef sztabu, generał Taher Yehya, nadal zajmują pod rządami Arefa stanowiska gubernatora wojskowego i szefa sztabu, a zwolennicy pełnej ciągłości rządów ucieszyli się niewątpliwie, widząc na proklamacji generała Raszyda Mosleha, oznajmującej zwycięstwo nowego puczu, numer porządkowy 96 — i przy-

pominając sobie, że tenże generał obwieścił zwycięstwo poprzedniego puczu proklamacją numer 95...

Ale zwolennicy rotacji ekip rządzących też mogli zapisać coś na swoim koncie: zniknął mianowicie z horyzontu, po ataku odrzutowca na pałac prezydenta Iraku, generał Hardan El Takriti, dowodzący lotnictwem baasistowskim. Natomiast pojawiła się postać nowa, nikomu nieznana: zastępcą głównodowodzącego irackich sił zbrojnych, czyli prawą ręką marszałka Arefa, został generał Hardan Abdel Ghaffar. ...On to był bowiem — jak piszą w starych powieściach. Tak, drogi czytelniku, z pewnością już od niejakiej chwili domyślność twoja podszeptuje ci właściwe tajemnicy rozwiązanie: generał Hardan El Takriti i generał Hardan Abdel Ghaffar, to jedna i ta sama osoba...

Jacek Woźniakowski

SOMMAIRE

Résultats de l'enquête: La prière et l'homme d'aujourd'hui . 137
Textes choisis de l'enquête 162
Conclusions pastorales 317
STANISŁAW GRYGIEL: La prière et la structure de l'être . . 341
JAN PROKOP: Eté 1963 — prose poétique 356
WŁADYSŁAW STRÓŻEWSKI: Publications philosophiques: Böhner-Gilson *Christliche Philosophie. Von ihren Anfängen bis Nikolaus von Cues*. Paderborn 1945 (traduit par Stanisław Stomma, Warszawa 1962); J. Pieper: *Scholastyka, Postacie i zagadnienia filozofii średniowiecznej;* W-wa 1963; Władysław Heinrich: *Zarys historii filozofii średniowiecznej,* („Histoire de la philosophie du Moyen-Âge"), Warszawa 1963 359
JACEK WOŹNIAKOWSKI: Actualités 368

TREŚĆ ZESZYTU

NAD ANKIETĄ O MODLITWIE 137

BEZIMIENNI MÓWIĄ O MODLITWIE

DROGI ŻYCIA 162

WĄTEK DNI 196

POSZUKIWANIA 245

MSZA ŚWIĘTA 288

WNIOSKI DUSZPASTERSKIE I WYCHOWAWCZE 317
oprac. Halina Bortnowska

STANISŁAW GRYGIEL: Struktura rzeczywistości a modlitwa 341

JAN PROKOP: Lato 1963 356

ZDARZENIA—KSIĄKI—LUDZIE

WŁADYSŁAW STRÓŻEWSKI: Wśród publikacji filozoficznych: O filozofii średniowiecznej 359

JACEK WOŹNIAKOWSKI: Zapiski na marginesach 368

Sommaire 376

Zeszyt podwójny
Cena zł 24.—

